

Ania Tuziak w zupełnie nowej odsłonie! Mroczna historia, osadzona w XVI-wiecznej Szkocji, zabiera czytelnika do innego świata i pozwala mu spędzić fascynujące, pełne napięcia chwile. Polecam!

Ewa Pirce, autorka

# FRANCUSKA KOCICA

*Deja Vu*  
TOM I



ANNA TUZIAK

WA  
PO S

ANNA TUZIAK

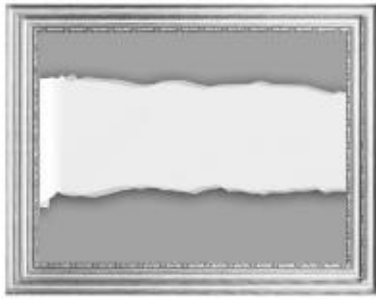
FRANCUSKA  
KOCICA

*Deja Vu*  
TOM I

*Dla mojej córki, Oli*



## Rozdział 1



### Brice

Z każdym krokiem trudniej było jej łapać powietrze. Czuła w piersiach rozrywający ból i nie mogła opanować coraz bardziej ogarniającego ją strachu. Korytarz, w którym się znajdowała, wydawał się nie mieć kresu: był wąski, bez choćby najsłabszego oświetlenia. Miała wrażenie, że biegnie tak w nieskończoność, a najbardziej przerażało ją to, że nie dostrzegła żadnej możliwości schronienia.

Ujrzała w oddali delikatną poświatę i przyspieszyła kroku, aby po kilku metrach dobiec do niewielkiego rozwidlenia. Dwa kierunki. Którędy podążyc? Przymknęła oczy i oparła się o chropowatą, zimną ścianę tunelu. Co teraz miała zrobić?

Gdy usłyszała za sobą jakiś dźwięk, bez zastanowienia ruszyła przed siebie i, wbiegając na przypadkową ścieżkę, wydostała się z korytarza wprost w objęcia nocy. Nie zwolniwszy kroku, biegła dalej. Ostre kamienie oraz gałęzie raniły jej bosc stopy. Przerazona i samotna podczas bezkسیężycowej, ciemnej nocy potykała się na ścieżce o płaczącą jej nogi długą sukienkę.

Przystanęła i spróbowała się uspokoić, jednak postój sprawił, że jeszcze bardziej opadła z sił. Poczwała obezwładniającą, potworną bezsilność, która zaraz przerodziła się w złość. Słyszała za sobą kroki. Ciężkie stapanie, z każdą sekundą coraz bliższe. Ucieczka nie miała sensu; oprawca był tuż za nią. Z westchnieniem przymknęła oczy, a potem zacisnęła dłonie w pięści, obracając się gwałtownie. To było jedyne, co jej pozostało – stawić temu czoła. Nasłuchiwała, starając się uspokoić oddech. Była zupełnie zagubiona i przepełniona niepokojem. Zdezorientowana myślała gorączkowo, co może jej grozić ze strony prześladowcy. I nagle wszystko ustało, a ona rejestrowała już tylko jego oddech, ciężki i równie niespokojny jak jej.

– Brice... – Usłyszała szept i zadrżała niczym leśna osika, otwierając w tym samym momencie oczy.

Ujrzała go w chwili, gdy błyskawica rozdarła niebo.

\*\*\*

Poderwała się, gwałtownie siadając na łóżku. Ciężko oddychając, próbowała się uspokoić, ale nie było to łatwe. Już kolejny raz z rzędu śniła ten sam koszmar. Zawsze budziła się przerażona, nigdy nie pamiętając, jak się skończył. I to chyba najbardziej ją frustrowało. Ten niepokój oraz mętlik, który czuła za każdym razem. Od dziecka chciała mieć nad wszystkim kontrolę, stawiać czoła trudnościom, rozwiązywać problemy. A teraz nawet nie wiedziała, co tak naprawdę napawa ją lękiem.

Zapaliła lampkę stojącą na nocnej szafce i, odrzuciwszy koc, wstała z łóżka. Roztrzęsiona zeszła po schodach do kuchni. Czasem żałowała, że nie kupiła domu o mniejszym metrażu. Loft, w którym mieszkała, początkowo zachwyił ją prostą i nowoczesną formą, ale było w tych przestronnych pomieszczeniach coś, co ją niepokoiło. Czuła się tu samotna, choć tak naprawdę właśnie o to jej chodziło. Pragnęła mieć swoją ciszę, w którą uciekałaby wtedy, gdy potrzebowała samotności. Jednak jak długo można żyć w odosobnieniu?

Otworzyła podwójne drzwi ogromnej lodówki, po czym wyjęła butelkę wody mineralnej. Musiała się czegoś napić. Po chwili namysłu wskoczyła na blat podłużnego stołu i siedziała tak przez kilka minut ze zwieszonymi nogami. Rozejrzała się wokół. Ta pustka była niesamowicie dojmująca i tak ogromnie ją teraz przytłaczała. Położyła się plecami na chłodnej nawierzchni, a następnie zadrżała. Spojrzała na schody prowadzące na antresolę i westchnęła, ujrzawszy tam jedną z teczek, w których trzymała zdjęcia reprodukcji. Od zawsze była pedantką. Gdy coś leżało nie na swoim miejscu, drażniło ją, nie dając spokoju, dopóki tego

nie poprawiła. Tym razem było podobnie. Schowała butelkę z wodą do lodówki, a szklankę włożyła do zmywarki, po czym ruszyła w kierunku schodów.

Sięgając po dokumenty, pomyślała, że nie będzie już w stanie usnąć, a zbliżał się ranek. Niedługo pierwsze promienie słoneczne zaczną oświetlać Manhattan. Podążyła w stronę tarasu. Gdy wyszła, otoczył ją chłód. Otuliła się mocniej swetrem, który zabrała ze sobą i, ściskając w dłoni teczkę, podeszła do białego fotela. Po drodze zapaliła światła, żeby oświetliły niewielki basen, z którego tak naprawdę prawie nigdy nie korzystała. Na powierzchni wody pływały teraz płatki posadzonych w podłużnych, mosiężnych donicach białych oleandrów. Nawet nie lubiła tych kwiatów, jednak doskonale komponowały się z resztą wyposażenia oraz imitacją kominka w innowacyjnym stylu. Taki lubiła najbardziej. Proste, oryginalne sprzęty w kontrastujących ze sobą barwach. Czuła się wtedy bezpieczna i... samotna?

Ze złością usiadła w fotelu. Gwałtownym ruchem otworzyła aktówkę, z której wysypały się dostarczone jej poprzedniego dnia zdjęcia. W ostatniej chwili udało jej się złapać jedno z nich. Wpatrzyła się zafascynowanym wzrokiem w fotografię obrazu, jaki tego dnia mieli przywieźć do jej biura.

Brice Pinard była znanym restauratorem dzieł sztuki. Zajmowała się w głównej mierze malarstwem, jednak okazjonalnie trafiały jej się też inne zabytki. Były to raczej wyjątki. Czasami organizowała wystawy, zdarzały się również transfery na tego typu imprezy. Fascynowało ją to od dzieciństwa. Cztery lata w konserwatorium, na które uparła się jej matka, nie wzbudziły w niej miłości do skrzypiec. Gdy kobieta umarła, Brice wróciła do ojca, który miał całkiem spore rancho w Teksasie. On z kolei upatrywał w niej dziedziczkę dużej posiadłości i ogromnej stadniny. Na swoje nieszczęście była jedynaczką.

Ojciec jej pasję nazywał traceniem czasu, niepotrzebnymi głupotami. Pewnego dnia wybuchła awantura i padły słowa, które podzieliły córkę z ojcem. Brice wyjechała do Chicago. Tam zaczęła się w jednej z galerii. Była dobra w tym, co robiła, dzięki czemu już wkrótce dostała awans. Jeden, drugi, kolejny. Po dwóch latach miała już wyrobioną markę, dobrą posadę w Nowym Jorku i pootwierane wszystkie drzwi. Skrupulatna, dokładna, wręcz pedantycznie dokładna, zdobywała uznanie każdego, z kim przyszło jej pracować.

Elegancki apartament, z którego roztaczał się piękny widok na Hyde Park, zamieniła na przestronny loft na obrzeżach Manhattanu. Czy była szczęśliwa? Jej życie prywatne nie było czymś rewelacyjnym. Kilka przyziemnych znajomości, przelotnych romansów. Lecz żaden facet nie mógł znieść w niej tej formalistki, jaką niestety była. Każdego wieczora wracała samotnie do domu, a później snuła się apatycznie po przestronnej powierzchni. Sama w swej ciszy pragnęła czasem wrzeszczeć.

\*\*\*

Odczuwała poddenerwowanie. Może spowodowane było ono tym, że nie przespała całej nocy. Na miejsce dotarła przed czasem.

Po drodze kupiła kawę w Starbucksie i teraz szła już przeszklonym korytarzem w stronę prywatnej windy, którą wjeżdżała do pomieszczenia, gdzie pracowała. Zostawiła płaszcz oraz parasol w gabinecie, a następnie zleciła asystentce kilka telefonów i przygotowanie ważnych dokumentów potrzebnych do przejęcia obrazów. Po kilku minutach była już na górze, a tam czekał na nią jej współpracownik w obecności dwóch obcych mężczyzn.

– Connor MacLeod – przedstawił się jeden z nieznanym, a gdy zobaczył, że jej to nie wystarczy, uzupełnił: – Jestem właścicielem obrazów.

– Rozumiem, że pan jest prawnikiem – zwróciła się do drugiego mężczyzny.

Niedokładnie zawiązany krawat spowodował, że miała ochotę pomóc temu człowiekowi doprowadzić się do porządku. Przybysz miał około czterdziestu lat i sprawiał wrażenie takiego, który niezbyt wiele uwagi przykładła do wyglądu.

– To jest moja...

– Brice Pinard – przerwała koledze, który próbował naprawić jej niedopatrzenie, przedstawiając ją osobiście. – Przejdźmy do rzeczy. – Zawsze była konkretną kobietą.

– Czy to pani jest odpowiedzialna za zorganizowanie dzisiejszego pokazu? – zapytał właściciel obrazów.

Przyjrzała mu się uważnie. Miał góra trzydzieści lat. Był wysoki i dobrze zbudowany, a na jego sympatycznej twarzy gościł szeroki uśmiech. Przyglądał jej się ciekawie szarozielonym spojrzeniem.



Krótkie, ciemnobrązowe włosy miał nienagannie przycięte.

– Proszę mówić mi Brice – powiedziała, a później spojrzała na niego trochę zdezorientowana. – Co to za akcent? Anglia?

– Szkocja – wyjaśnił z uśmiechem Connor, zadowolony z bezpośredniości dziewczyny. – Czy...

– Nie mam pojęcia, o jakim pokazie mowa. Musiała zajść pomyłka. Ja jedynie przejmuję te obrazy. Zostaną poddane renowacji, lecz zanim do tego dojdzie, muszę je obejrzeć i zorientować się, w jakim są stanie, oraz spisać podstawowe informacje. Czy macie rzeczoznawcę? – zapytała, spoglądając raz na jednego, raz na drugiego. Obaj byli zbici z tropu.

– Brice, zaszła niewielka zmiana – zwrócił się do niej kolega. Nie lubiła, jak coś burzyło jej poukładany harmonogram dnia, a tym razem to on miał przekazać wiadomość, co nie napawało go szczęściem. – Wieczorem te obrazy zostaną wystawione w jednej z naszych sal. To będzie niewielki, prywatny pokaz. Chodzi o to, że...

– Dlaczego dostaję tę informację dopiero teraz? – oświadczyła chłodno, a on głośno przełknął ślinę.

Brice potrafiła być prawdziwą jędrą, chociaż z pozoru przypominała słodką, radosną dziewczynę. Była dość niska oraz szczupła. Miała młodzieńczą figurę i zdecydowanie nie wyglądała na swoje dwadzieścia pięć lat. Była bardzo ładna. Ogromne, błyszczące, niebieskie oczy spoglądały zazwyczaj łagodnym i przyjaznym spojrzeniem, jednak bywało też tak, że bez wstępów rzucały gromy, gdy cokolwiek nie szło po jej myśli. Długie do pasa, gęste, blond włosy praktycznie zawsze upięte miała w gładki kok.

O wiele bardziej wolał oglądać ją w białym fartuchu, przy pracy nad jakimś obrazem. Wymazana farbami, pachnąca rozpuszczalnikiem wyglądała uroczo. Niestety miał z nią głównie do czynienia w takich sytuacjach jak teraz: wbitą w sztywny kostium, perfekcyjnie umalowaną i uczesaną.

– Ja nie jestem za to odpowiedzialny. Musisz porozmawiać z prezesem – oznajmił pośpiesznie, chcąc zwalić to na kogokolwiek innego.

– Proszę wybaczyć, ale to chyba moja wina – wtrącił Connor, a ona wciągnęła głośno powietrze, starając się uśmiechnąć.

– Proszę mi to wytłumaczyć – zażądała.

– Chciałem pokazać obrazy kilku znajomym, zanim trafią w ręce specjalisty – poinformował, na co uśmiechnęła się w duchu.

– Rozumiem, że to będzie jednorazowy pokaz – mówiła opanowanym głosem, chociaż w głębi duszy była zarówno poirytowana, jak i zawiedziona.

– Tylko ten jeden wieczór – zaręczył, wpatrując się w nią uporczywie. – Może zechciałabyś przyjść? – zapytał, mimochodem przechodząc na ty.

– Gdzie są obrazy? – zadała konkretne pytanie, nie chcąc już przedłużać tej rozmowy, zorientowawszy się, że nie będzie miała możliwości zostać sam na sam z interesującym ją dziełem.

Od momentu, gdy tylko spojrzała na zdjęcie malowidła, nie mogła myśleć o niczym innym. Płótno przedstawiało mężczyznę. Stał oparty o jakiś filar. Nie umiała tego dokładnie sprecyzować, ale wydawało się jej, że na samej górze dostrzegała jakieś bardzo charakterystyczne rzeźbienia. Gdyby przyjrzała im się bliżej, mogłaby stwierdzić, z jakiego okresu pochodziły. Jednak nie rzeźba ją interesowała. Facet z obrazu miał w sobie niesamowity magnetyzm, a w jego wzroku ujrzała trudną do określenia drapieżność, która sprawiła, że nie potrafiła przestać na niego patrzeć. Hipnotyzował ją spojrzeniem. Dosłownie.

Mężczyzna miał na sobie białą, rozdartą na piersi, zmoczoną koszulę, która oblepiała jego idealne ciało. Każdy mięsień był niesamowicie uwidoczniiony. Potężny, masywny, patrzył takim wzrokiem, że przesywały ją dreszcze. Miał w sobie coś zwierzęcego.

Jego oczy były tak przenikliwe, że nie umiała oderwać od nich wzroku. Czarne, długie włosy opadały na część twarzy, zasłaniając lekko prawą stronę. Jednak jego oczy były doskonale widoczne. Obdarzając ją mrocznym, dzikim spojrzeniem, powodowały, że czuła dreszcze. I te usta.

Otrząsnęła się.

– Co z obrazami? – ponowiła pytanie.

– Przed chwilą powiedziałem ci, że zostaną przywiezione wieczorem. Będą dostępne jutro rano – zwrócił się do niej z uśmiechem Connor, a ona skarciła się w myślach. Była zbyt rozkojarzona.

– To niemożliwe – szepnęła stanowczym tonem, wspominając pełną gniewu i pasji twarz nieznanego. Patrząc na niego, odnosiła wrażenie, jakby za moment miał powiedzieć coś bardzo istotnego.

Cóż to mogło być? Czują pewnego rodzaju żal, że będzie miała do czynienia jedynie z wykonanym przez kogoś dziełem. – Chcę zobaczyć je teraz – zażądała.

– Są w drodze – poinformował ją współpracownik, któremu posłała mordercze spojrzenie.

– Kto to planował? – zapytała odrobinę głośniejszym głosem, niż zamierzała.

– Stanley.

– Może dałabyś się w takim razie zaprosić... – zaczął Connor.

– Nie umawiam się na randki – przerwała mu pewnym głosem.

– ...wieczorem na prezentację – dokończył, a jej zrobiło się głupio. – Mogłabyś wcześniej zobaczyć obrazy – zachęcił.

– O której? – Nie zamierzała owijać w bawełnę. Liczyła się konkretna informacja.

– Zaczynamy o dwudziestej. Przyjadę po ciebie o...

– To nie będzie konieczne – zaprotestowała, ale w porę przemyślała sprawę. Zachowywała się niczym głupia smarkula, chcąc jak najszybciej i za wszelką cenę dostać się do obrazu. Jedna noc przecież jej nie zbawi. Jedna głupia noc. *I cholerne koszmary* – dodała w duchu.

– Może jednak? – naciskał.

– Moja asystentka poda ci adres. Przyjedź o dziewiętnastej – oznajmiła i, nie czekając na jego odpowiedź, odwróciła się na pięcie, a następnie odeszła.

Connor spoglądał za nią i szeroko się uśmiechał. Był zachwycony dziewczyną. To, co innych w niej przerażało, jemu zaimponowało. Brice była pełna wigoru i niesamowicie żywiołowa. Przy tym konkretna oraz pełna pasji. Przeczynał, że pozorny chłód, jakim emanowała, był jedynie zasłoną jej gorącego temperamentu. Oprócz tego była śliczna i, pomimo dziewczęcej urody, niesamowicie kobieca. Gdy nachylała się nad stołem, aby rozłożyć dokumenty, jakie ze sobą przyniosła, on ledwie się powstrzymał, aby nie zajrzeć w dekolt jej białej bluzki. Jeszcze jeden guzik poniżej i miałby pełniejszy obraz, który z chęcią by skompletował, kontynuując tę znajomość.

– Zawsze taka jest? – zapytał stojącego obok mężczyznę, a ten westchnął zrezygnowany.

– Niestety – mruknął, ale w porę upomniał się w duchu. Przecież nie mogli stracić tak ważnego klienta. Konkurencja szybko by się tym zainteresowała. – Nie. Zawsze jest bardzo miła. Naprawdę – zapewnił, uśmiechając się krzywo, tak jakby te słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. – Może to przez pogodę – stwierdził błyskotliwie, wzruszając przy tym ramionami.

– Nie lubi deszczu?

– Ona niczego nie lubi – wymamrotał ponuro i ponownie niemal od razu się poprawił: – Bardzo lubi deszcz. Ona ogólnie wszystko lubi i jest bardzo...

– Rozkojarzona? – podsunął mu dyplomatycznie MacLeod, a on uśmiechnął się krzywo.

– Tak. Właśnie to miałem na myśli – zaręczył.

– Nie przyszło mi nawet do głowy, że mógłby pan mieć coś innego – powiedział Connor, po czym, uściskawszy uprzednio dłoń mężczyzny, odszedł zaraz za dziewczyną. W jej biurze dostał adres, pod który zamierzał udać się o wyznaczonej porze.

## Rozdział 2 Błyskawica



### Brice

Cały dzień nie mogła znaleźć sobie miejsca. Zaczynała jakąś pracę i nie umiała się na niej skupić; była zupełnie rozkojarzona.

Zabrała się za przeglądanie dokumentacji z ostatniej renowacji, jaką przeprowadziła. Musiała przeanalizować jeszcze raz, na spokojnie, różnego rodzaju ekspertyzy, aby sprawdzić, czy się zgadzają. To było bardzo ważne w jej pracy, a ona lubiła mieć wszystko dopięte na ostatni guzik.

Bezskutecznie próbowała skoncentrować się na zajęciu, jednak jej myśli odciągały te obrazy, a właściwie jeden. Gdyby nie ten cholerny Szkot, mogłaby już dotknąć płótna. Zadrzała na tę myśl. Po raz nie wiadomo który wyjęła teczkę ze zdjęciami i w jej dłoni ponownie znalazła się fotografia.

– Zupełnie mi odbija – szepnęła.

Zaprzęgnęła dowiedzieć się czegoś więcej o tym dziele sztuki. Do tej pory nie miała konkretnych informacji. Była tak bardzo zajęta ostatnimi pracami, że nie zebrała żadnych danych odnośnie do tych malowideł. Prawdę mówiąc, nie знаła nawet ich autora. W dokumentacji nie było żadnych raportów, jedynie same zdjęcia reprodukcji.

– Wychodzę – rzuciła szybko do sekretarki i, ignorując to, co dziewczyna jej odpowiedziała, ruszyła w stronę wyjścia.

Do windy wpadła niczym burza. Nawet nie skinęła głową portierowi, który jak zawsze uprzejmie się jej uklonił. Widząc ją taką po raz pierwszy, popatrzył na nią zupełnie zbity z tropu.

Bez problemu złapała taksówkę i w niedługim czasie była już w domu. Wbiegła tam jak szalona i, zrzucając po drodze buty, nie zadbała nawet, aby znalazły się na swoim miejscu. Zachowywała się zupełnie jak nie ona, wszystko to tłumacząc sobie pośpiechem. Wzięła relaksującą kąpiel, chcąc jakoś się oderwać od całego tego zgiełku. Lecz zbyt wiele to nie pomogło. Wciąż czuła nieprawdopodobne podekscytowanie, gdy tylko przywoływała widok jego twarzy. Te szerokie ramiona, które niezbyt dokładnie okrywał jasny materiał koszuli, oblepiający jego śniadą skórę.

– Co on takiego chciał powiedzieć? – szepnęła sama do siebie i poderwała się gwałtownie, wylewając przy tym wodę z wanny. Musiała się wziąć w garść.

Nie zwracając sobie głowy sprzątnieniem, poszła od razu do garderoby i wyciągała jedną sukienkę za drugą. Nawet nie wiedziała, czy będzie to oficjalny pokaz, czy może przyjdą na niego jacyś ludzie, którzy zaraz potem skoczą na piwo do baru. W końcu zdecydowała się na czarne, eleganckie spodnie, do których założyła beżową bluzkę na ramiączkach, z dość dużym dekoltem. Połączenie prostoty i elegancji z nutką pikanterii – tak można byłoby określić jej strój. Zrobiła szybki makijaż i splotła długie włosy w luźny warkocz, który niedbale przerzucony przez ramię, stwarzał niebanalny kontrast z resztą ubioru. Równo o dziewiętnastej rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła prawie natychmiast, natrafiając na szeroki uśmiech MacLeoda.

– Witaj. Mam nadzieję, że się nie spóźniłem – powiedział.

– Jestem już gotowa do wyjścia – odparła niemal natychmiast.

– Nie ma pośpiechu, zdążymy.

– To po drugiej stronie... – zaczęła, jednak szybko się zorientowała, że mężczyzna chętnie wszedłby do środka. Ona sama chciała jak najszybciej wyjść, niemniej dawało jej to możliwość rozmowy z nim i



dowiedzenia się czegoś więcej o obrazie. – Zapropnowałabym ci drinka, ale...

– Czekaj na nas limuzyna, nie będę prowadził – wszedł jej w słowo, a ona pomyślała, że prawdopodobnie dokładnie to sobie zaplanował.

– W takim razie wejdź. Czego się napijesz? – zapytała, gdy byli już w środku.

– A ty?

– Wolałabym nie pić, ale myślę, że lampka wina mi nie zaszkodzi – stwierdziła. Nie miała mocnej głowy do alkoholu, a ten wieczór dodatkowo ją ekscytował.

– Więc ja również poproszę o wino. – Odwróciła się w kierunku stolika z trunkami.

– No coś ty? – mruknęła pod nosem, domyślając się, że facet najzwyczajniej w świecie z nią flirtuje.

W normalnej sytuacji posłałaby go do diabła, ale był przecież właścicielem obrazu. – Proszę – powiedziała, podając mu napełniony do połowy kieliszek.

– Piękne mieszkanie – oświadczył, rozglądając się po przestronnym wnętrzu. – Trochę...

– Duże? – podsunęła, a on ze śmiechem przytaknął. Był całkiem sympatyczny. – Powiedz mi coś o obrazach – dodała po chwili.

– A co dokładnie cię interesuje?

– Wszystko – szepnęła. – Nie znam nawet autora. Dostałam jedynie fotografie płócien.

– Ja również nie znam autora. – Zmarszczyła czoło. Zaczynało robić się interesująco.

– Więc...

– Są w mojej rodzinie od bardzo dawna. Przez kilkanaście lat trzymaliśmy je w jednym z muzeów sztuki starożytnej w Rzymie, ale niedawno postanowiliśmy ponownie sprowadzić je do domu.

– Kto jest na tym obrazie? – naciskała, uniemożliwiając mu dalszą wypowiedź.

Prawdę mówiąc, nie interesowało jej, co, gdzie, kiedy i dlaczego. Chciała szczegółów, lecz dotyczących wyłącznie sedna sprawy: człowieka z obrazu.

– Na którym? – Słyszając to, zakłęła w duchu. Przecież były dwa obrazy, a ona widziała tylko jeden.

– Mam na myśli tego mężczyznę – oznajmiła, żywiąc nadzieję, że na drugim będzie kobieta bądź jakiś pejzaż, ewentualnie coś grupowego albo martwa natura.

– To mój przodek. Szczerze mówiąc, nigdy się tym zbytnio nie interesowałem. Moja siostra zna historię tych obrazów, więc prawdopodobnie, gdybyś z nią porozmawiała, dowiedziałabyś się czegoś więcej.

– Będzie dziś na prezentacji? – zapytała z nadzieją, a on uśmiechnął się, widząc tak duże zainteresowanie, co oczywiście zaplanował w jakiś sposób wykorzystać.

– Niestety, musiała pozostać w Europie. Ale prawdopodobnie przyleci jeszcze w tym tygodniu – poinformował.

– Doskonale – ucieszyła się Brice.

Jeżeli dziewczyna znała historię obrazu, to będzie też znała historię namalowanego na nim mężczyzny.

– Bardzo interesujesz się moimi...

– Interesuję się każdym obrazem, jaki biorę pod skrzydła. To moja praca – odparła chłodno.

– Jesteś doskonała – wyznał, a ona spojrzała na niego gwałtownie, z budzącą się złością w oczach – w tym, co robisz – dodał, uśmiechając się przekornie.

Pomyślała, że nie jest dziś sobą, towarzyszyło jej nadmierne podekscytowanie oraz rozkojarzenie. Musiała się opanować i przywołać do porządku.

– Nie udało wam się ustalić, kim jest autor? – ponowiła pytanie, które nie dawało jej spokoju. Nie rozpoznawała na płótnie żadnych charakterystycznych cech, dzięki którym mogłaby błyskawicznie zidentyfikować wykonawcę.

– Teoretycznie nie mamy pewności – odparł z wahaniem. – Moja siostra dokopała się do czegoś, choć nie znam szczegółów. Na tę chwilę mamy do czynienia z anonimem. Ale być może to się zmieni.

– Z którego roku...

– Poprzedni ekspert orzekł, że to szesnasty wiek – wypowiedział i ujrzał na jej twarzy ekscytację.

– Czy macie jakieś inne dokumenty o... Mam na myśli jakieś drzewo genealogiczne. Nie chcecie ustalić, kim jest mężczyzna z malowidła?

– Wiemy, kim on jest – poinformował, sprawiając, że sapnęła poirytowana.

– Przed chwilą powiedziałeś, że nie wiecie – wyrzuciła z pretensją. – Celowo wprowadzasz mnie w

błąd? – Ledwie powstrzymała się przed tym, aby nie dodać jakiegoś ozdobnika.

– Brice, powiedziałem jedynie, że nigdy się tym nie interesowałem. I że nie wiem, kim jest autor obrazów. Natomiast moja siostra ma na tym punkcie bzika. Ustaliła, kim byli ludzie na obrazach, niemniej oczywiście nie ma stuprocentowej pewności – poinformował, chcąc obrócić to w żart.

– Więc jednak wiecie, kim jest ten mężczyzna?

– Wygląda na to, że tak – stwierdził z rozbawieniem. – Choć z informacji, jakie podała mi siostra podczas naszej ostatniej rozmowy, nie wygląda na sympatycznego faceta i nie wiem, czy chciałbym mieć takiego przodka. Rodziny się jednak nie wybiera.

– Sympatycznego faceta? – powtórzyła jego słowa, lekko zdezorientowana.

– Że tak to ujmę: nie był dżentelmenem. Tyle powinno ci wystarczyć do czasu, aż przyjedzie moja siostra, ona ma więcej informacji i lubi takie tematy. Myślę, że znajdziecie wspólny język, a teraz powinniśmy się zbierać, limuzyna już czeka.

– Jeżeli poprzedni ekspert ma rację i obrazy faktycznie pochodzą z szesnastego wieku, to idąc tym tokiem myślenia, mogę z przekonaniem stwierdzić, że w tamtych latach trudno było o dżentelmena, więc twój przodek nie odbiegał zbyt od statystyk – odparła.

– Teraz...

– Teraz? Masz na myśli dwudziesty pierwszy wiek, przepełniony metroseksualnymi mężczyznami, którzy w znacznej większości dbają o wygląd niekiedy bardziej niż kobiety? – zadała pytanie i, ujrawszy na jego twarzy zdumienie, dodała: – Ja również myślę, że wraz z twoją siostrą znajdę wspólny język. Chodźmy – oznajmiła i pośpiesznie dopiła wino, czego raczej nigdy nie robiła, po czym odstawiła kieliszek na stolik. Lekko szumiało jej w głowie, ale gdy tylko wyszła na dwór, zmoczył ich deszcz, który nieco ją orzeźwił.

Jadąc, rozmawiali o jakichś głupotach. Żeby nie wyjść na kompletną ignorantkę, zadała mu pytania odnośnie do tego, czym się zajmuje, ale nawet nie słuchała jego odpowiedzi. Pochłonięta była jedynie obrazem, który za moment miała zobaczyć na własne oczy, poczuć płótno, ujrzeć barwy. Tego pragnęła.

Po wejściu do środka od razu się zorientowała, że nie przybyło zbyt wielu gości. Kilka osób, spośród których na szczęście nikogo nie знаła. Niecierpliwie rozglądała się po białej sali. Kelner roznosił kieliszki z szampanem, po chwili jeden z nich trafił w jej dłoń, a za moment odstawiała już opróżnione naczynie na tacę.

– Opanuj się – szepnęła pod nosem.

– Słucham? – dotarł do niej głos Connora, który jeszcze niedawno rozmawiał z kimś na drugim końcu pomieszczenia.

– Nic takiego. Głośno myślę – odparła i, utkwivszy w nim wzrok, uśmiechnęła się uroczo. – Gdzie obrazy? – dodała, na co roześmiał się głośno.

– Przez moment łudziłem się, że jednak powiesz coś innego – oznajmił, obejmując ją ramieniem. – Chodźmy. Zanim wpuszczą tamtych ludzi, załatwię ci czas sam na sam z moim przodkiem. – Zadrżała. Czowała wahanie, ale później zganiła się w myślach.

– Są w innym skrzydle? – dociekała, lecz zaskoczona ujrzała, jak kieruje ją w stronę przestronnego tarasu widokowego. – Nie mów tylko, że ktoś je tam umieścił – powiedziała przerażona. – Przecież pada deszcz.

– Spokojnie, wyniesiono specjalny namiot. Twój współpracownik zaproponował...

– Który?

– Co „który”?

– Który współpracownik? Ten, z którym dziś rozmawiałeś? – zapytała i przyspieszyła kroku.

– Tak. Nie rozumiem, o co chodzi. – Próbował ją zatrzymać.

– O to, że on nie potrafiłby nawet zorganizować wiejskiej potańcówki – stwierdziła zagniewana.

– Wydawał się brzmieć profesjonalnie – oświadczył Connor, starając się zbagatelizować sprawę. – Uspokój się, przecież nic się nie stanie – powiedział i naraz usłyszeli potworny dźwięk rwącego się płótna, jaki doszedł zza szklanych drzwi, do których biegli.

– Oczywiście, że nic się nie stanie! – krzyknęła i odetchnęła, widząc dwóch kelnerów wnoszących zakryty białym płótnem obraz.

Podeszła do niego, po czym drżącą dłonią ściągnęła jasny materiał. Z przerażeniem wpatrywała się w widok, który miała przed sobą.

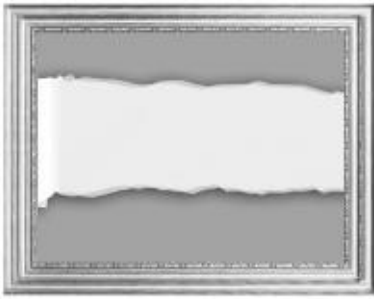
– Gdzie jest drugi obraz?! – wrzasnęła w stronę mężczyzn, którzy gdzieś zniknęli wraz z Connorem.  
– Pewnie zabrali go ze sobą – wyszeptała sama do siebie, próbując się uspokoić, i wtedy spojrzała na wprost.

Za szklanymi drzwiami na specjalnym stelażu spoczywał obraz, na którego widok zamarła. Patrzyła jak urzeczona w te fascynujące oczy, aż zrobiło jej się słabo. Pomyślała, że nie byłaby w stanie wytrzymać spojrzenia tego człowieka w rzeczywistości. Ten mrok i drapieżny wzrok sprawiały, że wstrzymała oddech.

– Deszcz – szepnęła i rozejrzała się we wszystkie strony. Była sama.

Bez chwili wahania otworzyła na oścież przeszkolone drzwi, wybiegając wprost w objęcia gęstej ulewy. Musiała zrobić absolutnie wszystko, aby obraz nie uległ zniszczeniu. Potknęła się o jakiś przedmiot i upadła, lecz szybko się podniosła i biegła dalej. Gdy była już zaledwie kilka kroków od niego, niebo rozdarła błyskawica, a stelaż się przewrócił. Bezradnie spoglądała na rozpadającą się ramę obrazu oraz płótno, które upadało wraz z nią. To było ostatnie, co widziała. Później zapanowała ciemność.

## Rozdział 3 Zwierz



Wpatrywał się w dziewczynę z niedowierzaniem. Zachowywała się zupełnie inaczej. Stała naprzeciw niego i, nie lękając się, beczelnie patrzyła mu w oczy. Wydawała się zaskoczona tak, jakby wszystko, co się wokół działo, stanowiło dla niej rzecz niepojętą. Kim ona była? Czy mogła go zadziwić jeszcze bardziej?

– Panie, kilku zbiegło – dotarł do niego krzyk jednego z dowódców, sprawiając, że spojrzął w tamtą stronę.

Za jego wzrokiem podążyły oczy dziewczyny i stało się coś, co kompletnie zbiło go z tropu. Zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć, bez zastanowienia odwróciła się z powrotem ku niemu i puściła pędem, a następnie wtuliła w niego, sprawiając, że zamarł, czując jej drobne ciało przy swoim. Nie zdziwiło go to, że wrzeszczała na widok MacMillana. Wygląd mężczyzny nie budził zachwyty. Okoliczności nie były sprzyjające, jak i cała ta sytuacja. Kobiety zazwyczaj krzyczały w jego obecności z innych powodów, nigdy nie był to strach. Nawet teraz prezentował się o niebo lepiej niż pozostali mężczyźni.

Kompletnie zaskoczony zastanawiał się, dlaczego dziewczyna podbiegła wprost do niego, a potem bez pardonowo wtuliła się w zupełnie nieznanego mężczyznę, ociekającego krwią, z obnażoną piersią i mieczem w dłoni?

– Musimy zadzwonić na policję – rozbrzmiał jej przejęty głos i pomyślał, że jest obłąkana. Inaczej nie mógł tego wytłumaczyć. – Masz komórkę?

Tak, teraz miał już pewność, że jest szalona. Ale co takiego miał z nią zrobić? Zabić?

\*\*\*

Gdy odzyskała przytomność, poczuła ból, zanim jeszcze otworzyła oczy. Podłoga, na której się znajdowała, była nierówna i sprawiała wrażenie lepkiej. Docierający do nozdrzy zapach pleśni sprawił, że miała odruch wymiotny. Przez moment leżała, zastanawiając się, co się wydarzyło. W głowie miała zupełną pustkę i czuła trudną do zidentyfikowania ekscytację.

– Co się dzieje? – szepnęła sama do siebie, po czym uchyliła powieki.

Z trudem przekręciła się z boku na wznak. Gdzie była i co to wszystko miało znaczyć? Wokoło panowała ciemność. Przez chwilę leżała spokojnie, przyzwyczajając wzrok do warunków, w jakich się znalazła. Po jakimś czasie rozróżniała już kształty. W pomieszczeniu nie było okien, a niewielkie świetliki umieszczone tuż nad sufitem nie dawały prawie żadnego oświetlenia. Bardzo szybko zorientowała się, że jest noc.

*Dość chłodna noc* – pomyślała i zadrżała. Co się działo? Do jej uszu docierał jakiś dziwny dźwięk. Nie był monotony, lecz bardzo nieskoordynowany. Odgłosy przypominały uderzenia, a ona nie potrafiła do niczego tego przyrównać. Wkrótce zaczęły docierać do niej również krzyki, co trochę ją zaniepokoiło, choć w głównej mierze była zaciekawiona tym, co takiego je powodowało. Niezgrabnie podniosła się z ziemi i wytarła dłonie o spódnie. Zrobiła krok w przód, co sprawiło, że zakręciło jej się w głowie. Jednak szybko to opanowała, a potem ruszyła w stronę wyjścia.

Pchnęła drzwi, które ledwie trzymały się na zawiasach. Trudno zresztą było nazwać to zawiasami. Wisiały na jakichś poskręcanych z zaschniętych roślin prowizorycznych sznurach. Gdy wyszła na zewnątrz, od razu odkryła, co było powodem tego hałasu. Patrząc bezmyślnie na bijących się kilka metrów przed nią dwóch mężczyzn, uśmiechnęła się głupio. Czy to jakieś żarty? Najwyraźniej powinna teraz wrócić do środka, położyć się na tej śmierdzącej podłodze, zamknąć oczy i gdy je ponownie otworzy, być znowu...

– Taras – szepnęła sama do siebie. Wspomnienia zaczęły na powrót gwałtownie napływać do jej głowy. – Muszę jak najszybciej dostać się do galerii. Obraz!

Ponownie spojrzała przed siebie i zamarła. To było jakieś szaleństwo.

– Co tu się dzieje? – wymamrotała pod nosem. To już nie były żarty. To, co widziała przed sobą, zdecydowanie nie było normalne.

Trwała noc i panowały ciemności, jednak pałace się parę metrów dalej budynki dawały doskonały widok na pobojowisko, jakie miała przed sobą. Walczący mężczyźni, których wokoło było więcej, trzymali w dłoniach miecze, tarcze oraz różnorodną broń, jakiej nie widuje się na co dzień. Poubierani byli w jakieś dziwne stroje, których teraz nie umiałaby nawet określić. Cali zakrwawieni bili się, a ona dopiero po krótkiej chwili zorientowała się, że wyglądało to aż nazbyt realnie.

*Czyżby kręcili tu jakiś film?* – przeszło jej przez myśl.

Nie wiedziała, co zrobić. Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś z ekipy albo jakiegokolwiek człowieka, który nie miałby na sobie kostiumu, ale nikogo nie odnalazła. Gdy już zdecydowała się podejść do jednego z walczących aktorów, ku swemu przerażeniu zobaczyła, że jego partner ściął mu głowę, która poturlała się wprost pod jej nogi. Wycofała się przerażona, a mężczyzna, rzuciwszy jej jedynie przelotne spojrzenie, odwrócił się i odbiegł ku pozostałym walczącym. Starła się wmówić sobie, że są to wyłącznie efekty specjalne, jednak leżąca w niedalekiej odległości głowa wydawała się przerażająco realistyczna.

Brice poczuła paraliżujący strach. Zupełnie nie rozpoznawała miejsca, w którym przebywała. Kilka budynków wyglądało bardzo podobnie, były wręcz takie same – niskie, drewniane, ze słomianą strzechą. Teren był jej zupełnie nieznany i zdecydowanie nie znajdowała się w Nowym Jorku. Okolica przypominała jakieś przedmieścia, a nawet wieś. Dokąd miała odejść? Okropny hałas dobiegał ze wszystkich miejsc. Szczęk metalu i wrzaski mężczyzn, gdzieś w oddali jakieś lamenty, a także krzyki kobiet. Co tu się, cholera jasna, dzieje? Musiała coś zrobić. Ale co?

Jej rozmyślenia przerwał dziki wrzask, a gdy odwróciła się w kierunku, skąd dochodził, ujrzała pędzącego rumaka, na którym siedział jakiś facet. Zwierzę zbliżało się ku niej bardzo szybko. Widziała chrapy konia, z których przy wydechach wydobywało się przypominające mgłę powietrze. Widok był imponujący.

Brice jak urzeczona przyglądała się zwierzęciu i, nie zastanawiając się wcale nad tym, co robi, ruszyła do konia.

Świadoma niebezpieczeństwa nie myślała o nim. Przesunęła wzrok na siedzącego na stworzeniu mężczyznę i wstrzymała oddech. Znała go. To wydawało się nieprawdopodobne, ale na rumaku siedział człowiek z obrazu. Wszędzie poznałaby tę twarz. Miała absolutną pewność, choć to niedorzeczne. Jechał ku niej z uniesionym mieczem, a jego mina jasno mówiła, że powinna zrobić w tył zwrot i wziąć nogi za pas.

Ale nie mogła tego uczynić, stopy dosłownie wrosły jej w ziemię. Właściwie było jeszcze gorzej. Nie mogąc się powstrzymać, zrobiła kilka kroków do przodu, kierując się do jeźdźcy, który wpatrując się w to, co robiła, zwolnił, a gdy był już blisko niej, zwinnie zeskoczył ze zwierzęcia i stanął wprost przed nią. Był ogromny. Potężny i o wiele wyższy od niej oraz imponująco szeroki w ramionach. Wyglądał niesamowicie, kiedy tak stał przed nią i przypatrywał jej się z gniewem w oczach.

– Kim jesteś?! – wrzasnął, a ona przez kilka sekund skupiała się na tym, co powiedział.

Miał tak kosmicznie zakręcony akcent, że trudno było jej się powstrzymać, aby się nie roześmiać. Z drugiej strony barwa jego głosu sprawiła, że po jej karku przebiegły dreszcze. Facet zdecydowanie miał coś w sobie. Pozostawało pytanie: kto to, do diabła, jest? Aktor? Statysta? Sprawiał wrażenie żywcem wyjętego z obrazu. Może to jakiś jego potomek? Connor mówił o siostrze, ale mógł mieć jeszcze brata. Pomyślała, że powinna go zapytać, gdzie są i co się wokoło dzieje.

W momencie, gdy otworzyła usta, aby zadać pytanie, usłyszała gdzieś obok wrzask i, spojrzawszy tam, ujrzała biegnącego w ich kierunku mężczyznę. Miał na sobie poszarpane ubranie, na które narzucona była skórzana kamizelka podszyta od spodu futrem. Był wysoki i szczupły. Zupełnie zaskoczona jego pojawieniem się, krzyknęła, a następnie zrobiła coś, co wydawało się jej najodpowiedniejszym. Podbiegła do tego, którego twarz była jej doskonale znana, i wtuliła się w niego z całej siły. Odkrzyknął coś do człowieka, który ponownie gdzieś odbiegł, a ona powoli odchyliła głowę w tył i spróbowała zerknąć nieznajomemu w twarz, co było całkiem trudne, wzięwszy pod uwagę jego wzrost oraz budowę ciała. Wtem coś do niej dotarło.

– Jesteś ranny? – wyszeptała, widząc, że jest cały zakrwawiony.

Musieli coś zrobić, zawiadomić policję, wezwać pogotowie, straż pożarną. Jednak gdy poprosiła o telefon, gość zgłupiał. Złapał ją za ramię i szarpnięciem odsunął od siebie.

– Kim jesteś? – ponowił pytanie. Jego twarz wykrzywiała złość, a ona przełknęła głośno ślinę.

– Chyba pomyliłam piętra – palnęła głupio i się odwróciła, chcąc odejść, ale złapał ją za łokieć, a potem przyciągnął ponownie do siebie.

– Mów, kim jesteś, albo cię zabiję! – Usłyszała i pomyślała, że ta krew, którą miał na sobie, wcale nie musi być jego. Ta myśl ją zmroziła.

– Proszę mnie natychmiast puścić, w innym przypadku zawołam ochronę – oświadczyła, a facet cofnął głowę i wpatrywał się w nią zaskoczony, jakby z niedowierzaniem.

– Co zawołasz?! – kontynuował niezrażony. – Mieszkasz tu? – dodał, nie czekając na odpowiedź.

– Tak, w tamtej budzie po lewej, między tą po prawej – powiedziała poirytowana. Zaczęła gorączkowo rozmyślać, co zrobić i jak wydostać się z tej niefortunnej sytuacji.

Krzyki wokół nasilały się i paliło się coraz więcej budynków. Musiała jak najszybciej kogoś powiadomić.

Może to były jakieś zamieszki?

– Jesteś cudzoziemką? – zapytał, a ona pomyślała, że sądząc z jego akcentu, owszem, jest cudzoziemką.

– Najwyraźniej tak! – warknęła i przerażona ujrzała za jego plecami biegnących w ich stronę dwóch ludzi z uniesionymi mieczami. – Uważaj! – wrzasnęła i poczuła, jak brutalnie ją od siebie odpycha.

Upadła w błoto, lecz od razu poderwała się na nogi. Widziała, jak mężczyzna sprawnie wywija mieczem, ale ku niemu biegło jeszcze kilku przeciwników i sytuacja wymykała się nieco spod kontroli. Nie wiedziała, co robić i skąd sprowadzić pomoc, a nie należała do osób, które lubią przyglądać się biernie w takich sytuacjach. Ale co mogła poradzić? Jak mu pomóc? Nie zastanawiała się nawet nad tym, że on niekoniecznie tej pomocy potrzebował.

Ujrzała, jak jeden z walczących pada martwy na ziemię, a z jego dłoni wysuwa się miecz.

Bez zastanowienia rzuciła się w stronę oręża i już za moment jej dłonie obejmowały broń. Na tym się skończyło. Mierząca ponad metr zimna stal była zbyt masywna, aby potrafiła ją unieść. Męczyła się jeszcze trochę, próbując podnieść ostrze, niemniej okazało się zbyt ciężkie. Była tak tym poirytowana, że zaczęła wrzeszczeć ze złości. Po chwili patrzyła na czterech gapiących się na nią zaskoczonych mężczyzn, którzy na kilka sekund zaniechali walki, oszołomieni jej dziwnym zachowaniem.

– Co robisz?! – krzyknął nieznajomy z obrazu, a ona pomyślała, że to musi być jakiś chory sen.

– Walczę! – wrzasnęła i, szarpnąwszy się gwałtownie do tyłu przy kolejnej próbie podniesienia ciężkiego żelastwa, opadła tyłkiem w błoto, a na twarzy mężczyzny ujrzała więcej gniewu. – Nie z tobą, do diabła! – dodała wściekle.

Wszystko było tak niedorzeczne, że już się nad tym nie zastanawiała. Działała instynktownie. Nawet nie pomyślała o tym, że gdyby uniosła tę cholerną stal, to co takiego miała z nią zrobić? Zabijanie nie było jej specjalnością, a na widok miecza w jej rękach ci ludzie raczej by nie uciekli. Patrzyła na walczących i ujrzała, jak jeden z nich odskakuje ku niej i już za moment bezradnie obserwowała, jak do jej szyi zbliża się błyszczące ostrze, w którym doskonale odbijały się płomienie ognia palącego się naprzeciw chaty. Stała jak sparaliżowana, nie mogąc się poruszyć. Wszystkie odgłosy nagle gdzieś ucichły, a ona nie potrafiła zrobić kroku, aby ratować się przed wymierzonym ciosem. Gdy broń była już przy jej szyi, skrzyżowała się z inną, a ona dostrzegła wściekle spojrzenie swojego wybawiciela i pomyślała, że wołała sposób, w jaki spoglądał na nią z płótna.

– Wejdz do izby! – huknął.

– Do czego? – dociekała, kompletnie zbита z topu. Jakiej izby? Przyjąć? Chciał jechać na pogotowie? Zamiast odpowiedzi poczuła, jak złapał ją za ramię i szarpnięciem pchnął ku chacie, z której wyszła.

– Ale... – zaczęła, lecz nie pozwolił jej dokończyć, tylko bezdusznie wepchnął do środka, po czym zamknął prowizoryczne drzwi, które ledwie już trzymały się w pionie. – Bydlak! – odparowała. Spróbowała wyjść, jednak ujrzawszy jego wściekle spojrzenie, cofnęła się.

Kątem oka spostrzegła, jak jeden z przeciwników gwałtownym cięciem przejechał po jego ramieniu. Poczuła niepokój. Chciała coś zrobić. Jakoś mu pomóc, ale gdy tylko powzięła taką decyzję, coś ciężkiego



upadło po drugiej stronie drzwi. Napała na nie z całej siły, lecz nie udało jej się ich otworzyć. Kiedy zauważyła wypływającą spod nich krew, zamarła, a jej serce przyspieszyło. Widocznie został zbyt poważnie zraniony. Co teraz? Musiała się wydostać i sprowadzić pomoc.

Rozejrzała się wokoło. Nigdzie nie widziała okien i jedyną drogę wyjścia tarasowało jego ciało. Nie ruszał się, więc prawdopodobnie stracił przytomność. Pomyślała, że może powinna zawołać o pomoc. Po namyśle stwierdziła, że krzykiem może sprowadzić zarówno ratunek, jak i ludzi, którzy z nim walczyli. Kim oni właściwie byli? Bo to nie film. Na własne oczy widziała, jak się mordują. Właściwie on też zabijał, nawet bardzo się do tego przykładał, ale zważywszy na okoliczności, można przyjąć, że była to jedynie samoobrona. W zasadzie ona też miała w rękach miecz i całkiem prawdopodobne, że gdyby go uniosła, to równie dobrze mogłaby go też opuścić na czyjaś szyję.

– Boże, o czym ja myślę? – szepnęła do siebie i ponownie napała na drzwi. Bezskutecznie. Usiadła pod nimi, opierając się o nie plecami i nie myśląc już nawet o tym, że siada w kałuży krwi. Teraz zastanawiała się jedynie nad tym, jak wydostać się z tego cholernego pomieszczenia i coś zrobić. – Cokolwiek! – krzyknęła, po czym uderzyła ze złością potylicą w drewniane podwoje.

W tym samym momencie usłyszała jakiś hałas i zanim cokolwiek zrobiła, drzwi się otworzyły, a ona upadła do tyłu. Podłoga było twarde, przez co po raz kolejny zaliczyła całkiem mocny cios. Zakręciło jej się w głowie i przez chwilę leżała nieruchomo, próbując dojść do siebie.

– Co się dzieje? – wymamrotała, uchylając powieki i natrafiając wprost na pałające gniewem oczy mężczyzny.

Przyklękał nad nią na jednym kolanie. Milcząc, wpatrywał się w nią ze złością. Spojrzała w bok, gdzie dostrzegła martwy wzrok leżącego po jej prawej stronie człowieka. Więc to on blokował drzwi. Domyśliła się, że musiała być to sprawka tego faceta. Nie zamierzał jej wypuścić.

– Kim jesteś? – zapytał, a ona pomyślała, że chciałaby mu zadać dokładnie to samo pytanie.

## Rozdział 4 Cudzoziemka



Jak tylko zobaczył ją po raz pierwszy, pomyślał, że to jakaś kobieta, która próbowała ratować się ucieczką przed jego ludźmi. Wziął zamach, chcąc usunąć ją z drogi. Zazwyczaj sam ten gest wystarczył i każdy czmychał. Jednak ta dziewczyna wcale nie uciekała. Wręcz przeciwnie, szła wprost pod końskie kopyta, wpatrując się w zwierzę z jakąś dziwną ekscytacją w oczach. Gdy spojrzała na niego, zamarła, a on miał wrażenie, że wstrzymała oddech. Lecz nie cofnęła się nawet na krok, kiedy zeskoczywszy z konia, stanął wprost przed nią.

Była dziwna. Ubrana w niecodzienne odzienie. Musiała być uboga, ponieważ szata była skromna i miała nietypowy krój. Od razu pomyślał, że to cudzoziemka. Przez myśl mu przeszło, że być może trzymali ją tu w niewoli. Ale dziewczyna trzymana w niewoli nie stawałaby naprzeciw uzbrojonego mężczyzny i nie patrzyła na niego tak wyzywająco. Mówiła w jego języku, niemniej ten akcent upewnił go, że dziewczyna nie jest Szkotką. Była niska i szczupła. Początkowo pomyślał, że może to dziecko, jednak ona patrzyła na niego oczami dorosłej kobiety. Gdy pytał ją, kim jest, mówiła same bzdury. Może to szok albo po prostu była pomyłona. Choć coś go w niej intrygowało. Była taka niecodzienna, zupełnie inna niż wszystkie do tej pory spotkane przez niego niewiasty. Nie umiał tego sprecyzować. Po prostu inna.

Walka dobiegała końca. Poradzili sobie całkiem nieźle, choć wielu poległo, było też sporo rannych. Zupełnie nie spodziewał się tego, że ktoś jeszcze przeżył i gdyby dziewczyna go nie ostrzegła, prawdopodobnie nie skończyłoby się dobrze. Kilku przeciwników pojawiło się nie wiadomo skąd. Walczył chaotycznie, nie mógł skupić się na potyczce, ponieważ jego uwagę zaprzętała tajemnicza nieznajoma. Skąd się tu wzięła? Przyznała się, że jest cudzoziemką, ale skąd pochodziła? Kim jest? Na samą myśl o niej czuł dziwną irytację i wściekłość.

Z jednej strony chciał, aby zachowywała się normalnie, jak każda inna kobieta, a z drugiej zdawał sobie sprawę z tego, że wtedy nawet by na nią nie spojrzął i być może byłaby już martwa. Najbardziej zaskoczyła go w momencie, kiedy zamiast uciekać, próbowała podnieść miecz. Wyglądała przy tym jak dziecko chcące podźwignąć widły, które były zbyt ciężkie i zbyt wielkie na jego możliwości. Z każdą chwilą budziła w nim coraz większą ciekawość. Nigdy wcześniej nie spotkał się z takim zachowaniem u żadnej niewiasty. I chociaż to zachowanie tak bardzo go fascynowało, równocześnie właśnie ono cholernie go irytowało i budziło złość. Nie mógł pozwolić, żeby ją zabili, zanim się z nią nie rozmówi. Uratował ją więc kosztem swojego biodra, które drasnął nożem jeden z przeciwników. Drugą ranę zobaczyła, a jej reakcja go rozdrażniła i po części rozśmieszyła. Chciała go obronić? Czy ona zdawała sobie sprawę, z kim ma do czynienia?

Przyglądał się jej, gdy leżała na ziemi, i pomyślał, że jest całkiem ładna. Miała duże, niebieskie oczy oraz długie włosy, chociaż teraz były niesamowicie potargane. Nie była pięknocią, ale miała w sobie coś pociągającego. Jej magnetyczne spojrzenie nie pozwalało mu oderwać od siebie wzroku.

- Kim...
- Mam na imię Brice – odparła.
- Brices?
- Nie, Brice – szepnęła, unosząc się na łokciach. – Brice Pinard.
- Jesteś Francuzką? – dociekał.
- Nie – zaprzeczyła i podniosła się do pozycji siedzącej. – Jestem Amerykanką.
- Kim?

– Amerykanką – powtórzyła ze złością, a on złapał ją za ramię i, szarpiąc, postawił na nogi. – Zostaw mnie w spokoju – warknęła.

– Co tu robisz? Trzymano cię w niewoli? – zapytał, a ona spojrzała na niego jak na wariata.

– Mam nadzieję, że to tylko głupi sen, a jutro obudzę się i popatrzę sobie na ciebie umieszczonego w bezpiecznej ramie obrazu – powiedziała ze złością. Zobaczyła pałające gniewem oczy, którymi teraz przewiercał ją na wylot. Ujrzała w nich coś jeszcze...

Przelykając głośno ślinę, cofnęła się kilka kroków, po czym weszła do pomieszczenia. Starła się jakoś opanować, ale tak naprawdę sama nie wiedziała, czego chciała. Krok za krokiem szedł równym tempem tuż za nią, patrząc na nią nieustępliwie. Jej serce przyspieszyło, a myśli szalały chaotycznie w jej głowie. Chciała go o coś zapytać, coś mu powiedzieć, ale nie mogła nawet wydobyć z siebie głosu. Wszystko wirowało, a ona nie umiała logicznie poskładać myśli.

Wycofywała się, aż na coś natrafiła, co było oczywiście do przewidzenia. Przecież znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu.

Po chwili zorientowała się, że to jakiś mebel. Coś, co wyglądało jak stół albo wysoki stołek. Mężczyzna stał tuż przed nią i wpatrywał się dziwnie drapieżnym wzrokiem.

Spróbowała go wyminąć, lecz przytrzymał ją mocnym chwytem za ramię.

– Śpieszę się – poinformowała, starając się, aby jej głos zabrzmiał hardo.

– Gdzie?

– Na autobus – wyszeptała, ubliżając sobie w myślach za te wszystkie głupie teksty. – Słuchaj, nie wiem, kim ty do licha jesteś i co tu się dzieje. Jeżeli myślisz, że pójde z tym na policję, to się mylisz. Nie obchodzi mnie, co tu...

– Nie wiesz, kim jestem? – Pomyślała, że facet brzmi tak, jakby to, że go nie zna, było dla niego dziwne.

– Trudno to wytłumaczyć – stwierdziła, zastanawiając się, co takiego ma powiedzieć, bo z drugiej strony był jej w jakiś sposób znany. – Bo widzisz, mam zająć się obrazem, na którym namalowany jest facet, który wygląda dokładnie tak jak ty, ale ten obraz pochodzi z... – Cholera, skąd właściwie pochodził ten obraz? – To znaczy, nie wiadomo dokładnie, z którego jest roku, ale przypuszczalnie pochodzi ze Szkocji i, sądząc po twoim akcencie, to całkiem prawdopodobne jest, że i ty jesteś Szkotem i...

– Milcz! – zażądał, a ona podskoczyła przestraszona. – Czy drwisz ze mnie?

– Jeżeli wpierw każesz mi milczeć, to nie zadawaj mi zaraz potem pytań, palancie – oznajmiła chłodno. – I wcale z ciebie nie drwię. Prawdę mówiąc, bardzo chciałabym się czegokolwiek dowiedzieć, bo nie mam zielonego pojęcia, gdzie jestem i co tu się dzieje. Nie wiem nawet, kim jesteś i jak się nazywasz, pomimo że dobrze znam twoją twarz – powiedziała drżącym głosem.

Była coraz bardziej przerażona. Wcześniejsza adrenalina, która towarzyszyła jej podczas potyczki, jakiej była świadkiem, teraz zdążyła już opaść, a Brice marzyła tylko o tym, żeby jak najszybciej uzyskać informacje i odzyskać kontrolę nad sytuacją oraz poczuć się bezpiecznie.

Problem jednak tkwił w tym, że ona wcale nie czuła niebezpieczeństwa, będąc w towarzystwie tego barbarzyńskiego mężczyzny, którego wygląd sam w sobie w jakiś sposób budził lęk. Starła się nie dociekać, jak i dlaczego, ale miał na sobie jedynie płócienną, rozerwaną na piersi koszulę, której koloru nie można byłoby nawet ustalić i powodem tego nie były panujące wokół ciemności.

Jedyne oświetlenie dawały płomienie palących się wokoło budynków, których łuna wpadała do pomieszczenia przez wejście, którego nie chroniły już drzwi.

– Jesteś Szkotem, prawda? – zapytała cicho i, patrząc na jego twarz, dostrzegła, jak mruży groźnie oczy.

– To ja zadaję pytania – stwierdził chłodno, a ona ledwie powstrzymała się przed tym, aby nie odpowiedzieć mu tym samym tonem. – Jesteś w Szkocji. I jeżeli chcesz zachować życie, to natychmiast mi powiedz, skąd cię wprowadzono?

– Że co, proszę? – W tym momencie dotarło do niej, że tak naprawdę nie miała pojęcia, jakie miał zamiary. Dopiero co widziała, jak zabijał, a teraz z jego ust padła groźba skierowana w jej stronę. – Nikt mnie nie wprowadził – oświadczyła, zastanawiając się gorączkowo, jak wybrnąć z tej sytuacji. – Zaraz, czy ty przed chwilą powiedziałeś... Gdzie jesteśmy? W Szkocji?

– Tak, kobieto! – wrzasnął, a ona, po raz już któryś, poczuła wściekłość. – Skąd cię porwano?

– Nie porwano mnie, do jasnej cholery! – wydarła się, coraz bardziej wściekła. Chciała mu się wyrwać, ale wzmocnił jedynie chwyt, zupełnie jej to uniemożliwiając.

– Czemuś więc kłamała? – Spojrzała na niego pytającym wzrokiem. – Rzekłaś, że jesteś cudzoziemką.

– Ponieważ jestem nią, ale nikt mnie nie uprowadził, nikt mnie nie trzymał w niewoli i nie dam sobie wmówić, że jestem w Szkocji – wyjaśniła, wytrzymując jego natarczywy wzrok.

To jakiś chory sen. Cholerny koszmar, bo to, co mówił, nie mogło być prawdą. Jednak musiała przyznać, że facet wyglądał na bardzo przekonującego. Na domiar złego patrzył na nią w taki sposób, że czuła dziwne drżenie na całym ciele. Nie mogła się oszukiwać, był cholernie przystojny, pomimo całego tego prymitywnego obejścia i prostackiego zachowania. Miał w sobie coś zwierzęcego, co cholernie ją kręciło. I ten jego wzrok... Drapieżny, natarczywy, nieokrzesany.

– Co tu robisz? – dociekał uparcie, na co westchnęła z bezradnością. – Skąd się tu wzięłaś?

– Nie wiem – szepnęła drżącym głosem. Wszystko powoli zaczynało ją przerastać i resztką opanowania topniała niczym wiosenny śnieg. – Nie mam nawet pojęcia, co się tu dzieje i kim oni są i dlaczego... – Nie wiedziała, co mówić. – Dlaczego oni się... dlaczego nas... Co tu się dzieje? – zapytała w pewnej chwili, po czym spojrzała na niego bezradnie. – Powiedz mi, kim jesteś? Jak się nazywasz i...

– Blane. – Na dźwięk jego głosu zadrżała. – Blane MacLeod.

– Blane – powtórzyła za nim i zobaczyła jakieś dziwne błyski w jego oczach, które pojawiały się w nich, gdy słyszał, jak szeptała jego imię.

\*\*\*

Nie miał pojęcia, co zrobić z dziewczyną. Sytuacja przedstawiała się tak, że właśnie stoczył bitwę z wrogim klanem, odnosząc kolejne zwycięstwo. Jego ludzie w tym właśnie momencie dobijali konających przeciwników i palili wioskę. Powinien być tam teraz z nimi i do nich przemówić. Powinien sprawdzić, jakie ponieśli straty, oraz porozmawiać z nimi, żeby się dowiedzieć, jak to się stało, że dali się tak zaskoczyć wrogowi. Powinien też wsiąść na konia i pogalopować do zamku, aby ktoś opatrzył jego rany. Zamiast tego stał z cudzoziemską dziewczyną, zadając jej wciąż te same pytania i zamiast ukarać ją za jej impertynencję, nadal marnował na nią czas. W ten sposób dowiedział się od niej jedynie tyle, że nie jest Szkotką i ma na imię Brice.

– Jesteś ranny? – zapytała, sprawiając, że poczuł złość. Jakim prawem śmiała mu to wytykać?

Otworzył usta, chcąc na nią nawrzeszczeć, lecz kiedy spojrzał na jej zatroskane oczy, zamarł. Co miał z nią teraz zrobić? Zabić? Nie była jego sprzymierzeńcem, jednak nie była też wrogiem. Więc co z nią uczynić? Pozostawić tu, aż ludzie wrogiego klanu powrócą i ponownie wezmą ją w niewolę? Z dwojga złego uznał, że lepiej dla niej będzie, gdy zginie z jego ręki.

Zjechał wzrokiem w dół jej ciała. Pomyślał, że po tak wyczerpującej walce powinien jakoś uprzyjemnić sobie czas, a dziewczyna i tak niedługo będzie już martwa. Objął ją w pasie i, uniósłszy, posadził na stole. Krzyknęła zaskoczona, a potem po raz kolejny zrobiła coś, co go zaskoczyło. Objęła go i się w niego wtuliła. Czuł jej przyspieszony oddech, a nawet bicie serca, przez co dopadły go wątpliwości.

Może nie powinien jej zabijać? Niech ktoś inny to zrobi. On po prostu...

– Blane... – wyszeptała takim tonem, że poczuł dreszcze.

Dlaczego sobie na to pozwalał? Dlaczego zgadzał się, aby zwracała się do niego po imieniu? Kim była? Jakąś dziewczyną z zagranicznej wsi? Z drugiej strony musiał przyznać, że nie zachowywała się jak zwykła dziewczyna. Może była szlachcianką? W tym momencie jednak liczyło się jedynie to, co on chciał z nią zrobić. Ignorując jej szepty, jednym szarpnięciem rozerwał materiał odzienia niewiasty i, zdarłszy je z niej, położył dłonie na jej piersiach. Miała niebywale gładką skórę; pachniała tak intensywnie, że aż zakręciło mu się w głowie. Zupełnie się zatracił, zapominając już o swoich ludziach, których pokrzykiwania dochodziły z zewnątrz.

Zamarła, a później szarpnęła się nieco w tył, robiąc sobie przestrzeń i, wzięwszy duży zamach, uderzyła go z całej siły w twarz. Odepchnął ją od siebie, po czym zupełnie zaskoczony wpatrzył się w nią. Nie wierzył w to, co się działo. Uderzyła go. Uderzyła go w twarz.

– Zabiję cię – wyszczał. Spoglądał na nią z wściekłością, taką samą widząc na jej obliczu.

Patrzyli na siebie, stojąc kilka kroków przed sobą, oboje owładnięci pasją. Pomyślał, że jedyne, na co

teraz ma ochotę, to rozgnieść ją jak robaka. Jednak zmienił zdanie, gdy tylko poczuł, jak zarzuca mu ręce na szyję. Za chwilę jej usta szukały jego ust.

\*\*\*

W pierwszym odruchu, kiedy zdarł z niej ubranie, osłupiała, później działała już instynktownie i nie miała wpływu na to, co robiła. Trudno powiedzieć, czy wymierzony cios zabolął bardziej ją, czy jego. Fizycznie było to dla niego niczym lekki kuksaniec, jednak świadomość tego, że kobieta podniosła na niego rękę, odczuł niczym najcięższy z ciosów. Widziała w jego wzroku ogromną wściekłość. Chęć mordy tak potężną, że przez moment poczuła strach. Mimo wszystko wpatrując się w niego, trudno nie czuć też czegoś innego. Nabuzowany adrenaliną aż kipiał wewnętrzną pasją i być może nawet nie odczytywał tego tak, jak ona to widziała.

Ciemne, długie włosy opadały na część jego twarzy, zakrywając czarne jak smoła źrenice patrzących na nią oczu. Ciężko oddychając, nie spuszczał z niej wzroku. Zauważyła, jak jego górna warga uniosła się lekko niczym u wilka szczerzącego kły nad ofiarą. Usłyszała groźny pomruk i jedyne, co teraz czuła, to... Pragnęła go. Nie myśląc wcale o tym, co robi, po prostu rzuciła się na niego i zaczęła całować. Przestała myśleć, przestała kalkulować i starać się cokolwiek zrozumieć. W tej chwili robiła to, co chciała. Brała to, czego pragnęła.

Początkowo wyglądał na zaskoczonego. Miała wrażenie, że cofnął się o krok. Zamarł, lecz nie trwało to długo. Jego dłonie ponownie wylądowały na jej ciele, a ona westchnęła, co sprawiło, że wstąpiło w niego jakieś szaleństwo. Czego się spodziewała? Romantycznego numerku w wilgotnym, zatęchłym pomieszczeniu, przed którym leżały zwłoki jakiegoś człowieka zabitego przez faceta, który teraz brutalnie się do niej dobierał? Był gwałtowny, nie miał w sobie ani odrobiny delikatności, każdym ruchem sprawiał jej ból. Początkowo nie zwracała na to uwagi, lecz po jakimś czasie nie mogła już tego ignorować. Natarczywie całował jej twarz i przestało to być śmieszne. Miała wrażenie, że chce ją połknąć. Jego pocałunki wcale nie były takie, jakich pragnęła.

– Proszę – szepnęła, próbując go odepchnąć. – Przestań.

Jednak jej protesty zupełnie do niego nie trafiały. Nawet nie słuchał tego, co do niego mówiła, nie zwracał na nią uwagi, a ona pomyślała, że sama jest sobie winna: to przecież ona się na niego rzuciła. Teraz próbowała wszystko jakoś powstrzymać. Zaczęła się szarpać, gdy poczuła, jak stara się zerwać z niej resztkę odzieży. Była wdzięczna losowi za to, że miała na sobie obcisłe spodnie, a on zupełnie zgłupiał, napotkawszy tak prozaiczną przeszkodę. Wyrwała mu się, lecz była bezsilna przy tak rosnącym mężczyźnie, którym zawładnęła pierwotna żądza.

W pewnej chwili zupełnie poirytowany jej protestami i problemami z ubraniem, które miała na sobie, odwrócił ją gwałtownie od siebie, a potem jednym zwinnym ruchem przyparł do blatu stołu, napierając ciałem na jej pośladki; jedną dłonią przygwoździł ją do drewnianej, zatęchłej powierzchni. Tego się nie spodziewała. Brak jakiegokolwiek możliwości ruchu sprawił, że ogarnęła ją panika. Ten bydlak chciał ją zgwałcić.

Zaczęła szarpać całym ciałem, nie zwracając uwagi na to, że ociera się boleśnie o szorstkie, źle oheblowane drewno. Lecz on z taką siłą dociskał ją do stołu, że jej ruchy ograniczone były praktycznie do zera. Nie mogła się poruszać. Czuła jego dłoń zdzierającą z niej ubranie i zaczęła wrzeszczeć. Była zrozpaczona i czuła taką wściekłość, że miała ochotę po prostu wydostać się spod niego, dopaść do jego miecza, a później przesyć go nim na wylot. Z jej oczu pociekły łzy. Co teraz miała zrobić? On nawet jej nie słuchał.

Gdy usłyszała dźwięk rozdzieranego materiału, zamarła. Stało się to, czego obawiała się najbardziej. Ale nie mogła tak po prostu pozwolić się zgwałcić jakiemuś niewychowanemu łotrowi. Zaczęła wyrwać się i wić, nie przejmując się zupełnie tym, że jej nagie ciało miało już teraz wiele otarć po spotkaniu z szorstkim drewnem. Ból był mniejszym uszczerbkiem od tego, jakim byłoby upokorzenie, które chciał jej zafundować. Poczuła, jak rozsuwa jej nogi i blokuje swoimi. To się działo naprawdę? Nie mogła na to pozwolić.

– Ty kanalio! – Zaczęła się wyrwać jeszcze zacieklej, lecz na nic się to zdało.

Ból dosłownie płonął w całym ciele, jednak nie zamierzała rezygnować. Gdy jego dłoń znalazła się między jej udami, zawyła z bezradności.

– Milcz – warknął, lekko się nad nią pochylając. Lecz ona nie miała zamiaru milczeć.

– Blane! – wrzasnęła, a on zamarł w pół ruchu. – Blane MacLeod, ty tchórze! – rozdarła się na całe gardło. – Miej odwagę patrzeć mi w twarz, gdy mnie gwałcisz!

Poczuła, jak się od niej odsuwa, ale jeżeli myślała, że to koniec, to się myliła. Złapał ją za włosy i szarpnął do tyłu, podrywając do pozycji stojącej. Zrobił to tak gwałtownie, że nawet nie zauważyła, kiedy odwrócił ją przodem do siebie. Patrzył na nią wściekłym spojrzeniem, a ona ledwie oddychała, lecz nie spuszczała z niego wzroku. Jej oczy również ciskały gromy. Nie odnalazł w nich ani odrobiny lęku.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, w którym momencie coś w niego wstąpiło. Ta dziewczyna była taka inna. Pociągało go w niej to, że była brawurowa, odważna i się go nie lękała. Gdy zaczęła go całować, chciał już potem wyłącznie jednego. Pragnął po prostu ją posiąść. Za cenę wszystkiego. I stałoby się tak. Była tylko kobietą, taką samą jak wiele innych, które miał.

Ale czy na pewno? Opamiętanie przyszło, kiedy nazwała go tchórzem. Była to chyba najgorsza potwarz, jakiej doznał od niewiasty.

– Nikt nigdy bezkarnie nie nazywał mnie tchórzem – wysyczał z nienawiścią, przyciągając jej twarz do siebie.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz, Blane – powiedziała, a on ponownie szarpnął ją boleśnie za włosy. Nie pozostała mu dłużna i, gdy tylko znalazł się w zasięgu jej dłoni, przeorała mu paznokciami policzek. Wiedziała jedno: będzie się broniła do ostatniego oddechu. W końcu to ona miała na sobie spodnie, a on spódnice.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?! – huknął, a ona przymknęła oczy, spłoszona jego krzykiem, ale za chwilę ponownie je otworzyła.

– Jeżeli chcesz mnie zgwałcić, to patrz mi w oczy – wysyczała nienawistnie. – Jeżeli chcesz mnie zabić, to też patrz mi w oczy! – zakończyła dobitnie.

Jego twarz nie mówiła jej niczego, bo nienawiść i złość widziała na niej już w pierwszym momencie, kiedy tylko go ujrzała. Nie miała pojęcia, co ma zamiar teraz zrobić.

– Ja cię nie zabiję, Brice – poinformował. Zadrzała mimowolnie, mrugając, i wcale nie było to powodem jakiejś szalonej radości. Wręcz przeciwnie, teraz była wściekła.

Odrzucił ją gwałtownie na ziemię, posławszy jej ledwie krótkie spojrzenie, po czym odwrócił się i odszedł. Upadek był bolesny. Dopiero gdy leżała na twardej glebie, odczuwała skutki jego czynów. Co miała zrobić? Jaką miała alternatywę? Czy naprawdę była w Szkocji? Jak się tu znalazła? I co tu się właściwie działo? Ci ludzie i ta walka... To było takie nierealne. No i on, Blane MacLeod, do którego poczuła zwierzęce pożądanie, a zaraz później on sprowadził ją boleśnie na ziemię.

– Skurwiel – wyszeptwała ze złością. W tym samym czasie do jej uszu dotarły jakieś głosy z zewnątrz.

Poczuła lęk. Kto to mógł być? Czy jacyś ludzie, którzy mogliby udzielić jej pomocy, czy może ci, którzy zabijali się jeszcze przed chwilą przed budynkiem, w którym teraz bezradnie leżała?

Usłyszała Blane'a i w jakiś przedziwny sposób poczuła ulgę.

– Część ludzi już ruszyła, panie – mówił męski głos, którego nie rozpoznawała. – Czy mam sprowadzić ich z powrotem?

– Nie trzeba. Zbierz resztę i wracaj na zamek.

– Tak, panie. Coś jeszcze?

– Spal resztę chat – nakazał. – Zaczynaj od tej.

Nie mogła być tego pewna, ale czuła, że wskazał właśnie to miejsce, w którym przebywała. Poczuła żal. Chyba liczyła na jakiś cholerny cud oraz na to, że mężczyzna nie będzie takim zwierzęciem. Że okaże choć cień litości. Pokaże, że może coś jednak...

– Tak, Blane, ty mnie nie zabijesz – szepnęła z goryczą, zamykając oczy.

Ból był coraz większy. Gdy traciła przytomność, słyszała tętent kopyt odjeżdżającego konia, a do jej nozdrzy docierał zapach palonego siana.

\*\*\*

Po raz pierwszy zdarzyło mu się, że tak po prostu wsiadł na konia i samotnie odjechał z pola walki. Wiedział jednak, że gdyby teraz pokazał się swoim ludziom, nie umiałby ukryć wzburzenia. A powinien radować się zwycięstwem. Zamiast tego był rozsierdzony niczym byk. Dziewczyna tak bardzo wyprowadziła go z równowagi, że nie umiał pozbierać myśli. Ta jej zuchwałość oraz zaciekłość, z jaką walczyła, kiedy



próbował...

– Głupia dziewczka – wymamrotał pod nosem i silniej spiął konia, by po chwili nieco zwolnić.

Broniła się tak zapamiętale, że miał wrażenie, iż prędzej zabiłaby się, niżli pozwoliła osiąść. Nie miał w zwyczaju gwałcić kobiet podczas bitew. Jego ludziom czasem się to zdarzało, czego nie pochwalał. Osobiście wyznawał zasadę, że na wojnie się walczy, w łożu zaś daje kobiecie rozkosz. Gdy ta dziewczyna zaczęła się tak szarpać, wzbudziła w nim jeszcze większą pasję. Chciała go, a za moment już nie. *Glupia baba, nawet nie wie, co straciła* – pomyślał ze złością. Bo mógł uczynić, żeby przed śmiercią zaznała trochę rozkoszy. Może nawet wtedy nie zabiłby jej i pozwolił ujść z życiem. Ale nie po tym wszystkim. Uderzyła go i nazwała tchórzem. Na samą myśl targnął nim gniew i boleśnie spiął konia, który prawie stanął dęba, zaskoczony nagłą złością swojego pana.

Ślad, jaki pozostawiły po sobie paznokcie dziewczyny, palił niczym rana zadana gorącym żelazem. Nie mógł pozwolić, aby nie poniosła konsekwencji. Mogła zbiec i przeżyć, a on chciał, żeby zapłaciła za swoje czyny. Zawrócił konia i pogalopował z powrotem. Chciał patrzeć, jak pali się żywcem, chciał słyszeć jej krzyki.

Gnał niczym szalenię, na złamanie karku, jakby od tego wszystko zależało. Dotarł na miejsce bardzo szybko. Chata stała już cała w płomieniach, ale dziewczyny nie było słyhać. Czyżby uciekła? Musiał to sprawdzić, musiał mieć pewność, że ona zginie. Zeskoczył z konia, po czym ruszył w stronę budynku, który lada moment mógł się zawalić. Bez wahania wbiegł do środka, osłaniając głowę, unosząc nad nią rękę. W chacie płomienie rozciągały się dosłownie wszędzie.

– Brice! – wrzasnął na całe gardło i zaczął się dusić dymem, który dostał się do jego gardła.

*Zbiegła* – pomyślał i już chciał wyjść, kiedy zamajaczyła mu jej sylwetka.

Dlaczego nie uciekała? Przecież mogła choćby spróbować. Była cała, gdy ją zostawiał. Ta zapalczywa wojowniczką tak po prostu nie mogła się poddać. Czyżby śmierć w płomieniach była jej miłszą niżli rozkosz, jakiej mogłaby z nim zaznać? Poczul wściekłość i, podszedłszy do niej szybkim krokiem, uniosł ją, a potem ruszył do wyjścia. Wybiegł w ostatniej chwili, zanim osłabione sklepienie runęło wraz z całą konstrukcją chaty, grzebiąc domostwo.

Kiedy szedł w kierunku konia, jego nozdrza przy każdym oddechu nadawały twarzy groteskowego wyrazu. Czarne, długie włosy unosiły się i opadały, zasłaniając i odsłaniając gniew, jaki widniał na jego obliczu. Przerzucił ją bezpardonowo przez koński grzbiet, a następnie sam zwinnie na niego wskoczył i pognał wprost do zamku. Po drodze starał się nie myśleć o tym, co robi, bo przecież zawrócił jedynie z zamiarem dopilnowania, aby zginęła, a zamiast tego wyniósł ją z płomieni, ratując w ten sposób jej życie.

– Była nieprzytomna – wymamrotał pod nosem. – Musi być świadoma, gdy będzie umierała – starał się usprawiedliwić sam przed sobą swój czyn.

Zagłuszał wspomnienie ulgi, jaką poczuł, kiedy nie zastał jej w chacie, a zaraz później niepokoju na widok leżącej bezwładnie na twardym klepisku w tym samym miejscu, gdzie ją porzucił. Do zamku dojechał dość szybko, chociaż miał do pokonania odległą drogę. Niepokoiło go, że dziewczyna nie dawała oznak życia, a chciał sprawić, by przed śmiercią jeszcze cierpiała. Nie mógł tak po prostu puścić jej płazem zniewagi, jakiej się względem niego dopuściła. Jakaś cudzoziemska przybłąda śmiała nazwać go tchórzem i podniosła na niego rękę? Będzie żałowała, że to zrobiła, już on tego dopilnuje.

Z rozpędu wjechał na dziedziniec, gwałtownie zaciągając wodze. Stojący na kamiennym bruku mężczyźni rozpięchli się we wszystkie strony przyzwyczajeni do gwałtowności pana.

– Zwierz powrócił – rozległo się gdzieś z boku, a na jego twarzy pojawił się złowrogi grymas.

Dobrze wiedział, że tak go nazywano, choć lękali się zwracać tak do niego wprost. Nie reagował na to i było mu to obojętne. Nie traktował tego jak obelgi. Postrzegano go jako Zwierza? Było mu wszystko jedno. Zeskoczył z konia i gestem przywołał stajennego, który podbiegł do niego w jednej chwili, by odebrać wodze.

– Zajmij się koniem. Jeno dobrze! – zagrzmiął, na co mężczyzna spuścił głowę i przytaknął bez słowa.

Blane zbliżył się do ciała dziewczyny i delikatnie wziął jej twarz w dłonie. Żyła i zaczynała odzyskiwać przytomność. Zdjął ją z grzbietu rumaka, a później postawił na nogi, lecz była zbyt słaba, aby samej ustać. Potrząsnął nią, a ta uniosła głowę i spojrzała na niego mętym wzrokiem. Był pewien, że będzie próbowała przed nim uciekać, choć w tym miejscu nie miała już absolutnie żadnej szansy zbiec. Jednakże

ponownie go zaskoczyła, gdy ujrzał, że na jej twarzy maluje się ulga. Kim była ta dziewczyna i dlaczego zachowywała się tak dziwacznie?

– Wróciłeś. – Poczuł, jak przytula się do niego, tak jakby ucieszył ją jego widok.

Niestety tuż po tym nastąpił kolejny przełom w jej przedziwnych nastrojach i po chwili ujrzał, jak na jej twarz powraca złość, co świadczyło o tym, że wspomnienia przyniosły jej szerszy obraz zaistniałych zdarzeń, który niezbyt jej się podobał. Zaskoczony parobek był świadkiem, jak przywieziona przez jego pana półnaga dziewczyna bierze niezgrabny zamach, po czym wymierza niecelny cios, a później omdlała lądując na bruku.

– Jest szalona – poinformował Blane, a następnie podniósł Brice i, niosąc ją na rękach, ruszył w kierunku drzwi, by już za moment za nimi zniknąć.

## Rozdział 5 Kim jest?



Bez zastanowienia skierował się w stronę kuchni. Po upadku nieznajoma ponownie straciła przytomność, co w sumie go ucieszyło, gdyż jej gwałtowne zmiany nastrojów były aż nadto kłopotliwe. Nie przemyślał jeszcze, co z nią zrobić. Prawdę mówiąc, rozsądne kalkulacje przy tej dziewczynie w ogóle nie były możliwe. Pomyślał, że może powinien znieść ją do piwnic, ale naga i osłabiona nie przetrwałaby nocy w chłodnym lochu, a żywił względem niej bardziej sadystyczne zamiary.

Przemierzył długie i chłodne pomieszczenie, w którym poustawiano beczułki z winem.

Gdy wszedł do izby kuchennej, od razu ujrzał kilka wlepionych w niego ciekawskich spojrzeń.

– Precz – mruknął ponuro, a później, podszedłszy do podłużnego stołu, niezdarnie strącił z niego gliniane miski, które z hukiem rozbiły się na twardej posadzce. Jeszcze jeden gwałtowny ruch i woreczki z jakimiś przyprawami dołączyły do naczyń. Bez ceregieli położył na stole przyniesioną dziewczynę.

– Panie, czy...

– Wody! – zażądał, a już po chwili jedna z dziewczek kuchennych niosła drewniany kubek wypełniony po brzegi.

Zdjął w pośpiechu koszulę, na której widniały jeszcze krwawe ślady, świadczące o tym, że przed momentem stoczył walkę. Rzucił ciuch w stronę dziewczyny, która stała obok, gapiąc się na jego mięśnie z głupim uśmiechem.

– Odziej ją w to – zarządził mrukliwym głosem, skinąwszy w stronę nieprzytomnej Brice, a następnie odpiął pas z mieczem i położył go na drugim końcu podłużnego stołu.

Zaczerpnąwszy w dłonie wodę, kilkakrotnie ochlapał nią twarz. Za którymś z kolei razem jego wzrok natrafił na uważne spojrzenie kobiety siedzącej na drewnianej skrzyni po drugiej stronie pomieszczenia.

– Do czorta – wymamrotał pod nosem. – Nie mam zamiaru odpowiadać na żadne pytania, Una! Opatrzysz me rany. Milcząc – dodał na sam koniec.

– Przecież nic nie mówię. – Usłyszał kobiecy, zachrypnięty głos i zmrużył oczy ze złością.

– Tak należy – skwitował. – A teraz...

– Podejdz do mnie, chłopcze. Chyba nie chcesz, aby stara, schorowana kobieta podchodziła do młodzieńca.

– Kiedyś mnie jeszcze popamiętasz, starucho – warknął ze złością, a ona uśmiechnęła się przebiegle.

Była jedyną niewiastą, której na to pozwalał. Po śmierci matki to właśnie Una stała się jego piastunką, a to sprawiło, że traktował ją inaczej niż resztę przebywających na zamku kobiet.

– Ciekawam, co cię tak rozeźliło – powiedziała, zerkając wymownie w stronę stołu, gdzie leżała przyniesiona przez Blane'a dziewczyna, która teraz miała już na sobie jego koszulę.

– Ostrzegam...

– Skądś ją przyniósł, chłopcze? – zapytała niby obojętnym głosem, a Blane stwierdził, że nie ma sensu tego odwlekać.

Una była uparta, doskonale zdawał sobie sprawę, że nie odpuści i będzie dręczyć go do chwili, aż się dowie, kim jest Brice. Ale co miał jej powiedzieć? Sam przecież nie miał pojęcia, skąd się ten babsztyl wziął na polu bitewnym.

– Trzymano ją w niewoli – odparł krótko i podszedł do kobiety, która miała już przy sobie różnego rodzaju maści oraz płócienne bandaże.

– A tyś ją sobie tak po prostu odbił i przyniósł na zamek? – dociekała, choć doskonale rozumiał, że

nie było to pytanie. – Po coś to zrobił? Na co ci ona potrzebna? – drążyła, sprawiając, że miał ochotę złapać ją za chabety i gwałtownie potrząsnąć, aby wybić z tej starej, pustej łepetyny głupie próby dowiedzenia się tego, co było dla niego zarówno kłopotliwe, jak i niezrozumiałe.

– Nie twoja sprawa, starucho. Rób, co do ciebie należy, i milcz przy tym – zażądał. Kobieta, nie zważając na nic, nałożyła gęstą maź obficie na krwawiącą ranę. Nie zrobiła tego delikatnie. Blane zaklął pod nosem, na co zareagowała śmiechem.

– Spokojnie, chłopcze – zachichotała. – Zioła zrobią ci mniejszy uszczerbek niżli zimna stal.

– Czyń to spiesznie i nie wypowiedz ani słowa. Dobrze ci radzę – zagroził ostrzegawczo, obrzucając ją wściekłym spojrzeniem.

– Skąd ten pośpiech, młodzieńcze? – kontynuowała niezrażona, a on aż się zagotował.

Złościło go, jak nazywała go chłopcem albo młodzieńcem, jednakże tylko jej uchodziło to płazem, każdy inny człowiek już dawno poniósłby karę. Na szczęście na takie spoufalanie pozwalała sobie wyłącznie wtedy, gdy byli sami.

– Muszę udać się do mych ludzi – poinformował, a ona spojrzała na niego uważniej. – Muszę z nimi porozmawiać – dodał śpiesznie.

– Czemuś jeszcze tego nie zrobił? – zadawała pytania, na które odpowiedzi wolałby unikać, ale to była Una. Stara, upierdliwa i przypominająca najgorszy wrzód na dupie Una.

– Śpieszno mi – oznajmił chłodnym tonem, a kobieta mocniej ścisnęła bandaż, którym zaczęła owijać jego ramię. Umyślnie sprawiła mu ból.

– Co mam z nią zrobić? – Skinęła głową na nieprzytomną. – Żyje ona w ogóle, czy pomarła? Bo jak mi tu umarlaka przytargałeś do izby kuchennej, to marny twój los, chłopcze – zakończyła podniesionym głosem, a on, wpatrując się w nią z gniewem, zmarszczył nos ze złością. Jego warga uniosła się jak u warczącego wilka. – Toć mi tych sztuczek nie pokazuj, bo mnie one ino śmieszą, synu. Gadaj spiesznie, skąd ona i po coś ją tu mi przytargał.

Westchnął zrezygnowany. Ta baba zawsze doprowadzała go do szewskiej pasji.

Czasami miał ochotę uwiązać jej kamień u szyi i zrzucić z wieży wprost w fale jeziora.

– Kiedyś nastanie czas, że jeszcze gorzko tego pożałujesz, starucho – mruknął.

– Przestań mi tu prawić frazesy, ino mów, co mam uczynić z tą dziewczką. Masz zamiar nosić ją wszędzie ze sobą niczym oręż? Czy może jakieś inne zamiary ci się ulęły w tej pustej głowie względem niej? – zakpiła, widząc zagubienie Blane'a.

Prawdę mówiąc, już gdy wniósł tę dziewczynę, zorientowała się, że sprawa nie jest typowa. Blane zazwyczaj zabierał dziewczki do sypialni i raczej się z nimi nie ceregielił. Nie dbał o ich samopoczucie, a tymi, które nie trzymały się na nogach, nie zawracał sobie głowy. Nie były mu do niczego potrzebne. Tę niósł ostrożnie, choć przy układaniu jej na stół delikatności nie zademonstrował. Jednakże zaraz potem spojrzał uważnie, czy nie zrobił jej krzywdy. Nakazał ją odziać, więc okazywał jej troskę, a to było do niego niepodobne. Ten nieokrzesany gwałtownik taki nie był.

– Dasz jej coś jeść – nakazał, a Una nie spuszczała z niego wzroku, lecz spojrzeniem starała się nie okazywać zdziwienia, jakie teraz czuła. – Później niech ją stąd wyniosą – stwierdził, zerkając na dziewczkę kątem oka.

– Do lochu? – zapytała, choć wiedziała, że raczej nie w niewolę ją tu zabrał.

– Do lochu ją wtrącę, jak dojdzie do siebie – oznajmił.

– Toć po co ma dochodzić do siebie, gdy masz w zamiarach uczynić jej krzywdę? Cherława jest, przecie w lochu nawet kilku dni nie wytrzyma – stwierdziła podstępnie.

– Więc kiedy będzie umierająca, to wniosę ją tu do ciebie. Pielęgnować tego babsztyla będziesz, dopóki nie wydobrzeje, a jak już do zdrowia dojdzie, to znowu ją do lochu wtrącę, bo tam jej miejsce! – krzyknął i, usłyszawszy poruszenie od strony stołu, zniżył głos, nie chcąc zbudzić dziewczyny. – Zakazuję ci tu ze mną dyskutować, rozumiałaś?

– Ta rana boli cię chyba najmocniej. – Una uśmiechnęła się półgębkiem i chciała dotknąć dłonią jego policzka, na którym widniały jeszcze pozostawione przez Brice zadrapania.

– Jeszcze jedno słowo i każę ci ściąć – oświadczył, odtrącając rękę kobiety, a ona wybuchnęła głośnym śmiechem, budząc dziewczynę, która zamrugawszy, uniosła się gwałtownie na łokciach i przeciągle jęknęła, po czym z niepokojem zaczęła rozglądać po pomieszczeniu.

– Co tu się dzieje?

– Każ ją zanieść do mych komnat – zarządził pospiesznie Blane. – Mają ją położyć na podłodze. Ale niech czymś przykryją – dodał.

– A czemuż to? – dociekała Una. – Przecie i tak do lochu pójdzie. Niech się przyzwyczają do chłodu.

– Bez gadania – zażądał. – I nakarm ją, bo wygląda, jakby w tej niewoli wcale jeść jej nie dawali – wymamrotał cicho, nie chcąc, aby dotarło to do całkiem już przytomnej dziewczyny, która lada moment najprawdopodobniej znowu odzyska pamięć, a wtedy okaże się to dla niego aż nadto kłopotliwe.

– Po cóż? Strawy ci nie szkoda? Zabić ją chcesz, to po co jedzenie marnować? – Una próbowała umyślnie go rozdrażnić.

– Zamilcz wreszcie, durna babo, i rób, co mówię – wyszczał.

Una widziała, że z jakichś przedziwnych powodów zależy mu na tej dziewczynie, ale nie chciał się do tego przyznać. Może zamierzał zabrać ją do swojego łóża. Chociaż wyglądała jak siedem nieszczęść. A mężczyzna taki jak Blane, mógł mieć każdą kobietę i wybierał jedynie najurodziwsze. Ta do takich zdecydowanie nie należała. Brudna, chuda i, jak twierdził Blane, pomyłona na dodatek. Więc co ten bęczał sobie względem nieznanym dziewczynki umyślił? W jego wzroku pojawiła się jakaś niecierpliwość, gdy młódka zaczynała do siebie dochodzić, co było dla niego wręcz niebywałe.

– Blane? – Zamarł.

Ujrzał na obliczu dziewczyny coś na kształt ulgi. Lecz doskonale wiedział, że długo to nie potrwa. Zmieniająca się mina na twarzy Brice jasno dała mu do zrozumienia, że nie pomylił się i nastąpiła pora udać się do ludzi, którzy prawdopodobnie teraz uctowali przy przepelnionych winem dzbanach. Tego było mu potrzeba. Jak najdalej od tej bezczelnej baby.

– Uważaj na nią, Una. Dziewczyna jest pomyłona i gada od rzeczy – oznajmił ostrzegawczo. – To cudzoziemka. Mówi w naszym języku, ale trudno ją zrozumieć. Najlepiej wcale z nią nie gadaj, tylko opatrz, daj coś do zjedzenia i niech ją stąd wyniosą.

– To po kiego czorta żeś ją tu przywiózł, jeżeli zrozumieć się jej nie da? – zapytała kobieta, z ciekawością przyglądając się dziewczynie. Wyglądała dość niecodziennie. Było w niej coś przedziwnego i trudnego do wytłumaczenia. *Cudzoziemka. To ciekawe* – pomyślała.

– Bez gadania, starucho! – wrzasnął, słysząc za plecami hałas, który świadczył o tym, że Brice najprawdopodobniej postanowiła przejść do pozycji ofensywnej, sprawiając tym, że powoli wzrastała w nim złość.

– Jak śmiesz! – krzyknęła, a on odwrócił się gwałtownie w jej stronę, wbijając w nią przeszywające spojrzenie. – Jak śmiesz tak do niej mówić?! To starsza kobieta, której należy się szacunek, a ty... – Nie pozwolił jej dokończyć, tylko szybkim ruchem podszedł do niej i wymierzył policzek.

Cios był na tyle silny, że rzuciło ją w bok i gdyby nie uchwycił jej za ramiona, upadłaby na podłogę.

– To mi należy się szacunek – wyszczał. Widział, jak wpatruje się w niego zaskoczonym wzrokiem i poczuł złość.

– Dlaczego? – wyszeptowała cicho. Zacisnął ze złością szczękę.

Możliwe, że uderzył za mocno. Była wszak obolała. Ale dlaczego, do czorta, w ogóle się tym przejmował? Chciał, aby cierpiała. Bardzo cierpiała. Traciła przytomność z bólu i konała w potwornych katuszach, które zamierzał jej zadawać.

– Boś zasłużyła – mruknął z jakąś nutą desperacji w głosie i ujrzał, jak na jej twarzy pojawia się złość, a za moment kobieca dłoń po raz kolejny przeorała jego policzek, powodując, że aż się zagotował z wściekłości.

Wrzasnął dziko i zamachnął się ponownie, lecz Una w porę zagroziła mu drogę, stając między nim a dziewczyną, co sprawiło, że nieco się opamiętał, choć adrenalina nadal w nim buzowała.

– Wynos się stąd! Ale już! – krzyknęła ze złością. – Ludzie czekają na ciebie, a ty obijasz mi tu w kuchni dziewczkę, która ledwie się na nogach trzyma. Zajmę się nią, a ty do łóża sprowadź sobie jakąś wieśniaczkę. Ta cherlawa jest, dobrze ci nie dogodzi – oznajmiła, obrzucając go karcącym spojrzeniem. – Kto by to pomyślał, żeby chłop z bitwy wracał i dziewczynę po licu jak baba oklepywał. Mały kociak więcej siły ma niż ta dzierlatka!

– Milcz, starucho, bo i ty... – Ujrzał jej morderczy wzrok i sapnął wściekle. Przepelniający go gniew nie pozwolił tak po prostu mu odpuścić i odejść. – Pazury wystarczająco ostre ma ten cherlawy kociak. Łapy

jej poucinał, gdy tylko wrócił! – odgrażał się z desperacją.

– Wynoś się, chłopcze, chyba że tak bardzo zajętyś tą dziewczyną, żeś o swych ludziach zapomniał – stwierdziła.

Mierzył się wściekłym spojrzeniem z Uną i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma z nią najmniejszych szans, i o ile w obecności innych ludzi zachowywała umiar, to gdy zostawali sami, nigdy go w sobie nie miała. Chciał potrząsnąć nią i zadać jakiś ból.

– Zrób z nią to, co powiedziałem – nakazał.

– Nie będziesz mówił, co mam... – zaczęła Brice hardym tonem, lecz Una dała jej znak, aby milczała.

Blane patrzył wściekle na dziewczynę, krzyżując z nią spojrzenie. Z oczu obojga sypały się gromy, a Una westchnęła zniecierpliwiona.

– Nie „Zwierz”, lecz „osioł” powinni na ciebie wołać, chłopcze, boś uparty jak...

– Uczyń, jak mówiłem! – przerwał jej gwałtownie, podenerwowany faktem, że ponownie nazwała go chłopcem w towarzystwie jasnowłosej złoźnicy. – A kiedy powrócę, to jeszcze się z tobą policzę, starucho.

– Głupie to niczym cielę – rozbrzmiał głos staruszki, gdy wychodził i zacisnął dłonie w pięści, lecz odszedł bez zatrzymywania się.

– Gdzie on poszedł? – Zaskoczona Una ujrzała lęk na twarzy Brice.

– Do swych ludzi. Zawsze tak czyni po walce – wyjaśniła.

– Musisz sprowadzić go tu z powrotem. Szybko – mówiła, a na twarzy Uny pojawiało się coraz więcej zdziwienia. O co jej mogło chodzić?

– A dlaczegoż to? – Starąła się ukryć zaskoczenie.

– On jest ranny. Trzeba jak najszybciej zadzwonić po pogotowie albo chociaż po jakiegoś lekarza. – Wszystko zaczęło do niej docierać. Tam ktoś zginął. – Nie! – krzyknęła gwałtownie. – Poczekaj! Nie możemy zadzwonić po pogotowie! – kontynuowała z przejęciem.

– Nie możemy? – Una powtórzyła bezmyślnie jej słowa. Zaczynała rozumieć, co miał na myśli Blane. Z tą dziewczyną faktycznie było coś nie tak. Dotknęła ręką jej czoła i zorientowała się, że jest cała rozpalona. – Masz gorączkę – szepnęła z troską. Dziewka nie była w dobrym stanie, ale nie od razu musiało być to upośledzenie.

– Nie. Absolutnie nie możemy, ponieważ oni wezwą policję, a on tam kogoś zabił i mogą wyniknąć z tego kłopoty... Były jakieś zamieszki i wszyscy się bili, i jakiemuś mężczyźnie obcięli głowę, na moich oczach – tłumaczyła z przejęciem. – Wszystko płonęło. Ludzie krzyczeli, a on... Cholera, co tu się dzieje? – powiedziała już bardziej sama do siebie. – Chyba aż tak dużo nie wypiął – dodała ciszej.

– Nic się nie lękaj – stwierdziła Una łagodnym tonem, coraz bardziej zaintrygowana zachowaniem nieznanym.

– Wcale się nie lękam, ale ten idiota jest ranny, może mu się coś stać i trzeba mu udzielić pomocy, a on sobie gdzieś poszedł. Może mieć wstrząs mózgu albo jakieś obrażenia wewnętrzne. Potrzebujemy jakiegoś prywatnego lekarza. Mam numer do pewnego chirurga. Moja asystentka powiększała sobie biust i dzwoniła do niego z mojego telefonu. Powinnam mieć w pamięci numer, tylko muszę znaleźć moją komórkę. Ten człowiek na pewno będzie dyskretny, jeżeli mu odpowiednio zapłacimy. Absolutnie nie można wezwać pogotowia, bo byłyby kłopoty, gdyby powiadomili policję. Musimy się najpierw dowiedzieć, co to były za zamieszki i kim byli ci ludzie. Trzeba ustalić, co tam się działo. On może powiedzieć, że działał w samoobronie. Bo właściwie oni zaczęli pierwsi – mówiła z przejęciem. – Muszę natychmiast zadzwonić do mojej asystentki. Macie gdzieś telefon? – zapytała i ujrzała na twarzy kobiety zaskoczenie. – Skontaktujemy się z tym lekarzem. Można mu zapłacić i...

– Kim ty jesteś? – Usłyszała stanowcze słowa kobiety, więc spojrzała na nią uważnie.

Była stara. Wyglądała, jakby miała jakieś siedemdziesiąt, a może nawet więcej lat. Siwe włosy związała z tyłu jakimś rzemieniem. Była dość szczupła i niska. Z pomarszczonej twarzy biła łagodność. Początkowo wydawała się czymś rozbawiona, lecz teraz patrzyła na nią zatroskanym wzrokiem, ale pewnie spowodowane było to tym, że ten drań został ranny. Choć zachował się w stosunku do staruszki po chamsku, to widać było, że łączy ich jakaś więź. Nie miała pojęcia czy pokrewieństwo, czy może jedynie zwyczajna znajomość.

– Mam na imię Brice – poinformowała delikatnie, chcąc uspokoić kobietę. – Proszę się niczym nie



martwić, ja wszystkim się zajmę. Proszę mi tylko dać telefon. Obiecuję, że niczego nigdzie nie zgłoszę. I nikomu nie powiem, co mi ten drań zrobił – zapewniła pospiesznie.

– Co ci zrobił? – Westchnęła zniecierpliwiona. – Bił cię tam jeszcze?

– Tam mnie nie bił, uderzył dopiero teraz – stwierdziła dyplomatycznie Brice, nie mówiąc dokładnie, co miała na myśli, bo szczerze mówiąc, nie za bardzo chciała ją o tym informować, ale poniekąd sama zapędziła się w koziego róg. Zastanawiała się, jak ma wybrnąć z sytuacji; zanim wymyśliła rozsądne wytłumaczenie, kobieta sama się domyśliła znaczenia jej słów. W jednej chwili twarz staruszki zrobiła się czerwona.

– Już ja się z nim rozliczę – oznajmiła ze złością, zaciskając drobne dłonie w pięści. – Kto by to pomyślał, żeby w bitwie panny raptem brać! Wstyd i hańba. A przykładem świecić powinien – wymamrotała złowroźnie.

– Że co przepraszam? Bitwie? Jakiej bitwie? Ma pani na myśli tamte zamieszki? – wydukała Brice, lekko skołowana.

– Zamieszki?

Była poruszona tym, czego się właśnie dowiedziała. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że dla Blane'a kobiety nie miały zbyt dużej wartości i nigdy delikatny ani czuły dla żadnej z nich nie był. Zabierał je do łóżka, robił swoje, a później odprawiał z powrotem.

Ale nigdy nie posuwał się do gwałtu. Szczególnie w stosunku do chorej na umyśle. Bo faktycznie dziewczyna musiała być szalona. Opowiadała takie rzeczy, że nie było wątpliwości, iż ma coś nie tak z głową. Cudzoziemka, chora na szaleństwo i w dodatku trzymana w niewoli. A ten drań tak bestialsko się z nią obszedł i gwałcić na polu bitewnym chciał. Nie tak go wychowała.

– Spokojnie. – Brice jęknęła w duchu. Namieszała tej kobiecie wystarczająco i brakowało tylko tego, aby i ona zaczęła wygadywać jakieś niestworzone rzeczy. Domyśliła się, że zaniepokoiło ją to, co zrobił ten drań, i prawdopodobnie bała się, że będzie to miało swoje konsekwencje. Musiała ją jakoś uspokoić. – Właściwie to nic aż tak bardzo poważnego się nie wydarzyło. To znaczy, on bardzo się starał, żeby to się wydarzyło, ale po niewielkiej dyskusji i mojej delikatnej sugestii zrozumiał, że to nie najlepszy pomysł i odjechał – powiedziała, starając się zabrzmieć wiarygodnie, choć na samą myśl o tym, co zaszło w tamtej chacie, dostawała dreszczy.

– Tę sugestię to pewnie mu na policzku zostawiłaś, co? – zapytała kobieta, a Brice lekko się zmieszła.

– Jakoś tak odruchowo wyszło – bąknęła niepewnie.

– Co ci później zrobił? – naciskała.

– Później to już nic – zaręczyła Brice. – Odjechał – dodała.

– Odjechał? – Staruszka była trochę zdezorientowana, na co Brice jedynie westchnęła. To było trudniejsze, niż przypuszczała.

– Tak, ale po mnie wrócił. Chata już się paliła, a on chyba mnie stamtąd wyniósł. Szczerze mówiąc, to niewiele pamiętam, ponieważ byłam nieprzytomna. – Postanowiła na wszelki wypadek pominąć fakt, że początkowo wydał rozkaz, aby spalić budynek, mając świadomość, że ona tam jest. Kobieta była stara i wyglądała na przeżytą. Brice nie chciała, aby z jej powodu dostała ataku serca albo wylewu. Problemów natury zdrowotnej już wystarczyło. A nie miała pojęcia, jak daleko stąd jest szpital.

– Straciłam przytomność w chwili, gdy chata już płonęła. Pamiętam tylko, że wszystko bardzo mnie bolało. Nie mogłam się podnieść z podłogi i widziałam jak przez mgłę, wszędzie było pełno dymu. Potem urwało mi się film.

– Co ci się urwało? – zapytała staruszka, wpatrując się w nią, jakby niczego nie rozumiała. Może miała problem ze słuchem.

– Film – powtórzyła. – Pamiętam, że cholernie mną trzęsło i szarpało, a gdy już to wszystko w miarę się uspokoiło i przestało kołysać, zdjął mnie z konia i... – zawiesiła na moment głos. – On mnie konno wiozł! Przerzucił mnie przez grzbiet jak jakiś pieprzony worek kartofli! – Ogarnęła ją wściekłość. – Skurwiel, jakby nie mógł mnie posadzić na tym cholernym koniu. – Spojrzała na kobietę i przypomniała sobie, że miała ją uspokoić, a to, o czym plotła, na pewno w tym nie pomagało.

– Dobrze, ale...

– Okej. Od początku. Byłam na wystawie. Była burza i ten obraz... on się przewrócił, a ja musiałam

go uratować. Później nic nie pamiętam, a gdy się ocknęłam, byłam na jakichś przedmieściach. Zupełnie gdzie indziej. Trochę wcześniej wypłam, kilka drinków. Ale nawet dobrze wstawiona nie byłam. Chyba że wrzucili mi coś do drinka. – Rozbudzała w sobie teorie spiskowe. – Może jakąś pigułkę gwałtu albo... – Zerknęła na kobietę. Nie, o żadnych gwałtach nie było sensu gadać.

– Bili się. Na tych przedmieściach, z których on mnie zabrał. Nie miałam pojęcia, co zrobić, gdy nagle pojawił się on. Przyjechał konno. Później zaczęliśmy rozmawiać – mówiła, zdając sobie sprawę, że uogólnia, ale nie chciała niepokoić tej kobiety szczegółami. – I przybiegli jacyś ludzie. Mieli miecze i noże, takie prawdziwe, a potem rzucili się na nas. Początkowo nawet myślałam, że kręcą jakiś film, ale na moich oczach jeden drugiemu głowę odrąbał i wcale nie wyglądało to na efekty specjalne. On też się bił, ale chyba można by uznać to za samoobronę, gdyby wytoczono sprawę w sądzie. Tych ludzi było kilku, więc chciałam mu pomóc, próbowałam podnieść szablę, którą jeden z nich zgubił, ale ona była taka ciężka, że nie dałam rady. A później jeden z nich chciał mnie... – Zamilkła. Dotarło do niej, że dziś wielokrotnie była bliska śmierci i to ją zmroziło. – Wiesz, on mi uratował życie. Ten facet chciał mnie zabić, a Blane mnie uratował – wyszeptala.

– Zwierz? – zapytała Una, która słuchała cudzoziemki, ale ni w ząb nie rozumiała, o co jej chodzi.

– No przecież mówię, że Blane. Tam nie było żadnych zwierząt. Pewnie pouciekały, gdy to wszystko się zaczęło. – Usłyszała przyjemny głos dziewczyny i chcąc nie chcąc, uśmiechnęła się pod nosem. Nieznajoma nie miała pojęcia, że tak nazywają Blane'a po kątach.

– Mów, dziecko – zachęciła. – Co uczynił później? – Młódka bredziła, niemniej było to całkiem zajmujące. Ten zapał, z jakim opowiadała, tak, jakby w to wszystko wierzyła. Ale to przypadek każdego wariata.

– Rozmawialiśmy – streściła Brice. Bo niby co miała powiedzieć? Zamienili kilka zdań, przy czym on oryginalnie zadawał prawie jedno i to samo pytanie. Choć z drugiej strony musiała przyznać, że nie dawała mu żadnej sensownej odpowiedzi. – Okłamał mnie – dodała, wspominając, jak próbował wcisnąć jej kit, że są w Szkocji.

– Pohańbił cię? – wypaliła nagle kobieta, a Brice spojrzała na nią zaskoczona.

– Że co zrobił? – Wpatrywała się w nią w osłupieniu.

– Siłą wziął – wyjaśniła nieznajoma, jeszcze bardziej mącąc jej w głowie.

– Gdzie wziął siłą? – dociekała i, widząc znaczące spojrzenie kobiety, zorientowała się wreszcie, o co jej chodziło.

– Rozmawialiśmy – powtórzyła.

Nie chciała nazywać spraw po imieniu, a jej rozmówczyni, pomimo podeszłego wieku, była dość bystra i bez żadnych histerycznych reakcji próbowała się z nią dogadać. To w pewnym sensie upraszczało sprawę.

– A długo tak rozmawialiście?

– Całkiem długo – wymamrotała, drżąc na wspomnienie tego, co czuła, gdy patrzył na nią tym mrocznym, gniewnym spojrzeniem. Za nic w świecie nie mogła powiedzieć tej kobiecie, że sama rzuciła się na niego, a kiedy facet za mocno się napalił, sytuacja wymknęła się spod kontroli. – Skurwiel – dodała półgębkiem, za co później zganiała się w myślach.

– A ta rozmowa była...

– Nie dokończyliśmy rozmawiać – weszła jej w słowo, chcąc powstrzymać pytanie i nie musieć dosłownie na nie odpowiadać. Półśłówka jak na razie doskonale zdawały egzamin. Ujrzała na twarzy kobiety zaskoczenie.

– Nie chciał cię? – Słyszac to pytanie Brice po raz kolejny poczuła irytację.

– Tak bym tego nie nazwała. Chciał aż za bardzo, osioł jeden – oznajmiła ze złością.

– Czemu więc...

– Bo powiedziałaś mu, że tylko tchórze tak rozmawiają. To prawda. Normalny facet tak się nie zachowuje. Nie mówię, żeby od razu jak jakiś przewrażliwiony na tym punkcie dżentelmen kwiatki mi przynosił, ale kulturą osobistą mógłby, chociaż w minimalnym stopniu, się wykazać, prawda? Na randkę od razu zapraszać mnie nie musiał, ale do kina tak po koleżeńsku to co innego, a on nawet o numer telefonu nie poprosił, tylko od razu, jak jakiś menel, bluzkę ze mnie zrywać zaczął – oświadczyła i odetchnęła. To powinno tej kobiecie wystarczyć. Jednak na jej twarzy widziała jeszcze większe zaskoczenie. Jaśniej już nie

mogła jej tego wytłumaczyć.

– Nazwałaś Blane’a tchórzem? – Staruszka wybałuszyła oczy, a Brice poczuła gniew na samo wspomnienie.

– Tylko tchórz nie patrzy w oczy, gdy chce zgwałcić kobietę – poinformowała, rzucając przy tym gromy spojrzeniem. Nawet się nie zorientowała, że po raz pierwszy nazwała rzeczy po imieniu. – Ale jeszcze ta gnida mnie popamięta. Cienko zaśpiewa, jak dorwę go w swoje ręce i... Cholera. – Miała jej nie denerwować. Zamiast lęku czy zdenerwowania usłyszała gromki śmiech kobiety.

– Teraz rozumiem, czemu cię ze sobą zabrał – wymamrotała, kiedy się już uspokoiła.

– No z mojej strony to wcale nie jest zabawne – poirytowała się Brice. Nie spodobało się jej to, że kobieta się z niej śmiała. W końcu to, co próbował zrobić, było przestępstwem i podpadało pod paragraf. – Zostawił mnie w tej śmierdzącej chacie i kazał ją spalić. Ze mną w środku – wyjaśniła, zaciskając ze złością ręce, a potem się skrzywiła.

Miała pocierane całe dłonie i ramiona, choć nie były to jedyne rany na jej ciele. W większości były one zasługą tego cholernego drania.

– Aleś nie spłonęła – powiedziała staruszka, uśmiechając się pod nosem.

– Ale gdyby mnie nie wyniósł, to bym spłonęła – szepnęła, dostrzegając wesołe ogniki w oczach kobiety. Odetchnęła głęboko. Faktycznie. Coś w tym było. Zdała sobie sprawę z tego, że nie wie o tej kobiecie absolutnie niczego. Nawet jak się nazywa. – Kim pani właściwie jest? – zaciekała się.

– Mów do mnie Una – stwierdziła po krótkiej chwili staruszka. Nie pozwalała każdemu tak się do siebie zwracać i choć nie była nikim więcej niż piastunką, to traktowano ją inaczej ze względu na Blane’a. – Zaraz każę służbie zrobić dla ciebie coś do zjedzenia, a teraz muszę cię obejrzeć i opatrzyć. Widzę, że ten łotr całą cię poturbował podczas tej waszej rozmowy i po twoich sugestiach, które żeś mu na policzku zostawiła – palnęła rozbawionym głosem.

– Powinien się cieszyć, że nie miałam pod ręką skalpela, bo wtedy moje sugestie powiększyłyby mu uśmiech – wymamrotała pod nosem ze złością. Nagle coś sobie uświadomiła. – Jesteś lekarzem? – zapytała lekko zdezorientowana i nagle ponownie oblało ją gorąco, gdy przypomniała sobie o Blanie w zupełnie innym kontekście. – Musimy po niego iść, ale teraz! Natychmiast! On jest ranny. Rozmawiamy tu o nim, jak gdyby nigdy nic, a on pewnie leży w jakimś rowie i umiera samotnie, bez żadnej pomocy. Tamten człowiek go strasznie pociął. Bardzo mocno. Mieczem. Takim dużym – wypaliła z przejęciem.

– Spokojnie, moje drogie dziecko. Ranami Blane’a już się zajmę. Nie musisz się o niego zamartwiać – poinformowała przebiegle Una.

– Oczywiście, że nie muszę i zaręczam ci, że wcale się o niego nie martwię. On zupełnie mnie nie obchodzi. Ani on, ani jego zdrowie – obruszyła się Brice. – Może sobie nawet... – Coś do niej dotarło. – Jak to ranami? Zranili go jedynie w ramię. Jeden raz. Widziałam to na własne oczy – wypowiedziała z przejęciem.

– Biodro również poczuło zimną stal – wyjaśniła.

– Ale jak to poczuło? W sensie, że co?

– Raniono go też w biodro podczas walki – tłumaczyła jak dziecku.

– Naprawdę? – wydusiła Brice, teraz już nie na żarty zaniepokojona stanem zdrowia tego drania, który istotnie mógł gdzieś tam dogorywać samotnie, a może nawet już ratunku dla niego nie było w tej chwili. – Ale ja nie widziałam – wyszeptała z niepokojem.

– No ale jego zdrowie cię nie martwi. Sama tak rzekłaś przed chwilą – stwierdziła, przekornie się uśmiechając.

– Oczywiście! Ale to humanitarne nie jest, żeby rannemu pomocy nie udzielić, nawet takiemu jak on – wypowiedziała. – Ranny jest. Musimy go znaleźć i opatrzyć. Najlepiej daj mi teraz telefon i poszukaj go, a ja w tym czasie zadzwonię do mojej asystentki i poproszę o numer do tego chirurga plastycznego. Powiem jej, że chcę sobie botoks w usta wstrzyknąć, żeby nie zadawała pytań – dedukowała.

– Nie wiem, o czym mówisz, dziecko, ale o Blane’a się nie troskaj. Zajęłam się nim i opatrzyłam. Rany nie są groźne i z pewnością jeszcze niejedną walkę stoczy. Inna boli go najbardziej – dodała, chichocząc, a Brice zmarszczyła czoło.

Nie miała pojęcia, że zraniono go więcej niż raz, a teraz okazuje się, że zadano więcej ran. Może właśnie przez to zachowywał się jak ostatni furia? Ramię, biodro. Na myśl o biodrze poczuła mimowolny

dreszcz. Gdy się szamotała, kilkakrotnie właśnie tam go uderzyła. Celowała co prawda w krocze, lecz bronił się dość zaciekle. Prawie tak samo jak ona. Przezornie nie powiedziała Unie, że jego biodro poczuło coś więcej niż tylko zimną stal. Nie było sensu zbyt wiele jej wyjawiać. Szczerze mówiąc, zachowywała się dość dziwnie.

– Jaka rana boli go najbardziej? – dociekała zaniepokojona. Czyżby wcelowała i tam?

– Sądzę, że twoje sugestie najbardziej mu doskwierają – stwierdziła, dławiąc się ze śmiechu. Brice początkowo jej nie rozumiała, dopiero po chwili dotarło do niej, o czym mówi kobieta.

W pierwszym momencie poczuła złość, lecz zaraz parsknęła głośnym śmiechem.

Faktycznie jego twarz poniosła chyba największy uszczerbek z jej strony.

– Myślisz, że dlatego mnie uderzył? – zapytała smutno, a Una westchnęła.

Nie wiedziała, co jej odpowiedzieć. Dziewczyna była cudzoziemką. Być może tam, skąd pochodziła, panowały inne zwyczaje. Tu mężczyźni nie krępowali się i nie wahali podnieść ręki na kobietę, choć nie każdy tak czynił. Blane nie należał do takich, którzy zbyt łatwo przejmują się niewiastami. Miał potrzeby i je zaspokajał. Do gwałtu nie musiał się uciekać, bo każde dziewczę z radością szło do jego łóżka. Choć niczego poza sypialnianymi uciechami od kobiet nie oczekiwał. Una po raz pierwszy widziała go zachowującego się w ten sposób. Trudno było powiedzieć, czy to dobrze, czy źle. Był bardzo zagniewany na dziewczynę i starszka miała pewność, że jeszcze nie skończył się nad nią pastwić. Widziała też w nim troskę, co nieskończenie ją zadziwiło. Czuła, że tu nie będzie spokoju. Ale które zrobi któremu większą krzywdę? To pozostawało kwestią sporną.

Do tej pory nigdy żadna kobieta tak mu się nie postawiła. Nigdy żadna nie uniosła na niego ręki. Nikt tego nie zrobił. Nigdy nikt nie nazwał go tchórzem. Una wiedziała, że zabiłby każdego, kto by to zrobił. Każdego, oprócz tej dziewczyny.

Poczynania Brice też były dziwne. Una wcześniej nie widziała, aby jakakolwiek kobieta zachowywała się tak odważnie wobec mężczyzny. Prawdopodobnie to objaw szaleństwa, z drugiej strony ona podczas rozmowy brzmiała całkowicie normalnie. Gdyby nie plotła wciąż tych nedorzecznych głupot, to nie można byłoby jej nawet podejrzewać o żadną chorobę psychiczną, bo w wyglądzie nie znalazłoby się u niej żadnej ułomności. Była przeraźliwie chuda, z pewnością na skutek przetrzymywania w niewoli, ale twarz miała całkiem ładną. Włosy potargane i miejscami oblepione błotem, ale nawet w takim stanie dostrzec było można, że są długie oraz zadbane. Wystarczyło ją umyć, doprowadzić do ładu, odkarmić i mogłaby z niej być całkiem urodziwa panna. I pewnie niejednemu we łbie by tu zawróciła, gdyby chora na szaleństwo nie była.

– Jesteś głodna – oznajmiła, przerywając ciszę. – Dziewki wodę przyniosą, trochę się obmyjesz, a później cię opatrzę. W tym czasie strawę jakąś przygotowują, zjesz coś, a później odpoczniesz. Jutro będzie czas na rozmowę – zmieniała dyplomatycznie temat.

Nie chciała dyskutować o zachowaniu Blane'a, bo dla niej samej było ono poniekąd niezrozumiałe. Widziała, że dziewczyna niechętnie, lecz nie zaprotestowała.

– Powinam się skontaktować z...

Z kim powinna się skontaktować? Z rodziną? Nie utrzymywała relacji z ojcem, odkąd opuściła w gniewie rodzinny dom. Więc do kogo miała dzwonić? Do pracowników? Una zauważyła, że dziewczyna posmutniała i zrobiło jej się przykro. Jak długo mogli trzymać ją w tej niewoli? Czy bardzo ją skrzywdzili? Chciała jakoś ją rozbawić. Odciągnąć jej myśli od tamtych ponurych zdarzeń. Bo właśnie one mogły ją do obłędu doprowadzić.

– Ten osioł kazał ułożyć cię na podłodze – powiedziała, próbując ją rozweselić i głośno się roześmiała na wspomnienie desperacji w oczach Blane'a.

Ten drań doskonale wiedział, że i tak go nie posłucha, więc wydał jej taki rozkaz, chcąc zachować twarz. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że jeszcze większego błazna z siebie robi. Gdyby z innej strony na to spojrzeć, może właśnie to było powodem jego żądania. Bo doskonale widziała po jego reakcjach w stosunku do nieznanym dziewczyny, że nie kazałby jej spać na podłodze. Jeżeli chciał wziąć ją siłą i tego nie zrobił, jeżeli darował jej taką obelgę jak nazwanie go tchórzem, na pewno nie zaryzykowałby jej śmierci. A poraniona i niedożywiona raczej nie przeżyłaby nocy na zimnej posadzce w chłodnej komnacie.

– Jaki osioł? – Brice zupełnie nie rozumiała, o co kobiecie chodzi.

Czasem starszka plotła dziwne rzeczy. Brice zwała to na karb bariery językowej, ale nie sposób

było pominąć faktu, że mówiła w jakiś niesamowicie pokręcony sposób. *Pewnie dlatego, że jest stara* – pomyślała.

– Blane – dotarł do niej głos Uny i się uśmiechnęła.

Tak, określenie „osioł” w stosunku do jego osoby przypadło jej do gustu. Po chwili zaczęła pojmować sens słów kobiety, a uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Co kazał zrobić?

– Ułożyć cię na podłodze – powtórzyła ze śmiechem staruszka, smarując delikatnie ramię dziewczyny śmierzdzącą maścią, która dawała natychmiastowe ukojenie. – Lecz dodał, aby cię okryć.

– Powiedział, żeby mnie ułożyć na podłodze i okryć? – wycedziła każde ze słów.

– Nie martw się, dziecko, on tak specjalnie mówił. Sam sobie przeczy. Już ja go znam – dodała po chwili.

Brice była wściekła i te słowa wcale jej nie uspokoiły. Po tym wszystkim, co jej zrobił i jak ją potraktował, miał jeszcze czelność wysunąć tak niedorzeczne żądanie. *Przecież ten bydlak mnie uderzył* – pomyślała z żalem. Lecz czego mogła się spodziewać? Łóżka z baldachimem? Gorącego przyjęcia?

– Nie martwię się – odparła wściekle. – Nie mam zamiaru zostać tu ani chwili dłużej. Zamówię taksówkę i... Gdzie my w ogóle jesteśmy? Czy w okolicy jest jakiś hotel? – zapytała i zobaczyła, jak na twarzy Uny pojawia się smutek. Od razu pożałowała swoich słów. Ta kobieta nie była niczemu winna. Okazała jej troskę i opatrzyła rany.

– Masz gorączkę, Brice. Prześpisz się i od razu poczujesz się lepiej, jutro porozmawiamy – poinformowała staruszka, a dziewczyna się uśmiechnęła. W głosie Uny słyszała serdeczność.

Poczuła żal. Zawsze chciała, aby taka była jej matka. Niestety rodzicielka zamiast matczynego ciepła miała przerośnięte ambicje, przez co latami skrzypce stanowiły nieodłączny element życia panny Pinard. Lubiła na nich grać, chociaż nie one były jej pasją. A rodzicielka była głucha na słowa córki, która nie chciała zostać światowej sławy skrzypaczką, jaką nie udało się stać jej matce.

Brice spontanicznie przytuliła się do staruszki, na co tamta w pierwszym odruchu zeszywniała, zupełnie zaskoczona jej nieoczekiwaną reakcją. Jednak w końcu otoczyła ją ramieniem i odwzajemniła uścisk.

– Już dobrze, dziecko – uspokajała, sprawiając, że w oczach Brice zaszklily się łzy. Mogła być jej babką, choć teraz czuła się tak, jakby w uścisku trzymała ją matka. Taka, jakiej zawsze pragnęła.

– Twój syn jest potworem – oznajmiła z pasją na wspomnienie, jak potraktował kobietę Blane. – Nigdy nie powinien się tak do ciebie zwracać. Nie możesz mu na to pozwalać.

– Mój syn? – Staruszka spoglądała na nią zaskoczonym wzrokiem. Brice zagryzła wargę, lekko zakłopotana. *No tak, ona jest o wiele starsza* – pomyślała.

– Twój wnuk? – badała grunt, lecz widząc, że Una nie ma pojęcia, kogo ma na myśli, dodała: – Blane.

– On nie jest ani mym synem, ani wnukiem – odparła ze śmiechem. – Jestem jego piastunką. Matka mu pomarła, gdy tylko go powiła – w jej głosie pojawił się smutek.

– Nie wiedziałam – wyszeptła dziewczyna, a kobieta przyglądała jej się uważnie.

– Czy ty wiesz, kim jest Blane? – zapytała poważnym tonem.

– Oprócz tego, że kawał z niego drania, to nie mam pojęcia – odparła rozbijając Brice. Una tylko się roześmiała.

Skąd pochodziła ta dziewczyna? I kim tak naprawdę była? To wszystko intrygowało staruszkę coraz bardziej, jednak na razie nie chciała mieszać jej w głowie. Powinna odpocząć. Una miała świadomość tego, że Blane był na tyle uparty, że tak po prostu nie odpuści Brice i jeszcze niejedną raz będzie ją dręczył. Postanowiła, że nie pozwoli uczynić jej krzywdy. Pomimo że była jedynie starą, schorowaną kobietą, miała tu cokolwiek do powiedzenia. Uścisk, jakim obdarzyła ją Brice, poruszył jej wiekowe serce i w jakimś stopniu wzruszył.

Zawsze chciała mieć dzieci. Niestety jej mąż zginął w bitwie, zanim jeszcze obdarzył ją tym darem. A później zdecydowano za nią, że przyda się bardziej na zamku. Na początku była piastunką matki Blane'a, Lilas2. Kiedy dziewczynka dorosła, została jej służącą. Kochała ją jak własną córkę, a dziewczyna odwzajemniała tę miłość, ponieważ jej biologiczna matka myślała jedynie o przyjemnościach i rodzenie dzieci traktowała jako obowiązek.

Gdy więc Lilas wyszła za mąż za Edana MacLeoda, naczelnika klanu, Una została przy niej. Był to piękny okres w jej życiu, gdyż to małżeństwo było udane, a rodzice Blane'a bardzo się kochali. Kiedy okazało się, że Lilas jest brzemienna, każdy się radował. Niestety poród zakończył się nieszczęściem, a kobieta zmarła, nie ujrawszy nawet dziecięcia. Na zamku zapanowała żałoba. Ojciec Blane'a zaczął topić smutki w kieliszku. Starał się okazywać miłość synowi i Blane nigdy nie spotkał się z jego gniewem. Jednak mężczyzna unikał dziecka, ponieważ przypominało mu jego zmarłą żonę. Chłopiec rzadko widywał ojca i choć się nie poskarżył, Una widziała, że brakowało mu miłości rodzica.

Gdy Blane miał siedem lat, Edan został ranny w jednej z bitew. Una niejednokrotnie słyszała, że opowiadano sobie, iż pchał się jak szalony pod miecze wroga, jakby chciał zginąć. Odniesione rany były ciężkie, aczkolwiek był silnym mężczyzną. Przeżył. Stracił natomiast wolę życia. Chorował przez kilka miesięcy, nie wstawał z łóżka, z nikim nie chciał się widywać. Nawet z synem. Zmarł któreś letniej nocy. Kiedy służący odnalazł go rankiem, Edan miał uśmiech na twarzy. Wszyscy wiedzieli, że śmierć była dla niego poniekąd wybawieniem. Przyjął ją z radością. Pragnął jej. Był dobrym i sprawiedliwym człowiekiem. Ludzie płakali po jego odejściu. Lecz Blane od tego momentu zamknął się w sobie. Z czasem to mijało. Powoli otwierał się na innych, choć Una wiedziała, że odcisnęło to piętno na jego życiu. Po śmierci ojca rządy objął jego stryj. To również był dobry człowiek, niemniej nie miał już w sobie tej serdeczności i wiele rzeczy uległo zmianie. Ale nikt nie narzekał.

Gdy Blane dorósł, zatracił się w walce. Trenował całe dni, nocami pił na umór i zabierał do łóżka coraz to inną kobietę. Był przystojnym mężczyzną i nie istniała taka, która by go odrzuciła. Kiedy skończył dwadzieścia jeden lat, objął rządy i jako naczelnik klanu uspokoił się. Radził sobie początkowo przeciętnie. Una widziała, że nie został do tego stworzony. Z czasem odnalazł powołanie. Czuła, że nie jest to do końca prawdą, gdyż miał uparte usposobienie. Czasem wmawiał sobie coś na przekór, tłumacząc sam przed sobą w najbardziej irracjonalny sposób, jednak nigdy z nim o tym nie rozmawiała. Starła się przy nim trwać, ponieważ wiedziała, że jej potrzebuje, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Czasem zastanawiała się, czy wierzy w to wszystko, co sobie próbował wmówić. Momentami ją to śmieszyło, lecz bywały chwile, gdy w skrytości płakała.

Blane był doskonałym wojownikiem, jego rządy były mądre i sprawiedliwe, choć czasem zbyt chaotyczne. Był groźny oraz srogi, ale uczciwy, może nie zawsze dla siebie. Wciąż trzymał dystans i nigdy w nic się tak do końca nie angażował, niemniej we wszystko wkładał całe serce. Ludzie go szanowali i w jakiś sposób się go lękali. Bywał nieprzejednany. Dobrze było być jego przyjacielem, natomiast dla wrogów bywał okrutny. Czasem nawet aż za bardzo.

Nigdy nie związał się z żadną dziewczyną, pomimo że był świadom tego, iż musi kiedyś spłodzić dziedzica, a do tego potrzebna jest kobieta. Żona, a nie wieśniaczka. Una zdawała sobie sprawę, że to wkrótce nastąpi, i upatrywała w tym nadzieję. Pragnęła, aby niewiasta odmieniła jego życie. Aby wniosła do niego ciepło. Pojmowała, że w końcu jakaś szkocka panna wysokiego rodu obejmie rządy na zamku, i prosiła w duchu, by była to dobra, kochająca kobieta. Teraz lękiem napawało ją to, że pojawienie się Brice może skomplikować sprawę.

Czuła, że oni prędzej czy później albo się pozabijają, albo zapałają do siebie namiętnością. A cudzoziemka nie byłaby mile widziana przy boku naczelnika, nie spodobałoby się to innym władcom i mogliby to uznać za słabość. To mogłoby być zgubne, mogło osłabić klan. Więcej bitew, więcej strat, większy gniew wewnątrz społeczności. I życie Blane'a znalazłoby się w niebezpieczeństwie. Una wiedziała, że nie może do tego dojść. Był ostatnim, który jej pozostał. Nie mogła pozwolić, aby coś mu się stało. Tak jak nie mogła dopuścić, aby on zrobił krzywdę Brice. On albo ktokolwiek inny.

Przyglądała się dziewczynie, która z apetytem zjadała posiłek, jaki jej podano. Co chwilę ziewała, więc Una domyśliła się, że jest bardzo zmęczona. Wyczerpana i obolała. Poturbowana przez tego łotra. Na myśl o tym poczuła złość oraz lekki zawód. Nie spodziewała się po nim takiego zachowania. Krzywdząc nieznaną, postąpił jak prawdziwy Zwierz, którym go nazywano.

– Kim jest? – zapytała dziewczyna, a Una zorientowała się, że już po raz drugi powtórzyła to pytanie. Spojrzała na nią pytającym wzrokiem. – Kim jest Blane? – dodała.

– Jest właścicielem tego zamku i naczelnikiem klanu – odparła Una.

– Naczelnikiem – powiedziała sama do siebie. Czego naczelnikiem? Poczty? – Chyba dość duży jest ten zamek – stwierdziła raczej obojętnym tonem.

Nie miała pojęcia, jaką funkcję pełni naczelnik, ale musiał chyba sporo zarabiać, jeżeli stać go było na własny zamek. Chyba że go odziedziczył. Teraz z perspektywy czasu zaczynało do niej docierać, że prawdopodobnie ze wszystkim przesadzała i niepotrzebnie wyolbrzymiała. Niby widziała te morderstwa, ale to niemożliwe. Pewnie można to jakoś logicznie wytłumaczyć. Gdyby doszło do incydentu na taką skalę, na pewno w ciągu kilku minut zaroiliby się tam od policji i karettek. Nie ujrzała tam nawet jednego wozu strażackiego, a do takiego ogromnego pożaru wysłano by co najmniej kilkanaście jednostek. Nie. Cokolwiek tam się wydarzyło, z pewnością nie było aż tak straszne, jak to odebrała.

Faktycznie potrzebowała snu, musiała odpocząć, a po przebudzeniu będzie myślała jaśniej. Wszystko sobie wytłumaczy. Przede wszystkim musi się zorientować, gdzie jest i kim jest ten kretyń. Poza tym, że nazywa się Blane MacLeod, jest naczelnikiem i posiada zamek, nie wiedziała o nim niczego.

Ach, zapomniała jeszcze o tym, że morduje z zimną krwią, choć to będzie pewnie można jutro sprostować i okaże się, że to jakaś ustawka. Normalny facet nie łązi po ulicach w spódnicy, zakrwawiony i z mieczem w ręku. Szkot Szkotem, wiedziała, że taki mają tradycyjny strój. Ale nie na co dzień. To byłoby co najmniej dziwne. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Bez dwóch zdań hałas i palące się budynki na pewno ściągnęłyby radiowozy oraz straż pożarną. A tam nie pojawił się dosłownie nikt. Pamiętała, że tego wieczoru sporo wypijała. Najpierw w domu, później na pokazie. Alkohol zawsze szybko uderzał jej do głowy. Możliwe, że tam nawet nikt nie zginął i to faktycznie były jedynie bardzo realistyczne efekty specjalne. Bo nikt przy zdrowych zmysłach tak jawnie nie morduje. A już szczególnie jakiś naczelnik poczty, posiadający zamek i chodzący sobie po mieście w spódnicy.

Starła się nie myśleć o tym, co on z nią zrobił, gdyż faktem jest, że prawie doszło do gwałtu. Jednak miała pełną świadomość tego, że pragnęła go wtedy i poniekąd go sprowokowała, rzucając mu się w ramiona i całując. Gdyby nie był tak brutalny, to nie miała wątpliwości, że uprawiałaby z nim tej nocy seks w tym brudnym miejscu. Również w momencie, gdy on zaczął zachowywać się jak ostatnie bydlę, ona miała jakąś głęboko ukrytą, abstrakcyjną myśl, że jakoś go powstrzyma i, co prawda z trudem, lecz jej się udało.

A później po nią wrócił. I choć zdawała sobie sprawę z tego, że cholerny z niego brutal oraz skończony drań, że poturbował ją i przez niego wygląda teraz jak ostatnie nieszczęście, odnosiła też paskudne wrażenie, że w jego obecności jest bezpieczna. A to on skrzywdził ją najmocniej. Chociaż z drugiej strony dzięki niemu poznała Unę i, choć kobieta była dziwna i czasem mówiła w jakiś nietypowy sposób, wydawało się to całkiem normalne, bo przecież też była cudzoziemką.

Jednak istniała jedna rzecz, której nie umiała sobie wytłumaczyć. Dlaczego on tak bardzo przypominał mężczyznę z obrazu?

Z drugiej strony Brice zdawała sobie sprawę, że tę fotografię widziała zaledwie kilka razy, a obraz właściwie przez parę sekund, więc nie mogła mieć pewności. Facet był podobny i tyle. Wiedziała, że to głupie tłumaczenie, ale nie myślała jasno i tylko to przychodziło jej do głowy.

Jedyne, co w tej chwili było dla niej oczywiste i czego była pewna, to fakt, że jednego mu nie wybaczy. Nikomu nie pozwoli się bezkarnie policzkować. Blane MacLeod jeszcze pożałuje, że podniósł na nią rękę. To było już przesądzone.

Jedząc, rozglądała się po pomieszczeniu. Było urządzone w starodawnym stylu. Ktoś bardzo się postarał, aby osiągnąć wiarygodny efekt. Trochę przeszkadzało jej to, że w pomieszczeniu paliły się jedynie świece, przez co nie mogła wszystkiego obejrzeć dokładnie. Jednak facet musiał mieć świra na punkcie szczegółów.

W sali znajdował się długi na jakieś pięć, może nawet sześć metrów stół. Po obu jego stronach stały regały, które wyglądały tak jak regały na książki. Były tam jedynie półki, żadnych drzewiczek. Poustawiano na nich różnej wielkości woreczki oraz naczynia, w głównej mierze okrągłe pojemniki przypominające antałki. Stały tam jeszcze dzbany. Na dole zaś wiadra. Brice widziała, że wyglądały, jakby wykonano je z drewna i obwiązano sznurkami. Postanowiła, że jutro przyjdzie tu podziękować staruszce, a przy okazji obejrzeć te naczynia.

Do pomieszczenia od czasu do czasu wchodziły jakieś kobiety, głównie były to młode dziewczyny. Przyglądały jej się z zaciekawieniem, lecz się nie odzywały. Miały na sobie dziwne fartuchy, które na pierwszy rzut oka przypominały długie do samej ziemi sukienki. Ale to niemożliwe, żeby każda z nich posiadała aż taki zły gust i wszystkie były ubrane tak samo.

Oczy kleiły jej się coraz bardziej, czuła się senna. Miała wrażenie, że za moment usnie na siedząco.

Skończywszy jeść, ujrzała, jak kobieta przygląda jej się z troską. Gdy się uśmiechnęła, Una odwzajemniła ten gest. Nie miała pojęcia, jak długo już tu siedzi. Czy była to godzina, czy może dwie, a nawet więcej. Wiedziała jedno, jeszcze nigdy nikt nie sprawił, żeby poczuła do kogoś w tak krótkim czasie tak wiele sympatii. Una była jej teraz bliższa niż ktokolwiek. Nawet jej ojciec. A Blane? O tym draniu nie chciała wcale myśleć.

– Chodźże, córko, zaprowadzę cię do sypialni – szepnęła Una, a Brice ścisnęło się serce od ciepła, jakie tkwiło w głosie kobiety, która przezornie nie powiedziała jej, czyja to sypialnia.

Początkowo miała wątpliwości, czy ją tam zabierać. Ale wiedziała, że pomieszczenia dla służby są niewygodne i bardzo ciasne. Brice musiałaby spać z którąś z dziewczyn na wąskim łóżku. Obawiała się też ulokować dziewczynę w innym pokoju, gdyż zdawała sobie sprawę z tego, że po bitwie mogą kręcić się tu jacyś mężczyźni, którzy będą sobie chcieli poużywać z dziewczkami kuchennymi i pokojówkami. Mogłoby się zdarzyć, że któryś drań trafiłby na Brice i nie skończyłoby się to szczęśliwie. Una miała pewność, że nikt nie ośmieli się wejść do sypialni Blane'a. To było jedyne bezpieczne pomieszczenie. A on sam prawdopodobnie wróci na zamek dopiero jutro. Czasem nie było go nawet dłużej. Musiał odreagować, spuścić wszystkie negatywne emocje. Rozumiała to. Walka wykańczała nie tylko fizycznie.

Brice posłusznie poszła za Uną. Nie miała pojęcia, jak długo szły. Początkowo podążały wąskim korytarzem, później wchodziły po schodach, a następnie przechodziły przez jakiś pokój i ponownie schodami. Po dotarciu na miejsce Brice była już tak senna, że myślała jedynie o tym, aby jak najszybciej trafić do łóżka.

Rozejrzała się niemrawo po pomieszczeniu. Było ogromne. Nie miała pojęcia, jak duże były okna, ponieważ zasłaniały je długie do samej ziemi, ciężkie kotary w ciemno bordowym kolorze, który niczego nie przepuszczał. Jedyne oświetlenie stanowiła świeczka, przyniesiona przez Unę. Nie dawała jednak zbyt wiele światła. Brice uśmiechnęła się szeroko, kiedy wreszcie namierzyła łóżko. Było ogromne. Bez problemu zmieściłoby się tam co najmniej kilka osób. A teraz miała je całe dla siebie. Westchnęła z ulgą.

– Połóż się, dziecko. Jutro po ciebie przyjdę.

– Dziękuję – powiedziała niewyraźnie Brice i przytuliła staruszkę, która nie była przyzwyczajona to tego typu zachowań. Jednak przynosiło jej to wiele radości.

Gdy tylko kobieta wyszła, Brice ruszyła w stronę łóżka. Po paru krokach potknęła się o coś i upadła. Wymacała dłonią i zorientowała się, że jest to cholerne posłanie. Przypomniała sobie, czego zażądał ten drań i poczuła złość. Łzy stanęły jej w oczach. Czy mógł upokorzyć ją jeszcze bardziej? Bezradnie opadła na miękką tkaninę. Miała dość i było jej wszystko jedno, czy leży na łóżku, czy na podłodze. Kiedy zasypiała, w jej oczach nadal szkliły się łzy. Nie mogła wiedzieć, że to nie posłanie, które dla niej zostawiono, lecz zwierzęca skóra od zawsze leżąca przy łożu.

1 Społeczność klanowa dzieliła się na trzy grupy – ród naczelnika (wodza), członków klanu o tym samym nazwisku co naczelnik, zachowujących tradycje wspólnego, często legendarnego pochodzenia i tzw. ludzi złączonych (tych jest najmniej), są to dawni mieszkańcy ziem zajętych przez klan, członkowie dawnych podbitych klanów, noszący różne nazwiska, ale uznawani za współklanowców. I tu zachodzi pewna komplikacja. Duża liczba osób o tym samym nazwisku wprowadza spore zamieszanie i wynika z tego wiele nieporozumień. Statystycznych Janów Kowalskich byłoby zatrzęsienie. Szkoci znaleźli na to sposób i nadawali sobie przedziwne imiona, np. Siusaidh – łaskawa lilia; Torra – wieża; Achaius – przyjaciel koni. W tej powieści będę używała przeróżnych nietypowych imion. W przypisach będę podawała ich znaczenie, aby przekazać więcej informacji oraz zachować jak największą wiarygodność. Una w dosłownym tłumaczeniu – jagnię. Blane – żółty. Dodam, że przy wyborze imion nie sugerowałam się ich znaczeniem (przyp. aut.).

2 *Lilas* – (ze szkoc.) Lilia (przyp. aut.).

3 *Edan* – (ze szkoc.) Ogień (przyp. aut.).



## Rozdział 6 Ona jest inna



Gdy tylko wyszedł z pomieszczenia kuchennego, gdzie zostały Una i Brice, miał ochotę wrzeszczeć. Zachowanie dziewczyny wyprowadzało go z równowagi. Chciał rozedrzeć ją na strzępy, pomimo że znał ją zaledwie kilka godzin. Choć znał, to zbyt wielkie słowo. Uratowała mu życie, później on ocalił ją przed mieczem wroga, a następnie tak po prostu próbował ją zgwałcić. W zasadzie zamierzał ją jeszcze spalić, ale doszedł do wniosku, że zasłużyła sobie na bardziej wymyślne cierpienie. Nazwała go tchórzem i bez chwili wahania podniosła na niego rękę. Nie mógł puścić tego płazem.

Była tylko kobietą. Czuł na sobie złość, że ją uderzył. Ledwie trzymała się na nogach i nie mógł określić, w jakim tak naprawdę jest stanie. Widział, że nie spodobało się to Unie i zdawał sobie sprawę z tego, że będzie mu teraz robić wyrzuty. Mógł poczekać i ją obić, gdy będą sami. Policzek zadany kobiecie, szczególnie takiej jak Brice, nie świadczył dobrze o mężczyźnie. Powinien połamać jej kości kijem, lecz działał odruchowo. Był poniekąd szczęśliwy, że nie miał pod ręką miecza albo nie uderzył pięścią. Była drobna i słaba, więc obie te rzeczy mogłyby ją zabić.

– Musi cierpieć długo – powiedział zdecydowanym tonem.

Kiedy zszedł po schodach, zatrzymał się przy poustawianych w długim rzędzie beczkach i po chwili wahania usiadł na jednej z nich. Musiał trochę się uspokoić, zanim uda się do swoich ludzi. A może nie iść wcale? Taka myśl pojawiła się na ułamek sekundy, ale zaraz zganił się i ze złością zacisnął dłoń na drewnianych uchwytych beczki. Dlaczego tak się dziś zachowywał? Zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

– Prowokowała mnie – mruknął.

Jego myśli przypominały coraz bardziej irracjonalny bełkot. Zwykła dziewczyna. Pomyłona cudzoziemka, bezczelna i przetrzymywana w niewoli, nie wiadomo jak długo. Prawdopodobnie zabawiał się z nią każdy z klanu MacAulay. Dlaczego wtedy o tym nie pomyślał? Pewnie gwałcono ją niejednym razem. Pokręcił ze złością głową. Jej zachowanie nie wskazywało na to, że ktokolwiek mógł ją mieć. Miotła się niczym dzika kotka. Miał wrażenie, że prędzej się zabije, niż pozwoli pojąć. Była tak aktywna w tych szarpaniach, że on również został nieźle poturbowany. Działała na niego niczym draska na zapalkę. Każdy jej ruch powodował, że on chciał wykonać kolejny.

– Jak śmiała mnie uderzyć? – Był wściekły. – Jak miała czelność nazwać mnie tchórzem?

Chciała, żeby ją gwałcił, patrząc jej w oczy? Nie ma sprawy, będzie patrzył jej w oczy. Poczł złość na myśl o tym, że nie umiałby tego zrobić. Nawet gdy ją uderzył i zobaczył ten zawód oraz zdziwienie na jej twarzy, poczuł jakiś niezrozumiały wyrzut. Ale dlaczego? To tylko zwykła kobieta. W dodatku wariatka. Mówiła takie dziwne rzeczy.

Chciał ją rozumieć. Nienawidził czegokolwiek nie wiedzieć. A w tym wypadku w szczególności złościło go to, że nie miał pojęcia, o czym ona mówi, i choć zdawał sobie sprawę z tego, że jest szalona, i tak pragnął ją zrozumieć. Może to po prostu wynik szoku. Musiał za wszelką cenę odkryć, skąd pochodzi. Był prawie pewien, że jest Francuzką. Zastanawiał się, czym jest komórka. Przecież ona pytała go, czy ją ma, powinien wiedzieć, o co jej chodziło. Czy to jakiś rodzaj broni? Nigdy o czymś takim nie słyszał.

Dręczyło go, kim jest policja. Nieznajoma chciała ją wołać. Musiał też dowiedzieć się, kim jest kurwa. Wyraźnie zapytała, co tu się, kurwa, dzieje? Ale przecież tam nikogo nie było. A może był? Ta dziewczyna była jedną wielką zagadką, a on postanowił, że zanim ją zabije, najpierw dowie się tych wszystkich dziwnych rzeczy, o których mówiła. Jeszcze wcześniej będzie ją torturował. Nie zdecydował wciąż jak, ale był pewien, że nie może tak po prostu pozwolić nazywać się tchórzem. Czuł złość, bo zabolowało

go to, iż w jakimś stopniu miała rację. Powinien na nią patrzeć, gdy ją gwałci. Gdyby nie jej cholerne odzienie, to może i tak by było. Ale nie dawał sobie rady z tym ubiorem. *Teraz jednak prawie nic z niego nie zostało* – pomyślał dziwnie zadowolony.

Mógł ją zabić, ale poczuł żądzę i postąpił jak jego ludzie. Rozerwał jej szatę, a kiedy go uderzyła, ogarnęło go coś dziwnego. Z jednej strony chciał wypruć z niej bebechy, lecz z drugiej pojawiło się inne pragnienie. Gdy zaczęła go całować, zadziwiła go. Przez moment pomyślał, że to może być jakiś podstęp. Ale w jej namiętności nie mogło się kryć nic złego. Całowała tak inaczej niż wszystkie znane mu kobiety, a to podnieciło go jeszcze bardziej. Był na nią gotowy w każdej sekundzie, jak tylko czuł jej bliskość. Nawet gdy wpadła w jego ramiona, kiedy w ich kierunku nadbiegł MacMillan. Była taka nietypowa. Pachniała tak inaczej. Całowała go, a on zdawał sobie sprawę, że to ona jest teraz dowódcą. I coś w tym mu się spodobało. To podniecało go do tego stopnia, że zagalopował się i stał się tak gwałtowny, jak jeszcze nigdy wcześniej. To chyba ją spłoszyło. Uderzyła go, wyzwalała od tchórzy, podrapała, a on jej nie zabił. Dlaczego? *Ach tak, tortury* – przypomniał sobie i westchnął zrezygnowany.

– Po prostu chcę wiedzieć – wyszeptał po chwili.

Czuł złość na wspomnienie niedawnego zajścia. Miał ochotę udusić Unę gołymi rękami. Jak mogła powiedzieć do niego „chłopcze” przy Brice? Zwierz? Osioł? Ciele? Ta kobieta była prawie tak samo irytująca, jak ta cholerna, pomyłona cudzoziemka. Ze złością zeskoczył z beczki i oddalił się pospiesznym krokiem w kierunku stajni. Zawsze pokonywał ten dystans pieszo, tym razem postanowił pojechać konno, aby dotrzeć szybciej.

Zamek Ardreck<sup>4</sup> położony był nad jeziorem Loch Assynt. Na niewielkim wzniesieniu, zewsząd otoczonym wodą. Nie była ona głęboka, toteż nie istniała konieczność wybudowania mostu zwodzonego. Do niezbyt oddalonego od budowli brzegu jeziora usypano jedynie szeroki pas ubitej ziemi. Z zamkowego dziedzińca wyjeżdżało się na nieduży plac porośnięty trawą. Po obu stronach, tuż przy samym brzegu zbiornika wodnego, wzniesiono gruby, solidny, kamienny mur, którego boki ginęły pod taflą.

Pognał konia i po chwili galopował już po łące. Kilkaset metrów od zamku jego ojciec wybudował kiedyś okazały budynek. Miał to być prezent dla jego matki, ale z opowieści Uny Blane dowiedział się, że nigdy z niego nie korzystała, woląc przebywać z mężem na zamku<sup>5</sup>. Przez kilka lat *Calda House* stał więc pusty. Później zamieszkali tam jego ludzie wraz z rodzinami. Znajdowało się tam wiele pomieszczeń, ponieważ budynek miał aż trzy kondygnacje, a oni wspólnie je zagospodarowali. Znajdowało się tam też coś w rodzaju gospody. Na samym środku poustawiano stoły, przy których zasiadali i ucztowali. Blane jako wódz musiał mieć stały kontakt z poddanymi, toteż bywał tam niemal codziennie. Zabierał ze sobą jakąś dziewczkę, aby się zabawić, a rankiem wypuszczał ją ze swojego łóża. Bywało nawet tak, że brał którąś wieśniaczkę z okolicznej wsi. Czasem miał ochotę tak po prostu porozmawiać, ale one były zbyt ograniczone. Nie potrafił z żadną prowadzić dyskusji. Tych, z którymi umiał, nie chciał, ponieważ czuł, że wtedy mogłyby zapragnąć, aby taka kobieta została na dłużej. A to było coś, na co nie mógł sobie pozwolić.

Wyhamowawszy przed kamiennym murem piętrowego budynku, zeskoczył zwinnie z konia i podał wodze już biegnącemu ku niemu stajennemu. Chłodne nocne powietrze orzeźwiło go na tyle, że mógł pokazać się druhom. Nie myślał już o dziewczynie. Skupił rozważania na czymś innym.

Wszedł do środka pewnym krokiem. Drzwi były szeroko otwarte. Doskonale wiedział, że nikt ich nie zamknie, dopóki on do nich nie przyjdzie. W taki dzień byłaby to obraza. Stoczyli bitwę pod jego komendą. Podążył w stronę czekającego na niego miejsca na końcu długiego na kilkanaście metrów stołu. Bardziej czuł, niż widział badawcze spojrzenia mężczyzn, którzy pokrzykiwaniami przywitali jego wejście. Prawdopodobnie temat jego spóźnienia był jedną z głównych spraw poruszanych podczas jego nieobecności.

– Coś tak długo kazał nam na siebie czekać? – Usłyszał gromki okrzyk siedzącego po jego lewej Bothana<sup>6</sup>, który uważnie mu się przyglądał. – Czyś poważnie ranien? – zapytał już ciszej, a Blane domyślił się, że musiał zamartwiać się jego dłuższą nieobecnością.

Bothan był jego dalekim kuzynem i jednym z dowódców. Był też jego przyjacielem, jednym z niewielu, którym ufał. Wysoki i szczupły, nie przypominał sylwetką w większości zwalistych oraz krępych Szkotów. Czarne, kręcone włosy dość krótko przystrzyżone, a ciemnobrązowe oczy zawsze czujne. Oblicze miał łagodne, takie też było jego usposobienie, choć osoby, które nie znały go na co dzień, odbierały go jako zdystansowanego odludka. A on, owszem, trzymał dystans, obserwował, ale zawsze tkwiła w tym jakaś taktyka. Był starszy o trzy lata od Blane'a i, tak jak on, nigdy nie założył rodziny.

– Ledwie draśnięty – poinformował krótko, nie chcąc wdawać się w niepotrzebne dyskusje ani informować druha, że rzuciła się na niego z pazurami jakaś dzikuska. Teraz liczyły się jedynie konkrety. – Jak wielu dziś poległo? – przeszedł do rzeczy.

Gdy tylko zasiadł na miejsce, dobiegła do niego jedna z kobiet i, przyniosłszy ze sobą dzban z winem, napełniła nim po brzegi czekający na niego puchar.

Chciała odejść, lecz powstrzymał ją, przytrzymując jej dłoń i dając znak, aby pozostawiła dzban na stole, co też śpiesznie uczyniła. Uśmiechając się znacząco, powoli odeszła w stronę pomieszczeń kuchennych. Od razu domyślił się, że prawdopodobnie liczyła na coś więcej, kiedy spotkanie dobiegnie już końca.

– Zbyt wielu – oznajmił ponurym tonem siedzący zaraz za Bothanem, Eilig7.

Był on odważnym i mężnym wojownikiem. Walczył jeszcze przy boku jego ojca i był mniej więcej w jego wieku. To on najbardziej rozpacział, gdy Edan umarł. Zawsze odpowiedzialny i mądry, był nadal jednym z najlepszych dowódców, pomimo podeszłego wieku. Mieszkał w Calda House wraz z rodziną: żoną i dwiema córkami. Nigdy nie doczekał się syna, choć Bradana8 była jego drugą żoną. Była to bardzo mądra kobieta, która dość często schodziła na dół i zasiadała przy mężu podczas urządzanych tu uczt. Nie stanowiło to powszechnego zwyczaju, ponieważ przy takich okazjach rzadko kiedy pojawiały się kobiety, tylko w sporadycznych przypadkach. Przeważnie pozostawały wtedy w izbach na górze. Na dole kręciły się wyłącznie dziewczki kuchenne, które w większości przychodziły z pobliskiej wsi, by im usługiwać i później otrzymać za to zapłatę. Często w pakiecie dostawały jeszcze jakiegoś spragnionego uciech mężczyznę. Niektóre przybywały jedynie po to.

– Trzydziestu. – Usłyszał dochodzący z daleka głos Morvena9. Mężczyzna jak zawsze trzymał na kolanach jakąś dziewczkę, klejącą się do niego jednoznacznie. Teraz siedziała tam czerwona na licu, hoża dziewczyna o całkiem konkretnych kształtach.

Morven był jednym z najbardziej kłopotliwych MacLeodów. Cieszył się ogromnym powodzeniem u kobiet, co niejednokrotnie przysparzało problemów. Pomimo że miał tylko dziewiętnaście lat, był już żonaty.

Oczywiście nie przeszkadzało mu to w notorycznych podbojach, z którymi wcale się nie krył. A nie musiał się zbyt mocno starać.

Wysoki i szczupły, doskonale umięśniony, posiadał zdolność pięknego przemawiania i sprawiał, że każda niewiasta poszłaby za nim w ogień, nawet nie mrugnawszy okiem, patrząc w jego błękitne spojrzenie. Blane popatrzył na niego z niechęcią. Nie potrafił przekonać się do tego chłopaka. Był pewny siebie i gdy wypił zbyt wiele, stawał się ironiczny oraz zaczepny. Nie liczył się z tym, co i do kogo mówi. Nieraz wpędzało go to w kłopoty. Czasem bywał agresywny. Zdarzało się, że prowokował bójki. Był jednak synem Ossiana10, przyrodniego brata ojca Blane'a, z którym liczył się każdy z MacLeodów.

Ossian w przeciwieństwie do syna był poważnym, mądrym i spokojnym człowiekiem, którego jedynym utrapieniem był Morven. Blane zdawał sobie sprawę z tego, że kiedyś nadejdzie taka chwila, gdy Morven przeciągnie strunę. Do tej pory wszystko uchodziło mu na sucho. Darowano mu nawet to, że po pijanemu skatował jedną z wieśniaczek, kiedy nie chciała dzielić z nim łoża. Blane był wtedy wściekły, gdyż matka tej dziewczyny pracowała na zamku i doniosła mu o szczegółach, które przezornie zostały ukryte przez Ossiana i Morvena.

Wyszło na jaw, że dziewczyna ledwie uszła z życiem, a na jej ciele i twarzy pozostaną blizny po okrucieństwie, jakiego dopuścił się Morven. Jeszcze tego samego dnia Blane rozmówił się z Ossianem i zapowiedział mu, że jeszcze jeden taki wybryk, a nie pomoże już chłopakowi nawet to, kto jest jego ojcem. Szanował Ossiana, lecz nie mógł pozwolić na takie zachowanie. Od tamtej chwili młodzieniec się miarkował, niemniej czasami ocierał się o dopuszczalne granice.

Blane zacisnął zęby. Czy dziś nie okazał się podobnym dżentelmenem w stosunku do swojego gościa? Czyż nie uderzył dziewczyny w twarz? Nieoczekiwana myśl o Brice ponownie sprowadziła do jego głowy niechciany zamęt. Rozejrzał się wokoło, szukając wzrokiem dziewczyny donoszącej im wino, lecz nie było jej widać. Czy pragnął alkoholu, czy może towarzystwa kobiety, która odwiodłaby jego myśli od tamtej szalonej złościcy?

– Poległ Balfour11 – poinformował Eilig, który to zawsze najbardziej troszczył się o wszystkie bitewne sprawy. Był nieocenionym doradcą, a Blane nigdy nie podjął żadnej znaczącej decyzji bez wysłuchania jego rady.

Na wieść o śmierci Balfoura Blane ujął w dłoń kielich i przechylił go do dna. To bardzo zła wiadomość. Balfour pełnił funkcję jednego z dowódców, a także najlepszego trenera młodocianych wojowników. Jego miecz był nieoceniony w każdej potyczce.

Śmierć Balfoura stanowiła niepowetowaną stratę. Tym bardziej smutna to informacja, gdyż jego nowo poślubiona żona spodziewała się ich pierwszego dziecka.

Blane spojrział w stronę prowadzących na piętro schodów. Na najniższej kondygnacji znajdowały się jedynie sale kuchenne.

Siedząc na dole i spoglądając ku górze, miało się doskonale widzieć schody. Miały one jedno wspólne przejście, które odgradzały jedynie balustrady. Po prawej i lewej stronie wydzielono po trzy pomieszczenia, które zamieszkiwali jego ludzie wraz z rodzinami. Patrząc na wprost, miał widok na pokoje o dwa razy większej powierzchni, zajmowane przez dowódców. Również na przestrzał pomieszczenia znajdowały się takiej samej wielkości izby o równie wielkiej przestrzeni.

Kobiety właśnie wniosły kolejne stawy, ale obrzucił je niechętnym spojrzeniem i pomyślał o dziewczynie, która pozostała na zamku.

Był ciekaw, czy Una dała jeść Brice. Złościca była bardzo chuda i niedożywiona. Podejrzewał, że głodzono ją w niewoli, a nie wiadomo, jak długo ją tam przetrzymywano. Powinien sam wydać rozkaz dziewczynom kuchennym. Starucha miała kiepską pamięć, mogła zapomnieć.

Na wspomnienie reakcji Brice, która usłyszała, jak nazwał Unę staruchą, uśmiechnął się w myślach. Miała nazbyt kłopotliwy temperament. Nie знаła swojego miejsca i zdecydowanie powinno się to zmienić. Być może to typowe zachowanie we Francji. Słyszał już kiedyś opowieści o tym, że francuskie kobiety są trudne w obejściu.

– Sprawy nie wyglądają zbyt dobrze, Blane. – Głos Bothana był poważny.

– Co masz na myśli? – Chciał to usłyszeć, choć sam od jakiegoś czasu o tym myślał. W każdej bitwie zwyciężali, ale znacznie osłabiało to klan.

– Klan MacFarlane nadwyrężył naszych ludzi. Dziś też nie obyło się bez ofiar, choć wszystko miało potoczyć się gładko – powiedział Ossian, pocierając dłonią siwą, długą brodę.

– Mieli więcej ludzi. – Usłyszeli głos z tyłu, a Blane rozpoznał w nim Tormoda12.

Był to młody chłopak.

Miał zaledwie siedemnaście lat. Jakiś czas temu zabrał go ze sobą Bothan po jakiejś bitwie, podczas której rodzice chłopaka zginęli, wraz z resztą wioski. Traktował go trochę po ojcowsku i trenował na żołnierza.

Tormod był już bardzo sprawnym wojownikiem, a jego miecz przyniósł zgubę niejednemu wrogowi.

– Co masz na myśli, Tormodzie? – zapytał Eilig, który przypatrywał się chłopakowi z uwagą.

– Było ich więcej, panie. I w pełnym orężu – poinformował, trochę złękniony. – Tak, jakby...

– Tak, jakby wiedzieli – dokończył Ossian, po czym zapanowała cisza.

– Myślisz, że to możliwe? – dociekał Blane, patrząc z powagą na Eiliga, który był najlepszym strategiem wojennym. – Czy ktoś mógł zdradzić wrogowi nasze zamiary?

– Niczego nie można wykluczyć – stwierdził starzec, po dłuższej chwili zamyślenia. – Nie sądzę, aby ktoś dopuścił się zdrady. Od dawna wiedzieli, że będziemy chcieli wyrównać rachunki za ich ataki na nasze wsie. Ale jeżeli nawet ktoś maczał w tym palce, to mamy inny problem, Blane.

– Jakiż to problem? – zadał pytanie, choć domyślił się, o co mogło chodzić Eiligowi. I się nie pomylił.

– Mamy mało ludzi – oznajmił pewnym siebie głosem. – Powinniśmy zawrzeć sojusz z jakimś klanem – dodał.

– W jaki sposób? – Blane był tego wieczora zbyt wytrącony z równowagi, aby jasno myśleć.

– Stary MacCallum ma na wydaniu swoją jedyną córkę. Jego syn nie nadaje się na naczelnika i starszek rozgląda się za mężem dla dziewczyny. – Słowa Morvena sprawiły, że Blane spojrział na niego z wściekłością.

– Blane... – Bothan powstrzymał przyjaciela, widząc, że w każdej chwili może wybuchnąć. A jego gniewu bał się każdy.

– W tym może być sposób – nieoczekiwanie Ossian poparł syna.

– Kim jest ta panna? – padło pytanie Eiliga, a Blane zacisnął pięści ze złości.

– Jest młoda, ale nie mówią o niej dobrze, panie – poinformował ktoś z tyłu.

– Co masz na myśli? – zapytał Bothan. Blane nie mógł uwierzyć w to, że rozmawiają o tym bez jego udziału, w dodatku w jego obecności.

– Podobno jada z mężczyznami, ponieważ kobiety się jej lękają. – Usłyszeli i zapanowała cisza, którą przerwał głośny śmiech Morvena.

– W takim razie to dobra partia dla Blane’a. Na niego również wołają Zwierz. Jakby dobrali się w korcu maku. Myślę, że...

– Milcz! – wrzasnął jego ojciec, z lękiem spoglądając na Blane’a, którego twarz w jednej chwili stężała.

Ponownie zapanowała cisza.

Każdy wiedział, że to już nie są przelewki, a Morven wypił o jeden kielich w nadmiarze i wypowiedział o jedno słowo za dużo.

– Tym razem wybaczę ci zniewagę – rzekł lodowatym tonem Blane, wpatrując się gniewnym wzrokiem w chłopaka. – Ale jeżeli jeszcze raz usłyszę choćby złe słowo w stosunku do kogokolwiek, to spotkamy się na placu treningowym i tam będziesz miał sposobność wykazać się umiejętnościami.

Każdy spoglądał na Blane’a złękniomy. Doskonale wiedzieli, że sprawa jest poważna i że właściwie w ten sposób Blane poinformował dyplomatycznie Ossiana, iż jego syn wkrótce poniesie karę za swoje uczynki. Kwestią czasu była kolejna gafa młodocianego, który lubił zajrzeć do kieliszka i nie mógł okiełznać zadziornego charakteru. Blane był najlepszym wojownikiem. Spotkanie z jego mieczem równało się spotkaniu ze śmiercią.

– Może powinniśmy przyjrzeć się tej...

– Nie – zaprotestował Blane. – Nie potrzeba mi żony. Gdy chcę kobiety, to sobie ją biorę. O żadnym małżeństwie nie ma mowy – oświadczył stanowczym tonem, a zgromadzeni zrozumieli, że nie ma szansy go przekonać. Był uparty i nieprzejednany w pewnych kwestiach.

– Widzę, żeś poraniony – stwierdził ze śmiechem Bothan, który chciał rozładować atmosferę.

– O czym prawisz? – zapytał zdezorientowany Blane, a widząc uśmiech mężczyzny, zmarszczył czoło. O co mogło mu chodzić? On też za dużo wypił?

– Ta rana na policzku wygląda dość poważnie – powiedział Eilig, który od jakiegoś czasu zerkał na niego zaintrygowany i roześmiał się, a wraz z nim reszta mężczyzn. Blane im nie zawtórował. – Wpadłeś w krzaki czy może w ramiona jakiejś niepokornej kocicy?

– Panie, co z tą dziewczyną? – Usłyszał niespodziewanie głos MacMillana, który na polu bitewnym wystraszył Brice.

– Jaką dziewczyną? – pytanie zadał Ossian, lecz zainteresowanie pojawiło się w oczach każdego z zebranych.

Blane doskonale wiedział, o kogo chodzi, ale zgrywał głupka. Może nie będzie więcej dociekań. Łudził się naiwnie, w duchu prosząc, aby dali temu spokój, gdyż rozmowa o Brice była ostatnim, czego teraz potrzebował.

– Tą dziwną – wyjaśnił mężczyzna, a Blane westchnął zrezygowany.

Tak. To całkiem trafne określenie, aczkolwiek dodałby jeszcze do niego kilka barwnych epitetów. W zasadzie nie kilka, lecz całkiem sporo. Im dłużej o niej myślał, tym więcej ich się gromadziło i pragnął jedynie, aby nie eksplodować, ponieważ dziś poniesiono już dość ofiar.

– Trzymali ją w niewoli. Zabrałem ją na zamek – stwierdził krótko, obojętnym tonem, licząc na to, że położy kres ich ciekawości.

– W niewoli? U MacAulayów? – zapytał zbity z tropu Bothan, który, straciwszy z oczu Blane’a, nie sądził, że jego przyjaciel wplącze się w jakąś inną aferę. Klan MacAulay znany był z okrucieństwa i na samą myśl o tym, że więzili dziewczynę u siebie, pożałował jej.

– Tak. – Blane nie był zbyt rozmowny, a Bothan wpatrywał się w niego bacznie, chcąc wyczytać z jego twarzy cokolwiek więcej, bo nie było to typowe dla jego przyjaciela. Nigdy nie zaprzętał sobie głowy więźniami wroga. A tym bardziej, gdy chodziło o kobiety.

– Po coś brał ją ze sobą na zamek? – dociekał Eilig, w którego głosie pojawiła się nutka niepokoju.

– Urodziwa? – Morven nie mógł się nie wyrwać z podstawowym dla siebie pytaniem.

Zdenerwowany Ossian, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jego syn stąpa teraz po

kruchym lodzie, podszedł do niego i zdzielił go w tył głowy na tyle mocno, że chłopak zachwiał się na stołku, po czym z impetem upadł na kamienną posadzkę. Wraz z nim równowagę straciła równie pijana co on dziewczyna.

– Wnieście go na górę – rozporządził Ossian. – A ty wracaj do wsi – zwrócił się do dziewczki, która nie była zadowolona z takiego biegu wydarzeń, lecz milcząc, wstała i powolnym, ostrożnym krokiem odeszła w stronę pomieszczeń kuchennych.

– Czy to bezpiecznie zawozić ją na zamek? Może powinienes przywieźć ją tu? Kobiety zajęłyby się nią, jak należy – oznajmił ktoś z tyłu, a Blane pomyślał, że nie tylko kobiety by się nią zajęły i niekoniecznie jak należy.

– Pewnie miał ją każdy MacAulay – wymamrotał cicho Tormod, a w jego głosie pobrzmiwał smutek. Chłopak był aż nazbyt uczuciowy i wrażliwy.

– Nie miał jej żaden – stwierdził z przekonaniem Blane.

Chciał jak najszybciej zakończyć ten temat. Rozmowa o Brice była niczym taniec na linie. Każdy krok mógł być zgubny. Bo co niby miał im powiedzieć? Że próbował ją zgwałcić i mu nie wyszło? Że wyzwalała go od tchórzy, a on jej nie zabił? Że mówiła niezrozumiałe rzeczy, jakby zwariowała, a z drugiej strony jej zachowanie zdawało się bardzo rozumne? A może miał im opowiedzieć o tym, że jak pomyłona taplała się w błocie, próbując podnieść miecz i twierdziła, że walczy? Był przekonany, że to na pewno by ich rozbawiło.

– Widać, że nawet tobie się to nie udało – powiedział ktoś z tyłu, a pozostali skierowali spojrzenia na policzek Blane'a. Gdyby mógł, to odciąłby jej dłońe tasakiem i rzucił na pożarcie głodnym kundlom. Miał mówić, że podrapała go przez przypadek?

– Z którego jest klanu? Może to szpieg? – Ossian wietrzył spisek.

– To cudzoziemka – uspokoił go Blane. – Francuzka. Wzięto ją w niewolę, ale nie wiem, jak długo tam trzymano. Teraz zajęła się nią Una, a jak dziewczyna dojdzie do siebie, to rozmówię się z nią i dowiem, co wie. A później wtrąć ją do lochu – oświadczył stanowczo, sprawiając, że każdy spojrział na niego zdziwiony.

– Zabrałeś ją z niewoli i chcesz wtrącić do lochu? Czy to rozsądne? – zapytał zaskoczony Bothan, mrużąc oczy. Coś mu tu nie grało. Blane zachowywał się bardzo dziwnie.

– To po coś ją oswabadzał, jak w niewoli chcesz trzymać? Zabić trzeba ją było na miejscu, żeby nie cierpiała dalej u tych łotrów, a nie targać ze sobą, żeby do lochu wtrącić – stwierdził Ossian, wywołując w nim falę wściekłości.

– Zrobię z nią, co będę chciał! – wrzasnął, waląc gwałtownie pięścią w stół, tak mocno, że wywróciły się kielichy, z których wylało się wino. – Wyduszę z niej wszystko, co wie o wrogach, a później... później... – Zamilkł. *No właśnie, co później?* – pomyślał ze złością.

– Co zrobisz później z tą francuską kocicą? – zapytał niespodziewanie Roslin13, który do tej pory milczał, nie biorąc udziału w dyskusji. Chłopak był małomówny i rzadko zabierał głos. Nigdy nie zawierał przyjaźni i trzymał się raczej z dala od reszty. Zawsze gdzieś z boku przysłuchiwał się w milczeniu toczącym się rozmowom. – Za drugim razem powinno się udać – dodał złośliwie, a Blane zacisnął dłoń na kielichu, który właśnie trzymał w ręku. Miał ochotę wgnieść jego gębę w deski podłogi.

– Czy jest bardzo ranna? – Usłyszał zatroskany głos Tormoda i uśmiechnął się w myślach.

Chłopak był wyczulony na krzywdę innych i zawsze chętny do pomocy.

Teraz też współczuł dziewczynie, choć nawet nie zdawał sobie sprawy z jej agresywnego usposobienia.

Gdyby widział jej zachowanie, to prawdopodobnie by się jej wystraszył.

– Będzie z nią dobrze, Una się dziewczką zajęła i z pewnością rany opatrzy. Nie musisz się martwić – oznajmił chodnym tonem.

– Rany? – wymamrotał chłopak z przejęciem. – Jest ranna? – Blane jęknął w duchu, starając się ukryć irytację.

– Niewiele – mruknął, mając nadzieję, że to młodzieńcowi wystarczy.

Nie wystarczyło.

Co w sumie dziwić go wcale nie powinno.

– Zranili ją w niewoli? – Słyszac to, zacisnął mocniej szczękę. Miał ochotę złapać smarkacza za

chabety i wykopać z sali biesiadnej. Co miał mu, u licha, powiedzieć? Że wszystkie rany zadał jej osobiście, próbując przy tym zgwałcić?

– No a gdzie mieli ją zranic? Oczywiście, że w niewoli. Zaczynaj myśleć, Tormodzie, i przestań popadać w histerię przez jakąś dziewczkę, którą te gnidy u siebie przetrzymywały – poirytował się Ossian, gdyż drażniła go myśl, że tyle uwagi poświęcają jakiejś nieważnej cudzoziemce.

– Będzie żyła – burknął Blane. *Przynajmniej na razie* – dodał w myślach.

– Jeżeli to Francuzka, to w jaki sposób masz zamiar się z nią porozumieć? Może posłać po kogoś do Golspie<sup>14</sup>? Uilleam<sup>15</sup> biegły jest w tym języku. Jutro...

– Mówi w naszej mowie – Blane przerwał Eiligowi, nie chcąc dopuszczać nikogo do dziewczyny, zanim sam się z nią nie rozmówi. – Nie trzeba mi niczyjej pomocy.

Prawdę mówiąc, był zły, że jego ludzie dowiedzieli się o Brice. O wiele lepiej byłoby, gdyby żaden z nich nie odkrył jej istnienia. Miał w głowie tak wielki chaos, że nie potrafił jasno myśleć.

Sytuacja klanu wyglądała poważniej, niż przypuszczał. Eilig nigdy nie popadał w panikę i był bardzo opanowanym człowiekiem. Dziś za to jego postawa wydawała się niepokojąca. Blane wiedział, że będzie musiał poświęcić temu więcej czasu i przemyśleć sprawę bardzo dokładnie. Prawdopodobnie mieli rację. Złączenie klanu z jakimś innym byłoby najlepszym wyjściem.

Klan MacCallum był bardzo silny. Mieli licznych ludzi oraz duże włości. Stary MacCallum był bardzo mądrym i rozsądnym człowiekiem. Rządził poddanymi silną ręką. Między jego klanem a klanem MacLeod, nie było nigdy żadnych zdrażeń. Ale wizja paskudnej córki Ronana<sup>16</sup> MacCalluma, której lękają się kobiety, trochę go obrzydzała. I chociaż zawsze wiedział, że mariaż kiedyś nastąpi, unikał go tak długo, jak musiał. Traktował to jako jeden z obowiązków. Musiał pojąć za żonę jakąś szkocką córkę i spłodzić syna. Wszystko z korzyścią dla klanu.

Nie przeszkadzało mu to w prowadzeniu takiego stylu życia jak dotychczas. Kobiet potrzebował do zaspokajania żądz, natomiast żony jedynie do spłodzenia dziecka. A do czego potrzebna była mu Brice? Otrząsnął się z niechcianych myśli. Był na siebie zły, że wciąż dopuszczał do głosu myśli o niej. Pożalował przez moment, że po nią wrócił. Mógł pozwolić tej czarownicy spłonąć i teraz miałby święty spokój.

– Musiała być bardzo długo w niewoli, skoro zdążyła nauczyć się naszej mowy – powiedział Bothan, a Blane pomyślał, że zaczyna się z tego robić jakiś jarmark.

Wygrali bitwę, poległo wielu ludzi, wśród nich jeden z jego najlepszych dowódców, a oni dyskutują sobie o jakiejś cudzoziemskiej niewolnicy, którą zabrał tylko po to, aby dowiedzieć się, o czym mówiła. Bo wyłącznie o to chodziło. *Żadnych innych powodów nie ma* – przekonywał sam siebie w myślach.

– Czy któryś z was zna kurwę? – wyrwało mu się ni z tego, ni z owego w momencie, gdy przypomniał sobie słowa dziewczyny.

– Kto to jest kurwa? – zapytało kilka głosów naraz, a Blane sapnął ze złością. Czyżby zgotował sobie kolejną lawinę wyjaśnień? Jeszcze trochę i ta dziewczyna wpędzi go do grobu.

– Bracia – oznajmił, powstając od stołu – każdy zasłużył na wypoczynek. Jutro wieczór będzie kolejna okazja do rozmowy. Omówić wszystko musimy dokładnie i przyjąć jakąś strategię, ale na dziś dość dyskusji – zarządził. Na szczęście nikt nie zaprotestował, wręcz przeciwnie. Wielu z nich było rannych. Każdy poobijany i wyczerpany. Adrenalina powoli opadała, a sam alkohol nie wystarczał. Musieli zregenerować siły, aby następnego dnia ustalić jakieś działanie.

– Wracaj do swojej francuskiej kocicy – wymamrotał półgębkiem Bothan, a Blane w jednej chwili zrobił się purpurowy ze złości, ale zważywszy na to, że słowa przyjaciela były skierowane jedynie do jego uszu i dotarły tylko do nich, powstrzymał się przed jakimkolwiek ruchem. Choć zacisniętą pięść miał ochotę wymierzyć prosto w niego.

Czyżby tak bardzo było widać, że myśli o Brice? Ale on wcale o niej nie myślał. To oni zaczęli drażnić temat tej wariatki. On nie miał nawet ochoty rozmawiać z nimi o dziewczynie ani o niczym, co jej dotyczyło. W sumie to nawet bardziej o tym niczym, czymkolwiek było. Sapnął wściekle, łypiąc spod byka na Bothana.

– Nie igraj ze mną – mruknął i ujrzał uśmiech na twarzy kompana. Nie miał siły z nim dyskutować. Teraz coś innego coraz bardziej pochłaniało jego myśli. Coś, co zajmować ich nie powinno.

Przed wyjściem opróżnił jeszcze puchar z winem i, rzuciwszy niedbale słowa pożegnania, wyszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, uderzyło go chłodne powietrze, które przyniosło mu ulgę.

Stajenny przyprowadził konia i pospiesznie odbiegł. Blane dosiadł zwierzęcia, już po chwili gnając w stronę zamku na złamanie karku. Starał się nie myśleć, unikał konfrontacji z obawami i całym tym niepotrzebnym natłokiem zdarzeń. Nigdy wcześniej żadna bitwa nie przyniosła mu tylu utrapień oraz wewnętrznych rozterek.

Do zamku wszedł tą samą drogą, którą wyszedł. Chciał sprawdzić, czy przypadkiem nie ma tam dziewczyny. Istniała możliwość, że Una przestraszyła się tej wariatki i zostawiła ją w izbie kuchennej. Po dotarciu na miejsce usłyszał jakiś hałas i przysłuchiwał mu się w ciemnościach. Pojękiwania brzmiały jednoznacznie. Czyżby któryś z jego ludzi dobrał się do Brice?

– Niemożliwe – powiedział sam do siebie i poszedł w stronę kaganka z dopalającą się świeczką.

Zabrał go ze sobą, po czym ruszył w stronę sypialni. Był jednym wielkim chodzącym pytaniem. Czy ona tam jest? Czy złośliwa starucha spełniła jego żądanie, czy znowu zrobiła po swojemu? Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy po otwarciu drzwi sypialni, to puste łóżko. Poczuł złość. A może to ją słyszał? Wahał się, czy zejść na dół, lecz tego nie uczynił. Był zmęczony, zły, rozczarowany i zaniepokojony natłokiem spraw, które spadły mu na głowę tak nagle. Odpiął pas i odłożył miecz na niską komodę stojącą pod ścianą. Ubrania – jedno za drugim – opadały na podłogę. Kiedy wreszcie skierował się ku ogromnemu łożu, zamarł zaskoczony.

– Ubiję staruchę jak kundla – stwierdził ze złością, ujrawszy leżącą na podłodze Brice. – Dlaczego ta baba zawsze słucha mnie wtedy, gdy nie powinna?

Był pewien, że Una robi mu na złość i zaopiekuje się dziewczyną. Najwyraźniej wystraszyła się tego, co mówiła ta wariatka. Może doszło tu nawet do czegoś więcej, jakiejś awantury. Jeżeli kazała jej spać na podłodze, to pewnie nie dała jej też jeść ani nie opatrzyła.

Rozwiązał wątpliwości, pochyliwszy się nad dziewczyną i ujrawszy obandażowane ramiona. Prawy rękaw jego koszuli, którą miała na sobie, był podwinięty, dzięki czemu widział dokładnie szare płótna, którymi ją poowijano. Przez cienki materiał odznaczał się też bandaż, którym obwiązano żebra. Czyżby uderzył ją aż tak mocno?

Przyjrzał jej się dokładnie, w spokoju. Kiedy spała, wyglądała tak nieskończenie niewinnie i dziewczęco. Ta cała złość oraz bezczelność gdzieś zniknęły i wydawała się teraz zupełnie inną dziewczyną. Blane był przekonany, że gdyby się w tej chwili obudziła, to przez moment jej wzrok ucieszyłby się z jego widoku, ale zaraz wróciłaby ta szalona furia. I szczerze mówiąc, ta myśl była niewymiernie ekscytująca.

Delikatnie podniósł ją i ułożył na łóżku. Nie chciał jej budzić, narażając się na wściekłość. Był zmęczony. Wszystko mogło poczekać do jutra. Wyjaśnienia, pytania, jej złość i jego tortury, bo postanowił być potwornym sadystą. Zasłużyła na każdą karę.

Gdy trzymał ją na rękach, cała drżała, zmarznięta. Nie dali jej nawet niczego do przykrycia. Był zły, a z drugiej strony zadowolony, że wrócił, choć miał ochotę zabrać którąś dziewczkę do jakiejś izby i sobie ulżyć, zapominając o wszystkich problemach, a później przespać gdzieś noc. Wrócił z ciekawości. *To nie było nic innego, tylko ciekawość* – pomyślał, wzdychając bezradnie.

Przez chwilę jeszcze przyglądał się dziewczynie, trzymając nad nią świeczkę. Kiedy Brice poczuła miękkie poślanie, westchnęła jak kociak i zwinęła się w kłębek. Jego koszula była dla niej prawie jak sukienka, cienki materiał doskonale podkreślał jej kształtne ciało. Umyta twarz pokazywała też, że dziewczyna jest o wiele ładniejsza, niż przypuszczał.

– Jakaż ona jest inna – wyszeptał cicho.

Zgasił świeczkę i odstawił na podłogę, a potem obszedł łóżko, aby położyć się po drugiej stronie. Leżąc, starał się nie myśleć, po prostu zasnąć, ale nie potrafił tak normalnie przy niej spać. Jeszcze poprzedniej nocy miał w łóżku inną dziewczkę, którą po zaspokojeniu odesłał. Spędził spokojną noc. Zregenerował siły na bitwę. Walczył wraz ze swoimi ludźmi i wygrał kolejną potyczkę.

I nagle, jak grom z jasnego nieba, wypadła mu na drogę ta szalona dziewczyna, przewracając do góry nogami jego świat. Czuł w stosunku do niej potworną złość, był wściekły i miał ochotę jedynie zadawać jej ból. Ale co było tego powodem? Czyż nie to, że czuł się przy niej dziwnie słaby? Że był jej ciekaw na tyle, iż darował jej tak ogromne winy, uratował i przywiózł na zamek? Kazał się nią zaopiekować Unie jak samym sobą. Okazał jej troskę, choć zasługiwała jedynie na solidne baty. Jednak z całej duszy pragnął odkryć, kim jest. Jak dostała się do niewoli i skąd dokładnie pochodzi? Czy miała jakąś rodzinę? Chciał się też dowiedzieć, o czym wtedy do niego mówiła.



Pomyślał, że dzieli łóżko z wrogiem, bo tak można było do tego podejść. Zastanawiał się, dlaczego sobie na to pozwala. I wtedy stało się coś niespodziewanego, a on pofolgował sobie jeszcze bardziej.

Dziewczyna wierciła się przez moment, a później przysunęła się do niego i jakimś przedziwnie zwinnym ruchem dostała pod jego ramię, po czym z westchnieniem przytuliła się do niego całym ciałem. Najpierw zamarł. Co powinien zrobić? Odepchnąć ją? Wyrzucić z łóżka? A może dokończyć to, co zaczął tam, w tej starej chałupie? Poczł złość, ale odruchowo przygarnął ją ramieniem do siebie. Poczł woń jej włosów. Pachniała oszałamiająco. Tak nietypowo i egzotycznie. Było w tym zapachu coś, czego nigdy wcześniej nie czuł.

– To pewnie tylko zły sen – wymamrotał, zasypiając.

4 Zamek Ardvreck, w którym umiejscowię znaczną część powieści, jest miejscem autentycznym. Został wybudowany w roku 1590 przez klan MacLeod. W tej chwili pozostały po nim jedynie ruiny (przyp. aut.).

5 Budynek naprawdę istniał, jego ruiny zachowały się do dziś. Nazywał się Calda House. Niezgodnością jest w tym wypadku to, że został on wybudowany duzo później, w roku 1726 przez klan MacKenzie, który objął rządy zaraz po klanie MacLeod. Zamek był prezentem naczelnika klanu dla jego żony (przyp. aut.).

6 *Bothan* – (ze szkoc.) Z kamiennego domu (przyp. aut.).

7 *Eilig* – (ze szkoc.) Z jeleniej ścieżki (przyp. aut.).

8 *Bradana* – (ze szkoc.) Łosoś (przyp. aut.).

9 *Morven* – (ze szkoc.) Żeglarz (przyp. aut.).

10 *Ossian* – (ze szkoc.) Mały jelen (przyp. aut.).

11 *Balfour* – (ze szkoc.) Kraina pastwisk (przyp. aut.).

12 *Tormod* – (ze szkoc.) Z północy (przyp. aut.).

13 *Roslin* – (ze szkoc.) Mały rudzielec (przyp. aut.).

14 Miasto oddalone o 90 kilometrów od Ardvreck Castle (przyp. aut.).

15 *Uilleam* – (ze szkoc.) Śmiały żołnierz (przyp. aut.).

16 *Ronan* – (ze szkoc.) Pieczęć (przyp. aut.).

## Rozdział 7 Poranna przypadłość (codzienna)



Przebudziwszy się, leżał przez moment, nie otwierając oczu. Jego myśli były na tyle chaotyczne, że nie potrafił pozbierać ich w sensowną jedność. Odnosił dziwne wrażenie, że stało się coś ważnego.

Zaciągnął się głęboko nietypowym zapachem, jaki docierał do jego nozdrzy, i w jednej chwili wszystko do niego wróciło. Otworzył gwałtownie oczy, które natrafiły na wściekle spojrzenie dziewczyny. Zamarł i pomyślał, że gdyby wzrok mógł zabijać, już byłby martwy. Leżała dokładnie naprzeciw niego, opierając głowę o jego przedramię. Przypatrywała mu się nieustępliwym wzrokiem, a on, milcząc, starał się ukryć emocje, jakie w nim wzbudzała. Ta jej nieugięta postawa sprawiała, że nie umiał spojrzeć na nią jak na normalną kobietę. Dlaczego tu z nią leżał? Dlaczego marnował na nią czas, wiedząc, że czekają go bardzo ważne obowiązki?

– Muszę wracać do domu. – Usłyszał jej głos i przez chwilę nie mógł przyswoić sensu słów, delektując się ich dźwiękiem na spokojnie.

Wydawała się zupełnie nieświadoma sytuacji, w jakiej się znalazła.

Udało jej się ująć z życiem z niewoli. Jakimś cudem ludzie z klanu MacAulayów nie zrobili jej krzywdy. Przynajmniej na to wyglądało. Przez własną głupotę niemal zginęła podczas bitwy, ale jakoś udało jej się przetrwać, a później... Cóż, tej myśli nie chciał rozwijać. Wciąż żywił do niej tę samą wściekłość. Jego plany nie uległy zmianie. Nadal miał zamiar ją torturować, a następnie wtrącić do lochu, przez co jej powrót do domu wydawał się teraz więcej niż śmieszny. Zasłużyła na najcięższą karę za to, co uczyniła, i on miał zamiar osobiście dopilnować, aby ją poniosła. Tylko jaka to miałyby być kara? Co takiego miał z nią zrobić?

– Powiedz coś – poprosiła, sprawiając, że poczuł dreszcze. To było dziwne, ale nie wiedział, co przy niej ma robić, co ma z nią czynić. Nie wiedział nawet, co ma powiedzieć.

– Nie możesz wrócić do domu – oświadczył stanowczym tonem.

– Dlaczego? – zapytała ze zdziwieniem, a on pomyślał, że zadała całkiem dobre pytanie. Sam chętnie poznałby na nie odpowiedź.

– Pamiętasz, co uczyniła wczoraj? – mruknął, a ona zmarszczyła nos.

– Pamiętam, czego nie dokończyłam... – wyszeptła, a jego wszystkie mięśnie błyskawicznie się napięły.

– Czego? – Usłyszał swój głos, lecz w odpowiedzi dostał jedynie jej nieoczekiwane pocałunki.

Zaskoczony zamarł, lecz nie na długo. Wyłączyło mu się myślenie, wszelkie kalkulacje i niepotrzebne rozważania odsunął na bok. Chłonał ją, każdy dotyk, każdy ruch. Jej skóra była przyjemna, a zapach włosów wprost doprowadzał go do szału. I choć gdzieś tam notorycznie przebijało się podejrzenie, że to nie jest normalne zachowanie u tej dziewczyny, to uciszał je. Tłamsił, nie dopuszczał do siebie.

Gwałtownie otworzył oczy, wybudzając się ze snu, i nie mógł pozbierać myśli. Spojrzał w bok i ujrzał dziewczynę leżącą w tym samym miejscu, w którym widział ją we śnie. Spała. Oddychała miarowo, a on się uspokoił. Pobudzony niedawnym snem, wolał na spokojnie dojść do siebie i przemyśleć, co z nią zrobić.

Najważniejsza była rozmowa. Musiał się dowiedzieć, skąd pochodziła i o czym mówiła wczorajszej nocy. Gdy już zaspokoi ciekawość, będzie mógł do woli ją torturować. Spojrzał na jej spokojną twarz i mimowolnie się uśmiechnął. Nie znał się na kobietach i dla niego albo były ładne, albo brzydkie. Młode albo stare. Głupie albo takie, których nie chciał w swoim życiu. Brice była inna. Wymykała się ze wszystkich

schematów. Owszem, była bardzo ładna, to się zgadzało, była też młoda, choć nie umiałby powiedzieć, ile dokładnie mogłaby mieć lat. Chciał się tego dowiedzieć. Chciał wiedzieć wszystko. Była inna niż wszystkie kobiety, jakie znał. Była odważna i brawurowa. Nie miała w sobie pokory, jaką powinna mieć każda dama. Brice była zuchwała i pomimo że nie zgadzało się to z wizerunkiem kobiety, jaki znał, pociągało go to w niej. Przypominała dziką, nieujarzmioną kotkę, która przy pierwszej lepszej okazji bez lęku wyciąga pazurki, o czym przekonał się w dosłownym tego słowa znaczeniu. Dotknął dłonią policzka i z jego gardła wydobył się tłumiony pomruk niezadowolenia, kiedy palce natrafiły na zadrapania. Równocześnie towarzyszyła mu jakaś podświadoma nuta akceptacji.

Wpatrywał się w jej twarz, gdzie ujrzał liczne zadrapania. W większości był ich sprawcą, choć nie odczuwał z tego powodu zadowolenia. Przypomniawszy sobie słowa Uny, która nawrzeszczała na niego, że oklepuje Brice jak baba i zagotował się ze złości. Od zawsze ostrzegał ją, że kiedyś się doigra i miał ogromną chęć skrócić jej kark. Oczywiście nie dbał o to, co sądzi o nim Brice, ale Una nie powinna tego przy niej mówić. Zawsze się hamuje i okazuje należyty szacunek, gdy ktoś z nimi jest, teraz jednak trochę ją poniosło. Widocznie dziewczyna tak oddziałuje na otoczenie. W tej sytuacji trochę dziwne wydaje się to, że Una, która się za nią wstawiła, kazała jej spać na podłodze. Coś musiało tu zajść. Może nieznajoma coś jej zrobiła? Miał tyle pytań i ani jednej odpowiedzi.

Brice westchnęła przez sen, przysuwając się bliżej niego, a następnie objęła go ramieniem i wtuliła się niczym kociak. Wiedział doskonale, że gdyby miała świadomość swoich czynów, to prędzej przegryzłaby mu gardło, niżli pozwoliła się choćby dotknąć. Zdawał sobie sprawę z tego, iż miał nad nią władzę absolutną i że zrobi z nią wszystko to, na co będzie miał ochotę, a nie wykluczał, że będzie miał ochotę nie tylko na tortury. Poskromienie tej złośnicy w każdej dziedzinie wydawało się prawdziwym wyzwaniem.

Różniła się od dziewczek, które miał, i nie umiałby nawet powiedzieć czym. Spojrzał w dół jej ciała i poczuł gorąco. Płócienny, jasny pled uwydatniał każdy szczegół jej sylwetki. Uniósł delikatnie materiał i przyglądał się płynnym kształtom zgrabnej figury. Biodra aż prosiły, aby położyć na nich dłonie, i musiał powstrzymać się z całej siły, żeby tego nie zrobić. Nie chciał jej zbudzić, jednak ujrzał, jak otwiera oczy. Przez jakiś czas patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem. Później jej źrenice się powiększyły, a ona sama poderwała się gwałtownie i odsunęła na długość ramienia. Spoglądała na niego trochę złęknioma, lecz z chwili na chwilę w tym spojrzeniu pojawiała się coraz więcej wściekłości. Wspomnienia wracały nieubłagane, a jej bojowa mina nie wróżyła niczego dobrego. Poczuł złość. Dlaczego ta dziewczyna tak na niego reaguje? Przypomniawszy sobie, jak nazwała go tchórzem, i poczuł chęć, aby złapać ją za włosy i...

– Gdzie jesteśmy? – Usłyszał jej niepewny głos i odetchnął z ulgą.

– W moim zamku – poinformował. – Byłaś w niewoli.

– Tak, wiem, że jesteśmy w twoim zamku, ale chcę wiedzieć dokładnie gdzie. Una powiedziała, że...

Kim ty w ogóle jesteś? – zapytała, a on zmarszczył czoło.

*Co mogła jej powiedzieć ta starucha?* – pomyślał z irytacją.

– Jestem naczelnikiem...

– To też wiem od Uny, ale byłabym wdzięczna za informację o tym, co stało się wczoraj. Wydaje mi się, że zbyt wiele wypita i mam wrażenie, że ubzdurały mi się jakieś dziwne rzeczy – oświadczyła, a on pomyślał, że Una z pewnością dała jej wina, ale stało się to dopiero po jego wyjściu. Nie może zatem zwalać na alkohol tego, jak haniebnie zachowała się względem niego, tam w chacie, gdy chciał ją...

– Owszem, prawiałaś dziwne rzeczy – oznajmił chłodno, nie chcąc kontynuować swych przemyśleń.

– Co mi się stało? – wyszeptwała, spoglądając na swoje dłonie, a następnie dotknęła ramienia, które owinięte było bandażem.

– Niczego nie pamiętasz? – wymamrotał pod nosem, mając nadzieję, że będzie miała choćby częściową amnezję.

– Pamiętam wszystko – oświadczyła po krótkiej chwili. – Staram się poukładać to w miarę logicznie, bo w mojej głowie jest teraz cholerny pierdołnik.

Patrzyła na leżącego obok mężczyznę, czując uderzenia gorąca.

Wracające myśli przywoływały raz za razem obrazy, jakie pamiętała z wczorajszej nocy, i czuła niepokój. To wszystko było tak nieprawdopodobne, że nie potrafiła się w tym połapać. Pamiętała, że wczorajszego wieczoru wypita kilka lampek wina u siebie w domu wraz z Connorem, a po przybyciu na miejsce nie odmówiła sobie szampana.

Wiedziała, że mieszanie alkoholi bywa dla niej zgubne i poprzedniej nocy otrzymała tego świadectwo. Ten cholerny prymitywny facet próbował ją zgwałcić. Patrzyła na niego i miała ochotę okładać go pięściami, jednak jego obnażona pierś nieco ją dekoncentrowała.

– Uderzyłeś mnie w twarz – stwierdziła oskarżycielskim tonem i ujrzała na jego obliczu grymas złości. Podniósł się, po czym usiadł.

– Pamiętasz, co zrobiła?! – wrzasnął, a ona przymknęła oczy złęknioma jego nieoczekiwaną reakcją.

Co takiego zrobiła? Zaczęła szukać w myślach jakichś innych zdarzeń i czuła jedynie potworny chaos. Były jakieś zamieszki i ktoś tam się bił. On dołączył do nich i...

– Czy ty wczoraj... Czy ty komuś zrobiłeś krzywdę? – zapytała po krótkiej chwili i ujrzała, jak przygląda się jej zbity z tropu.

– Krzywdę? – powtórzył.

– Wydawało mi się, że tam ktoś się bił i ty... i ty miałeś miecz i...

– Była bitwa, wygraliśmy ją. Zginął każdy z klanu MacAulay, a...

– Zaraz, moment. Zginął w sensie, że się zgubił? – przerwała mu, trochę zaniepokojona. – Muszę wiedzieć, gdzie jestem. Muszę zadzwonić do pracy i powiedzieć, że się spóźnię. Muszę skontaktować się z Connorem w sprawie obrazów – wyszeptwała. Utkwiła w mężczyźnie wzrok. Był cholernie podobny do tego człowieka z portretu, ale to tylko podobieństwo. Obraz pochodził z szesnastego wieku. To nie mógł być on.

– Najpierw będziesz musiała wyjaśnić mi kilka spraw, a później, jeżeli będziesz posłuszna, wyślę cię do jakiejś pracy. Może daruję ci nawet życie, ale po tym, co powiedziała...

– Pojechało cię do reszty? – ponownie nie dała mu dokończyć zdania. Gadał jak wariat. Może to był szaleniec? A jeżeli on tam faktycznie kogoś zabił? – Gdzie jest telefon? – naciskała, aż dostrzegła na jego twarzy wściekłość.

– Jeżeli jeszcze raz mi przerwiesz, to...

– Chciałabym zadzwonić. Czy mogę skorzystać z telefonu? – Spostrzegła, że facet zaciska dłonie w pięści i zarejestrowała niepokojący grymas na jego twarzy. – Wybacz mi. Chciałabym po prostu... chciałabym... – Właśnie. Czego by chciała? Spojrzała na niego i poczuła ogromny żal, a jej oczy się zaszkliły, podczas gdy w jego wzroku pojawiło się zdziwienie. Jakby nie spodziewał się łez.

– Przecież nie powiedziałem, że cię zabiję – stwierdził cicho. – Na razie nawet cię jeszcze nie uderzyłem. – Dziewczyna westchnęła bezradnie, co w jakimś stopniu go rozżaliło.

– Kim ty tak naprawdę jesteś, Blane? – Ton jej głosu sprawił, że poczuł mrowienie na karku. – Oprócz tego, jak się nazywasz, nie wiem o tobie niczego, chociaż jeszcze kilka godzin temu chciałeś mnie zgwałcić – stwierdziła, a widząc, że chce coś powiedzieć, nie pozwoliła mu i kontynuowała: – Bez obawy, nie będzie konsekwencji. Chociaż tego, że mnie uderzyłeś, nie puszcę ci płazem – dodała i ujrzała na jego twarzy zdziwienie. Czasem miała wrażenie, jakby nie wiedział, o czym mówiła. Czyżby akcent był aż takim utrudnieniem?

– Co chcesz o mnie wiedzieć? – Usłyszała jego chłodny głos i spojrzała mu wprost w oczy.

– Kim jesteś, Blane? – zadała pytanie.

Patrzył na nią pociemniałymi z gniewu tęczęwkami. Jego twarz była fascynująca. Skrywała w sobie tak ogromne podobieństwo do mężczyzny z portretu, że czasami miała ochotę go dotknąć. Ten stanowczy i władczy grymas twarzy oraz uniesiona górna brew. Zmrużone powieki i ten niesamowity, charakterystyczny gest, kiedy jego górna warga unosiła się jak u jakiegoś dzikiego zwierzęcia. Czarne, długie włosy opadały na ramiona, a ona ledwie się powstrzymywała, aby ich nie odgarnąć z jego policzka. Co takiego było w tym mężczyźnie, że tak bardzo ją pociągał? Kawał skurwysyna, który bez mrugnięcia okiem podniósł na nią rękę, a ona z jakichś niezrozumiałych powodów czuła do niego dziwną słabość.

– Nazywam się Blane MacLeod i jestem naczelnikiem klanu oraz panem na zamku Ardvreck – oświadczył dumnie, a ona zamarła.

Gadał jak potłuczony. Naczelnik klanu? Pan na zamku? Facet mógł być nawet psychicznie chory. Łaził ubrany w jakieś starodawne szaty, bo tego, co miał na sobie poprzedniego wieczoru, nie można było nazwać codziennym ubiorem. Jeździł konno i z pełnym orężem. Nawet wystrój i umeblowanie tego cholernego zamku świadczyły o tym, że ten człowiek miał jakiegoś świra na punkcie przeszłości. Miała jednak nieco inny problem, który z każdą chwilą ściągał jej myśli na zupełnie inny tor.

– Gdzie tu jest łazienka? – wydusiła.

– Co? – Wydawał się zdezorientowany, a ona poczuła złość. Musiała jak najszybciej dostać się do toalety.

– Chciałabym skorzystać z łazienki. Byłabym wdzięczna, gdybyś mi powiedział, gdzie jest, i jeżeli nie masz nic przeciwko, to proszę, abyś się pośpieszył – wyrecytowała jednym ciągiem.

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– Sikać mi się chce! – krzyknęła, nie mogąc powstrzymać złości. Te jego nagłe wrzaski sprawiały, że miała ochotę zrobić mu krzywdę.

– Sikać? – zapytał, a po chwili roześmiał się głośno.

– Tak! Sikać! – huknęła, cała czerwona na twarzy.

– Pod łóżkiem – poinformował, wpatrując się w nią z głupim uśmiechem.

– Co pod łóżkiem? Mam wejść pod łóżko i sikać? – Była coraz bardziej zdenerwowana. Czuła, że jeszcze moment i zsika się w majtki. Albo właściwie w ich strzępy.

– Pod łóżkiem jest wiadro. – Usłyszała i zamarła. Robił sobie z niej jaja?

– Nie mam najmniejszej ochoty na dowcipy, więc jeżeli natychmiast mi nie powiesz, gdzie jest łazienka, to oświadczam ci, że...

– Jeżeli wolisz, to wyjdź na dwór – przerwał jej, a ona zrozumiała, że nie kpił.

Czyżby ten facet aż tak bardzo dbał o szczegóły, czy po prostu najzwyczajniej w świecie się nad nią pastwił? A może po prostu żartował? Nie miała ochoty na jakiegokolwiek rozmyślenia. Spanie na podłodze? Sikanie na dworze? Jakie to miłe z jego strony, że pozwolił jej zjeść przy stole. Chociaż zawdzięczała to raczej Unie. Miała ochotę wrzeszczeć. Odrzuciła pled, chcąc wstać, ale coś ją powstrzymało. Ujrzała, jak Blane podnosi się z łóżka i podchodzi do okna. Szybkim ruchem odsłonił ciężkie, czarne kotary, wpuszczając promienie słoneczne, które w jednej chwili otoczyły sobą jego postawną sylwetkę. Gapiła się na niego z otwartymi szeroko oczami. Teraz szedł do niej wolnym krokiem i z jakąś dziką satysfakcją obserwował jej reakcję na swoje nagie ciało.

– Jesteś... – Po jej głowie przebiegało setki myśli. Czy to, co widziała, było codzienną męską przypadłością, jaką jest poranny wzwód? Ale czy to powinno trwać tak długo? Gadali już dobrych kilkanaście minut. Może nawet pół godziny. I czy to powinno być aż tak... – Przestań! – krzyknęła, a później spojrzała na jego twarz i ujrawszy na niej rozbawienie, poczuła do siebie złość. Sama dawała mu powody.

Poderwała się gwałtownie i odwróciła twarz w drugą stronę, niestety tak niefortunnie, że uderzyła głową w drewniany filar łóżka.

– Kurwa mać – wymamrotała, rozcierając bolesne miejsce.

Łazienka, dwór, cokolwiek. Musiała się wysikać, musiała gdzieś uciec, bo jeszcze chwila i samo przyglądanie się jego nagości doprowadzi ją do niepożądanых reakcji.

– Wszystko w porządku? – Usłyszała jego głęboki głos, na co zadrzała.

Co on mógł sobie o niej pomyśleć? To bez dwóch zdań jakiś wariat, ale mimo wszystko nie była zadowolona z tego, że pozwalała mu obserwować własne dzikie reakcje. Najpierw gapiła się niczym kretyńka na jego krocze, dosłownie nie odrywając wzroku od strategicznego punktu, a później, jak głupia odwracała głowę, taranując meble. Teraz natomiast ukrywała twarz w dłoniach. Była niczym małe, głupiutkie dziecko, które po zasłonięciu oczu myśli, że staje się niewidoczne. Złość wzniecał w niej również fakt, że facet doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co pobudziło ją do tak szalonych reakcji.

Łazienka. Teraz tylko to się liczyło. Nie chcąc wdawać się w bezsensowne dyskusje, poderwała się z łóżka i ruszyła w kierunku drzwi. Nie miała zamiaru pytać go nawet o tak przyziemne sprawy jak papier toaletowy. Teraz chciała po prostu jedynie się wysikać. Później potrzebowała prysznic, najlepiej zimnego. Dosłownie i w przenośni. Gdy wybiegała, słyszała za sobą jego głośny śmiech.

– Schodami dostaniesz się na dół szybciej – poinformował, a ona skierowała się w stronę kręconych stopni, które były dość strome i wąskie.

Una przyprowdziła ją innym wejściem. Prawdopodobnie droga z kuchni do sypialni wiodła przez całą posiadłość, a ona potrzebowała błyskawicznie dostać się na dwór. Później będzie czas na wszystko inne. Biegła pośpiesznie, a schody wydawały się nie mieć końca. Ile tu mogło być pięter? Była przekonana, że pokonała już co najmniej dwa, a miała przed sobą jeszcze niezliczone stopnie. Czy on nie mógł zamontować windy? Zawadziła o coś materiałem koszuli i potykając się, wpadła na kogoś. Odsunawszy się nieco w tył, ujrzała wpatrzona w nią z zainteresowaniem pogodnie oczy wysokiego, postawnego szatyna, który

uśmiechnął się szeroko, gdy ujrzał, jak zamrugwała, spoglądając na niego zaskoczonym wzrokiem.

– Witaj, pani. – Do jej uszu dotarł przyjacielski ton głosu i ujrzała, jak nieznajomy pochyła przed nią lekko głowę.

– Że co? – zapytała, zupełnie wytrącona z równowagi.

Czyżby kolejny wariat? Patrzyła na jego płócienną koszulę, na którą narzucony był skórzany kubrak podbity jakimś futrem.

Również i on miał na sobie kilt, a ona pomyślała, że może odbywa się tu jakiś zlot miłośników tego typu imprez. Bo dwóch wariatów to byłoby o co najmniej jednego za dużo. Zresztą ten wyglądał jak normalny, cywilizowany człowiek. Był bardzo sympatyczny i grzeczny.

– Jestem Bothan – oznajmił, a ona, chcąc nie chcąc, uśmiechnęła się. Musiała na dół, koniecznie, jak najszybciej. – Powiedziano mi o tobie. – To nieco ją zaskoczyło.

– Powiedziano? – Co, do jasnej cholery, mu powiedziano i kto mu to powiedział?

W jednej chwili wszystko stało się jeszcze bardziej skomplikowane. Czyżby chodziło o wczorajsze zamieszki? Może ktoś ją tam widział.

Próbowała podnieść miecz w wiadomych celach. Nikt nie uwierzyłby jej w to, że chciała nim podłubać w zębach. A jeżeli będzie miała przez to problemy? Jeżeli ktoś tam faktycznie zginął i wina spadnie na nią?

– Blane wyjawiał, że pojmano cię i trzymano w niewoli. – Słyszac to, o mało nie parsknęła śmiechem.

– Uwierzyłeś mu? – zapytała, a widząc jego konsternację, dodała: – Niewola? Serio? W którym ty wieku żyjesz?

– W szesnastym. – Westchnęła zrezygnowana. Okej, z wariatami się nie dyskutuje. Dobrze, że chociaż Una była normalna i nie pieprzyła wciąż tych samych, głodnych kawałków.

– Muszę iść – oznajmiła, starając się nie pokazać, jak pilna jest konieczność. A była już naprawdę duża. – Słuchaj, Bothan, zaraz pogadamy. Okej? Teraz muszę załatwić bardzo nagłą sprawę.

– Bothan – poprawił ją niezrażony, nadal sympatycznie się do niej uśmiechając. – A tobie jak na imię, pani?

– Na imię mi Brice, panie! – dodała z irytacją, a później odwróciła się na pięcie i bez słowa zbiegła na dół, pozostawiając mężczyznę samego.

Jeszcze przez moment wpatrywał się w miejsce, w którym zniknęła, a po chwili wbiegał już na górę. Zastał Blane'a, tak jak podejrzewał, w sypialni.

Niekompletna garderoba i ten wyraz błęgiego zadowolenia potwierdziły jego przypuszczenia.

– Nadobna i niegłupia ta twoja francuska kocica. Tylko jakaś taka trochę... – Nie wiedział, jakiego słowa użyć. – Trochę zagubiona.

Widział wpatrującego się w niego ze złością przyjaciela i uśmiechnął się pod nosem.

– Nie zezwoliłem na rozmowę z jeńcem – stwierdził gwałtownie Blane, a Bothan ledwie się powstrzymał, aby nie parsknąć śmiechem.

– Jeńcem? Myślałem, że wyzwoliłeś ją z niewoli nie po to, aby uczynić ją ponownie jeńcem. Pozwól, że zapytam. Spała w lochu czy w twym łóżu? – Blane westchnął zrezygnowany. Przez tę dziewczynę zaczynał zachowywać się histerycznie.

– Nie twoja rzecz, gdzie ta dziewczka spała. Po cóż przybyłeś na zamek? Masz sprawę, czy przywiodła cię ino ciekawość? – Doskonale znany był mu powód przybycia przyjaciela, ale chciał usłyszeć to osobiście.

– Nie wygląda na zwykłą dziewczkę – ocenił w zamyśleniu mężczyzna. – Prędzej na szlachciankę. Mówiła, z jakich okolic pochodzi?

– Jeszcze z nią nie rozmawiałem o jej rodzinie. Inne sprawy są ważniejsze – oznajmił, chcąc podkreślić, że Brice tak naprawdę niewiele go obchodzi.

– Oczywiście, przyjacielu. Jeżeli chcesz, to zajmę się dziewczyną za ciebie. Masz ważniejsze obowiązki jako naczelnik – powiedział, uśmiechając się półgębkiem Bothan, wiedząc doskonale, jaką reakcję wzbudzi jego propozycja i nie pomylił się.

– Bez problemu należycie sobie ze wszystkim poradzę. Powiedz lepiej, czyś przybył tu jeno przez wzgląd na dziewczynę, czy jest jeszcze jakiś inny powód twej nieoczekiwanej wizyty? – zapytał.

– Chciałbym, aby chodziło tylko o tę ślicznotkę – wydusił ponuro przyjaciel.

– Zaoszczędzę ci fatygi i odpowiem na niezadane jeszcze pytanie. Żonę wezmę sobie, gdy taką

podejmę decyzję, i wybiorę taką, która spełni me... – Tu zastanowił się przez moment. – Oczekiwania – zakończył niepewnym głosem.

– W ten sposób możesz prawić z Eiligiem albo Ossianem. – Usłyszawszy słowa Bothana, westchnął.

Miał rację. Z nim jednym mógł rozmawiać jak z prawdziwym przyjacielem, a nie ulegało wątpliwości, że dyskusja jest konieczna. Los klanu i wielu ludzi, którzy na nim polegali, zależał od niego. I chociaż tego nigdy nie pragnął, odpowiedzialność za nich spoczywała na nim. Ale czy teraz był właściwy czas na rozmowę? Podczas gdy ta niemądra dziewczyna zbiegła na dół i nie wiadomo, co robiła? Zacisnął ze złością szczękę i zapiął klamrę pasa, do którego przytroczono dwa duże, obusieczne noże. Miecz pozostawił na komodzie.

– Zrobię, co będzie konieczne – powiedział chłodno i usłyszał za sobą kroki, a po chwili poczuł dłoń Bothana na ramieniu.

– Wiem i dlatego właśnie przyszedłem rozmawiać. – Na te słowa odwrócił się w jego stronę, spoglądając na niego pytającym wzrokiem. – To nie musi być klan MacCallum.

– Chcesz mi dać do zrozumienia, że nocą powiedziano prawdę o dziewczynie – oświadczył rzeczowo dość rażnym głosem, co nieco zaskoczyło Bothana, który nie taką odpowiedź spodziewał się usłyszeć.

– Nie widziałem jej osobiście, ale słyszałem o niej te same rzeczy. Kobiety schodzą jej z drogi, a ona żyje z mężczyznami.

– Zabrzmiało to wielce zachęcająco, lecz byłbym rad usłyszeć, jak rozwijasz wypowiedź, przyjacielu.

– Wybacz, Blane, istotnie nie zabrzmiało to dobrze. Miałem na myśli raczej to, że ona żyje jak mężczyzna – pospieszył z wyjaśnieniem.

– Co masz przez to na myśli? – Blane chciał jak najszybciej zakończyć dyskusję i było mu zupełnie obojętne, jak egzystuje córka MacCalluma. Mogła sobie nawet żyć z końmi w stajni. On chciał zejść na dół i sprawdzić, co dzieje się z Brice. Powinna już wrócić. Może gdzieś pobłądziła. Może nawet spróbowała ucieczki.

– Jej brat jest bardziej zniewieściały od niej. Panna jeździ konno lepiej niż niejeden wojownik. Walczy również jak...

– Walczy? – wszedł mu w słowo Blane. – Stary MacCallum pozwala jej trenować na placu? – zapytał niedowierzająco.

To, co słyszał, było dla niego nowością. Owszem, zdarzało się tak, że któraś z kobiet potrafiła się bronić. Bywało, że jakiś mąż przyzwalał na takie fanaberie głównie z powodu możliwości samoobrony, gdy podczas jakiejś potyczki kobiety pozostawały w domostwach praktycznie bez mężczyzn. Jednak bywały to bardzo nieliczne przypadki i Blane osobiście spotkał się z tym jeden raz. Córka Eiliga, Artis, kilka lat temu pobierała lekcje od ojca, lecz była temu niechętna i robiła to z obowiązku.

– Blane, ona bierze udział w każdej bitwie. Na placu spędza kilka godzin dziennie. – Słowa przyjaciela sprawiły, że zamarł. Czy mogło być gorzej?

– Podejrzewam, że nie nosi tam wody – wymruczał niechętnie.

– Szkoli się. Ponoć strzela z łuku najlepiej ze wszystkich ludzi MacCalluma. – Blane pomyślał, że przyjaciel już chyba bardziej nie mógł go dobić, a jednak:

– Kobiety jej unikają, a mężczyźni traktują jak druha.

– Już bardziej dyplomatycznie nie mogłeś mi powiedzieć, że jest szpetna – stwierdził.

– Osobiście jej nie widziałem, ale do tej pory żaden mężczyzna jej nie chciał. – Chyba to wystarczyło, bardziej zniechęcić go już nie mógł.

– Potrzebuję dziedzica, żona mi niepotrzebna. Spełni swą powinność, jedynie tego od niej oczekuję. Zajmie się dzieckiem, a ja zatroszczę się o resztę.

– I nie będzie przeszkadzało ci, że jest taka... – Nie mógł się przemóc, aby nazwać rzecz dosłownie.

– Mało urodziwa? – To wydało mu się neutralne.

– Potrzebuję, aby dziewczyna urodziła mi syna. Szkotek o pięknym licu mogę mieć na pęczki.

– Nie muszą to być jedynie Szkotki – podsunął Bothan, a ujrawszy grymas na twarzy kompana, dodał pośpiesznie: – Muszę cię jednak zmartwić, przyjacielu.

– Co znowu?

– Stary MacCallum to człowiek tradycyjny, a swoją córkę kocha nad życie.

– Stary zejdzie z tego świata, jak mniemam, już w niedługim czasie – stwierdził.

– Ale przecież...

– Jestem honorowym człowiekiem. Zawrę z tą dziewczką układ, a jeżeli stary tak bardzo ją kocha, to nigdy się o nim nie dowie – uciał krótko i stanowczo.

– Tak właśnie myślałem. Ale możemy poszukać jeszcze innego wyjścia z sytuacji. Może jakiś inny naczelnik ma córkę na wydaniu i może jest bardziej...

– Przez wzgląd na naszą przyjaźń, nie kończ – powstrzymał go. – Podjąłem decyzję. Klan MacCallum to bardzo mocny klan. Lepszego nie znajdę – powiedział.

– Ale...

– Wystarczy. Powiedz mi lepiej, co z synem MacCalluma. Nie będzie rościł sobie praw? – zapytał.

– Wychował się na dworze angielskim i nadal tam przebywa ze swą matką. Miecz nosi dla ozdoby. – Słowa Bothana mu wystarczyły.

– W takim razie wyślij ludzi i zaprosz starego wraz z córką na zamek – stwierdził.

– Wkrótce będą gościć u siebie ambasadora Francji. Przy okazji zbliża się Lammas17, więc wyglądałoby chyba lepiej, gdybyśmy sami się tam udali – zaproponował.

– Niezaproszeni?

– MacCallum patrzy na ciebie przychylnym okiem. Bez problemu dogadasz się ze staruszkiem, a człowiek z zaproszeniem przybył kilka dni temu. Odprawiłeś go do mnie.

– Przyjąłeś zaproszenie?

– Odesłałem z wiadomością, że damy odpowiedź po bitwie – poinformował Bothan, a Blane westchnął ciężko.

– Wszystko zatem jasne – oznajmił krótko. – Na razie jednak nikomu o niczym nie mów, chcę wpięć... – zaczął, lecz usłyszawszy wrzaski dochodzące z dołu, zamarł w pół słowa. – Brice – wymruczał pod nosem, zaciskając dłonie w pięści.

– Twoja francuska kocica? – Dotarły do niego słowa przyjaciela i poczuł złość, widząc, jak spogląda na jego policzek, na którym widniały ślady pozostawione przez dziewczynę.

– Zamilcz! – rzucił krótko, po czym ruszył w stronę drzwi.

Usłyszawszy za sobą kroki, upewnił się, że mężczyzna podążył za nim. Ale mógł się tego spodziewać. Zdziwiłby się, gdyby Bothan został na miejscu.

Zbiegł schodami szybciej niż zazwyczaj. W połowie natknął się na biegnącego w przeciwnym kierunku Tormoda. Czyżby uciekał przed Brice? To była pierwsza myśl, jaka pojawiła się w głowie Blane'a na widok przerażonej miny chłopaka.

– Panie, potrzebna pomoc – wydyszał Tormod.

– Co się stało? Uczyniła ci krzywdę? – zaniepokoił się Blane.

– Kto? – Chłopak popatrzył na niego zupełnie zbity z tropu.

– Dziewka – zdenerwował się Blane.

Chciał jak najszybciej dostać się na dół i dobrać do skóry tej niewdzięcznicy, ale niekoniecznie o niej mówił Tormod. Może jej tam nawet nie było. A jeżeli w tym zamęcie gdzieś się ukryła? Rozmawiał z Bothanem dość długo. Mogła spróbować zbiec. Poczuł złość na samą myśl o tym.

– Pani Brice? – zapytał Tormod, a Blane sapnął ze złości.

– Panna – powiedział gwałtownie i usłyszawszy za sobą parsknięcie Bothana, poczuł jeszcze większą złość. Ale właściwie dlaczego tak założył? Niekoniecznie była panną. Może miała męża, a nawet dzieci gdzieś we Francji.

– Panią Brice nikomu nie zrobiła krzywdy. – Usłyszał oburzonego chłopaka. – Mam na myśli mnie. Nie uczyniła mi żadnej krzywdy – zaręczył stanowczo.

– A powiesz coś więcej? – Bothan był równie zainteresowany i postanowił dowiedzieć się czegoś jeszcze.

– Nie zrobiła mi krzywdy. Po prostu zaszło niewielkie...

– Zejdź mi z drogi! – zagrmiał Blane, który został już dostatecznie wyprowadzony z równowagi.

Dziewczyna była awanturnicą i bez problemu dawała sobie radę. Do tej pory. A jeżeli ktoś podniósł na nią rękę? Jeżeli to jednak jej stała się krzywda?

– Niewielkie? Co niewielkie? – dopytywał się Bothan.

– Niewielkie nieporozumienie – wydusił Tormod, a Blane stwierdził, że nie ma najmniejszej ochoty



słuchać tłumaczeń chłopaka i odepchnął go ze złością, a później, mimo protestów, zbiegł na dół.

Po chwili był już na dworze i zaskoczony przypatrywał się temu, co się przed nim rozgrywało.

17 *Lammas*, inaczej zwane *Lughnasadh* – przypadające na 1 sierpnia celtyckie święto poświęcone niegdyś bogini Taltu – przybranej matce Lughy. W tradycji iryjskiej również określane jest jako Brón Troghain – dosł. „Smutek/Boleść porodu” (irl. *troghan* – „poród”, „ból porodowy”, „narodziny”), określenie prawdopodobnie związane z wydawaniem plonów przez ziemię w tym okresie i porównaniem tego do cierpień przy porodzie. Święto Lammas zwane jest również festiwalem miłości. Wyznacza początek zbiorów pszenicy i jęczmienia oraz początek jesieni według tradycyjnego kalendarza irlandzkiego (przyp. aut.).

## Rozdział 8 Furia



Gdy wreszcie schody się skończyły, odetchnęła z ulgą. Wbiegła do ciemnego, wąskiego korytarza. Nie dostrzegając tu żadnych okien. Niczego oprócz...

– Co jest, do jasnej cholery, z tym człowiekiem? – mruknęła, wpatrując się w zapaloną pochodnię.

Nie miała jednak ani czasu, ani ochoty na zadawanie głupich pytań i udzielanie sobie jeszcze głępszych odpowiedzi. Prawdę mówiąc, jedyne, co teraz robiła, to uciszanie niedorzecznych myśli, których z każdą chwilą pojawiało się coraz więcej. Podstawowa sprawa: wydostać się na zewnątrz. Pęcherz wręcz ją o to błagał. Później wróci do tego człowieka, porozmawia z nim w sposób cywilizowany i poprosi o wyjaśnienia. Pewnie do tej pory zdąży się już nawet ubrać. Wybiegła z korytarza wprost do piwniczki.

Gdy jej bose stopy natrafiły na ubitą ziemię, chciała się cofnąć, lecz ujrzawszy przed sobą światło wpadające przez otworzone na oścież, ogromne drzwi, ruszyła przed siebie, nie zastanawiając się już ani minuty dłużej. Co znajdowało się w poustawianych pod ścianami beczkach? Wino? Wyczuwała lekki zapach tego trunku, lecz nie miała pewności. Może trafiła do miejscowej rozlewni. Ale gdzie w takim razie przechowywano butelki?

– Pewnie w innym pomieszczeniu – wymamrotała i wybiegła jak szalona, czując, że pozostały jej zaledwie ułamki sekund do katastrofy. Mijała ludzi, słyszała głosy, lecz czuła się coraz bardziej zdesperowana. – Co teraz? – wyszeptwała, rozglądając się wokoło.

Znajdowała się na bardzo dużym, wręcz ogromnym podwórzu. Po prawej stały chyba stajnie, słyszała parskanie koni i czyjeś głosy.

Skierowała się w przeciwną stronę i biegnąc wzdłuż muru zamku, pokonała kilka metrów. Czuła teraz pod stopami trawę. Nagle się zatrzymała, ledwie wyhamowawszy przed wodami jeziora. Niewiele myśląc, przykucnęła i już po chwili odetchnęła z ulgą. Gdy tylko się podniosła, obejrzała się za siebie. Na szczęście nikt jej nie ujrzał.

– Okej. Teraz muszę to wszystko jakoś logicznie poukładać – oświadczyła i spojrzała w bok, a to, co zobaczyła, sprawiło, że wstrzymała oddech.

Krajobraz, jaki miała przed sobą, dosłownie zwał z nóg. Gładka tafla jeziora ciągnęła się przez kilkaset metrów, a gdzieś tam po jego drugiej stronie brzegi spotykały się z górskimi wzniesieniami, tworząc niesamowity widok. Powiał chłodny wiatr, a ona zadrżała. Otaczała ją dziewicza, wręcz dzika przyroda. I to niesamowite orzeźwiające powietrze, docierające do jej nozdrzy.

– Gdzie ja jestem? – zastanawiała się, chłonąc niczym urzeczona te niecodzienne, piękne widoki. Ten teren naprawdę przypominał Szkocję i to ją trochę przytłaczało.

– Na zamku, pani. – Na te słowa odwróciła się gwałtownie.

Nie poczuła nawet złości, słysząc to cholerne „pani”, jakim po raz kolejny ją tytułowano, a brzmiało to dość niepokojąco w połączeniu z tym wszystkim, co widziała i co stało się wczorajszego wieczora.

Patrząc na stojącą przed nią kobietę, mimowolnie cofnęła się o krok. Ubranie, jakie nieznaną miała na sobie, przypominało raczej worek na kartofle niż suknię. Na głowie nosiła chustę zawiązaną na szyi. Prezentowała się bardzo niechlujnie. Twarz wymazaną miała sadzą i wyglądała jak jakaś średniowieczna wieśniaczka.

– Co tu się dzieje? – wyszeptwała poblada Brice, a kobieta uśmiechnęła się do niej, pokazując resztki poczerwiałych zębów.

Na ten widok włos jej się zjeżył na karku. Nieznajoma nie była pierwszej młodości, twarz miała

zniszczone, ale nie dałaby jej więcej niż trzydzieści, góra trzydzieści dwa lata.

– Pewnie jest chora – powiedziała sama do siebie, a później mimowolnie zapytała: – Przepraszam, ile pani ma lat? – Od razu zganiła się za to w myślach.

Przecież ta kobieta może się domyślić, że to jej wygląd sprowokował to bardzo nietaktowne pytanie. A jeżeli jest śmiertelnie chora i poczuje się urażona?

– Dwadzieścia mi minie, ino śnieg spadnie, pani. – Pomyślała, że baba robi sobie z niej jaja.

Dziewiętnastolatka? A może to jakaś charakteryzacja, przecież zarówno Blane, jak i ten facet na schodach nosili ubrania, jakby grali w jakimś średniowiecznym filmie. Co się tu właściwie działo i gdzie była? Czy to naprawdę Szkocja? Ale w takim razie jak się tu znalazła? Lot do Europy potrwałby co najmniej dziewięć godzin i na pewno by go pamiętała.

– Muszę zadzwonić – szepnęła. – Czy mogłaby mi pani pożyczyć komórkę? – dodała.

Kobieta przez chwilę patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc, a gdy Brice już zaczynała tracić nadzieję, nagle na umorusanej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, po raz kolejny odsłaniając przerażające wnętrze jamy ustnej, co napawało ją obrzydzeniem i choć starała się je ukrywać, nie miała pojęcia, z jakim skutkiem to robiła.

– Ale którą pani chce? – zapytała nieznajoma, patrząc na nią pytającym wzrokiem, a Brice odetchnęła z ulgą.

Zadzwoń do kogokolwiek z pracy i poprosi, aby ktoś po nią przyjechał. Albo po prostu po taksówkę i po drodze dowie się, gdzie jest. Jeżeli faktycznie w Szkocji, to musiała jakoś dostać się na lotnisko i zdobyć pieniądze na bilet, bo nie miała ze sobą dosłownie niczego. Nawet porządnego ubrania.

– Jakąkolwiek – wypaliła jednym tchem, szczęśliwa, że wreszcie będzie mogła odzyskać kontrolę nad tym, co się działo.

– To może ta na opał. – Spojrzała na nią zaskoczona, a kobieta, dostrzegając jej zdziwienie, pośpiesznie dodała: – W dojarni są dziewczki, jeszcze nie skończyły.

Sytuacja stawała się coraz dziwniejsza, a ona zaczynała wpadać w histerię. Poczula strach. Przypomniały jej się wszystkie możliwe horrory i struchlała. Ciemne komórki, ludzie z poczerniałymi zębami pieprzący głupoty? Coś tu było bardzo nie tak.

– Natychmiast powiedz mi, co tu się dzieje – wypaliła jednym tchem. – Jeżeli nie powiesz mi, zadzwonię na policję i będziesz miała duże problemy, gdy tu przyjadą.

– Policję? – Kobieta sprawiała wrażenie zaskoczonej.

Naraz Brice ujrzała, jak za jej plecami pojawia się facet w połatanej, szaroburej koszuli, która zapewne była kiedyś biała. W rękę trzymał ogromne nożyce; na ich widok przeszły ją dreszcze.

– Nie gadaj z nią. Jest pomylona – powiedział, spluwając na ziemię.

Brice poczuła obrzydzenie. Zaczynał towarzyszyć jej coraz większy niepokój i jedyne, o czym marzyła, to by znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Chciała już tylko wrócić do Blane'a i porozmawiać z nim na spokojnie. Przecież to wszystko można logicznie wytłumaczyć.

– Wygląda normalnie. – Usłyszała dość wyraźny szept „nastolatki” prezentującej się nie lepiej niż pierwszy lepszy, przechodzony menel, na co westchnęła zrezygnowana.

– Zwierz przywiózł ją z niewoli. Jest głupia, sama słyszysz, że prawi od rzeczy. Wracaj lepiej do roboty, chyba że chcesz, abym porachował ci kości.

Brice poczuła wściekłość. Jak ten facet śmiał nazwać ją głupią? O czym on w ogóle bredził? Co za bzdury wygadywał? Jaki zwierz? Miał na myśli konia, na którym przyjechali z Blane'em? I o co im wszystkim chodzi z tą cholerną niewolą? Jakieś zbiorowe szaleństwo? Może to zakład dla psychicznie chorych? Jeżeli tak, musiała koniecznie się stąd wydostać, zanim sama stanie się jego pacjentką. A czuła, że w tej chwili niewiele już do tego brakowało.

– Gdzie tu jest najbliższy telefon?! – wrzasnęła ponownie. Kobieta wyglądała na wystraszoną, a na twarzy mężczyzny pojawiła się złość.

– Sama widzisz, że jest pomylona – mruknął facet i bez ceregieli pchnął ją tak, że ledwie utrzymała się w pionie.

– Ty gnoju! – krzyknęła Brice, ruszając do niego ze złością.

Wysoki i postawny, miał więcej zębów od dziewczyny, lecz jego skronie przyprószone zostały

gdzieniegdzie siwizną. Pomyślała, że gdyby i on spróbował wcisnąć jej kit, że jest nastolatkiem, to byłoby to doprawdy żałosne. Czy oni tu wszyscy zgłupieli?

– Co?! – Ujrzała na jego twarzy najpierw zaskoczenie, a później złość.

– Przepróż ją – zażądała i z mieszanymi uczuciami przyglądała się, jak jego twarz robi się purpurowa.

– Jeżeli spróbujesz mnie uderzyć, to Blane wypruje z ciebie flaki – wysyczała ostrzegawczo.

Poczuła strach i, nie wiedząc czemu, zasłoniła się Blane'em. Skąd pojawił się ten pomysł? Przecież on sam wczoraj zachował się w stosunku do niej okrutnie i podniósł na nią rękę. Z drugiej strony był właścicielem tego zamku, a co za tym idzie – pracodawcą tego człowieka. Mógł go w każdej chwili zwolnić. Ale skąd wzięły się te wyprute flaki? Najważniejsze, że groźba pomogła, a facet, usłyszawszy o Blanie, spasował.

– Co tu się dzieje? – rozbrzmiał jakiś męski, delikatny głos i odwróciła się w stronę, skąd dochodził.

Ujrzała podchodzącego do niej chłopaka. Miał sympatyczny wyraz twarzy, był bardzo młody i wysoki oraz przeraźliwie chudy. A jego ciemne włosy, dość długie i lekko kręcone, opadały na ramiona, podczas gdy brązowe oczy spoglądały na nią łagodnym wzrokiem.

– *Bonjour, madame.* – Poczuła chaos. Co tu się działo? Kim byli ci ludzie? – *Je m'appelle Tormod*<sup>18</sup>.

– Mówiąc to, chłopak uklonił się jej, a ona poczuła się trochę dziwnie. Jego ubranie wyglądało równie niedorzecznie, ale ten, w przeciwieństwie do reszty miał na sobie spodnie.

– *Êtes-vous français? Où sommes-nous? Avez-vous un téléphone? Je peux appeler?*<sup>19</sup> – zadawała jedno pytanie za drugim, chcąc jak najszybciej wyprowadzić niejasną sytuację na prostą drogę, ale czy to możliwe?

– *Ce que?*<sup>20</sup> – Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– *Vous avez une voiture? Emmenez-moi à l'aéroport?*<sup>21</sup> – Musiała kuć żelazo póki gorące. Mimo wszystko ten chłopak zachowywał się najbardziej cywilizowanie.

– Wybacz pani, ale nie wiem, o czym mówisz – przyznał w końcu, wzdychając z rezygnacją, a ona, chcąc nie chcąc, uśmiechnęła się.

Wydawał się sympatyczny i samo patrzenie na niego napawało ją spokojem. Nie był Francuzem, ale to lepiej. Miał taki sam akcent jak pozostali, ale nosił spodnie, a to mimo wszystko dawało mu dodatkowe punkty. Wiedziała, że dogada się z nim o wiele lepiej po angielsku.

– Gdzie jesteśmy? Tylko nie mów, że w Szkocji – oznajmiła, a on wpatrywał się w nią. – Czemu nic nie mówisz? – poirytowała się, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Zabroniłaś mi, pani – wyszeptał, a ona starała się nie wybuchnąć złością.

– Zapytałam. Niczego ci nie zabraniałam.

– Powiedziałaś, abym nie mówił, że jesteśmy w Szkocji, więc nie mówiłem – stwierdził, a ona westchnęła. – Jak na Francuzkę, dobrze mówisz po angielsku, pani – dodał, a ona pomyślała, że jeszcze chwila i go zdzieli.

– Wiem, do jasnej cholery, że jestem kobietą, ale do kur... Przestań wreszcie to podkreślać na każdym kroku! – wrzasnęła, przez co popatrzył na nią trochę zaniepokojony tymi niecodziennymi dla niego reakcjami. – Zrozumiałeś?

– Tak, pani – przytaknął. Przymknęła oczy i pomyślała, że to jakiś zły sen.

Od wczorajszej nocy starała się zagłuszyć te wszystkie głupie myśli, ale z każdym takim incydentem to zaczynało stawać się bardziej prawdziwe. Czy to możliwe, że...

– Nie! – powiedziała ze złością i rozejrzała się wokoło.

Tu nie było żadnej cywilizacji, a oni nie mieli zielonego pojęcia, o czym ona mówiła. Widziała tych krzątających się na dziedzińcu ludzi, ubranych w starodawne stroje i mówiących, jakby pochodzili z innej epoki. Wszystkie budynki wyglądały jak budowle z dawnych lat. A wokoło jedynie horyzont i góry. Co to za miejsce? Patrzyli na nią, jakby przyleciała z kosmosu, a to oni tak się zachowywali i wyglądali.

– Jaki dziś mamy dzień? – wypaliła zdławionym głosem. Tak bardzo nie chciała zadawać tego pytania, ale wszystko popychało ją do tego, aby to zrobić.

– Czwartek, pani. – Zacisnęła szczękę.

– Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem... – Pomyślała, że powinna policzyć do dziesięciu i odetchnąć kilka razy, aby na spokojnie z nim porozmawiać. Z tym że do spokoju było jej teraz daleko. – Data! Podaj mi datę – zażądała gwałtownie, przerywając liczenie.

– Datę? – zadał pytanie, a ona ujrzała na jego twarzy niepokój i zganiła się w myślach.

– Który mamy rok? – powiedziała spokojnie. Pomyślała, że za moment ją wyśmieje i sprawa się wyjaśni, a ona jakoś dostanie się do tej cholernej cywilizacji, czego tak bardzo teraz potrzebowała.

– 1597, pani.

– Czy to jakiś żart? – zapytała.

Jakie miała opcje? Zakład dla psychicznie chorych, bo wszyscy zachowywali się jak wariaci i absolutnie nic tu nie było normalne. Czyżby brali udział w jakimś eksperymencie? Może ktoś wmówił tym ludziom, że żyją w szesnastym wieku. Ale po co? To wydawało się niedorzeczne. A jeśli śniła? Przecież to mógł być tylko sen.

Wiedziała, że istnieje jeszcze inna możliwość. Stała na boso, ubrana jedynie w męską koszulę, z widniejącymi na niej zaschniętymi plamami krwi ludzi zabitych przez faceta, który próbował ją zgwałcić. Później podniósł na nią rękę. Miała na sobie opatrunki po tym, jak się z nią obszedł. Otaczała ją dzika przyroda i ubrani w łańchmany ludzie, a dziesięcioletka miała zęby niczym stetryczała staruszka. *Mężczyźni traktowali kobiety bez szacunku, przynajmniej niektórzy* – pomyślała, spojrzawszy na Tormoda. Prawdę mówiąc, od wczorajszego wieczoru nic nie było cywilizowane. Czyżby jakimś cholernym cudem przeniosła się w czasie?

– To niemożliwe. To dzieje się tylko w filmach – wyszeptała sama do siebie i ujrzała troskę na twarzy chłopaka.

– Czy dobrze się czujesz, pani? – zapytał, a ona zwątpiła. Może zwariowała. – Zawołać naczelnika? – Nie wiedziała, kogo ma na myśli.

– Blane – wyjąkała wreszcie i zrozumiała, że tego jej brakuje. Jakimś cholernym cudem ten facet sprawiał, że czuła się przy nim bezpiecznie. To jeszcze jeden powód, by pomyślała, że zwariowała. Bo ten człowiek wyrządził jej krzywdę.

– Już po niego idę – powiedział, ruszając w stronę wejścia do zamku.

– Nie warto zawracać sobie nią głowy, panie. – Usłyszała za sobą głos tego, który jeszcze przed chwilą wyprowadził ją z równowagi. Przymknęła oczy i pomyślała, że go zignoruje. Teraz potrzebowała jedynie dostać się do Blane’a i w spokoju wszystko sobie wyjaśnić. – To wariatka – dodał.

Dopiero gdy reszta wypowiedzi tego człowieka dotarła do jej uszu, poczuła ogromną złość. Tego nie puści mu płazem. Zwariowała, czy nie zwariowała, bo to mogła być prawda, ale nie pozwoli tak do siebie mówić temu brudasowi. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę mężczyzny, który z każdym jej krokiem miał coraz bardziej niewyraźną minę. Nie miała pojęcia, co robi. Wyglądał na wyższego od niej i całkiem niezłe umięśnionego. Miała zamiar go zbić? Czym? Pięściami? Jej kreatywność nie była teraz zbyt aktywna. Nie znajdowała żadnego pomysłu. Jednakże po drodze natrafiła na stojące w błocie wiadro z jakimiś pomyjami, a po chwili facet miał już jego całą zawartość na głowie.

– Jeżeli jeszcze raz nazwiesz mnie wariatką albo głupią, albo powiesz, że jestem pomyłona, to obiecuję, że wsadzę ci w dupę całe to wiadro, choćbym miała je rozbić i wsadzać ci je po kawałku, ty cholerny, wstrętny knurze! – krzyknęła.

Czuła w sobie tak potworną bezradność, że musiała się w jakiś sposób wyładować na czymkolwiek. A ten facet aż się prosił o guza.

Widziała na jego twarzy najpierw zdziwienie i niedowierzanie. Ale z każdą sekundą pojawiało się tam coraz więcej złości, gdy zaczynało do niego docierać, co się wydarzyło. Jej niezłomna postawa zbiła go trochę z tropu, lecz wściekłość brała górę. Widziała to wszystko i pomyślała, że zaraz ją uderzy. Zamiast tego ujrzała, jak na jego wrednej mordzie pojawia się lęk i zdziwiło ją to.

– Zrozumiałeś!?! – kontynuowała. Najwidoczniej pozostawała bezkarna.

Zorientowała się, że facet spogląda z lękiem nad jej głową i odwróciła się gwałtownie, a gdy dostrzegła stojącego tuż za nią Blane’a, bez wahania wtuliła się w niego z ulgą.

– Precz! – wrzasnęła. Struchlała, jednak po chwili poczuła jego dłoń na plecach i zrozumiała, że słowa nie były skierowane do niej. – Tylko ja mam prawo ją bić.

Dalsza wypowiedź sprawiła, że poczuła wściekłość i odepchnąwszy go, zamierzała wyrazić niezadowolenie swoim zwyczajem, lecz przewidział to, chwytając jej dłoń, zanim jeszcze dotarła do jego policzka. Złapawszy ją za łokieć, pociągnął za sobą w stronę zamku.

– Ty cholerny kretynie, ty podły draniu! – darła się, ile sił w płucach, ale na nic się to nie zdawało.

– Blane, daj spokój. – Ujrzała idących w jej stronę Bothana i Tormoda.

– Panie, ona nic nie zrobiła! – zawołał Tormod, a Brice zobaczyła w jego oczach niepokój i poczuła gwałtowną złość na Blane’a, którego o wszystko obwiniała.

– Nic się nie stało, Tormodzie. Jest okej – powiedziała, chcąc uspokoić chłopaka.

– Z drogi! – ryknął jej oprawca i nawet się nie zatrzymując, podniósł ją, po czym przerzucił sobie przez ramię niczym worek kartofli.

– Blane, może potrzebujesz pomocy? – Bothan uśmiechał się głupio pod nosem, na co zmrużyła oczy.

– Panie, nie rób jej krzywdy – prosił Tormod. – Ona jest niewinna. To ten człowiek nazywał ją głupią.

– Postaw mnie natychmiast, ty szcurze – zażądała. – Muszę porozmawiać z Botharem.

– Ma na imię Bothan i nie będziesz z nikim rozmawiać, dopóki nie porozmawiasz ze mną. Zrozumiałaś? – zagrzmiał, a ona zaczęła okładać go pięściami po plecach, choć doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że na niewiele się to zda. Czy rozumiała? Niestety rozumiała z każdą chwilą coraz więcej, a to, co zaczynało do niej docierać, nie podobało jej się i niepokoiło ją, ponieważ było cholernie niedorzeczne.

– Wszystko mnie boli, ty podły draniu – poinformowała.

Wchodził teraz po schodach i dotarli już prawie na górę. Ku jej zdziwieniu zwolnił, a gdy znaleźli się na miejscu, postawił ją delikatnie przy łóżku, gdzie spędziła ostatnią noc. No, przynajmniej jej część, nie licząc oczywiście tego czasu, kiedy spała na podłodze. Czy on zabrał ją do łóżka, gdy wrócił? Czy może sama tam weszła zupełnie nieświadomie? Istniało tyle pytań, na które chciała poznać odpowiedzi. Jednak nie tylko ona potrzebowała informacji.

– Skąd pochodzisz? – zapytał, nie dając jej nawet możliwości otworzenia ust. Pomyślała, że znowu się zaczyna i że wołała go, kiedy nie miał na sobie ubrań i...

– Nie – powiedziała gwałtownie, siadając na łóżku.

– Co „nie”? – zezłościł się.

– Słuchaj, musimy poważnie pogadać – oświadczyła. – Ten twój kumpel powiedział, że jest 1597 rok. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy i co tu się dzieje, ale zaczyna mnie wkurzać, że każdy wmawia mi bzdury. To, co wczoraj się stało, to też nie moja sprawa. Jakby ktoś mnie pytał, to nie powiem nikomu, że tam komuś... że coś tam mogło... że ty... – Nie wiedziała już, co mówić.

Chciało jej się płakać. Czula się podle w sytuacji, gdy niczego nie rozumiała i nad niczym nie miała kontroli. Nie była przyzwyczajona do takiego stanu rzeczy, przez co odnosiła teraz wrażenie, że wszystko ją tu ogranicza, jakby nagle zamknięto ją w klatce. Była takim ptakiem, który umiał żyć jedynie na wolności.

– Mów, kim jesteś. – Monotematyczność tego faceta sprawiała, że miała ochotę jedynie wrzeszczeć. Czy miała mu powiedzieć, że poprosi o inny zestaw pytań?

– Oni wszyscy zwariowali – stwierdziła. – Dlaczego próbują mi wmówić, że jest 1597 rok i że jestem w Szkocji, a jeszcze wieczorem byłam w Nowym Jorku? Więc jakim cudem, do jasnej cholery, mogłabym przebywać w tej pieprzonej Szkocji? Chociaż nie powiem, ta okolica wygląda na całkiem szkocką i w ogóle oni też nie wyglądają jak cywilizowani ludzie, a ta baba na dole...

– Jaka baba? – przerwał jej, a ona westchnęła.

Czy ten facet kiedykolwiek przestanie zachowywać się jak dzikus? Czy musi za każdym razem tak wrzeszczeć? Przecież te jego nieoczekiwane wybuchy wkrótce doprowadzą do tego, że za chwilę rozbije mu jakiś mebel na tej cholernej głowie.

– Ta z czarnymi zębami! – krzyknęła, a on zmarszczył brwi i spojrzał na nią, mrużąc oczy, a ona, nie wiedząc czemu, poczuła ulgę, widząc jego agresywną minę. Unoszącą się ku górze wargę. Wyglądał tak pierwotnie, tak ekscytująco, tak nieziemsko pociągająco.

– Ale która z czarnymi zębami? – Pomyślała, że chyba nie może krążyć tu więcej kobiet z takim samym problemem. Stomatolog zarobiłby fortunę.

– Ona mi wmawiała, że jest nastolatką! – oznajmiła podniesionym głosem i wstała gwałtownie z łóżka, zaciskając dłonie w pięści. – A ten facet mi powiedział... oni do mnie mówili... – Coraz bardziej gubiła się w domysłach, których za wszelką cenę nie chciała do siebie dopuszczać, ale nie mogła dłużej zaprzeczać faktom. To, co próbowała mu przekazać, stawało się coraz bardziej chaotyczne.

– Kto ci mówił? Co mówili? – W jego oczach pojawił się niepokój. – Wystraszyli cię?

– Dlaczego oni wszyscy zwracają się do mnie pani? – zapytała.

– Nie wiedzą, kim jesteś. Wzięto cię z niewoli, więc mogą myśleć, że jesteś szlachcianką. Musisz mi powiedzieć, skąd pochodzisz, ale nie liczy, że będę nazywał cię „pani”. Mam zamiar ukarać cię za to, co zrobiłaś i uczynię to, ale najpierw mi...

– Co zrobiłam? – przerwała mu, patrząc na niego zagubionym wzrokiem, a on poczuł złość.

Co miał jej powiedzieć? Że chodzi mu o nazwanie go tchórzem? Nie chciał teraz tego poruszać. Dziewczyna zachowywała się zbyt głośno i ktoś mógł ich podsłuchiwać. Była roztrzęsiona i tkwiło w niej zbyt wiele gniewu. Porozmawia z nią o tym w nocy. Gdy wszyscy zasną. Ale czy tylko o to mu chodziło?

– Mów, kim jesteś – zażądał, lecz, o dziwo, zrobił to, nie podnosząc głosu. – Pochodzisz z Francji?

– Blane, po prostu powiedz mi, że oni kłamią – wyszeptała. Co jej powiedziano? Czy ktoś nazwał go przy niej Zwierzem i zlekła się tego? Poczuł złość. Musieli ją wystraszyć. Nie miał innego wytłumaczenia.

– Kłamią i ukażę ich – powiedział, lecz później się otrząsnął. – Ale co mówili? – To chyba była podstawowa rzecz, jakiej powinien się dowiedzieć.

– Powiedz mi tylko, że nie jesteśmy w Szkocji i że to nie jest 1597 rok i powiedz mi, że zadzwonimy teraz do mojego biura, a później wsadzisz mnie w samochód i odwieziesz do domu. Ja muszę iść do pracy. Connor ma mi dziś dostarczyć obrazy. Muszę się nimi zająć, a nawet nie wiem, czy podczas tej cholernej burzy coś się z nimi nie stało i teraz... – Burza, piorun, obraz, a na obrazie on. Czy naprawdę to mogła być prawda? Spojrzała na Blane'a z nadzieją, że rozwieje jej wątpliwości, ale widziała na jego twarzy niezrozumienie i gniew.

– Jest rok 1597 i jesteśmy w Szkocji – podsumował chłodnym głosem, a ona przymknęła oczy.

Nie wiedzieć czemu, jego słowa stały się dla niej bardzo ważne. Wierzyła mu, chociaż załamywał ją tym, co mówił. Poczuła się jeszcze bardziej bezradna. Zaczynała się bać z każdą chwilą coraz bardziej.

– I nie masz samochodu? – wyszeptała, patrząc na niego błagalnie. – Może chociaż motor albo rower? – bąknęła, ale on jedynie spoglądał na nią zdezorientowanym wzrokiem, zupełnie nie mając pojęcia, o czym do niego mówi.

Już wiedziała, że albo śni, albo jakimś cudem dostała się do przeszłości w najbardziej przedziwny sposób.

– Jesteś Francuzką? – Westchnęła bezradnie. Znowu zaczynał?

– Nie – zaprzeczyła zgodnie z prawdą. Czemu oni się uparli na tę Francję? Coraz bardziej ją to drażniło.

– Skąd pochodzisz? – ponowił po raz któryś z kolei pytanie, a ona wypuściła głośno powietrze.

– Z Ameryki – odparła zrezygnowana. Chyba powinna mu cokolwiek wyjaśnić. Jeżeli to była prawda, stanowiła dla niego taką samą niecodzienną, jaką on dla niej. – Jestem Amerykanką.

– Kim?! – wydarł się, po raz kolejny, sprawiając, że poczuła jeszcze większą irytację. To w końcu ona znalazła się mimo wszystko w gorszej sytuacji. – Mów, kobieto, dopóki moje nerwy jeszcze to wytrzymują, a wiedz, że nie należę do cierpliwych.

– No popatrz, w życiu bym się tego nie domyśliła. Wyglądasz jak ostoja spokoju i cierpliwości. – Wiedziała, że drażniąc go, igra z ogniem, ale czy już nie płonęła?

– Mów, do czorta! – krzyknął.

– Ameryka! – wrzasnęła. – Kolumb! Wiesz, kim jest Kolumb?

– Kto? – zapytał.

– Krzysztof Kolumb – powiedziała z nadzieją, że wreszcie coś zrozumie.

Jeżeli był rok 1597, a Amerykę odkryto w 1492, przedział mniej więcej stu lat powinien mu w zupełności wystarczyć i na pewno będzie wiedział, gdzie leży Ameryka i wreszcie odpieprzy się od tej cholernej Francji.

– Z którego klanu pochodzi ten człowiek? – zapytał, przez co westchnęła zrezygnowana. Chyba nie było sensu dalej z nim dyskutować. Cholerny ignorant.

– Masz rację, pochodzę z Francji – szepnęła, a on ze złością pchnął ją na łóżko.

Poczuła gwałtowny ból w piersi.

Wczorajsze otarcia oraz stłuczenia doskwierały coraz bardziej i dałaby teraz wszystko za jakikolwiek proszek przeciwbólowy, ale niestety nie miała możliwości, aby iść do apteki i coś kupić.

Patrzyła na jego pociemniałe z gniewu oczy i pomyślała, że zaraz ją uderzy, wyglądał jakby się przed

tym z całej siły powstrzymywał. I robił to bardzo skutecznie.

– Nigdy więcej mnie nie okłamuj – wycedził przez zęby, a ona poczuła gniew. Znalazła się w tak beznadziejnej sytuacji i musiała znosić te wszystkie podłe rzeczy z jego strony, a on zarzucał jej jeszcze kłamstwa.

– Skurwiel – wymamrotała pod nosem, ale nie na tyle cicho, żeby jej nie usłyszał.

– Co powiedziałaś? – zapytał ze złością. Próbowwała zaprzeczyć, że cokolwiek mówiła, lecz nie dał jej nawet dojść do słowa. – Tylko nie próbuj mnie ponownie okłamywać i mów natychmiast, kim jest skurwiel? – zażądał stanowczo.

Dotarło do niej, że jeżeli to dzieje się naprawdę i jeżeli jakimś niebywałym cudem faktycznie ugrzęzła teraz w Szkocji i z dwudziestego pierwszego wieku przeniosła się do 1597 roku, to on nie ma pojęcia o wszystkich współczesnych bluźnierstwach oraz obelgach, a to dawało jej szerokie pole do popisu.

– Skurwiel to ktoś taki jak ty – powiedziała, uśmiechając się w duchu.

– Jaki?! – wrzasnął.

– Sprawiedliwy i mądry – oświadczyła z poważną miną, obawiając się, że wie więcej, niż mówi, i jedynie udaje głupka, a za moment ponownie się na nią rozedrże.

– Czy tak mówi się we Francji? – zapytał, a ona przytaknęła.

– Tak... panie – dodała, chcąc uzyskać jeszcze lepszy efekt, a następnie lekko pochyliła głowę, aby nie ujrzał na jej twarzy rozbawienia.

– W takim razie masz rację – oświadczył z mocą. – Jestem skurwielem.

– W tym jednym jesteśmy zgodni – szepnęła, a wtedy całe jej rozbawienie gdzieś zniknęło.

Znalazła się w beznadziejnej sytuacji. Jeżeli nie tkwiła w koszmarze i wszystko działo się na jawie, to trafiła do średniowiecza. Chociaż nie, to była już chyba nowożytność. Ale czy to miało teraz jakieś znaczenie? Miała przed sobą faceta chodzącego na co dzień w spódnicy, którą dla kontrastu ozdabiał mieczem i całą resztą tego cholernego oprzyrządowania. Zachowywał się jak prawdziwy barbarzyńca i bez mrugnięcia okiem zabijał ludzi. Wrzeszczał na nią, szarpał i teoretycznie posunął się w tym wszystkim nieco dalej, przez co nie zawahał się nawet jej uderzyć. Tkwiła w zamku, gdzie kręcili się przerażający ją ludzie. Nie mogła skorzystać z łazienki. Dlaczego? Bo tu nie było łazienki. Na telefon będzie musiała poczekać około dwustu osiemdziesięciu lat, a na taksówkę osiemdziesiąt jeden.

– Co teraz? – wyszeptwała bezradnie, chowając twarz w dłoniach, przerażona takim obrotem sprawy.

– Dziewki przyniosły odzienie. – Na jego zachrypły ton głosu mimowolnie zadrżała.

Co on takiego w sobie miał? Nie był typem mężczyzny, jaki jej się podobał. Do tej pory wiązała się jedynie ze spokojnymi, statecznymi, którzy niewiele mówili i mieli nienaganne maniery. Blane stanowił ich zaprzeczenie.

Niechlujny, nie przejmował się niczym i do niczego nie przywiązywał uwagi. Wrzeszczał jak kretyn. Wydawał się wciąż pobudzony, niespokojny. Do tego uparty, żywiołowy, sprawiał wrażenie człowieka nie do poskromienia. Miał w sobie dzikość i pierwotność, w jakiś przedziwny sposób działające na nią niczym lep na muchy.

To niedorzeczne, że tam, w tej brudnej chałupie rzuciła się na niego i gdyby wykazał się choć minimalną delikatnością, kochałaby się z nim bez zahamowań i wstydu. Jego twarz fascynowała ją. Ostre, zdecydowane rysy i mocno zarysowana szczeka, nadawały mu charakterystycznej męskości. Kilkudniowy zarost pokrywający jego śniadą skórę nie tak dawno sama czuła na policzku. Miał czarne oczy i trzeba było dobrze im się przyjrzeć, aby dostrzec w nich kontur źrenicy. Z kolei ładnie wykrojone usta aż prosiły się o bliższy kontakt. I to łaskotanie w żołądku, jakie czuła, gdy wpatrując się w nią, mrużył w złości oczy i unosił górną wargę niczym dzikie zwierzę, które chce zaatakować ofiarę. Wysoki, postawny, atletycznie zbudowany, z idealnymi, wyćwiczonymi w walce mięśniami, byłby wzorem do naśladowania dla wszystkich szukających perfekcji klientów siłowni we współczesnym świecie.

– Jakie odzienie? – zapytała zduszonym głosem.

– Dla ciebie. Chyba nie myślisz chodzić w mej koszuli. Wyglądasz w niej jakbyś... Jakbyś... – No właśnie, jak wyglądała? Czy potrafił udzielić odpowiedzi na to pytanie?

Płócienny materiał odkrywał więcej, niż chciał, aby widzieli inni.

Wzrok Bothana, jakim prześlizgiwał się po sylwetce Brice, sprawił, że poczuł złość. Tormod swoim zwyczajem wpadł w panikę, jakby obawiał się, że zabrawszy ją na górę, obedrze ze skóry niczym królika.



Wydawało się to nawet śmieszne. A gdy dołączyły do tego reakcje Brice, która z jakichś nieznanых powodów chciała uspokoić Tormoda, a jednocześnie nie spuszczała z tonu względem niego, jedyne, na co on sam miał ochotę, to zostawić wszystkich i rozmówić się z nią w cztery oczy.

Nietrudno zauważyć, że wpadła w oko Bothanowi. A nie był on raczej człowiekiem szukającym towarzystwa kobiet. Oddany walce, wiódł samotne życie i było mu z tym dobrze. Gdy pojawił się Tormod, Bothan bardziej otworzył się na ludzi i nie spędzał już tak wiele czasu w samotności. Teraz gdy znalazła się Brice, w Bothanie też zaszła jakaś zmiana. Czy będzie próbował zdobyć dziewczynę? To niewykluczone. Blane myślał o tym z niechęcią.

Po tym, jak przyznała mu się, że pochodzi z Francji, wszystko powoli się rozjaśniało. Jej zachowanie wyraźnie świadczyło o tym, że musiała być szlachcianką. Wpatrując się w nią tam na dole, gdy wrzeszczała na Clacha, czuł ekscytację, nutę podziwu oraz niesamowite zaskoczenie jej reakcją.

Po raz pierwszy stał się świadkiem takiej sceny. Jeszcze nigdy nie widział tak gwałtownie reagującej kobiety. Krzyczała na postawnego mężczyznę, który bez najmniejszego wysiłku rozgniółby ją jak muchę. Clach był kowalem, wysokim i silnym osobnikiem, przyprawiającym niewiasty o lęk. Brice wpadła w furję i nawet gdy widziała, że Clach robił się coraz bardziej rozsierdzony, nie spuszczała z niego wściekłego wzroku. Miał pewność, że gdyby do nich nie podszedł, mężczyzna użyłby siły i dziewczyna nie wyszłaby cała z tej utarczki. W stosunku do niego samego również nie zachowywała się jak normalna kobieta, ale z tym zdążył się już pogodzić. Najwyraźniej budził w niej takie same odczucia, jak ona w nim, ponieważ przy niej nie był ani na moment spokojny. Nie umiał się opanować i robił zaskakujące rzeczy.

Tkwilo w tej dziewczynie coś, co nie pozwalało mu tak po prostu od niej odejść i udać się do własnych obowiązków. Waleczna albo najzwyczajniej w świecie głupia oraz nieświadoma niebezpieczeństwa. Wdawała się w awantury i zachowywała jak szalona. Rzeczy, o których mówiła, dziwiły go, niepokoiły, ale i ciekawiły. Nie wiedzieć czemu, chciał jej słuchać. Pomimo że bredziła, czuł, że jest w tym wszystkim jakiś sens i że nie jest tak do końca szalona.

Ale samochód? Rower? O jakiej pracy wciąż mówiła? Czyżby MacAulayowie zmuszali ją do pracy? I kim był Krzysztof Kolumb? Czyżby jednym z MacAuleyów? A może to jej rodzina. Ojciec albo brat. Chciał, aby to wyjaśniła, ale już więcej jej o to nie zapytał. Jeżeli to jej mąż, nie miał ochoty o nim rozmawiać. Dlaczego ona starała się przed nim ukryć, że jest Francuzką? Czy obawiała się czegoś? Może zataiła to również przed MacAuleyami. Ale z jakiego powodu? Miał tysiące pytań, lecz nie potrafił z nią rozmawiać. Nie umiał zachować przy niej spokoju i ich wymiana myśli wyglądała raczej jak awantura, a nie rozmowa.

– Jak wyglądam? – Spostrzegł, że zrobiło jej się nieswojo. Prawdę mówiąc, jej słowa wprowadziły również jego w niecodzienny dyskomfort.

– Odziej to – powiedział chłodno, rzucając w jej stronę jasną tkaninę sukni.

– Odwróć się – poprosiła drżącym głosem, a jemu zrobiło się nagle gorąco.

– Nie będziesz mi mówiła, co mam robić – mruknął, ale zrobił to, o co poprosiła, choć podszedł jedynie do komody, udając, że sprawdza leżącą tam broń.

Nie chciał, aby myślała, że jej posłuchał. Była cudzoziemką, więźniem i awanturnicą, a on naczelnikiem klanu oraz człowiekiem mającym władzę, choć w jej obecności czuł się dziwnie słaby. Jakby nie istniała żadna różnica klasowa.

Starał się powstrzymać, lecz mimowolnie obejrzał się przez ramię i ujrzał, jak Brice zdejmuje koszulę i odrzuca ją na skraj łóżka. Widział jak promień światła igra na jej zgrabnym ciele i nie umiał oderwać od niej spojrzenia. Dziękował losowi, że patrzyła w drugą stronę.

Dziewczyna była bardzo zgrabna i nie miała w sobie ani trochę tej prostoty wiejskich dziewczek. Zerkał na jej plecy, obandażowane na wysokości piersi i pomyślał, że gdyby jej nie uderzył, to nie byłoby teraz na jej ciele tego bandaża. Zacisnął mocno szczękę i ubliżał sobie w myślach. Mógł ją mieć w każdej chwili. Wyraziła jedynie zastrzeżenie, że woli, aby gwałcił ją, patrząc jej w twarz. Ale zdawał sobie doskonale sprawę, że żaden gwałt nie wchodził w rachubę.

Jaka była, gdy się kochała? Jak się poruszała? Jak smakowała? Nie umiał powstrzymać pragnienia, aby się tego dowiedzieć. Pojawiło się nie wiadomo kiedy i nie chciało odejść. Przyglądał się, jak uważnie ogląda suknię i zapragnął ujrzeć jej twarz. Prawie chciał ją powstrzymać, gdy zakładała na siebie jasny materiał, lecz nie mógł tego zrobić. Nie powinien okazywać słabości. Uciekł spojrzeniem, gdy tylko

zorientował się, że odwraca się w jego stronę. Stała przy oknie, spoglądając na niego nieodgadnionym wzrokiem. Przyglądając mu się w milczeniu, wzbudziła w nim przedziwne uczucia, miał wrażenie, że odziera go z myśli, czyta w nich. A tego nie chciał.

– Czy potrzeba ci jeszcze czegoś? – zapytał oschle, zamierzając przerwać kłopotliwą ciszę, jednak ona zamiast udzielić mu odpowiedzi, podbiegła do niego, a później tak po prostu wtuliła się i rozplakała.

Nie wiedział, co powiedzieć, ponieważ nie rozumiał, co tak naprawdę się dzieje. Dlaczego płakała? Nie podobała jej się suknia? To nielogiczne. Jeszcze niedawno miała na sobie brudny łach. Czy mogło chodzić o tego Kolumba? Pytała przecież, czy go zna. Kim ten człowiek tak naprawdę był? A może chodziło o rower. Chciała wiedzieć, czy ma rower. Tylko co to jest? Musiał się tego dowiedzieć i musiał zdobyć ten rower. Pewnie to jakaś rzecz z Francji.

Objął ją ramieniem i pozwolił jej się wyplakać. Czuł żal. Nie rozumiał jej nietypowego postępowania, które poniekąd go fascynowało, lecz w równym stopniu niepokoilo. Przypomnił sobie, jak starała się ukryć uśmiech, nazywając go skurwielem, i zrobiło mu się przyjemnie na duchu. Pomimo że na nią nakrzyczał, stwierdziła, że jest sprawiedliwy i mądry. To mu zaimponowało. Nie była tak głupia, za jaką początkowo ją wziął.

– Boję się – powiedziała, a on zamarł. Czego się bała? Jego?

Nie wiedząc, jak się zachować, uniósł ją bez słowa i zaniósł do łóżka. Gdy tylko ją położył, spojrzęła na niego ze łzami w oczach. Chciał odejść, niemniej nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Nie chcę zostać sama – szepnęła, a on wbrew sobie położył się obok niej.

– Milcz – zażądał chłodno. Nie zamierzała z nim dyskutować i jedynie wtuliła się w niego, niczym małe, ufne dziecko w łono ukochanej matki, szukając tam pocieszenia.

To było dla niego takie nowe. Takie nieoczekiwane i zaskakująco przyjemne.

Odrywało go od rzeczywistości, sprawiając, że wszystko inne zapadało się gdzieś pod ziemię, stawało się mało ważne. Chociaż niepokoilo go jej zachowanie. Co mogło ją tak wystraszyć i doprowadzić do łez? Nie chciał zadawać teraz żadnych pytań, czuł, że oboje powinni milczeć. Nawet się nie zorientował, kiedy zasnęli.

\*\*\*

Gdy tylko się zbudziła, od razu spostrzegła, że to, co się wydarzyło, nie było snem. Zrozumiała to, zanim jeszcze otworzyła oczy. Leżąc obok niego, opierała głowę na jego szerokiej piersi, a bicie jego serca mówiło jej, że ten człowiek jest prawdziwy. W jakiś przedziwny sposób uspokajało ją to.

Nie miała pojęcia, jak się w tym wszystkim odnaleźć. Jeżeli przeniosła się w czasie, to kiedy to się stało i dlaczego? Ignorując fakt, że wyglądało to na powieściowy przypadek i takie rzeczy działy się jedynie w filmach, odsunęła to na bok, stwierdzając, że powinna przemyśleć sprawę, a potem znaleźć jakieś rozwiązanie. Czy mogła zostać poddana hipnozie, podczas której przeniesiono ją w czasie? Ostatnie, co pamiętała, to obraz i fakt, że wybiegła do niego podczas burzy. Czy to mogło mieć znaczenie? Blane tak bardzo przypominał tego człowieka z obrazu, był też Szkotem i wszystko wskazywało na to, że rok 1597 również się zgadzał. Jeżeli miała wątpliwości, to rozwiały się one, kiedy tylko otworzyła oczy, a jej spojrzenie natrafiło na jeden z filarów łóżka. Ujrzała tam charakterystyczne żłobienia, jakie widziała na zdjęciu, w jakie tak długo się wpatrywała. To nie mógł być przypadek. Blane MacLeod to mężczyzna z obrazu, który miała restaurować. Pozując do niego, stał oparty o ten właśnie filar. Namalowano go w tym miejscu, w jego sypialni. Czy to wyjaśniało podróż w czasie? Czy powodem okazała się fascynacja, jaka ją ogarnęła, gdy tylko spojrzęła w jego oczy po raz pierwszy? Ale dlaczego? Co teraz miała zrobić? Nie mogła tu zostać. Nie mogła zostawić pracy i życia. Ale jaki miała wybór? Żadnego.

Spojrzęła na profil Blane'a i westchnęła. Ten mężczyzna ją ekscytował. Zachowaniem, wyglądem i tym, jak na nią reagował. Ale co miała tu z nim robić? Kim tak naprawdę był? Może nie znała tak dobrze historii, niemniej pewną wiedzę posiadała. Po części orientowała się, kim był naczelnik klanu i jaką pełnił funkcję. Jaki władca panował w Szkocji w roku 1597?

Dałaby wszystko za podręcznik z historii, ale niestety mogła polegać jedynie na swojej pamięci. Miała większe rozeznanie w sztuce, przez co wiedziała, że gdyby wpadła z wizytą do Blane'a trzydzieści trzy lata temu, mogłaby się jeszcze spotkać z Michałem Aniołem. Do Leonarda da Vinci dzieliło ją sześćdziesiąt sześć lat, ale gdyby bardzo się postarała, to El Greco miał jeszcze przed sobą siedemnaście lat

życia. Z tym że malarstwo religijne nigdy jej nie pasjonowało, a mając w pamięci jego autoportret, raczej nie należałyby na spotkanie z nim. Mężczyzna, którego miała obok siebie, był wszystkim, czego chciała.

Ta dziwna myśl poirytowała ją i zaniepokoiła. Starła się o nim nie myśleć, ale było to niemożliwe. Przecież leżał obok, żywy, choć teoretycznie umarł setki lat temu. Stwierdziła, że zwariowała, bo wychodziło na to, że ona jeszcze się nie urodziła, a przecież leżała z nim w jednym łóżku i czuła go wyraźnie. Słyszała jego oddech, bicie jego serca. To wszystko wydawało się niedorzeczne, ale w jakimś stopniu odnajdywała w tym drobne pozytywy.

Nostradamus. W którym roku on umarł? Szekspir ma teraz trzydzieści trzy lata, jest w najbardziej twórczym okresie życia. Jest Anglikiem, a jego pierwszy spektakl został wystawiony w 1598 roku w Londynie, więc dzielił ją jedynie jeden rok i niewielka liczba kilometrów. Czy to możliwe?

Westchnęła, po czym odgarnęła delikatnie dłonią czarne kosmyki włosów z policzka Blane'a. To dziwne, ale gdyby miała teraz wybór, wołałaby być obok niego. William Szekspir wydawał się przy nim o wiele mniej ekscytujący. Położyła dłoń na jego piersi i delikatnym ruchem przejechała po twardych mięśniach. Dlaczego nadal ją pociągał, pomimo tego, że poprzedniego dnia chciał ją zgwałcić? Odetchnęła głęboko, wtulając się w niego. Pomyślała, że oszalała, ale czując zapach jego skóry, przechodziły ją dreszcze. Było jej dobrze, tu, teraz, gdy spał i nic nie mówił.

Nie miała świadomości, że on wcale nie spał i poczuła jego dłoń we włosach, a gdy uniosła głowę, napotkała jego mroczny, intensywny wzrok, który sprawił, że oblało ją gorąco.

\*\*\*

Obudziło go jej notoryczne wiercenie się i w pierwszym odruchu miał ochotę ją odepchnąć. Jednak kiedy się zorientował, że nie śpi, sam udawał, że nadal pogrążony jest we śnie. Brice zachowywała się, jakby gwałtownie coś przeżywała. Czasem zaciskała nerwowo dłonie na jego ramieniu, tak jakby coś ją niepokoiło, a zaraz potem wzdychała, jakby działo się coś przyjemnego.

Jeżeli nie był to sen, to o czym ona teraz myślała? Poczul jej dłoń odgarniającą jego włosy niczym delikatne muśnięcie skrzydeł motyla. Miał wrażenie, jakby znalazł się w klatce. Chciał się wydostać, ale nie miał pewności, gdzie zamierzał się udać. Był coraz bardziej pobudzony wydawanymi przez nią dźwiękami. Czy mogła robić to specjalnie? Czy chciała go podniecić? Jeżeli tak, to doskonale jej się udawało, a on ledwie mógł się powstrzymać, aby się na nią nie rzucić. Pod jego powiekami pojawił się ponownie jej obraz, stojącej tyłem w promieniu światła. Nie widział jej całkowicie nagiej, na pośladkach miała jakiś czarny materiał, przypominający siatkę. Co to mogło być?

Poczul jej drobną dłoń na piersi i wstrzymał oddech. Jak długo zamierzała się jeszcze nad nim pastwić? Czuł, jak błądzi dotykiem po jego torsie i zniża się coraz bardziej. Pomyślał, że ośmieli się zjechać tam, gdzie teraz pragnąłby poczuć jej rękę, lecz poprzestała na okolicach mięśni brzucha, pozostawiając go pobudzonego, gotowego na ciąg dalszy. Próbował się uspokoić, ogarnąć myśli, jednak gdy poczuł jej twarz na piersi, miał wrażenie, że ociera się o niego niczym kotka w rui. Czuł jej oddech, słyszał rozkoszne westchnienia i w końcu nie wytrzymał. Był tylko człowiekiem, a ta mała czarownica znęcała się nad nim i kusiła nawet najdrobniejszym gestem.

Kiedy poczuła jego dłoń we włosach, najpierw zamarła, a później spojrzała na niego gwałtownie. Zobaczył w jej błyszczących oczach zaskoczenie i niedowierzanie. Przypatrywała się mu w milczeniu, nie spuszczać z niego wzroku. Dlaczego teraz nic nie mówiła? Dlaczego tak trudno było mu wytrzymać w spokoju, gdy patrzyła mu w oczy tym głębokim spojrzeniem?

Położył drugą dłoń na jej ramieniu i delikatnym ruchem zsunął się nią na jej plecy. Obserwował jej reakcje i odczuwał wściekłą ekscytację, widząc próby powstrzymania się, aby nie pokazać mu, jak to na nią działa. Nie potrafiła jednak tego ukryć. Jej oddech przyspieszył, a ona przyzymkując oczy, jęknęła i przygryzła lekko wargę, co sprawiło, że położył obie dłonie na jej talii i uchwycił ją mocno, uniósł w taki sposób, że leżała teraz na nim. Krzyknęła zaskoczona, ale gdy tylko zorientowała się, że ten gwałtowny ruch nie miał na celu wyrządzenia jej krzywdy, z jej ust wydobyło się westchnienie, sprawiające, że jego mięśnie raptownie się napięły. Oparta na łokciach, głowę trzymała tuż nad jego twarzą, a on pomyślał, że niepotrzebnie ją do siebie przyciągnął. W tej pozycji to ona była kapitanem, to ona rozdawała karty, ale o dziwo, ta rozgrywka bardzo mu się spodobała.

Pochylała co chwilę głowę, a później ją podnosiła, sprawiając, że zaczął się zastanawiać, czy drażni

się z nim, czy waha, czy może wstydzi. Czuł jej oddech na twarzy i widział, jak bardzo jest pobudzona. Położył dłoń na jej plecach i powoli, lecz stanowczo przysunął ją do siebie. Subtelными ruchami ocierała się policzkiem o jego twarz. Poczuvszy zarost, zadrżała i westchnęła przeciągle, a on pomyślał, że już dłużej tego nie wytrzyma.

Wsunął dłoń w jej włosy i przytrzymał ją w jednym miejscu. Miał wrażenie, że jest wszędzie, a teraz, patrząc na jej usta, chciał ich jedynie posmakować i nie zamierzał dłużej czekać. Ale zanim spełnił pragnienie, drzwi do sypialni otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Una. Brice odskoczyła od niego niczym oparzona i zakryła się płócienną tkaniną. Przez chwilę panowało dość kłopotliwe milczenie, spowodowane zaskoczeniem każdego z nich.

– Co tu się dzieje? – zapytała Una, a na ten dźwięk Brice wystrzeliła niczym strzała z łózka i podbiegła do staruszki, a następnie przytuliła ją i się rozplakała.

Blane'a ogarnęła wściekłość. Gniew powrócił. Co ta dziewczyna teraz zamierzała? Zaczynały już go drażnić jej zmienne nastroje. Cholerna wariatka. Co teraz będzie mówiła? Poskarży się do tej staruchy na niego? Powie, że chciał ją zgwałcić? Miał ochotę wynieść je obie na zewnątrz i wypatroszyć jak króliki, a później wrzucić do kałuży. Lecz nie mógł nawet wstać, żeby odejść, ponieważ nadal był podniecony, a nie chciał im tego demonstrować.

– Una, naprawdę jest 1597 rok. – Usłyszeli nagle głos Brice i oboje popatrzyli na siebie zaskoczeni. – To on był na tym obrazie. To naprawdę on – powiedziała, po czym nieoczekiwanie dla nich obojga głośno się roześmiała.

I właśnie w takich chwilach nabierał pewności, że coś było nie tak z tą dziewczyną. Dlaczego tak dziwnie się zachowywała? Chyba będzie musiał odszukać tego Kolumba, o którego pytała, i dowiedzieć się, kim tak naprawdę była.

Nie pomyślał o jednym. Kolumb nie mógł mu udzielić informacji, dlaczego on sam się tak przy niej zachowywał. Biedny, niczego nieświadomy Krzysztof Kolumb, który na swe nieszczęście odkrył kiedyś Amerykę.

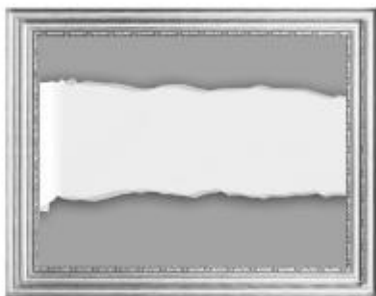
18 (z franc.) *Mam na imię Tormod.*

19 (z franc.) *Czy jesteś Francuzem? Gdzie jesteście? Mogę zadzwonić?*

20 (z franc.) *Co?*

21 (z franc.) *Czy masz samochód? Zabierz mnie na lotnisko.*

## Rozdział 9 Gaston



*Anglia, Zamek królewski Windsor, 1597 rok.*

Gaston wpatrywał się w siedzących za stołem mężczyzn i ledwie powstrzymywał się, aby nie ziewnąć. W ostatnim czasie coraz bardziej nużyły go te ciągłe kolacje oraz rozmowy przy królewskim stole.

Zdawał sobie sprawę, że poniekąd ogromnym zaszczytem jest goszczenie na dworze króla Jakuba I Stuarta<sup>22</sup> i wiele osób z chęcią zajęłoby jego miejsce, lecz on sam miał już po dziurki w nosie ciągłego tkwienia w jednym położeniu. Był człowiekiem, który nie potrafił zagrzać miejsca na dłużej. A życie, jakie zawsze wiódł, w niczym nie przypominało obecnego. Nudne, leniwe dni znamiennie różniły się od żywiołowych oraz nieprzewidywalnych zwrotów akcji na polu walki.

Wojny z hugenotami<sup>23</sup> trwały już od 1562 roku z niedługimi przerwami. On sam w środek konfliktu trafił w wieku siedemnastu lat i spędził tam prawie dziewięć.

Pomimo że nie były to wielkie starcia militarne i w głównej mierze opierały się na taktyce politycznej, to nie zaznał do tej pory ustabilizowanego życia. Przemieszczanie się z miejsca na miejsce, wielokrotne inwazje wojskowe czy bitwy, które nie zawsze kończyły się pełnym zwycięstwem, odcisnęły na nim piętno.

Parokrotnie został ranny, a kiedyś nawet trafił w niewolę i przez dwa miesiące marzył jedynie o szybkiej śmierci. Do tej pory zdarzały się noce, gdy zrywał się ze snu z krzykiem.

Jednak w jego życiu nastąpił nieoczekiwany zwrot akcji, przez co tkwił tu już ponad miesiąc. Ze swoim barwnym, brawurowym charakterem trafił w sam środek stagnacji, w jakiej obracał się król Jakub wraz z całym tym nadętym towarzystwem, które w większości również znalazło się tu nie z własnego wyboru. W zasadzie były to jedynie zwykłe polityczne taktyki, mające na celu objęcie tronu Anglii. Odkąd w 1586 roku zawarty został sojusz szkocko-angielski, Jakub – jako król Szkocji – musiał prowadzić politykę ukierunkowaną na ewentualne, przyszłe objęcie tronu angielskiego, który obiecała mu królowa Elżbieta w przypadku swojej bezdzietnej śmierci.

– Gaston, czy rad jesteś z naszej gościny? – Z zamyślenia wyrwał go męski głos i zorientował się, że od dłuższego czasu monarcha coś do niego mówi. – Czy zapewniono ci wszystko? Czegoś może potrzebujesz?

Ta cała dworska etykieta sprawiała, że momentami miał ochotę zwymiotować.

– Oczywiście, królu. Nigdy tak dobrze się nie bawiłem – stwierdził ironicznie, w myślach dodając, iż rzyga już całą tą gościną, a także ludźmi, mającymi w sobie tak wiele fałszu oraz obłudy.

– Obawialiśmy się, że się nudzisz. – Chciał odpowiedzieć mu, że nie grzeszy błyskotliwością.

– Zaiste, spędziłem tu już sporo czasu – oznajmił z nutą sarkazmu.

Nigdy nie owijał w bawełnę, lecz nie mógł tak bezpośrednio przyznać, iż ma ich wszystkich dość. W tym momencie ujrzał, jak król wymienia znaczące spojrzenia z siedzącym obok hrabią i pomyślał, że coś się święci. Czy będzie mógł wreszcie wrócić do domu? Ale gdzie tak naprawdę znajdował się jego dom? Na polu bitwy?

Gaston de Ponton-a-Mousson, który był nieślubnym synem Franciszka I Lotaryńskiego<sup>24</sup>, księcia Lotaryngii, po śmierci ojca przejął jego tytuły. Odbierał je jednak bardziej jako ciężar niż zaszczyt. Został teraz markizem. Obecnie Lotaryngią władał Karol III Wielki<sup>25</sup>, jego wuj. Nie miał on syna, a ojciec Gastona został przed śmiercią uznany prawowitym potomkiem Franciszka I Lotaryńskiego i przyznano mu tytuły,

zapewniające mu prawo dziedziczenia. Wuj spłodził jedynie dwie córki<sup>26</sup> i w przypadku jego śmierci, to bratanek obejmował po nim władzę, jako księżę Lotaryngii.

Franciszek był schorowany i przewidywano, że nie pożyje już długo. Gastona z dnia na dzień dosłownie ściągnięto z pola walki i zawieziono do Lotaryngii, gdzie pośpiesznie dopełniono etykiety i jako utytułowany szlachcic został w trybie natychmiastowym wdrożony w przyszłe obowiązki, co przyjął z przerażeniem.

W tej sytuacji król Jakub I Stuart, chcąc pozyskać nowego sprzymierzeńca w Lotaryngii, zaprosił Gastona do siebie. Jeszcze kilka lat temu wydawało się to niedorzeczne i niemożliwe, dopiero po nadaniu mu tytułów, Gaston stał się cennym nabytkiem na każdym dworze. Do tego czasu był zwykłym bękartem, którym nikt się nie przejmował. I tak naprawdę bardzo mu to odpowiadało.

Nie umiał odnaleźć się w tym świecie i tęsknił za życiem, jakie wiodł jeszcze kilka lat temu, gdy mieszkał wraz z matką w St.-Etienne. Lubił podróże. Często bywał w Rzymie, gdzie mieszkała jego rodzina. Czasem zapuszczał się też do Hiszpanii.

Do chwili, aż nie trafił na pole bitwy. Od tamtego czasu jego życie zmieniło się diametralnie, lecz nigdy nie marzył o tym, aby osiąść w jednym miejscu, a już objęcie władzy i wdanie się w te uciążliwe konwenanse napawały go przerażeniem. Liczył na to, że w przyszłości jeden z monarchów zdecyduje się na ślub z którąś z jego przyrodnych siostr i przejmą oni jego obowiązki. Na razie jednak nie zanościło się na to.

Gościna na dworze króla Anglii Jakuba I Stuarta stanowiła poniekąd ucieczkę. Teoretycznie powinien przebywać teraz w Lotaryngii wraz z księciem Karolem. Jednak ani wuj, ani tym bardziej on sam, nie byli tym pomysłem zachwyceni, więc z dwojga złego kontynuował wizytę na dworze angielskim. Na pole bitwy we Francji nie mógł na razie wrócić. Jako przyszły władca kraju ościennego nie powinien mieszać się z takim zaangażowaniem w militarne walki na innym terenie, gdyż zbyt narażałby życie dla nie swojej sprawy. Jeszcze niedawno był bękartem i nikt się nim nie przejmował, aby z dnia na dzień stać się człowiekiem, o którego życie lękało się całe księstwo.

Pobyt w Anglii okazał się w pewnym sensie przestojem. Po objęciu władzy czekała go wielka niewiadoma. Chciał wrócić na front, ale lotaryński książe, walczący pod sztandarem Francji, to raczej nie był najlepszy pomysł. Na razie starał się o tym nie myśleć.

Pogoda w Anglii dopisywała, a tutejsze dziewczyny uprzyjemniały mu niechciany pobyt. Jako wysoki oraz przystojny mężczyzna budził żywe zainteresowanie wśród kobiet, przez co nie musiał długo szukać i mógł przebierać w najrozmaitszych. Nieprzeciętna inteligencja i przyjazne usposobienie, w zestawieniu z ładnym obliczem Gastona, sprawiały, że każdy mężczyzna w jego obecności tracił pozycję wśród płci przeciwnej. Władał dobrze kilkoma językami, był niepokonanym przeciwnikiem w każdej walce. Zarówno na szpady, jak i na słowa. Król i cała szlachta odbierali jego obecność jako przykry obowiązek. Niepożądaną konieczność. A on z każdym dniem czuł się coraz bardziej załamany sytuacją, w jakiej się znalazł.

– Więc co o tym myślisz, Gastonie? – ponownie głos króla uświadomił mu, że znowu puścił mimo uszu jakąś istotną kwestię. Jak miał z tego wybrnąć?

– To bardzo intrygujące, lecz byłbym rad, abys podał mi więcej szczegółów, królu. Jestem dziś nieco rozkojarzony – odparł dyplomatycznie.

– Czyżby nowa dwórka królowej Anny? – rzucił kpiącym tonem siedzący obok niego mężczyzna.

– Nie hrabio, twoja córka – odrzekł i, ignorując nabierające czerwieni oblicze sąsiada, ponownie spojrzał w stronę Jakuba.

– To oczywiście jedynie propozycja, ale może zaznałbyś trochę odmiany. – Ożywił się. Zdecydowanie pragnął jakiegokolwiek odmiany, jednak co dokładnie planował król?

– Muszę przyznać, że zainteresowałeś mnie, ale nie wiem, czego tak naprawdę oczekujesz po swej propozycji, królu – drążył, próbując uchwycić odpowiedni sznurek.

– Ależ Gaston, my niczego nie oczekujemy. Bylibyśmy radzi, gdybyś dobrze się bawił, a wizyta w Szkocji wydaje się ku temu dobrym powodem. Klan MacCallum urządza naprawdę wspaniałe imprezy. Mój kuzyn gościł tam niejedną raz i zawsze wracał zadowolony – rzekł mężczyzna, na co Gaston zaśmiał się w duchu.

To zakrawało na dyplomatyczne posunięcie. Dla Jakuba I Stuarta jako króla Szkocji chcącego objąć tron angielski, istotne było utrzymanie dobrych stosunków z Anglią i jego wizyty stanowiły poniekąd

rozgrywki taktyczne. Wysłanie go do Szkocji i pozostanie w Anglii wydawało się upieczeniem dwóch pieczeni przy jednym ogniu. Pozbyłby się niepożądanego gościa, odsyłając go bezpiecznie na swój teren. Czyżby obawiał się Hiszpanii? Ale dlaczego? A może chodziło o Włochy? Doniesiono mu, że jeden z kardynałów papieskich prosił o spotkanie z nim, gdy powróci już do Lotaryngii. O co mogło chodzić? Nienawidził polityki.

– Mówiono mi, iż Vanora to piękna dziewczyna. – Starał się to wszystko poukładać.

– Vanora? Kimże jest Vanora? – zapytał zdezorientowany.

– To córka naczelnika klanu. Vanora MacCallum. Ojciec planuje wydać ją za męża. – W tym momencie dotarło do niego, co tu się najprawdopodobniej święci. Chcieli ożenić go z jakąś Szkotką, aby pozyskać jeszcze bardziej ugruntowaną pozycję.

– Myślę, że powinien poszukać dla niej jakiegoś bardziej odpowiedniego kandydata. Ja nie byłbym dobrym mężem dla Vanory MacCullan – stwierdził spokojnym głosem, ale był coraz bardziej poirytowany ich próbami ingerowania w jego życie osobiste.

Miał dwadzieścia sześć lat i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że po objęciu władzy mariaż będzie koniecznością. Mimo to wolałby mieć osobisty wpływ na wybór ewentualnej żony, co graniczyło niestety z cudem, gdy w grę wchodziła polityka. Na razie cieszył się urokami kobiet, nie pojmując ich za żony. Zresztą niektóre już nimi były. Całe szczęście, że nie jego.

– MacCallum, Gastonie. – Usłyszał rozbawiony głos królowej Anny, która przesłaniając dłonią twarz, próbowała się nie roześmiać, natomiast król i reszta biesiadników gapili się na niego zdziwieni. Czyżby ponownie palnął jakąś gafę?

– Miałem na myśli twego przyjaciela, ambasadora Francji – poinformował król, a on pomyślał, że nazwanie Louisa de la Valette przyjacielem to gruba przesada.

Od pewnego czasu musiał znosić jego obecność i ciągłe nauki, jakich udzielał mu Louis, podchodząc do tego obowiązku z niechęcią. Jednak przyszły książę Lotaryngii powinien znać swe funkcje, a Gaston był jedynie nieokrzesanym bękartem i niepożądany dostał się na dwór, zamierzając objąć władzę, upragnioną przez wielu. Stanowiło to swoisty paradoks, ponieważ on sam z całego serca chciałby się jej pozbyć, za cenę wszystkiego.

– Wybacz królu, zrozumiałem, że to mnie proponujesz wyjazd do... – zamilkł na chwilę. Nawet nie wiedział, o jakie miejsce chodzi.

– Zamek Eilean Donan, Gastonie. – Królowa po raz kolejny ratowała mu skórę. – W miejscowości Dornie. Jest tam piękne jezioro oraz blisko morze. I istotnie o tobie była mowa. Lecz o rękę panny Vanory MacCallum postanowił starać się Louis. Myślałam, że o tym wiesz, ale pewnie nie zdążył cię jeszcze poinformować. Pomysł wynikł wczorajszego wieczora, a ty dość wcześnie oddaliłeś się do komnat – powiedziała, a on przypomniał sobie, iż istotnie wieczór skończył wcześniej, jednak do komnat dotarł nad ranem, złożony wcześniej wizytę, o której nie przystało rozmawiać w obecności królowej.

Louis de la Valette miał trzydzieści cztery lata i dwa lata temu owdowiał. Gaston podejrzewał, że pomysł wynikł z inicjatywy króla, ponieważ Louis nie był typem dążącym za wszelką cenę do ożenku i raczej wzbraniał się przed ponownym mariażem. Lecz ambasador francuski związany małżeństwem z córką naczelnika klanu byłby dobrą partią dla króla Szkocji chcącego pozyskać Francję jako sprzymierzeńca. Tak naprawdę Louis nie miał wiele do gadania, gdy w grę wchodziła polityka, która od zawsze napawała go odrazą. Konflikty wojenne oparte na układach. Małżeństwa zawierane niczym transakcje handlowe. Bez uczucia, namiętności i wzajemności. Czy tak wyglądałoby również jego życie? Gdy o tym myślał, chciał wracać na front. Śmierć w boju wydawała się szybsza i bardziej humanitarna od tkwienia w tym marazmie, jakim była monarchia. Czy potrafił stać się marionetką, której wmawiano, że ma możliwość decydowania o swoim losie?

– Oczywiście gdybyś okazał się chętny, to radzi bylibyśmy, abyś ty również zapoznał się z Vanorą MacCallum. – Król zwietrzył okazję. Jego niedoczekanie.

– Chętnie zapoznam Vanorę MacCallum, lecz w tym momencie nie zamierzam jeszcze stawać przed ołtarzem – oświadczył zdecydowanie. – Znasz, królu, mą sytuację. Nie jest ona zbyt przejrzysta i podejmowanie pochopnych decyzji nie byłoby wskazane.

– Oczywiście – oznajmił monarcha, uśmiechając się nieszczerze. – Czy będziesz zatem towarzyszyć przyjacielowi?

– Chętnie skorzystam z okazji, aby odwiedzić twój piękny kraj, królu. Moja noga jeszcze nigdy nie stała w Szkocji – powiedział zgodnie z prawdą.

Wyrwać się z nudnego Windsoru i leniwej Anglii do dzikiej Szkocji? I choć przez chwilę cieszyć się rozległymi terenami tego kraju, o którym jedynie słyszał? To coś, czego w tej chwili pragnął. Wysokie, morskie klify, rozległe przestrzenie i nieskalana niczym przyroda napępiały go coraz to nowymi emocjami.

– A więc postanowione – zarządził radośnie Jakub, a on ledwie powstrzymał się, aby się nie roześmiać.

Jego wyjazd stanowił podwójną korzyść dla monarchy. Za jednym zamachem pozyskałby ambasadora Francji i pozbył się uciążliwego gościa, jakim niewątpliwie był Gaston.

– Tak, królu. Z chęcią będę towarzyszył Louisowi de la Valette i zapoznam jego przyszłą małżonkę, Vanorę MacCullan – stwierdził, a ujrawszy minę królowej, dodał: – MacCallum.

– Bolejemy nad twym wyjazdem, Gastonie – rozbrzmiał głos króla i pomyślał, że jeszcze trochę, a nie wytrzyma i się roześmieje. Czy ten człowiek naprawdę uważał go za tak łatwowiernego? – Oczywiście będziemy tęsknić za twoją obecnością. Lecz mamy nadzieję, iż będziesz się dobrze bawił w naszym pięknym kraju.

– Mi również będzie brakowało interesujących dyskusji z waszą wysokością – podsumował lakonicznie, myślami będąc już daleko stąd.

– Zatem każę przygotować wszystko do podróży. Czy jutrzejszy dzień będzie odpowiedni? – dotarł do niego piskliwy głos siedzącego obok króla mężczyzny i miał ochotę powiedzieć, że z przyjemnością ruszyłyby w drogę nawet w tym momencie.

– Oczywiście – odpowiedział, starając się ukryć radość w głosie.

– Ale... – Louis de la Valette wyglądał na rozczarowanego, a nawet wystraszonego.

Gaston podejrzewał, że ambasador bazował na jego buntowniczej naturze i liczył na protest z jego strony, w efekcie czego do wyjazdu nie dojdzie.

– Jak daleko jest do zamku Eilean Donan? – zapytał.

– Góra dzień drogi, markizie. – Usłyszał jakiś głos za sobą i niezadowolony zmarszczył czoło. Nienawidził, gdy tytułowano go markizem.

– W takim razie powinienem przygotować się do drogi – rzucił, spoglądając w stronę siedzącego po drugiej stronie Jakuba. – Czy nie pogniewasz się, królu, jeżeli opuszczę dzisiejszą wieczerzę? – zadał zbędne pytanie, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że właśnie na to liczyli.

– Drogi Gastonie, z przykrością cię pożegnamy, życząc oczywiście doskonałej zabawy.

Bez słowa uklonił się, a następnie wyszedł. Ledwie znalazł się w holu, przyspieszył i wbiegł na schody.

Gdy dotarł już do komnaty, ściągnął aksamitny kaftan, od razu odrzucił go na podłogę i zabrawszy jedynie miecz, wybiegł z powrotem na korytarz. W ciągu dziesięciu minut znalazł się w stajni. Koń był szybki. Pokonał dystans w pół godziny. Już po chwili, wraz z ludźmi, których ze sobą zabrał, zjawił się na miejscu. Przeczesał rękami długie, czarne włosy i związał je z tyłu, aby nie przeszkadzały mu podczas walki. Treningi stanowiły jedną z niewielu przyjemności, jakich doświadczał. Wyładowywał się walcząc, pozbywając niepożądanych emocji. Teraz podnosił sobie adrenalinę, z radością myśląc o drodze do Szkocji.

Przyzwyczajony do nieustannej walki, rzucony w świat leniwych, bezbarwnych dni, nie umiałby dać sobie zbyt długo rady, pozostając przy zdrowych zmysłach. Wyjazd z Anglii przyszedł w samą porę.

22 Postać autentyczna (przyp. aut.).

23 Inna nazwa francuskich protestantów (przyp. aut.).

24 Postać autentyczna (przyp. aut.).

25 Postać autentyczna (przyp. aut.).

26 Na potrzeby fabuły nagięłam fakty. Gaston de Ponton-a-Mousson to postać fikcyjna (przyp. aut.).



## Rozdział 10 Eilean Donan



Następnego dnia z samego rana byli już w drodze. Na noc zatrzymali się w jakiejś gospodzie. Gaston nie planował się spieszyć, wolał cieszyć się podróżą i, prawdę mówiąc, liczył na jak najdłuższą jazdę. Niestety Louis kiepsko znosił koński grzbiet, przez co dotarli na miejsce wcześniej, niżby chciał.

Na dziedziniec zamku Eilean Donan wjechali późnym wieczorem. Ponieważ zapadły już ciemności, nie widział dokładnie okolicy, co nieco go rozczarowało, gdyż ujrane podczas podróży widoki zachwyciły go nieskalaną, dziką przyrodą, czego nie uświadczał w miejscach, gdzie zazwyczaj przebywał. Liczył na to, że w Eilean Donan odnajdzie to samo.

Zamek położony na niewielkiej wyspie przy jeziorze Loch Duich ze stałym lądem łączył długi, dość szeroki, kamienny most. Jego niewielka część przy samym murze unosiła się w górę niczym most zwodzony, odcinając drogę nieproszonym gościom.

Równie niezawodna była brama, której stalową, masywną kratę opuszczano na noc, by skutecznie strzec dostępu do warowni. Dziedziniec wyglądał na przestronny, a sam zamek prezentował się imponująco. Jedna z jego części, położona najwyżej, miała około pięciu kondygnacji, natomiast część niższa była może o jedną, góra dwie mniejsza. Reszta zabudowań tworzyła coś w rodzaju zlepku kilku budynków mieszkalnych połączonych w jedno, tuż przy murze otaczającym całość. Gaston nie spodziewał się aż tak okazałej budowli. Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że zamek pomieściłby wielu mieszkańców.

– Wygląda na to, iż twoja narzeczona to majętna kobieta, Louis – powiedział do towarzyszącego mu mężczyzny, który właśnie niezdarne gramolił się z konia. Nie był najlepszym jeźdźcem, a i kompanem w podróży równie kiepskim.

– Nie jest jeszcze moją narzeczoną – oznajmił, lecz ożywił się, gdy ujrzał imponującą posiadłość. Na pewno sprawiała, że spojrzy na pannę przychylniej.

– To kwestia czasu. Król Jakub będzie miał w tej kwestii znaczące zdanie, a jak miemam, zawarlicie już jakąś transakcję – stwierdził Gaston, zeskakując z konia i podał wodze stojącemu, który odprowadził zwierzę do stajni.

– Nie nazwałbym tego transakcją. – Parsknął śmiechem. Nie miał zamiaru z nim o tym dyskutować. W tej kwestii mieli zupełnie inne zdania.

– Krzywda ci się nie stanie, Louis. – Ujrzał podchodzących do nich dwóch mężczyzn w kiltach, na co uśmiechnął się półgębkiem.

Nie mógł się przyzwyczać do tego widoku. Z samego tylko powodu, że miałyby przywdziać taką szatę, nie pojałyby za żonę nawet szkockiej księżniczki, żeby nie wiadomo jak majętna była i jak urodziwa. Zdecydowanie lepiej czuł się w spodniach.

– Jestem Angus MacCallum – przedstawił się starszy z nich. Miał może z czterdzieści lat. Lekko posiwiiałe, długie włosy, związał z tyłu. Opięta koszula podkreślała całkiem sporych rozmiarów brzuch. – To Luthias – poinformował, skinąwszy na towarzyszącego mu młodego chłopaka.

– Myśleliśmy, że przyjdziecie wcześniej. Poczekałibyśmy z wieczorą – powiedział drugi z mężczyzn. Był mniej więcej w wieku Gastona. Długie blond włosy opadały mu swobodnie na ramiona. Brązowe oczy przyglądały się z ciekawością przybyłym gościom.

– Nie kłopotcie się. Odświeżymy się tylko i udamy na spoczynek. Jutrzejszy dzień zapowiada się interesująco – podsumował Gaston, zerkając w stronę muru, za którym spodziewał się fascynujących widoków.

– Witam panów. – Spojrzał w stronę, z której dobiegał głos, i ujrzał dziewczynę. Cóż, jeżeli to Vanora, Louis miał farta. Gaston nie wiedział, w jakim wieku jest córka naczelnika klanu i jak wygląda, ale ta wyglądała na góra dwadzieścia lat i była bardzo ładną, zgrabną brunetką. Bystre spojrzenie jej błękitnych oczu sprawiło, że zorientował się, iż jest nim zainteresowana. – Jestem Rhona MacCallum.

– Gaston de Ponton-a-Mousson – przedstawił się i skłonił przed dziewczyną. – A to jest Louis de la Valette – powiedział, głową skinąwszy na towarzysza.

– Księżę Louis de la Valette? – Zainteresowanie dziewczyny nagle przeniosło się na możliwe tytuły. Ale czy go to zdziwiło? Nie. Z westchnieniem bezradności pomyślał, iż nie będą w nim tu widzieć człowieka, a jedynie przyszłego władcę.

– Nie jestem księciem, pani. – Usłyszał głos Louisa i przysłała mu do głowy szatańska myśl. – Jestem...

– Tylko na razie nie jest – wszedł mu w słowo. – Po śmierci swego wuja zostanie nim. W tym momencie jest jedynie markizem – powiedział ironicznie, a zobaczywszy zaskoczone spojrzenie Louisa, zmrużył groźnie oczy.

– Tak. Ja jestem... Jestem... Ja... – Louis nie wiedział, co powiedzieć zaskoczony nieoczekiwanym zwrotem akcji.

– Potrafi mówić całymi zdaniami, ale teraz jest zmęczony – przerwał mu Gaston i poklepał po ramieniu. – Potrzebuje odpoczynku. Droga okazała się mecząca, a on nie jest przyzwyczajony do takich wysiłków – stwierdził zgodnie z prawdą.

– Odprowadzę cię do twojej komnaty, markizie – powiedziała dziewczyna, uśmiechając się do niego szeroko, a Gaston odetchnął z ulgą.

To był wspaniały pomysł. Dzięki temu będzie mógł się tu poruszać w miarę normalnie i nikt nie będzie doczepiał mu niechcianej etykiety.

– *Je vais vous tuer si vous lui dites la vérité*<sup>27</sup> – zwrócił się do rozkojarzonego Louisa.

– *Mais certes, je ne suis pas le marquis*<sup>28</sup> – Gaston wiedział, że wahanie Louisa, to już teraz tylko kwestia czasu.

– *En tant qu'auvent, vous aurez de meilleures chances*<sup>29</sup> – przekonywał niezłomnie.

– *Et quand il découvre la vérité?*<sup>30</sup> – Wątpliwości Louisa brzmiały kokietyjnie, co śmieszyło Gastona.

– *Vous devez garder le silence. Comprendre?*<sup>31</sup> – zażądał.

– *Mais le roi...*<sup>32</sup> – Nie chciał już dłużej przekonywać tego głupka, zdając sobie sprawę z tego, że pokusa zostania choć na jakiś czas markizem oraz przyszłym księciem Lotaryngii była dla Louisa ogromna.

– *Le roi peut embrasser mon cul*<sup>33</sup> – powiedział poirytowany, a widząc, jak zaskoczony Francuz zaczerpnął głęboko powietrza, zwrócił się do Angusa: – Markiz jest zmęczony i kiepsko mówi po angielsku. Tak bardzo ekscytował się rychłym spotkaniem z panną Vanorą i teraz jest nieco zawiedziony tym, że jej jeszcze nie poznał – wyjaśnił z uśmiechem.

– To on ma zamiar starać się o jej rękę? – zapytał Luthias. Wraz z Angusem popatrzyli na siebie i ryknęli śmiechem.

Gaston uznał to za zastanawiające. Przecież Louis był dość przystojnym, zadbanym mężczyzną, który zawsze zachowywał się powściągliwie i miał nienaganne maniery. Czyżby panna miała aż tak wielkie wymagania? Nie chciał nad tym zbyt wiele myśleć.

– Rhona, ty wracaj na zamek, markizem zajmiemy się osobiście – nakazał stanowczo Angus, a dziewczyna z kwaśną miną odeszła w stronę najbliższych zabudowań.

– Zaprowadzę was do waszych pokoi – zaoferował wesoło Luthias, który odciągnął na bok Gastona i zwrócił się do niego szeptem: – On wcale nie mówi po angielsku, czy mówi bardzo słabo? Pytam, ponieważ trochę się zaciął przy prezentacji i nie wiem, w jakim stopniu można się porozumieć z markizem. – Położył szczególny nacisk na ostatnie słowo, jednocześnie próbując stłumić śmiech.

– Cóż, jeżeli będziesz mu chciał powiedzieć, że jest nadętym francuskim dupkiem, zapewne zrozumie, ale gdy spróbujesz mu to wytłumaczyć dokładniej, dogadasz się z nim jak ślepy z głuchym – oświadczył Gaston, budząc głośny śmiech Luthiasa. Tym samym ściągnął na siebie wzrok Angusa patrzącego na nich spode łba.

– Myślę, że my dogadamy się lepiej – stwierdził chłopak, poklepując go po ramieniu, a Gaston po raz

kolejny podziękował opatrności za nieoczekiwany pomysł, dzięki któremu uchodził teraz jedynie za ambasadora Francji.

– Jestem o tym przekonany – oznajmił.

Po krótkiej, niezobowiązującej rozmowie dotarł wreszcie do komnaty. Pospiesznie zrzucił z siebie ubranie i położył się do łóżka. Niestety noc była dla niego niezbyt łaskawa i przyniosła mu sny pełne bolesnych wspomnień. Nie mogąc spać, postanowił wyjść, zanim jeszcze na dworze zrobiło się zupełnie jasno.

Zszedł na dół do stajni, po czym pospiesznie osiodłał konia, nie czekając na stajennego. Już po chwili strażnik otwierał mu bramę, a unoszona krata robiła ogromny hałas. Przez chwilę pomyślał, że odgłos dotrze do uszu śpiących w zamku ludzi. Ale zerknąwszy na budowlę, uśmiechnął się półgębkiem. To niemożliwe, żeby grube, masywne mury, przepuściły jakikolwiek dźwięk.

Również most, który opuszczano całą wieczność, wydawał z siebie głośny zgiełk, zanim wreszcie spoczął poziomo, łącząc się z resztą kamiennej budowli.

Gdy wreszcie droga stała przed nim otworem, spał konia i ruszył przed siebie galopem. Most przebył w mgnieniu oka, choć był długi na sto, może nawet więcej metrów. Wyjeżdżając na rozległą przestrzeń, zachłusnął się powiewem świeżego powietrza.

Miał na sobie jedynie białą, bawełnianą koszulę, która podczas szybkiej jazdy rozsznurowała się, obnażając prawie w całości jego tors. Nie czuł zimna, choć poranek wydawał się dość chłodny. Jednakże dojmująca dzikość okolicy i niesamowite widoki, jakie miał teraz przed sobą, sprawiały, że adrenalina rosła w nim z każdą sekundą. Ogrom wolnej przestrzeni dodawał mu skrzydeł. Rozległe polany usłane dziko rosnącą trawą oraz wrzosami aż prosiły, aby zjechać na nie z twardego traktu, co wkrótce uczynił. Ani we Francji, ani w Anglii nie znalazł miejsc mających choć w połowie podobny klimat i perspektywę.

Zamierzał jeszcze tego samego dnia wziąć ze sobą człowieka zabranego z Anglii i wrócić tu, aby w spokoju skrzyżować z nim szpady. Był to młody chłopak, z którym codziennie trenował. Życie, jakie wiódł, sprawiło, że nie umiał spędzić ani jednego dnia bez miecza w dłoni, a na Louisa nie mógł liczyć.

Walka wdrożyła się w jego codzienność i nie pamiętał już nawet innych, lepszych dni. Tamte chwile odeszły wraz ze śmiercią matki. Stanowiło to dla niego niesamowity cios, gdyż był z nią niesłychanie zżyty i stając do walki, myślał jedynie o tym, że jeszcze jeden dzień, jedna bitwa, kolejna potyczka i będzie mógł do niej wrócić, aby się nią zaopiekować. Walczył jak szalony, mając w głowie tylko jedno: zwyciężyć i powrócić do domu. Niestety nie okazało się to takie proste. Tygodnie zmieniały się w miesiące, a miesiące w lata.

Miał dwadzieścia lat, gdy dotarła do niego wiadomość o śmierci matki. Wtedy coś się w nim zacięło. Wychodził na pole bitwy i w każdym przeciwniku upatrywał winowajcy, który odebrał mu matkę. Zabijał, jakby coś go opętało. Inni żołnierze unikali go, a dowódcy trzymali się z dala. Po trzech latach trafił do niewoli i choć spędził tam zaledwie dwa miesiące, do tej pory nie mógł otrząsnąć się ze wspomnień.

Każdego dnia prosił o śmierć, ale jej nie otrzymał. Teraz nosił na ciele wiele blizn, a one nie pozwalały mu zapomnieć o tym koszmarze. Najgorsze, że mając tak wiele czasu, zrozumiał, iż sam nie był lepszy. Brawura, odwaga, okrucieństwo. Jak miał się w tym odnaleźć? Przecież jedynie takie życie znał. Pozbawiony go czuł się, jakby czegoś mu brakowało.

Zawrócił konia i ruszył z powrotem w stronę zamku. Gdy dojechał na miejsce, słońce już weszło, a jasne promienie odbijały się w gładkiej powierzchni jeziora. Podjechawszy do brzegu, niewiele się namyślając, zeskoczył z grzbietu konia i bez chwili wahania zdjął ubranie, a później skoczył wprost w łagodne objęcia wody. Nie była chłodna, ale lodowata, lecz jedynie na początku. Gdy ciało przyzwyczyło się do zmiany temperatury, przepłynął kawałek. To wszystko tak różniło się zarówno od nudnego dworu angielskiego, na którym spędził ostatnie tygodnie, jak i od wojskowych koszar, gdzie ciągle coś się działo. Zrelaksowany, w doskonałym humorze wrócił na zamek.

Na dziedzińcu ujrzał Luthiasa rozmawiającego z wysokim, krótko obcięty blondynem. Gdy tylko go spostrzegli, ruszyli w jego stronę.

– Twój przyjaciel markiz rozpytuje o ciebie. Obawialiśmy się, żeś uciekł – zdradził Luthias.

– Nigdy nie uciekam – stwierdził krótko. – A moja znajomość z Louisem daleka jest od przyjaźni i nazwałbym ją raczej obowiązkiem.

– Jestem Ivar – przedstawił się nieznajomy, przyglądając mu się z uwagą. – Trudno było nam się

dogadać z markizem, ambasadorze – uzupełnił, na co Gaston westchnął zrezygnowany. A dzień zapowiadał się tak dobrze.

– Jeżeli nie stanowi to problemu, może zapomnijmy o tytułach i zostańmy przy imionach – zaproponował Gaston, a na twarzy Ivara zagościł szeroki uśmiech.

– Mówiłem ci, że to swój chłop? – powiedział Luthias do Ivara i poklepał Gastona po ramieniu. – Chodź, przyjacielu, zabierzemy cię tam, gdzie twój obowiązek nie postawi nogi.

– Brzmi interesująco – mruknął Gaston, który wolałby raczej wrócić do pokoju i przebrać się w suche ubranie, gdyż to się zmoczyło, gdy założył je od razu po wyjściu z jeziora.

Mimo iż początkowo nie był zbyt zachwycony nieoczekiwanym zaproszeniem, już po chwili zmienił zdanie. Mężczyźni zabrali go do izby czeladnej znajdującej się tuż przy murze zamkowym. Prowadziło do niej dość niskie wejście i aby przejść przez drzwi, musiał pochylić głowę. Gdy znalazł się już wewnątrz, okazało się, że po przebyciu wąskiego korytarza, zeszli kilka schodków niżej i trafili do przestronnej izby. Ustawiony pośrodku podłużny stół miał po obu stronach ławy, gdzie siedziało kilku mężczyzn. Gaston dostrzegł wśród nich Angusa, który od razu podniósł się i podszedł do nich.

– Może będzie lepiej, jak udasz się, panie, do komnat w zamku. Markiz prosił, abyś dołączył do niego przy śniadaniu – powiedział, a Gaston zmarszczył z niezadowoleniem czoło. Czy nawet tu będą traktować go jak francuskiego pieska?

– Gaston właśnie przegonił rumaka po wrzosowisku i zaznał kąpieli w jeziorze, a teraz zapewne jest spragniony – oznajmił Luthias, budząc śmiech pozostałych mężczyzn. – Podaj piwo i strawę – zwrócił się do przechodzącej obok młodej dziewczyny, a później wskazał Gastonowi miejsce przy ławie.

Po chwili siedział już między resztą wesołych i przyjaznych Szkotów, traktowany przez nich, jakby był jednym z nich. Dowiedział się, że w tym pomieszczeniu zbierają się mężczyźni. Pełniło jednocześnie funkcję jadalni i bawialni. Czuł się tam swobodnie: bez przytłaczającej, dworskiej etykiety, do jakiej nie umiał się przystosować, czy też atmosfery typowo wojskowej, za którą również zbyt nie przepadał.

Jego poprzednie plany spełzyły na niczym i zamiast zabrać swojego człowieka na wrzosowiska, spędził kilka godzin na placu treningowym, walcząc z Ivarem i Luthiasem. Okazali się dobrymi wojownikami, doskonale władali mieczem, jednak nawet we dwóch nie dotrzymywali mu kroku. Angus przyglądał się temu w milczeniu, zaskoczony faktem, że ambasador tak dobrze radzi sobie z orężem.

27 (z franc.) *Zabiję cię, jeśli powiesz mu prawdę.*

28 (z franc.) *Ale z pewnością nie jestem markizem.*

29 (z franc.) *Jako markiz będziesz miał większe szanse.*

30 (z franc.) *A kiedy odkryje prawdę?*

31 (z franc.) *Masz milczeć. Zrozumiałeś?*

32 (z franc.) *Ale król...*

33 (z franc.) *Król może pocałować mnie w tyłek.*

## Rozdział 11 Vanora



Gaston walczył dwoma mieczami, które w przeciwieństwie do broni przeciwników, były o wiele mniejsze. Szkoci używali wielkich, ciężkich mieczy, skutecznych w walce, jednak nieporęcznych. Ciężar spowalniał i krępował ich ruchy. On sam, gdy chodziło o walkę, zachowywał się nierozważnie i nawet podczas bitew nie nakładał na siebie całej zbroi. Jedyne najbardziej istotne elementy. Napierśnik oraz naramiennik stanowiły konieczność. Również rękawice. Lecz poza tym nie wdziawał niczego więcej, nie chcąc, aby cokolwiek dodatkowo ograniczało jego ruchy. Na polu walki wyróżniał się spośród obleczonych od stóp do głów w zbroje, walczących u jego boku Francuzów. Szkoci nie mieli na sobie żadnego żelastwa. Jedyne zwyczajne, codzienne odzienie: kilt i tartan, oprócz tego skórzane pasy. Byli to z reguły silni, wielcy i zręczni mężczyźni. Gaston nigdy nie przejmował się ryzykiem. Nie miał celu w życiu, nie musiał dbać o nic, a już najmniej o siebie samego.

Gdy zmęczony podszedł do ogrodzenia, przy którym stał Angus, zbliżyła się do nich jedna z dziewczek kuchennych, niosąc wiadra z wodą. Gaston wziął od niej jedno i wylał sobie na głowę całą jego zawartość.

– Ty na pewno jesteś ambasadorem? – zapytał Ivar, dołączając do nich, i podniósł drugie wiadro. Po chwili ono również zostało opróżnione.

Nie krył zaskoczenia faktem, że utytułowany człowiek nie okazał się typem zniewieściałego idioty i wydawał się jednym z nich. Walczył doskonale i był dobrym kompanem. W przeciwieństwie do wyperfumowanego markiza, z którym przybył, nie obawiał się pobrudzić. Nie tego się spodziewali. Wiadomość o planowanym przybyciu na zamek markiza z ambasadorem Francji przyjęli z niechęcią. Tymczasem przynajmniej jeden z nich pozytywnie ich zaskoczył.

– Nigdy nie jest się tym, kim chce się być – odpowiedział dyplomatycznie Gaston, zastanawiając się, czy mężczyzna się nie domyślił, kim tak naprawdę jest. – Skąd to pytanie?

– Bez obrazy, przyjacielu, ale nie pasujesz na jakiegoś wymuskanego paniczyka – powiedział Luthias i głośno się roześmiał, co Gaston przyjął z ulgą. – Widziałbym cię raczej na froncie. Walczysz niczym żołnierz.

– Może dlatego, że od dziewięciu lat nie schodzę z pola bitwy – wyjął odruchowo i pomyślał, że być może za daleko się posunął i nie powinien udzielać mu aż tak szczegółowych informacji. – Tytuły przyznano mi niespodziewanie, kilka tygodni temu i, prawdę mówiąc, nie jestem z tego powodu szczęśliwy – uzupełnił.

Nie chciał tłumaczyć, o jakie tytuły chodzi i wdawać się w szczegóły. Temat był dość niepewny. Nie zamierzał ich oszukiwać, więc gdyby padło konkretne pytanie, udzieliby prawdziwej odpowiedzi. Do tej pory udawało mu się ze wszystkiego jakoś wybrnąć, ale ile można chodzić opłotkami? Na szczęście z pomocą przyszła mu poznana poprzedniego wieczora dziewczyna, która zawołała ich na posiłek. Udali się w to samo miejsce, a on po raz kolejny zignorował prośby markiza o kontakt. Gaston unikał go, ponieważ zdawał sobie sprawę z tego, że Louis prawdopodobnie będzie chciał rozmawiać o nieoczekiwanej zamianie miejsc, a ten temat nie należał do miłych.

Był zaskoczony zachowaniem dziewczyny próbującej z nim flirtować. Podejrzewał, że ma takie usposobienie i w obecności markiza będzie bardziej powściągliwa. Niemniej jednak przechodząc obok za każdym razem, niby przypadkiem, ocierała się o niego i gdy tylko udało się jej, ścigała spojrzeniem jego wzrok, czerwieniąc się przy tym. Lecz on zdawał sobie sprawę z tego, że to jedynie kokieteria i zwyczajne sztuczki, z jakimi już nieraz miał do czynienia.

Po chwili dołączyła do nich jeszcze jedna dziewczyna. Gaston dowiedział się od siedzącego obok Luthiasa, iż jest to siostra Rhony, Sorha. Zamieszkały na zamku wraz z bratem, Dorrellem, po śmierci rodziców, którzy zginęli, gdy byli jeszcze dziećmi. Vanora była ich kuzynką.

Sorha w przeciwieństwie do siostry okazała się nieśmiałą i dość lekliwą dziewczyną. Gdy tylko napotkała jego spojrzenie, uciekała wzrokiem wyraźnie zmieszana. Zarówno usposobienie, jak i wygląd różniły je diametralnie. Była o rok starsza od Rhony, niska i dość pulchna. Miała pyzată, zarumienioną twarz oraz duże, niebieskie oczy. Długie blond włosy zasłoniła chustą, spod której wystawał gruby warkocz. Wraz z siostrą nakrywała do stołu.

Luthias ujrzał jej zawstydzenie i gdy przechodziła obok nich, złapał ją za rękę, przyciągnął, a później wstał i ujawszy w pasie, podniósł, sadzając na ławie między sobą a Gastonem. Dziewczyna od razu zeszywniała i wstrzymała oddech kompletnie zawstydzona. Wtedy Luthias złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie, co sprawiło, że nieco się rozluźniła.

– Nie lękaj się – powiedział i skinął na Gastona. – On tylko tak strasznie wygląda, w rzeczywistości nie gryzie. – Na te słowa dziewczyna parsknęła śmiechem, ale za moment zakryła usta i popatrzyła spłoszona na gościa.

– Proszę mi wybaczyć, panie ambasado...

– Mam na imię Gaston – przerwał jej, zanim zdążyła skończyć. – Luthias zapomniał dodać, że gryzę jedynie, gdy ktoś zwraca się do mnie „ambasadorze” – stwierdził, puszczając do niej oczko, na co roześmiała się, niemniej ujrawszy karcący wzrok siostry, zamilkła.

– Zmykaj, zanim ta jęzda cię dopadnie – szepnął konspiracyjnie Luthias, a na głos dodał: – Gdyby przyszło jej do głowy uprzykrzenie ci życia, to nieco smalcu ponownie dostanie się w jej idealne kołtuny. – Na te słowa Rhona odwróciła się na pięcie i wzburzona wyszła.

– Będę miała przez ciebie problemy – szepnęła Sorha ze śmiechem.

– Dobrze wiesz, że nie – stwierdził, uśmiechając się szeroko. – Nie zaryzykuje swego wizerunku podczas wizyty markiza – dodał jeszcze, nim odeszła, chichocząc.

– Sympatyczna – powiedział wymownie Gaston, a Luthias zmarszczył groźnie czoło.

– Jeżeli przyjdzie ci do głowy zbałamucić Sorhę, to ostrzegam, że nie pozwolę jej skrzywdzić – oznajmił, a mężczyzna o mało nie parsknął śmiechem.

– Bez obawy. Twojej dziewczynie nic z mej strony nie grozi – oświadczył.

– Mojej dziewczynie? – zdziwił się Luthias.

– Czy ona nie jest twoją...

– Sorha jest dla mnie jak młodsza siostra – wyjaśnił chłopak i głośno się roześmiał. – Nie jesteśmy parą – dokończył.

Gaston wydawał się trochę zaskoczony. Dziewczyna wyglądała na zauroczoną chłopakiem i nawet gdy krzątała się przy stole, dość często na niego zerknęła. Zachowanie Luthiasa... Cóż, faktycznie było w tym coś braterskiego. Choć początkowo Gaston podejrzewał, że łączy ich coś więcej. Nawet zdziwiło go to, ponieważ Szkot aż kipiał entuzjazmem i wigorem, podczas gdy dziewczyna sprawiała wrażenie cichej i zakompleksionej przy pięknej siostrze. Luthias był przystojny i podobał się każdej kobiecie, a Sorha nie należała do urodziwych.

Rozmyślenia Gastona przerwał hałas dobiegający od strony wejścia, a zaraz potem do pomieszczenia wszedł nieznany mu dotąd, dość niski i krępy mężczyzna. Widząc Gastona, trochę się zdziwił. Przedstawił się jako Gillis.

– Vanora jest z tobą? – padło pytanie, które zadał Luthias, a Gaston z zaciekawieniem zerknął na przybyłego.

– Gdzie Angus? – Gillis odpowiedział pytaniem na pytanie, co sprawiło, że wszystkie głowy skierowały się w jego stronę.

– Jest ranna? – zapytał młody chłopak, gwałtownie podrywając się z miejsca, a na jego twarzy pojawił się niepokój.

Gaston nie kojarzył jeszcze wszystkich imion, gdyż brzmiały dla niego dziwnie oraz obco, ale tego młodzieńca zapamiętał jako Govana. Młody, wysoki, z długimi, czarnymi włosami, wyraźnie zaniepokojony wpatrywał się wyczekująco w przybyłego.

– Dostała strzałę. Ale to ledwie draśnięcie – odparł Gillis z pewną dozą obojętności i zasiadł przy

stole. Po chwili dostał kufel piwa, który błyskawicznie opróżnił. – Lepiej nic nie mówcie Ronanowi. Niech sama się tłumaczy ojcu. Ja nie mam zamiaru wysłuchiwać jego nagan.

Gaston patrzył na nich zdziwiony.

Właśnie przed momentem otrzymali informację, że dziewczyna została ranna, a nikogo, oprócz Govana to nie obeszło? Co z nimi było nie tak?

– Czy nie potrzeba udzielić jej pomocy? – zapytał, ściągając na siebie uwagę wszystkich obecnych, a później rozległ się gromki śmiech.

– Vanora rzadko potrzebuje pomocy – wesoło stwierdził Luthias.

– Ale gdzie ją raniono, czy nie trzeba po nią jechać? – dociekał.

– Były niesnaski w kilku zagrodach, pojechaliśmy zrobić z tym porządek. Okazało się, że mieli więcej ludzi, niż założyliśmy. Ale bez obawy, strzała ledwie drasnęła ją w ramię, to nic poważnego – wyjaśnił Gillis.

– Jest u ojca? – zapytał Ivar.

– Jeszcze nie wróciła. Przybędą w nocy. Carney miał jakąś sprawę, a ona ruszyła z nim.

– Sprawy Carneya zaczynają mnie denerwować – przyznał Govan i ze złością uderzył pięścią w stół. – Przez niego Vanora zawsze ma problemy.

– Spokojnie, chłopcze. – Usłyszeli Ivara. – Znajdziesz inną. A Vanora nie ma problemów przez Carneya, ponieważ z reguły to my mamy je przez nią.

– Nie chcę innej – mruknął i wyszedł, trzaskając drzwiami. Tuż za nim udał się Ivar.

– Kocha się w niej – skwitował krótko Luthias.

– A ona? – Gaston był coraz bardziej zaintrygowany.

– Ona nie ma o tym pojęcia. I dobrze. Govan to wrażliwy chłopak, a Vanora wręcz przeciwnie. To nie rokowałoby dobrze – oświadczył.

– Dziwnie to zabrzmiało – rzekł Gaston.

– Wiem, co mówię. Dorastaliśmy razem i jest moją przyjaciółką. Zresztą nie ma co o tym pisać. Gdy ją poznasz, to sam zrozumiesz – oświadczył, zamykając temat.

Resztę dnia spędzili na rozmowach i Gaston poczuł się wśród nich, jak nie czuł się od bardzo dawna. Ci ludzie potraktowali go jak zwykłego człowieka i zaakceptowali między sobą.

Wieczera, która miała odbyć się wieczorem, została przełożona na następny dzień. Po części spowodowane było to złym samopoczuciem Ronana MacCalluma, lecz nieobecność przyszłej panny młodej stanowiła prawdopodobnie jedną z głównych przyczyn. Gaston przyjął to z radością. Nieprzespana noc po dość meczącej podróży i pełen emocji dzień sprawiły, że czuł się naprawdę wyczerpany.

## Rozdział 12 Twardy orzech



Kolejnego dnia Gaston ponownie wypuścił się konno na krótką przejażdżkę i powtórzył przygodę z jeziorem.

Po powrocie nie znalazł nikogo na dziedzińcu, lecz bez chwili wahania udał się do izby czeladnej, gdzie zastał prawie wszystkich poznanych dzień wcześniej Szkotów, którzy teraz przyjaźnie go powitali.

– Liczyłem na to, że do nas przyjdiesz! – zawołał Luthias.

Zdażył go polubić, choć znał go bardzo krótko. Nie miał nigdy przyjaciela, gdyż unikał zażyłych znajomości. Spotykani przez niego mężczyźni ginęli, zanim zdażył się z którymkolwiek żyć. Po jakimś czasie dał sobie spokój. Prawda była taka, że gdziekolwiek by nie przebywał, czuł się zawsze obcy.

– Mam wrażenie, że jeszcze kilka dni i markiz zniesie jajko – stwierdził Ivar, a Gaston zaskoczony spojrzał w jego stronę, myśląc w pierwszej chwili, że mowa o nim, lecz szybko zorientował się, iż chodziło o Louisa.

– Prawdopodobnie nie może doczekać się, aż pozna pannę – oznajmił Gaston.

– Jeżeli gustuje w dworskich ślicznotkach, to na widok naszej Vanory bardzo szybko jego zapał zniknie – powiedział Angus i się gromko roześmiał. Wkrótce dołączyło do niego kilka głosów.

Gaston przyglądał się im z ciekawością, chociaż się nie odezwał. Ta cała Vanora MacCallum zaczynała coraz bardziej go intrygować. Czyżby wychwalanie jej urody było jedynie zachętą? Znając króla Jakuba i cały dwór, wydawało się to bardzo prawdopodobne. Jeżeli chodzi o Louisa, wzięłaby prawdopodobnie za żonę nawet szpetną Szkotkę, gdyby wizja majątności była korzystna.

On sam osobiście nigdy nie zwracał uwagi na wygląd. Może po części powodem był fakt, że nie patrzył na kobiety pod kątem przyszłego związku.

Miał wiele kochanek, niemniej zawsze stawiał sprawę jasno. Jedna noc, nic więcej. Obie strony były tego świadome i nic nie podlegało dyskusji.

Gdy widział, że jakakolwiek kobieta liczy na coś więcej, bezwiednie wycofywał się z tej znajomości. Takie było życie wojownika i jemu to bardzo odpowiadało.

Kobiety, które przewijały się przez jego łóżko, bywały urodziwe, choć tak naprawdę nie tego szukał. Właściwie sam nie wiedział, czego szukał i czy w ogóle czegokolwiek szukał. Jako zwykły, szary człowiek miał wybór i mógł kierować się miłością. Jako koronowany władca będzie we wszystkim ograniczony i to nie do niego będzie należała decyzja.

Znał związki, gdzie trzynastolatek żenił się z kobietą w podeszłym wieku. Czasem bywało tak, że podstarzałemu królowi trafiała się mała dziewczynka i nie było wtedy słodko ani delikatnie.

Bycie władcą tylko z nazwy brzmiało ciekawie. Nigdy nie myślał o przyszłej żonie. Do tej pory potrzebował jedynie fizycznego spełnienia. Jednak gdyby mógł wybierać, chciałby pojąć za żonę kobietę, która byłaby przede wszystkim interesującą osobą, ciekawym rozmówcą oraz dobrym przyjacielem.

– Gdy pojawi się tu Blane MacLeod, nikt nie będzie miał już nic do gadania – powiedział siedzący tuż za nim Luthias, a on spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– Kim jest Blane MacLeod? – zadając to pytanie, nie zdawał sobie sprawy z tego, że w przyszłości człowiek ten nie raz stanie mu na drodze.

– To naczelnik klanu MacLeod. Jeżeli zdecyduje się poślubić Vanorę, stary Ronan bez wahania da mu swą córkę za żonę.

– Chyba dziewczyna powinna mieć na ten temat cokolwiek do powiedzenia – stwierdził bez



przekonania Gaston, świadomy tego, że słowo „powinna” było bardzo właściwe, lecz niestety mało prawdopodobne w tym przypadku.

– Naczelnikiem klanu MacCallum powinien być MacCallum, a nie jakiś markiz albo nawet MacLeod – mruknął siedzący naprzeciw Gastona Angus. – Wybacz, przyjacielu, ale twój towarzysz nadawałby się bardziej do opróżniania nocników niż na naczelnika klanu. Mężem Vanory nie zostanie, choćby próbował. Przekona się o tym, gdy tylko ją pozna – oświadczył zdecydowanie.

– Jeżeli stary Ronan zdecyduje...

– Jeżeli markiz bliżej pozna Vanorę, sam pospiesznie wycofa się ze swych planów.

– Plany Louisa opierają się w głównej mierze na postanowieniach króla Jakuba – oznajmił z przekąsem Gaston.

– Wierz mi, przyjacielu, nawet twój król Jakub nie jest tak przekonujący jak nasza Vanora – wyjaśnił, a siedzący obok młody chłopak parsknął śmiechem.

– Z dwojga złego wolałbym jednak, żeby to Blane został naczelnikiem – powiedział po chwili Ivar, siedzący do tej pory cicho. – Chyba że chciałbyś, aby rządy objął Ervin – stwierdził krótko, po czym zapadło milczenie.

– Kim jest Ervin? – Gaston był coraz ciekawszy koligacji, których do końca jeszcze nie rozumiał.

– To starszy brat Vanory – mruknął Angus.

– Czy nie ma zatem prawa dziedziczenia? – zapytał zaskoczony.

– Jeżeli uważasz, że gnida wychowana na angielskim dworze, która miecz nosi jedynie dla ozdoby i nie potrafi nawet poprawnie utrzymać go w dłoni, nadaje się na naczelnika, to zapewne jakaś prawda w tym jest. Ale u nas prawo dziedziczenia działa trochę inaczej – wyrzucił Luthias jednym tchem.

– Miarkuj się, chłopcze – zgromił go Angus, wpatrując się w niego ze złością.

– Może nie mam racji? – drażył.

– Rację nie zawsze trzeba tak głośno wyrażać – mruknął, a później zwrócił się do Gastona. – Ervin wraz z matką mieszkał w Anglii, dopóki ta suka nie zmarła i... – przerwał, słysząc głośny śmiech zgromadzonych. – Chciałem powiedzieć „kobieta” – uzupełnił.

– Po śmierci matki wrócił. Jakies dwa lata temu, gdy tylko zorientował się, że Ronan nie porządzi już długo – dodał z goryczą Luthias.

– Zaczynam co nieco rozumieć, choć nadal nie mam pełnego obrazu – powiedział Gaston, licząc na dalsze wyjaśnienia.

– Gdy Vanora miała osiem lat, najechał nas klan MacAulayów. Atak był niespodziewany. Zginęło wtedy wielu naszych. Ronan stracił trzech synów. Firth i Douglas polegli w walce. Buchanan został ranny, ale i on nie przeżył. Zmarł po tygodniu. Gdyby nie przybył nam z pomocą klan MacLeod, zginęliby wszyscy. Kiedy tylko atak został odparty i niebezpieczeństwo zażegnane, żona Ronana zabrała Ervina i wyjechała. Zawsze faworyzowała tego małego skurczybyka.

– Czy nie powiedziałaś, że jej syn Buchanan walczył o życie przez tydzień? – zapytał Gaston, któremu nie mieściło się w głowie to, jak matka mogła zostawić umierające dziecko, nawet jeśli był to już dorosły człowiek.

– Tak właśnie było. Zabrała Ervina i wyniosła się stąd, gdzie pieprz rośnie. Mała Vanora jednego dnia straciła wszystkich. Pozostał jej jedynie ojciec, niedomagający od czasu walki. Zadano mu wiele ran, ale to silny człowiek. Przeżył i uporał się z tragedią, jaka go spotkała – oznajmił Angus z mocą w głosie.

Gaston widział, że jest to mężny, godny szacunku człowiek, oddany władcy. Chłodne obejście w żaden sposób nie ukrywało tych znamienitych cech. Obraz, jaki mu właśnie zarysowano, nie wyglądał szczęśliwie. Również historia Vanory kryła w sobie ogromną tragedię.

– Gdyby nie stary MacLeod, nikt nie uszedłby z życiem – powiedział z westchnieniem Luthias, a Gaston spojrzął na niego zdezorientowany.

– MacLeod? – To nazwisko przewinęło się już w sprawie Vanory.

Jeżeli przybył im z pomocą, kiedy dziewczyna miała osiem lat, a był już wtedy stary, to kwestia zamążpójścia Vanory faktycznie wyglądała bardzo nieciekawie.

– Edan, ojciec Blane’a. – Odetchnął z ulgą. Dziewczyna i tak przeżyła niejedną tragedię. Małżeństwo ze starcem byłoby z pewnością kolejną. – Dlatego Ronan tak przychylny jest temu ożenkowi. Co by nie patrzeć, Blane to człowiek dzielny i waleczny.

– I mawiają o nim Zwierz – przerwał Govan z goryczą w głosie.

Gaston zaobserwował, jak chłopak za każdym razem się ożywia, słysząc imię dziewczyny i coraz bardziej robiło mu się go żal.

– Jeżeli stary Ronan tak zdecyduje, to tak się stanie, a Vanora poradzi sobie nawet z... – zaczął Ivar, ale nagle coś ujrzał i gwałtownie podniósł się z krzesła, które zaraz się wywróciło, robiąc przy tym potworny hałas. Gaston podążył za jego wzrokiem i dostrzegł stojącą w progu dziewczynę.

– Tak, Ivar, zaspokój mą ciekawość, z czym poradzi sobie Vanora? – mówiąc to, weszła do pomieszczenia. Po drodze kopnęła w wiadro z pomyjami, wylewając jego zawartość, a następnie, spojrzawszy na jednego ze służących, warknęła: – Szoruj to, ale już!

– Vanora! Co ty wyczyniasz?! – wykrzyknął Angus, próbując przywołać ją do porządku, ale miał chyba niewielkie szanse na powodzenie. – Czym ci on zawinił, dziewczyno? – zapytał, kręcąc z niezadowolaniem głową.

– Złapałam go w stajni na dziewce kuchennej – powiedziała, wpatrując się groźnie w szorującego podłogę chłopaka. – Lecz tylko on chciał się zabawić, dziewczyna nie była chętna. Zatem niech teraz zabawia się z podłogą. Na drugi raz go wykastruję.

– Gdzie byłaś? – zapytał raźnie Luthias, którego ucieszył widok dziewczyny. – Myślałem, że wróciliście w nocy.

– Na polowaniu – stwierdziła, po czym rzuciła na stół dwa martwe zające związane rzemieniem za tylne łapy.

Zdjęła przewieszony przez plecy kołczan ze strzałami i obróciła się w stronę wpatrującego się w nią z zaskoczeniem Gastona.

– Ktoś ty? – warknęła, mrużąc groźnie oczy. – Mów. Natychmiast!

I to były właśnie takie momenty, gdy zdarzało mu się zaniemówić. Wpatrując się w dziewczynę, pomyślał, że faktycznie Louis będzie miał teraz twardy orzech do zgryzienia. I król raczej mu w tym nie pomoże.

## Rozdział 13 *Calda House*



Szła zupełnie rozbita. Miała w sobie bardzo dużo sprzecznych emocji. Niby docierało już do niej, że jakimś cudem przeniosła się w czasie, ale nadal nie mogła w to uwierzyć. To działało niczym mechanizm wyparcia. Widzisz coś, dotykasz, ale nie chcesz tego i próbujesz sobie wmówić, że tego nie ma, szukasz różnych powodów, żeby udowodnić sobie, że wzrok, słuch i wszystkie inne zmysły, które wrzeszczą do ciebie, że to coś jest realne, mylą się.

– Świeże powietrze dobrze ci robi, Brice – zapewniła troskliwie Una, a ona otrząsnęła się z zamyślenia.

– Tak – szepnęła, choć wewnątrz krzyczała, że nic jej teraz nie robi dobrze, chyba że zamknie oczy i gdy je otworzy, ponownie będzie w Nowym Jorku, w luksusowym lofcie, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni i nastrojową muzyką sączącą się w tle.

Licząc naiwnie na cud, zamknęła powieki, ale zamiast cudu zaliczyła upadek, kiedy długa, bezkształtna sukienka, jaką dostała od Uny, zaplątała się w jej nogi. Jak otworzyła oczy, nie była w swoim mieszkaniu, ale kilka metrów przed zamkiem na jakimś udeptanym trakcie, w dłoni nie trzymała kieliszka z winem, lecz materiał sukienki, a w tle słyszała jedynie rechot starej baby.

– Pewnie kolejna nastolatka – mruknęła, patrząc na nią ze złością, co sprawiło, że kobieta pośpiesznie odwróciła się w drugą stronę.

Miała ochotę wrzeszczeć. Czowała się niczym małe dziecko, zagubione w wielkim świecie dorosłych, wśród obcych szukające rodziców. Jeszcze przed chwilą, w objęciach tego złośliwego capa, wcale nie czuła się aż taka zagubiona. Prawdę mówiąc, czuła się nawet bardzo odnaleziona. *Jezu, jak ten facet na mnie działa* – pomyślała i ciężko westchnęła. Co takiego w sobie miał, że nie potrafiła przy nim normalnie funkcjonować?

– Prymitywny, wrzeszczący dzikus – mruknęła ze złością, a potem ujrzała spoglądającą na nią z niepokojem Unę.

– Dobrze się czujesz? – zapytała. Brice najchętniej wydarłaby się na całe gardło, że wcale nie czuje się dobrze.

– Tak – powiedziała krótko, starając się uspokoić. Jak teraz miała wrócić do domu? Bo musiała wrócić. Nie mogła utknąć w cholernym średniowieczu. – Kurwa – syknęła. Musiała się uspokoić, żeby nie wpędzić tej kobiety w nerwicę.

– Jeżeli chcesz, to możemy wrócić. Położysz się i prześpisz – zaproponowała staruszka, a Brice zadrżała na myśl o łóżku i tym, co jeszcze niedawno się tam działo.

– Wszystko w porządku, Una – bąknęła pod nosem. – Czuję się dobrze, tylko... no wiesz, nowe miejsce i nowi ludzie. To wszystko jest trochę przytłaczające. No bo wczoraj byłam gdzie indziej, a dziś jestem tu i sama rozumiesz, to są inne... – Zastanawiała się, co powiedzieć. Bo nie mogła oznajmić, że to inne epoki. – Po prostu nie podróżuję zbyt często – stwierdziła krótko.

– Coś ci zrobił? – zapytała.

– Ale że kto? – zdziwiła się Brice.

– Podły człowiek, jak Bóg mi świadkiem, są chwile, gdy mam ochotę wziąć kija i nabić mu trochę rozumu do tej bezmyślnej głowy – powiedziała gwałtownie kobieta, a Brice przystanęła. O czym ona mówiła?

– Nie wiem, o co chodzi, ale jakby co, to ja niczego nie zrobiłam. Niczego nie widziałam i o niczym

nie mam pojęcia – wypaliła jednym tchem.

– Chyba cię znów nie pobił? – Coś zaczynało jej świtać.

– Blane? – zapytała, a widząc, że kobieta przytaknęła, przeszły ją dreszcze. O nie, tego, co jej robił, a właściwie dopiero zaczynał, nie można było nazwać pobiciem. – Spaliśmy – oświadczyła i, spojrzawszy na kobietę, zastanowiła się, czy nie widziała czegoś więcej. – Tylko spaliśmy – zapewniła. Po zrozumieniu, że staruszka chce coś powiedzieć, nie dała jej dojść do słowa: – Gdzie my właściwie idziemy? – zapytała wymijająco.

W zasadzie nie wiedziała, dokąd prowadzi ją Una. Gdy zeszła na dół, kazali jej włożyć niewygodną sukienkę, która dosłownie ciągnęła się po ziemi, a rękawy musiała podwinąć, gdyż były sporo za duże. Na jej nogach pojawiły się trepy, ważące po kilka kilogramów każdy, przynajmniej takie miała wrażenie za każdym razem, gdy tylko unosiła nogę. Odkąd zeszła na dół, nie widziała więcej Blane'a, który został na górze. Wydał dyspozycje, aby dać jej ubranie i obuwie. *Boże, to się dzieje naprawdę* – pomyślała.

– Do *Calda House*. – Spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

– *Calda* co? – zapytała. Una głośno się roześmiała, wskazując dłonią ogromny budynek oddalony jakieś trzysta metrów od nich.

– To dom, gdzie mieszkają...

– Kto? – przerwała jej, wpatrując się w kilkupiętrową budowlę.

– Ludzie z klanu *MacLeod* – powiedziała po krótkiej chwili Una.

Staruszka nie wiedziała, co jej odpowiedzieć, bo wyliczanie wszystkich domowników nie miało sensu. Dziewczyna nikogo nie знаła, a ludzi było niczym mrówek. Mieszkały tam całe rodziny. Ale jak mogła ich określić? Byli zarówno poddanymi Blane'a, jak i poniekąd jedną wielką rodziną. Pomyślała, że może nie powinna na razie bardziej mieszać w głowie tej dziewczynie. Pochodziła z innego kraju, wszystko, co tutejsze, mogło wydawać jej się dziwne.

– Po co tam idziemy? – zapytała już spokojnie Brice, która zaczynała rozglądać się wokoło, chłonąc niesamowitą perspektywę, jaką miała przed sobą.

Pamiętała swoją reakcję na widok jeziora i krajobrazu, jednak mając je dosłownie przed nosem, gdy szły blisko brzegu, czuła rozrywający jej pierś zachwyt.

Odetchnęła głęboko powietrzem, wpatrując się w postrzępione, groźnie wyglądające skały leżące przy brzegu. Tu było niesamowicie. Sam ten widok wywoływał w niej przedziwny spokój.

– Blane posłał kogoś do *Bradany*. Ma naszykować kilka rzeczy dla ciebie – wyjaśniła Una, a Brice odwróciła się do niej gwałtownie. Blane?

– Kim jest *Bradana*? – zapytała, na co Una westchnęła. Powinna spodziewać się takiego pytania.

– To żona *Eiliga* – oświadczyła.

– *Eiliga*? – No tak, to nie mogło być proste.

Pomyślała, że powinna dowiedzieć się jak najwięcej od *Uny*, gdyż z nią, w przeciwieństwie do *Blane'a*, potrafiła się normalnie porozumieć.

Gdy po mniej więcej pół godzinie doszły na miejsce, Brice miała w głowie pełno imion z różnego rodzaju informacjami, kto jest kim. Wszystko jej wirowało. *Bothana* i *Tormoda* już znała, ale reszta była jej obca. Zresztą oni również jej nie znali, co odczuła zaraz po wejściu do budynku. Widząc zaciekawione spojrzenia zebranych kobiet, pomyślała, że nie zeszły na dół przypadkowo. Wzbudziła sporo emocji. Starsze z nich przyglądały się jej uważnie, a te młodsze jedynie zerknęły, udając, że przez przypadek. Później szeptały coś sobie do uszu. Brice przyjrzała się im i pomyślała, że idąc takim rozumowaniem za tym, co dziś ujrzała, to przy szczerbatej nastolatce one byłyby prawdopodobnie przedszkolakami.

Nie umiała się do tego przyzwyczaić. Do ich ubioru, fryzur oraz wystroju pomieszczeń.

Ta przerażająca prawda z każdą chwilą ponownie do niej docierała, po raz kolejny budząc w niej histerię. Za każdym razem próbowała się uspokoić, ale jak można to było zrobić w tej sytuacji? Zaczęła przywoływać w myślach filmy i powieści o podobnej tematyce i nagle poczuła pustkę. Była pewna, że czytała, że oglądała, a może nawet słuchała, ale w tym momencie niczego nie potrafiła odszukać.

Zresztą półtorej godziny filmu nie dało się porównać z prawie dobą, którą tu spędziła. Nie mogła tak po prostu przywyknąć i zaakceptować tego, że znalazła się w takiej sytuacji. Drastycznie, gwałtownie, nieoczekiwanie i chyba nawet boleśnie. Może była szalona, może miała nierówno pod sufitem, ale nie potrafiła się z tą myślą oswoić. Co powinna zrobić, żeby nie wpadać za każdym razem w panikę, widząc

wokoło tych dziwnych ludzi? Brak cywilizacji aż krzyczał na każdym kroku.

– Witaj, Una! – Usłyszała za sobą damski głos i, odwróciwszy się, ujrzała schodzącą ze schodów kobietę.

Miała około pięćdziesięciu lat i była trochę młodsza od Uny. Dość pulchna i niska, bardzo przeciętna na twarzy, jeżeli nie liczyć ogromnie przyjaznego uśmiechu, którego po prostu nie można było nie odwzajemnić.

– Witaj, Bradano – dobiegł do niej głos Uny.

Kobieta podeszła do nich i, ujawszy Brice za ręce, przyglądała się jej, mając na twarzy ten niesamowicie sympatyczny uśmiech.

– Czy już dobrze się czujesz? – zapytała, kierując słowa do Brice, na co ona sama westchnęła głośno.

– No tak, byłam w niewoli i oswobodził mnie rycerz na białym koniu – mruknęła bezwiednie, po czym zauważyła na twarzy kobiety zaskoczenie.

– Byłaś w niewoli? – zapytała.

– Oczywiście, że nie. Ale proszę sobie wyobrazić, że ten nawiedzony debil chodzi i każdemu rozpowiada takie brednie – powiedziała głosem, w którym wyczuwało się nutę żalu.

– Nawiedzony debil? – Kobieta wyglądała na coraz bardziej zdezorientowaną.

Oho, chyba nieco przesadziła. Przecież Blane był tym całym naczelnikiem, więc tak jakby ich wodzem. *Jezu, zwariuję* – pomyślała i uśmiechnęła się. Należało wystosować sprostowanie.

– Spokojnie. Miałam na myśli, że to zacy człowiek – stwierdziła, a w myślach pociągnęła swój wywód nieco bardziej drastycznie.

– Ale o kim ty mówisz, dziecko? – Nieznajoma sprawiała wrażenie zaintrygowanej, lecz z jej twarzy nie schodził uśmiech, co dodawało Brice otuchy. W głosie kobiety rozbrzmiewało tak wiele pozytywnych emocji, że robiło jej się ciepło na sercu.

– Chodziło mi o Blane’a. Podaje sprzeczne z prawdą informacje, a co za tym idzie, wszyscy dostają na dzień dobry komunikat, że trzymano mnie w niecywilizowanym więzieniu – oświadczyła jednym tchem. Później dotarło do niej, że może powinna wyjaśnić jej trochę prostszymi słowami. – Zaszło nieporozumienie. Blane myśli, że trzymano mnie w niewoli, ale to pomyłka. – Jaśniej już nie potrafiła.

Zaczynała tracić grunt pod nogami, a na domiar złego pozostałe kobiety podchodziły do nich jedna za drugą, ośmielone oraz zainteresowane rozmową, jaka toczyła się między nią a Bradaną.

– Pochodzi z Francji – wtrąciła Una, a Brice zacisnęła zęby ze złością.

– Zabiję tego skurwiela – mruknęła pod nosem, choć wiedziała, że w tym wypadku jest to pewnego rodzaju wytłumaczenie, gdyż jako cudzoziemka mogła mówić w sposób, który nie był zrozumiały dla zgromadzonych kobiet, a gadała teraz niczym potłuczona.

Nagle usłyszała za sobą hałas i po chwili zdarzyło się coś, co sprawiło, że krew uderzyła jej do głowy. Ktoś najzwyczajniej w świecie podszedł do niej i klepnął ją w tyłek.

– Toż to nasza francuska kocica. – Odwróciwszy się z impetem, ujrzała stojącego tuż za nią młodego chłopaka. – Jestem Morven – powiedział długowłosa blondyn, beczelnie się do niej uśmiechając.

– Mam w dupie to, kim jesteś! – wrzasnęła, zaskakując nieznajomego, który nie takiej reakcji się spodziewał. – Możesz być nawet śpiącą królową! Ale...

– Prawdziwa z ciebie...

– Nie przerywaj mi! I zrób tak jeszcze choć jeden raz, a uwierz mi, zabiję cię, śmieciu, i rozgniotę jak karalucha!

– Jak? – Doszły do niej słowa Blane’a wchodzącego do pomieszczenia wraz z Tormodem i Bothanem.

– Jeżeli powiesz mi prawdę, to nie będziesz musiała się fatygować, ponieważ Blane robi to za ciebie, pani – zapewnił Bothan, który zorientowawszy się w sytuacji, podszedł do niej pospiesznie, zostawiając Blane’a wpatzonego w Morvena z wściekłością.

Ujrzała na twarzy zebranych niepokój, a kilka dziewcząt uciekło na górę. Nawet na obliczu Bradany widziała lęk. Morven wyglądał, jakby połknął kij od szczotki. Zorientowała się, że wdepnęła na minę. Ale co teraz miała zrobić? Przez chwilę poczuła chęć, aby wszystko mu powiedzieć i ukarać tego beczelnego, zbyt pewnego siebie Szkota. Lecz mając w pamięci, z jaką łatwością Blane jeszcze kilka godzin temu zabijał, stwierdziła, że nie powinna robić tu tym ludziom bałaganu. Bradana raczej nie byłaby zachwycona, Una

pewnie też nie.

Blane, widząc, że niczego nie wskóra u chłopaka, który stał, milcząc, przeniósł spojrzenie na Brice, a ona pospiesznie spojrzała w sufit. Wydawał się cholernie wysoki. *Powinnam jeszcze zacząć gwizdać* – pomyślała.

– Jak? – wysyczał wściekle, a ona poczuła złość.

– Co „jak”? – powtórzyła z lekką irytacją, zastanawiając się, co teraz zrobić.

– Jak powiedział? – Usłyszała jego chłodny głos i poczuła mrowienie na karku.

Jezu, nie teraz. Czemu on nieodmiennie doprowadzał ją do wrzenia, nawet w takich sytuacjach jak ta?

– Ale co dokładnie masz na myśli? – zapytała głupio. Ujrawszy, że jego górna warga unosi się w znajomy sposób, westchnęła.

– Nie mów do mnie tym tonem – warknął, po czym podszedł do niej.

– To może chcesz, żebym mówiła po francusku, co? Wtedy na pewno wszystko zrozumiesz, alfo i omego! – wrzasnęła, a on złapał ją za łokieć i gwałtownie do siebie przyciągnął. – Skurwiel! – wyrwało się jej.

Była tak rozdrażniona, że zaledwie resztką sił powstrzymywała się, żeby nie rozorać mu drugiego policzka. Dostrzegła, jak Blane zerknął na stojących obok niego Bothana i Tormoda, który próbował coś powiedzieć, lecz ubiegł go.

– Bez obawy, Tormodzie. To po francusku znaczy, że jestem sprawiedliwy i mądry – oświadczył, a ona chcąc nie chcąc, parsknęła śmiechem. Później zaczęła udawać, że się zachłysnęła.

– O tak, żebyś wiedział – mruknęła. Zauważyła, że wpatruje się w nią wzrokiem pełnym pasji.

Chciała wrzeszczeć na niego, ubliżyć mu i w niczym się nie ograniczać. Powstrzymywało ją jedno. Był naczelnikiem, wodzem, dowódcą i cholera wie, kim tam jeszcze. I szczerze mówiąc, osobiście miała to wszystko w dupie, ale wiedziała, czuła wewnętrznie, że nie powinna nadszarpywać jego wizerunku. Nie bała się jego gniewu, bardziej ją podniecał, niż przerażał. Jednak coś mówiło jej, że nie mogła w ten sposób traktować go przy jego ludziach. Ale jak miała to robić? Położyć po sobie uszy, gdy ten kretyń ciągle podnosił jej ciśnienie? Czasem nawet gubiła się w tym, w którą stronę to podąży.

Pomyślała, że jeszcze przed chwilą znajdował się tak blisko niej, czuła całe jego ciało i jedyne, o czym mogła myśleć, to pragnienie, by umieć się powstrzymać przed tym, aby nie posunąć się o krok dalej. Jego stanowczość, jego zdecydowanie, a z drugiej strony ta niesamowita samodyscyplina i to, jak się kontrolował. Był zupełnie inny. Nie rzucił się na nią, nie rozgniewał jej ust swoimi, nie ranił boleśnie i tak zwyczajnie czekał na każdy jej ruch, a gdy jakiś zrobiła, on nie pozwalał jej się wycofać i czekał na kolejny. Stanowcze, pewne siebie dłonie, które na sobie czuła, nie przypominały tych poznanych w nocy. Wabił ją magnetycznym spojrzeniem, nie pozwalając już się cofnąć. Czy to mógł być ten sam człowiek?

– Mów natychmiast, co ci zrobił! – wrzasnął. Podskoczyła wystraszona, choć powinna już się przyzwyczaić do tych jego niespodziewanych wybuchów. – Obraził cię?

– Gdyby zrobił mi cokolwiek złego, to miałby na policzku taki sam ślad, jaki masz ty – wyszeptała, wspinając się na place. Nie chciała, aby ktokolwiek ją usłyszał. Ujrzała, że jego spojrzenie robi się coraz bardziej mroczne i poczuła dreszcze. Wyglądał, jakby miał ją za moment uderzyć, mimo to nie potrafiła się powstrzymać przed dalszym drażnieniem go.

– Każę kowalowi powyrywać ci wszystkie paznokcie, jeżeli jeszcze raz to zrobisz – wysyczał, ledwie się powstrzymując przed uczynieniem czegoś, czego nie chciał. Ale co to było?

## Rozdział 14 Ups



Nie mógł przestać o niej myśleć, gdy Una zabrała ją do Calda House. Dopiero zmierzchało, robiło się szaro, lecz do zmroku pozostało jeszcze trochę czasu. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego dzisiejsza nieobecność na placu treningowym będzie czymś nietypowym, gdyż przebywał tam codziennie. Traktował to niczym swoją pracę. Wiedział też, że do Calda House chadza po zmroku, a nawet późną nocą i jeśli ujrzą go tam wcześniej, z pewnością ich to zaskoczy.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że niektórzy ćwiczyli jeszcze na placu, gdzie i on powinien się udać. Ale przecież ta niemądra dziewczucha mogła coś znowu zrobić. Musiał tam iść, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. I nie przejmował się już niczym. To, co ujrzał, wprawiło go w osłupienie. Jej wybuch złości oraz wściekłe oczy skierowane na Morvena sprawiły, że wróciła opowieść o dziewczynie, którą kiedyś skrzywdził ten chłopak. Ogarnęła go niepohamowana wściekłość i ochota, by bez żadnego gadania zrobić to, o czym wykrzyczała Brice. Rozgnieść go jak robaka. Ale czy tak naprawdę Brice dałaby sobie zrobić krzywdę? Teraz gdy patrzył na nią, zdawał sobie sprawę z tego, że nikt by tego nie dokonał. Ta dziewczyna miała diabła pod skórą. Powinien wtrącić ją do lochu i potrzymać tak przez kilka dni o chlebie i wodzie, wtedy może nauczyłaby się szacunku.

– Nie zrobisz tego – szepnęła prowokująco i uświadomił sobie, że w jej obecności traci kontrolę, a wiedział, że nie może do tego dopuścić.

– Powiesz mi wreszcie, co on takiego zrobił? – zapytał nieco spokojniej.

– To zwykle niedomówienie – stwierdziła już normalnym głosem, a widząc jego pytający wzrok, kontynuowała: – Przedstawił mi się.

– I tylko dlatego wrzeszczałaś, że go zabijesz? – Ledwie powstrzymał się, aby się nie uśmiechnąć.

Jedynie tyle potrzebowała? Zazwyczaj Morven budził w kobietach zupełnie inne uczucia. Nie musiał wiele robić, aby zdobyć tę, której akurat zachciał.

– Po francusku „Morven” znaczy „idiota”. Mówi się tak na ludzi głupich i ułomnych – stwierdziła, chcąc chociaż w ten sposób dopiec chłopakowi, za to, że zaczął ich znajomość nieprzemyślanym posunięciem. – Myślałam, że wyzwiał mnie od takich, podczas gdy on się jedynie przedstawił, nazywając w ten sposób samego siebie – wysyczała, wbijając w Morvena wściekłe spojrzenie, a później przeniosła wzrok na Blane’a i wzruszyła obojętnie ramionami. – To wszystko – szepnęła.

– Wygląda na to, że dostał odpowiednie imię – mruknął pod nosem Blane, któremu jej tłumaczenia wystarczyły. – Masz na drugi raz zachowywać się, jak przystoi kobiecie i nie urządzać awantur – powiedział podniesionym głosem. Musiał przecież jakoś ją ukarać za te krzyki, pomimo że tak naprawdę były w pewnym stopniu usprawiedliwione.

– A jak przystoi kobiecie? – zapytała. Pomyślał, że prowokuje go specjalnie. Nie mógł sobie na to pozwolić.

– Inaczej – burknął, spoglądając na zebranych wokoło ludzi.

Niektórzy mieli jeszcze wystraszone miny, chociaż większość się już rozluźniła, widząc, że nieporozumienie zostało wyjaśnione.

Dostrzegł, jak Bothan wymienia z Bradaną rozbawione spojrzenia, a na twarzy Uny gościła nagana, jaką pewnie się z nim podzieli przy najbliższej okazji. Wiedział, że publicznie nie ośmieli się podnieść na niego głosu. Zdawał sobie sprawę, że spośród nich wszystkich tylko jedna osoba była w stanie to zrobić. Przeniósł wzrok na Brice i ujrzał, jak stojąc naprzeciw niego, zadziera bojowo głowę i podpira się pod boki.

Pomyślał, że to nie wróży dobrze. Jeszcze dziś wtrąci ją do lochu i pozostawi tam tak długo, aż nabierze ogłady.

– A dokładnie jak inaczej? – zapytała. Sapnął wściekle. Nie mógł dopuścić do takich dyskusji. Stawał się przez nie coraz bardziej rozdrażniony. Zauważył to Bothan.

– Więc jeżeli nieporozumienie już się wyjaśniło, to może zasiądziemy przy stole. Tormod, pokażesz Brice okolice, pewnie chciałaby się przewietrzyć – zaproponował dyplomatycznie.

Roztropność i odwaga dziewczyny zaskoczyły go. Stawiała się jak niczego nieświadomy szczeniak. Ani przez moment nie zeszała z tonu. Z drugiej strony domyślił się, że Morven dopuścił się czegoś więcej i jedynie dzięki Brice mógł nadal cieszyć się życiem.

– Tormod. – Usłyszeli stanowczy głos Blane’a. – Odprowadzisz Unę i Brice na zamek, a potem wrócisz – zarządził.

– Może... – zaczął chłopak, lecz jedno spojrzenie Blane’a wystarczyło, żeby urwał w pół zdania.

Brice obserwowała, jak wszyscy się przy nim zachowują. Wzbudzał w nich posłuch, co w jakimś stopniu jej zaimponowało.

Dostrzegła, z jakim respektem się do niego zwracają i słowo „skurwieli” nabierało innego znaczenia. Jeszcze nie widziała dużo i zdawała sobie sprawę z tego, że coś w tym jest. Może faktycznie jest mądry i sprawiedliwy. Dla swoich ludzi.

Spojrzał w jej stronę. Zmrużył groźnie oczy, jakby celowo chciał okazać jej złość.

– Czy sprawiedliwy to nie wiem, ale głupi na pewno – mruknęła pod nosem i zobaczyła wpatrzonych w nią błyszczących oczu Tormoda, który, gdy tylko się zorientował, że na niego spogląda, od razu skłonił głowę.

– Pa...

– Czy mogę cię o coś prosić, Tormodzie? – zapytała, zanim oznajmił jej, jakiej jest płci, a chłopak szeroko się uśmiechnął. – Proszę, mów do mnie Brice.

– Ale czy tak przystoi? – O mało się nie roześmiała.

– We Francji przyjaciele mówią do siebie po imieniu – oznajmiła z poważną miną, myśląc, że może jednak ta Francja na coś się przyda.

– Rozumiem, Brice. – Zrozumiała, że sprawiło mu przyjemność, gdy wpisała go w poczet swoich przyjaciół. – W takim razie może już chodźmy, zanim naczelnik zdenerwuje się naszą opieszałością.

– Tak, gdy się zdenerwuje, to zachowuje się jak mrówka podczas okresu – stwierdziła.

– Jak kto? – Westchnęła. Chłopak był taki słodki.

– Ile masz lat, Tormodzie? – Nie chciała wdawać się w tłumaczenia.

– Szesnaście – odparł, na co zmarszczyła czoło, zerkając na przytroczony do jego pasa miecz.

– A czyja to szabla? – Wskazała na jego pas.

– To mój miecz, pa... Brice – stwierdził. Usłyszała w jego głosie dumę.

– Powiedz mi, gdzie podziewałeś się wczoraj w nocy? – Przeczynała, że jego odpowiedź jej nie ucieszy.

– Na bitwie – odparł.

Miał tylko szesnaście lat, do diabła. Był dzieckiem. Całkiem wyrosniętym, jednak nastolatkiem. Miecz przy pasie by zniósł, ale zabieranie dzieciaka na bitwę, gdzie ludzie mordują się bez mrugnienia okiem...

Z ledwością powstrzymała się przed kolejnym pytaniem. Jeżeli brał udział w bitwie i wrócił żywy, to znaczyło, że przeciwnicy zginęli. To inne czasy, inna epoka, inne zwyczaje. Niemniej smuciło ją to jednakowo.

– Może powinniśmy poczekać na Unę? – zapytała, gdy przeszli już jakiś odcinek drogi.

Powietrze robiło się coraz chłodniejsze i się ściemniało. Krajobraz nieodmiennie ją fascynował. Dzika, niezmierna przyroda oraz zapachy wdzierające się do jej nozdrzy, sprawiały, że zadrzała. Wiał lekki wiatr od jeziora. Wpatrując się w przestrzeń, widziała w niewielkim oddaleniu skały znajdujące się kilka metrów od brzegu jeziora i pomyślała, że musi koniecznie pójść tam któregoś dnia.

Któregoś dnia? Czyżby już zaakceptowała ten cholerny przeskok w czasie? O nie! Musiała wrócić. Jak najszybciej. Wszystko znowu zawirowało i uświadomiła sobie, że jedynie przy Blanie zupełnie zapomina o tym, co się wydarzyło. Wyłącznie przy nim czuła się tak, jakby wszystko było w porządku.

– Una rozmawiała z Bradaną i prosiła, aby poczekać na nią przy spichlerzu.



– Przy czym? – Tym razem dla niej coś okazało się niezrozumiałe, choć miała wrażenie, że gdzieś już to słyszała.

– Przy pomieszczeniu z ziarnem – wyjaśnił chłopak. Wtedy przypomniała sobie, że na ranczu ojca znajdowało się coś takiego.

Jak mogła o tym zapomnieć? Dotarło do niej, że tęskni za ojcem. *Szkoda, że nie poczułam tego, gdy dzieliły mnie od niego kilometry, a nie lata* – pomyślała rozżalona.

– To tu? – zapytała, wskazując niewielkich rozmiarów budynek, który stał w połowie drogi między zamkiem a Calda House. Chłopak przytaknął z uśmiechem.

– Czy długo u nas zostaniesz? – Spojrzała na niego zdziwiona.

Czyżby się domyślił, że nie pochodzi z tych czasów i że chce wrócić do dwudziestego pierwszego wieku?

– U nas? – zapytała ostrożnie.

– Na zamku u naczelnika. – Pytanie wydało jej się dość dziwne. Widząc jej zagubienie, chłopak kontynuował: – Czy nie będziesz wracała do Francji? Do rodziny?

Oblało ją gorąco. Jeżeli faktycznie myślą, że ona pochodzi z Francji, to mogą chcieć ją tam odesłać. Ta myśl sprawiła, że zamarła. Przecież zupełnie nie wiedziałyby wtedy, co ma robić. Bez Blane'a czuła się w tym świecie całkowicie bezradna.

– Nie mam rodziny – wyznała. Nie chciała kontynuować tematu, przynajmniej dopóki tego sobie nie przemyśli. – Możemy wejść do środka? Jest trochę chłodno – powiedziała, gdy podeszli już do budynku. Tormod otworzył przed nią drzwi.

W środku nie było za dużo miejsca. Po obu stronach pomieszczenia leżało kilka worków, a po przeciwnej stronie stało skupisko niewielkich beczek. Dość skromnie, ale z tego, co powiedział Tormod, był to stary spichlerz, gdyż nowy, którego używali na co dzień, stał za Calda House, więc nie mogła go nawet zobaczyć. W pomieszczeniu panował półmrok. Dostrzegła na starym, wiklinowym koszyku dziwny przedmiot.

– To krzesiwo. Czy mam zapalić ogień? – zapytał Tormod, wskazując na leżącą obok świeczkę. No tak, o zapalkach raczej nie mogła marzyć.

– Nie – zaprzeczyła. – Una nie powinna już przyjść? Może trzeba po nią wrócić? Jeżeli niesie coś ciężkiego, to może powinniśmy jej pomóc? – zaproponowała.

– Masz rację. – Skierowała się w stronę wyjścia, lecz powstrzymał ją. – Pozostań tu, ja po nią pójde – powiedział krótko i wyszedł, zanim zdążyła zaprotestować.

Pozostawiona sama poczuła się nagle bezradnie. W 1597 roku, pośród dzikiej, szkockiej okolicy, w starym spichlerzu. Opanował ją strach. A jeżeli ktoś tu teraz przyjdzie? Robiło się coraz ciemniej. Jeżeli jakiś dzikus napadnie ją i będzie chciał zgwałcić? Poczuła wściekłość na myśl, że jeden już próbował, a ona czuła teraz, że właśnie jego jej brakuje i że tylko obecność Blane'a da jej całkowity spokój. Żałowała, że pozwoliła odejść Tormodowi. Znajdował się już pewnie daleko, wołała go nie gonić.

Zerknęła na świece oraz krzesiwo i pomyślała, że czemu nie. Może przecież spróbować. Nie było tu żadnego siana, tylko ziarno, w dodatku zaledwie kilka worków w głębi pomieszczenia. Usiadła na jednej z beczulek, a na drugiej postawiła świecę i zaczęła uderzać jednym kamieniem o drugi. Nie miała pojęcia, co to za kamienie, lecz iskry aż się sypały, dzięki czemu już po chwili pomieszczenie rozświetlało słabe światło świecy. Siedziała i gapiła się na płomień, a duma aż ją rozpierała. Po chwili usłyszała hałas i za moment spostrzegła w drzwiach Blane'a, którego twarz najpierw pobladła, później nabrała purpury, a ona stwierdziła, że jeszcze tak gwałtownych zmian u niego nie widziała. Zerknęła na stojącą świeczkę, na którą gapił się z przerażeniem. Co się, cholera jasna, działo? Odbiło mu?

– No co? Przecież nie ma tu siana – powiedziała, widząc, jak podbiega do niej, a później szarpnięciem ciągnie za sobą w stronę wyjścia.

Tego było za wiele, cholerny, pieprzony brutal. Jeżeli myślał, że tak po prostu mógł sobie pozwolić na to, aby nią tak bez powodu pomiatać, to się grubo mylił. Zaczęła się szarpać i wyrwać.

– Uciekaj! – wrzasnął.

– Przecież tu nie ma siana, a worki są daleko pod ścianą – warknęła.

– W beczkach jest proch! – krzyknął, a ona zdrętwiała.

Tego nie założyła. No, ale kto, do diabła, trzyma w spichlerzu proch? Poczuła, jak bierze ją na ręce i

wybiega z budynku. Przytuliła go, a serce biło jej coraz mocniej. Jeżeli on mówił prawdę, a pewnie mówił, to zaraz...

Jej myśli przerwał głośny wybuch. Jego podmuch sprawił, że Blane rzucił ją na ziemię, przykrywając sobą. W zasadzie eksplozja nie była tak silna. Jednak gdy się uniosła, jej oczom ukazał się szalejący, wysoki na kilka metrów ogień. Cały budynek, a raczej jego pozostałości płonęły. Widziała wściekłą minę Blane'a, który coś do niej mówił, ale ona niczego nie słyszała, jedynie ciszę spowodowaną prawdopodobnie ogromnym hałasem. *Czy ogłuchłam? Jeszcze tego brakowało* – przemknęło jej przez myśl. Patrzyła na niego, chociaż wszystko wokół wirowało. Coś zaczęło dzwonić jej w uszach, a ona bezmyślnie rozglądała się wokół. Widziała biegnących w ich stronę Unę i Tormoda z kilkoma innymi mężczyznami, lecz niczego nie słyszała. Po chwili zaczął do niej docierać niewyraźnie głos Blane'a:

– Dobrze się czujesz? – Przytaknęła odruchowo, chociaż sama nawet dokładnie nie wiedziała, jak się czuła.

Wtedy na jego twarzy pojawiła się wściekłość. No w zasadzie miał nawet chyba trochę racji. Ale przecież nie mogła wiedzieć, co jest w beczkach. Jaki debil trzyma proch w spichlerzu? Przecież niechcący można to wszystko wysadzić w powietrze.

– Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że tego nie planowałam – oświadczyła. W jego oczach rozbłysnęła ta niesamowita iskra, która zawsze przyprawiała ją o dreszcze. – Żałujesz, że mnie uratowałeś? – zapytała, nie za bardzo wiedząc, po co to mówi i o co jej chodzi.

– Będę – wyszeptał.

Ujrzała, jak Blane podnosi się i jednym szarpnięciem podrywa ją z ziemi, a później przerzuca sobie przez ramię, ruszając w stronę zamku. Krzyknął coś do biegnących za nimi ludzi i zupełnie zignorował jej protesty. Nie miała już nawet na nie siły. Obolała, głucha i z poczuciem winy, zwiślała mu z ramienia, marząc, aby znaleźć się w budynku.

Na całe szczęście dotarli tam dość szybko. Wniósł ją po schodach i dopiero w sypialni postawił ze złością na podłodze. Gwałtowny ruch sprawił, że prawie upadła, jednak podtrzymał ją, a teraz przesywał spojrzeniem pociemniałych z gniewu oczu. *Zabije mnie? Czy tylko uderzy?* – pomyślała z wahaniem, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

– Tak jak już wcześniej wspomniałam, niczego nie planowałam i wcale nie miałam pojęcia, że tam jest proch. Mogła być sobie nawet marchewka, bo beczki były niepodpisane, a ja...

– Ja też tego nie planowałem. – Przez jego głęboki głos zamarła. W jednej chwili wszystko gdzieś odplynęło.

– A o czym dokładnie mówimy? – zapytała głupio, przełykając głośno ślinę.

– Ty mi powiedz, o czym mówimy, Brice – wyszeptał ochryple. Położył dłonie na jej ramionach, a później powolnym ruchem przesunął je na plecy.

Prowokował ją. Tak to widziała. Właśnie to robił. Ale dlaczego wydawał się teraz taki inny? Dlaczego czekał na każdy jej ruch? Przecież wtedy, za pierwszym razem, był taki gwałtowny, taki nieokiełznany i brutalny.

– Co teraz? – wyszeptała bezradnie.

Pragnęła go, tym razem jeszcze bardziej. Nigdy wcześniej się tak nie czuła. Czy to jakaś zmiana podczas przeskoku w czasie? A może to jedynie sen? Nie! Nie chciała, aby to był tylko sen. Nawet za cenę tego, że znalazła się w tym okropnym miejscu, daleko od domu i cywilizacji, bez pomyślnych rokowań na powrót.

Patrzyła na niego, nie wiedząc, co robić. Dlaczego on tak się w nią wpatrywał? Dlaczego czekał? Jakby to ona musiała podjąć tę strategiczną decyzję. Czy to przez to, że wtedy tak zareagowała? Że nazwała go tchórzem?

– Czego teraz pragniesz? – Wiedziała, że nie poradzi sobie z tym, co czuła.

– Ciebie – wyszeptała. Zauważyła na jego twarzy napięcie, jakby tylko na to czekał. Jakby te słowa były komendą, której potrzebował.

Zbliżył usta i delikatnie ją pocałował. *Cholera, jednak potrafi* – pomyślała, głośno wdychając. Ta brutalność, jakiej zaznała przy pierwszym kontakcie, zniknęła. Miał do zaoferowania coś więcej. Poczwała, jak bierze ją na ręce i niesie do łóżka. Położył ją na nim ostrożnie, po czym się nad nią pochylił. Widziała na jego twarzy, że z trudem się powstrzymuje, aby nie zrobić czegoś więcej.

– Co teraz? – powtarzała jak zdarta płyta, nie wiedząc, co robić. Czekwała na jakikolwiek jego ruch, ale on się jedynie na nią gapił.

– Teraz pójdę posprzątać bałagan, którego narobiłaś – wyszeptał. Poczowała wyrzuty sumienia. Może faktycznie nieco przesadziła.

– A później? – To pytanie nie dawało jej spokoju, szczególnie teraz, gdy patrzył na nią takim wygłodniałym, namiętym wzrokiem.

Wyglądało na to, że jednak nie chciał jej ani zabić, ani nawet uderzyć. Ale czego tak naprawdę od niej chciał?

– Później wrócę i będę cię kochał w moim łóżu – odpowiedział, przez co wstrzymała oddech. Tego oczekiwała, tego pragnęła, ale słysząc to, poczuła jeszcze większe podniecenie. – I tym razem będę patrzył ci w oczy, Brice.

To powiedziawszy, wyszedł, zostawiając ją zadziwioną, wstrzymującą oddech, którego jej nagle zabrakło. Znał już teraz sposób, jak skutecznie ją uciszyć.

## Rozdział 15 Księżniczka i Wojownik



Kilka ostatnich dni sprawiło, że ciągle była rozkojarzona. Starła się nikomu tego nie pokazywać i doskonale jej się to udawało. Nawet Luthias, jej najlepszy przyjaciel, niczego się nie domyślił. Jedyne Dorrell coś podejrzewał. Kuzyn od zawsze był bardzo wrażliwym chłopcem. Starła się go chronić, ale nie zawsze jej się to udawało. Miał już siedemnaście lat i dawno powinien uczyć się walki. Chłopcy w jego wieku wybierali się na bitwy i walczyli, podczas gdy on do tej pory jeszcze ani razu nie trzymał w dłoniach miecza. Vanora chroniła go, choć wiedziała, że prędzej czy później życie wszystko zdefiniuje. Dorrell stawał się mężczyzną, a mężczyźni walczyli, podczas gdy jej kuzyn przejawiał jedynie zdolności artystyczne, co skrzętnie ukrywał przed wszystkimi. Wiedziała o tym tylko ona oraz jego siostra, Sorha. Obie starały się zataić ten fakt i w jakiś sposób go wspierały, choć akurat Vanorze wydawało się to dziwne.

Ona sama już w wieku siedmiu lat strzelała jak dorosła osoba. Zawdzięczała to czterem braciom. Ich śmierć zabrała jej połowę duszy. Mimo że była wtedy jedynie małą dziewczynką, do tej pory nie potrafiła się z tym pogodzić. Jednego dnia miała wszystko, a już drugiego jej świat zawalił się niczym domek z kart.

Wyjazdu matki i Ervina, najmłodszego z braci, nawet nie zauważyła. W tym czasie czuwała dzień i noc przy łożu umierającego Buchanana<sup>34</sup>. Modliła się, płakała, błagała, aby nie umierał. Prosiła, by jej nie opuszczał. Jednak stawał się coraz słabszy i któregoś wieczoru po prostu zasnął, a rano już nie mogła go dobudzić. Z Buchananiem łączyła ją szczególna więź. Pozostałych braci kochała nad życie, on znaczył dla niej jeszcze więcej. Wielki, potężny niczym niedźwiedź, nosił ją zawsze na barana, a na dobranoc opowiadał jej o bitwach, jakie stoczył, a także o tych, które stoczą razem. Zawsze powtarzał jej, że jest całym jego światem. On również był dla niej wszystkim. Gdy po przegranej bitwie przeżył, czuła radość, choć wiedziała, że Douglas i Firth polegli, a ojciec leżał ranny w komnacie obok. Buchanan żył i tylko to się wtedy dla niej liczyło. Jakby miało przesądzić o jego losie. Niestety jej radość nie trwała długo.

Gdy umarł, przez kilka tygodni nic nie mówiła. Siedziała w miejscu i milczała. Nie mogła w to uwierzyć. Czuła dziwne otępienie. W jej głowie wszystko szalało, bo przecież to nie mogło dziać się naprawdę. On nie mógł umrzeć i tak po prostu jej zostawić. Jedyne pociechę stanowiła dla niej wtedy Innes<sup>35</sup>, żona Buchanana. Byli kochającym się małżeństwem, które nigdy nie doczekało się dzieci. Innes zawsze powtarzała, że jest drugą kobietą w życiu męża i że to Vanora jest tą, którą Buchanan kocha najbardziej. Świata poza młodszą siostrą nie widział.

Innes od zawsze była dla niej niczym starsza siostra i, choć miała teraz już trzydzieści osiem lat, nadal nie wyszła za mąż. Wciąż opłakiwała Buchanana. Vanora widziała, że Angus od dawna darzy ją względami, lecz czy Innes kiedykolwiek będzie w stanie spojrzeć na kogoś innego? Minęło trzynaście lat od śmierci Buchanana, jednak w sercu dwóch kobiet pozostawił pustkę, której nikt nie zdołał zapełnić.

Długo nie potrafiła zaakceptować śmierci brata. Wciąż wydawało się jej, że gdy zaśnie i wstanie rano, to zastanie go na dole czekającego na nią z łukiem w jednej dłoni, kołczanem w drugiej. Mijające dni coraz boleśniej uświadamiały jej, że stała się rzecz nieodwracalna i choćby chciała, nic nie może już zrobić. Wściekłość, żal, gorycz, nieprzemierzony gniew. Przepelniona skrajnymi emocjami izolowała się, trwając w cierpieniu. Zamartwiali się o nią, bali, że coś sobie zrobi, chociaż była jeszcze dzieckiem. Mimo to każda próba pocieszenia wywoływała jej agresję. Nie pozwalała nikomu się do siebie zbliżyć, odpychała każdego.

Po miesiącu wyszła na plac i wzięła do rąk łuk. Buchanan twierdził, że będzie najlepszą łuczniczką w klanie. Musiała sprawić, aby słowa brata się spełniły. Musiała to zrobić dla niego, żeby uczcić jego pamięć. Wiedziała, że ta umiejętność będzie w pewnym sensie hołdem dla niego. I tak się stało. Na placu spędzała

wszystkie wolne chwile. Nigdy nie zaniedbała nauki, lecz resztę czasu poświęcała treningom.

Jej piastunka, Moira, była wykształconą kobietą, mieszkającą na zamku wraz z mężem. Najpierw jedynie ją uczyła, z czasem zaczęła się opiekować nią niczym rodzona matka, która bez słowa pożegnania ją zostawiła. Vanora od zawsze czuła się przez nią niekochana. Rodzicielka nazywała ją małą dzikuską i zajmowała się wyłącznie Ervinem. Po śmierci braci brakowało jej Ervina, chciała bodaj w takim niewielkim stopniu czuć, że ma jeszcze choć jednego brata. Lecz on nie wracał. Zmieniło się to dopiero niedawno, przed kilkoma miesiącami. Na każdym kroku okazywała mu miłość, mówiła, że cieszy się z jego powrotu, natomiast on wciąż ją odtrącał. Z zazdrości o uczucia ojca względem niej, lecz przecież ona nie była niczemu winna.

Sytuacja stała się dla niej trudna, ponieważ wiedziała, że Ervin za wszelką cenę dąży do zostania naczelnikiem klanu. Z całej duszy chciałaby mu odstąpić ten zaszczyt, aby tylko go uszczęśliwić. Wiedziała jednak, że nie nadawał się do tego, by przewodzić ludziom. Nie podołałby obowiązkowi, chociaż on nawet tego nie rozumiał. Niemniej gdyby nie miłość i oddanie, jakie miała dla przyjaciół oraz ojca, złożyłaby w ręce Ervina władzę, chcąc spełnić jego pragnienie.

Wydawało mu się, że pozycja naczelnika przypomina bycie władcą, królem, kimś, kto po prostu wydaje rozkazy. Podczas gdy stanie na czele klanu polegało na obcowaniu ramię w ramię ze swoimi ludźmi. Naczelnik musiał kochać ich niczym braci, traktować ich jak najlepszych przyjaciół, dzielić z nimi każdy dzień, każdą godzinę, walczyć u ich boku w każdej bitwie. Niestety Ervin widział to inaczej. Według niego człowiek przy władzy wydawał jedynie komendy, ale w przypadku społeczności klanowej to nie działało w taki sposób. Nie mogła dopuścić, aby doprowadził do rozłamu wewnątrz klanu, a właśnie tak by się stało, gdyby objął władzę.

Kiedy zginęli bracia, z jej życia zniknęła radość, pozostawiając miejsce zaciętości. W wieku ośmiu lat zaczęła intensywnie trenować, mijał rok za rokiem. Teraz miała już dziewiętnaście lat i najlepiej strzelała z łuku, tak jak obiecał jej kiedyś Buchanan. W walce mieczem dotrzymywała kroku niejednemu mężczyźnie. Nie obca była jej żadna broń.

Przez lata sprawiła, że każdy z wojowników traktował ją teraz jak jednego z towarzyszy, brata w walce i najlepszego przyjaciela. Spędzała z nimi każdą chwilę, stała się jedną z nich. Ojciec nigdy już nie wrócił do pełni sił. Nie ruszał na bitwy i przez jakiś czas klan nie posiadał lidera. Dopóki nie stała się nim Vanora. Tak naprawdę nie rozumiała, jak do tego doszło. Po prostu zaczęli ją tak traktować. Dla niej ważne było tylko to, że się z nią liczone, traktowano jak przyjaciela. Początkowo jedynie uwzględniali ją w decyzjach, strategiach oraz planach wojennych. Z czasem to się zmieniło i nie tylko brano ją pod uwagę, ale wręcz czekano na jej postanowienia.

W pierwszej bitwie wzięła udział, gdy miała piętnaście lat. Prawdę mówiąc, zabrała się z nimi podstępem, a gdy zobaczyli ją na placu boju, byli zaskoczeni i zaniepokojeni. Jednak już po chwili zadziwiła ich jeszcze bardziej, walcząc z nimi ramię w ramię.

Teraz została jednym z najlepszych wojowników, a w strzelaniu z łuku nikt nie mógł jej dorównać. Chociaż nadal traktowali ją trochę jak młodszą siostrę, zawsze podczas walki jej obecność wydawała się dla nich czymś naturalnym. Przez ten czas nabrała męskich nawyków. Nie umiała już przebywać w innym towarzystwie. Wiedziała, co o niej mówią, zdawała sobie sprawę z tego, jakie krążą plotki, lecz jedynie ją śmieszyły. W sumie liczyło się tylko jedno. Czuła, że nie zawiodła brata. Wiedziała, że Buchanan byłby z niej dumny. To było najważniejsze.

Przyszłe małżeństwo traktowała jako przykry obowiązek. Pojmowała, że jest to konieczność. Angus upierał się, aby naczelnikiem został któryś MacCallum. Ale kto miał nim zostać? Przecież oni wszyscy byli dla niej niczym bracia. Nie potrafiłaby z nikim z nich wejść do łóżka. Byli jej przyjaciółmi, a ona ich małą wojowniczką. W zasadzie to ona pełniła tak naprawdę funkcję naczelnika klanu, każdy wiedział, że żadne małżeństwo niczego nie zmieni. W tym wypadku to Vanora będzie nosiła spodnie.

Chciała to odwlec, opóźnić choć o jeszcze jeden rok, może nawet dwa. Lecz w ostatnim czasie zdarzały się dość często różne incydenty, które coraz bardziej ją niepokoiły. Połączenie klanów stanowiło najlepsze rozwiązanie. Została ranna wiele razy, więc łóżkowe sprawy też pewnie jakoś znieśie. Pocięła się tym i od jakiegoś czasu to była jej myśl przewodnia, co jednak nie dodawało jej zbyt wielkiej otuchy. Podczas jednej z rozmów z ojcem wyraziła zgodę na mariaż. Z bólem serca i świadomością, że ciąży na niej ten obrzydliwy, koszmarny obowiązek.

Ojciec postanowił zaprosić na najbliższe święto Lammas wielu naczelników z różnych klanów. Czują się trochę jak wystawiona na aukcję marionetka, jednak nie było innego wyjścia. Przyjaznym okiem patrzyła na naczelnika klanu MacFarlanów, młodego, dość inteligentnego i spokojnego człowieka. Rozmawiała z nim i wiedziała, że dojście do porozumienia nie stanowiłoby problemu. MacKinnon też nie wydawał się złym pretendentem, lecz liczebność klanu oraz jego dotychczasowe prowadzenie nie opłacało się zbytnio. MacMillan byłby idealny. Jedyne dziecko, tępy niczym but i dość łatwo zdołałaby mu wmówić, że decyzje, jakie będzie podejmowała, będą jego decyzjami. Niestety jej ojcu nie podobał się taki pomysł, pragnął, aby miała odważnego męża, na którym mogłaby polegać. Całkiem przychylnie patrzył na MacKenzie, co w sumie ją nieco dziwiło, ponieważ uważała, że są to fałszywi ludzie i osobiście niezbyt podobała jej się myśl mariażu z ich naczelnikiem. Ojciec zaproponował jej również klan MacLeod, co sprawiło, że najchętniej waliłaby głową w mur. Tego się obawiała. Żywiła szacunek i wdzięczność dla tych ludzi, ponieważ przybyli im na ratunek i walczyli ramię w ramię za cudzą sprawę. Zginęło wielu z nich i to zasługiwało na podziw. Scementowało ich klany. Teraz często wojowali z MacAulayami, z którymi i oni mieli odwieczny zatarg, więc był to dodatkowy argument. Jednak w duchu prosiła, aby ojciec nie wysunął takiej propozycji.

Wiele słyszała o Blanie MacLeodzie i samo to wystarczyło jej, żeby trzymać się z daleka od niego. Podobno uchodził za dzikusa, którego bali się nawet członkowie jego własnego klanu. Mówili o nim: głupi i dziki. Już samo to, że wołano na niego Zwierz, nie wróżyło niczego dobrego. Prymitywny półgłówek. Nie mogło być chyba gorzej. Ale wola ojca pokrywała się z wdzięcznością i szacunkiem, jakim darzyła ten klan. Wiedziała jednak, że zrobi wszystko, aby wybrać kogoś innego. Planowała zniechęcić do siebie tego prymitywnego nieokrzeszańca. Chociaż wiedziała, że nie będzie mogła liczyć na pomoc swoich ludzi, ponieważ również oni szanowali to, co zrobił jego ojciec.

Wracała na zamek zrezygnowana. Wysłała Carneya przodem i sama przespała się w jakiejś opuszczonej zagrodzie, a rankiem ruszyła na polowanie.

Czuła się coraz bardziej zniechęcona, gdy dowiedziała się, że na zamek przyjadą jeszcze jacyś Francuzi. Miała doskonale rozeznanie. Podczas gdy Carney załatwiał swoje sprawy, ona rozpytała i to, czego się dowiedziała, nie zachwyciło jej. O markizie nie wiedziała zbyt wiele. Ponoć był to człowiek, który pojawił się znikąd, lecz informacje o ambasadorze, sprawiły, że poczuła złość. Czy ojciec naprawdę brał pod uwagę możliwość takiego związku?

Wjeżdżając na dziedziniec, marzyła jedynie o tym, aby napić się zimnego piwa i pogadać z chłopakami. Gwizdnęła na stajennego i, zeskoczywszy z konia, klepnęła klacz, na co pobiegła w stronę zdążającego już w jej stronę chłopaka. Gdy weszła do izby, już w korytarzu usłyszała rozmowę, która ją zaintrygowała, szczególnie uczestniczący w niej obcy, męski głos. Zmarszczyła czoło. Kto to mógł być? Czyżby te francuskie gnidy już przyjechały? Rozpoznawała w głosie nieznanego obcy akcent. Zacisnęła ze złością zęby. Poczula gniew i miała ochotę zawrócić, niemniej pomyślała, że powinna się przecież należycie przywitać z gośćmi i jasno dać do zrozumienia, co o nich myśli. Była pewna, że to jakiś francuski służący, który poleci zaraz do swojego pana na skargę. Tak, to wyglądało na dobry plan. Sam fakt, że święto zbliża się wielkimi krokami, sprawiał, że chciała wyprać komuś mózg, a przecież francuski pomiot nadawał się do tego idealnie.

Usłyszała za sobą odgłos kroków i odwróciwszy się, ujrzała Rhonę, która na jej widok przystanęła. Od zawsze drażniła ją ta dziewczyna. Kiedy tylko mogła, flirtowała z chłopakami, co Vanorę mierziło i obrzydzało. Popatrzyła na nią i pstryknęła palcami, co sprawiło, że dziewczyna bez słowa wycofała się, po czym szybko odeszła. Idealna fryzura oraz odświętna sukienka świadczyły o tym, że również francuskie pieski mogą liczyć na flirt z tą wiecznie napaloną dziewczyną. Ale czy to nie wydawało się oczywiste? Przecież od zawsze zachowywała się jak suka w rui.

Po wejściu do izby czeladnej Vanora obserwowała każdą reakcję nieznanego. Nie dając po sobie poznać zaskoczenia, w myślach zastanowiła się, czemu oni w ogóle wpuścili tego gnoja do ich izby. Cóż, trzeba przyznać, że był cholernie przystojny. Zdecydowanie przyciągał damski wzrok, ale takie wizualne efekty stanowiły dla niej jedynie stwierdzenie faktów, bez żadnych emocji. Poirytowało ją to, że zaprosili go między swoich. Musiał jak najszybciej stąd wyjść, pobiec do markiza oraz ambasadora i opowiedzieć o niej same najgorsze rzeczy. Trochę rozdrażniło ją to, że gdy ujrzał, jak wywaliła wiadro z pomyjami, jedynie uśmiechnął się pod nosem. Widziała w oczach chłopaka zaskoczenie, jakby nie tego oczekiwał. Pewnie spodziewał się grzecznej panienki. Bardzo dobrze, niech uświadomi swoich panów, z kim mają do czynienia.

Reszta to będzie jedynie formalność. Niech zjeżdżają stąd, gdzie pieprz rośnie.

– Ktoś ty?

– Gast...

– Wychodzisz? – zapytała, widząc, jak powstaje.

Domyśliła się, że chciał wstać, aby się uklonić albo czynić jeszcze podobne dworskie farmazony. Dostrzegła na jego twarzy grymas irytacji, który po chwili zastąpiło rozbawienie, a to wkurzyło ją jeszcze bardziej.

Widziała, że wszyscy zamilkli, obserwując uważnie ich rozmowę. Wzięła stołek, podsunęła go, a później usiadła okrakiem tuż przed nim i wpatrywała się teraz nieustępliwym wzrokiem w jego wesołe, niebieskie oczy. Nieco zbiło ją z tropu jego opanowanie. Każdy czułby się już speszony jej zachowaniem. Kim był ten typek? Może to jakiś niedorozwinięty matole. Przystojny, wydawał się mieć inteligentne spojrzenie, jednak nie reagował jak inni. Ani przez chwilę nie wyglądał na zdekoncentrowanego.

– Nie, Vanoro. Nie wychodzę. Uwiera mnie w tyłek entuzjazm, z jakim mnie przywitałaś – stwierdził krótko. Otworzyła usta ze zdumienia, ale zaraz je zamknęła. – Dokonamy prezentacji teraz, czy zaplanowałaś ciąg dalszy? – zadał szybkie pytanie, sprawiając, że przez moment nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

– Jestem spontaniczną dziewczyną – rzuciła, starając się ukryć zaskoczenie. – Nigdy niczego nie planuję.

– To miło z twojej strony. A teraz, jeżeli pozwolisz, księżniczko, jestem Gaston de Ponton-a-Mousson i nie planuję cię poślubić. Będzie chyba prościej, jeżeli oszczędzimy sobie dalej tych czułości. Jesteś pewnie zmęczona polowaniem. Napij się może czegoś zimnego dla ochłody. Wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała – oznajmił, sprawiając, że zamarła. To, co powiedział, było ostatnim, czego mogła się spodziewać. Nikt tak do niej nie mówił. Nikt! – Luthias, czy spotkamy się później na placu treningowym? – zwrócił się do chłopaka, ignorując lekko ogłupiałą Vanorę.

– Poczekaj, pójde z tobą – odparł Szkot, starając się ukryć śmiech przed przyjaciółką, która z niedowierzaniem gapiała się na Gastona, gdy ten z lekceważeniem wyminął ją i skierował się w stronę wyjścia.

Kiedy zniknęli w drzwiach, Vanora siedziała nadal na stołku z otwartymi ustami i kalkulowała. Śnił jej się? Czy to naprawdę się stało? Spojrzała na resztę zgromadzonych w izbie czeladnej mężczyzn, na co jak jeden mąż odwrócili głowy w drugą stronę.

– Czy on przed momentem nazwał mnie księżniczką? – zapytała z niedowierzaniem.

– Wygląda na to, że tak, Vanoro – potwierdził Angus, który zaraz gromko się roześmiał. Po chwili zawtórowali mu pozostali mężczyźni.

– Zgłupieliście?! – wykrzyknęła. Natychmiast poderwała się z miejsca. – Kto go tu w ogóle wpuścił, do czorta!?

– Luthias. – Westchnęła. Fakt, najlepiej zwalić winę na nieobecnego.

– Gaston Po... Przecież ta francuska gnida jest...

– Ambasadorem Francji – przerwał Ivar. Spojrzała na niego bystrym wzrokiem.

– Kim? – zapytała pospiesznie.

– Ambasadorem Francji. Ale włada mieczem jak prawdziwy wojownik i...

– Może nawet wsadzić sobie w dupę ten miecz i tam nim władać – wymamrotała ze złością pod nosem. – Hmm... – Zamyśliła się przez chwilę. – Ambasador Francji? To interesujące.

A więc jednak będzie się mogła z nim odpowiednio zabawić. I tym razem nie będzie już taki mądry. Uśmiechając się szelmowsko, wyszła z izby, ignorując głosy mężczyzn.

34 *Buchanan* – (ze szkoc.) Wyspa (przyp. aut.).

35 *Innes* – (ze szkoc.) Wspaniała (przyp. aut.).

## Rozdział 16 Tuż obok



Wyszedł. Nie, dosłownie wybiegł na świeże powietrze i głęboko zaczerpnął oddechu. Czuł, że się dusi. Coś go tłamsiło, nie dawało spokoju.

Ta dziewczyna doprowadzała go do szaleństwa. Jeszcze poprzedniego dnia walczył w bitwie, wygrał ją. Dzisiejszego wieczoru również toczył jakąś walkę, wewnętrzną, sam ze sobą. Ale czy zwyciężał?

– Panie! – krzyknął przerażony Tormod, który zdyszany właśnie do niego dobiegał.

Poczuł niepokój. Czy coś się stało? Przecież nie sprawdził tego. Może ktoś jeszcze ucierpiał.

– Mów, Tormodzie! – zażądał.

– Co z nią? – Nie rozumiał. O co mogło mu chodzić?

– O czym prawisz? Gdzie jest Una? Nikomu nic się nie stało? – zapytał z niepokojem.

– Nie, panie, wszyscy cali – mówił przerażony chłopak. – Ale co z nią?

– Z kim?

– Z Brice – wydusił wreszcie Tormod, a Blane poczuł złość.

– Mówisz jej po imieniu? – zapytał.

– Kazała mi. Powiedziała, że jestem jej przyjacielem. – Usłyszał w głosie chłopaka radość i wypuścił z wściekłością powietrze. Tak, mógł się tego spodziewać. – Żyje? – Tym razem głos Tormoda wręcz drżał.

– Na razie jest całkiem żywa – oświadczył ze złością Blane, po czym ruszył w stronę płonącego budynku.

Gdy nie usłyszał za sobą kroków, obrócił się i zauważył stojącego w tym samym miejscu Tormoda, który wpatrywał się w wejście do zamku.

– Panie, może trzeba jej pomóc? – zapytał po chwili z nadzieją.

– Twa przyjaciółka będzie potrzebowała pomocy, kiedy do niej wrócę – powiedział ze złością, choć nie miał pewności, kto tego ratunku może wymagać.

– Ale naczelniku, cóż jej się stało? Może trzeba posłać po medyka? – Widział przerażenie chłopaka i zrobiło mu się go szkoda.

– Tormodzie, dziewczyna jest cała i zdrowa. Nawet niedraśnięta – oświadczył. Zauważył, jak chłopak oddycha z ulgą. Czasem jego wrażliwość doprowadzała go do szału. Może zamiast miecza powinien dostać w ręce grabie i uprawiać rośliny jak baba? – Gdy wrócę, zostanie przykładnie ukarana za zniszczenia, jakie poczyniła – poinformował, choć ujrawszy panikę na twarzy chłopaka, pożałował swoich słów.

– Ale ona niczego nie zrobiła – oznajmił młodzieniec z przejęciem. Blane ledwie się powstrzymał, aby nie podejść do niego i nie strzelić po głowie.

– Ślepy jesteś? – warknął, wskazując dłonią płonący budynek.

– Ale to nie jej wina – płątał się chłopak. Blane pomyślał, że jeszcze nie wie, kogo zabije: Tormoda czy Brice, czy może Morvena, ale dziś ktoś na pewno zginie.

– Więc czyja to wina? – zapytał, starając się zachować względny spokój. Widział na twarzy chłopaka rozterkę. Usilnie nad czymś myślał, aż nagle uśmiechnął się głupio.

– Moja – oświadczył radośnie, sprawiając, że Blane zacisnął dłonie w pięści.

– Twoja? To w takim razie powiedz mi, gdzie byłeś, gdy spichlerz wyleciał w powietrze? – wypowiedział podniesionym głosem.

Na twarzy chłopaka pojawiła się konsternacja.

– Tuż obok – odparł wymijająco.



– Więc wytłumacz mi natychmiast, w jaki sposób podłożyłeś ogień pod proch, będąc tuż obok – powiedział, coraz bardziej zdenerwowany. Czemu ten idiota tak jej bronił?

– Tam był proch? – Twarz chłopaka nagle pobladła. – O mój Boże, przecież ona mogła zginąć.

– Doprowadziłeś do wybuchu, nawet nie wiedząc, z jakiej przyczyny i byłeś tuż obok? To brzmi bardzo ciekawie – warknął Blane.

– Wiedziałem, oczywiście, że wiedziałem, naczelniku. To wszystko moja wina, panie. To nie jej wina. – Chłopak stawał się coraz bardziej pobudzony.

– Jak zatem to zrobiłeś? Powiesz mi?

– A ukarzesz ją panie?

– Jeżeli powiesz mi, jak to zrobiłeś, to być może karę poniesiesz ty – oznajmił chłodnym głosem. Na twarzy chłopaka wykwitł szeroki uśmiech. To sprawiło, że miał ochotę podejść do muru i walić w niego głową. Co ta dziewczyna ze wszystkimi wyprawiała?

– Wysypałem proch i zapaliłem świeczkę, a później poszedłem po Unę – wyrzucił jednym tchem, a Blane nie wiedział, czy się śmiać, wrzeszczeć, czy płakać albo po prostu złapać szczeniaka i wybić mu z głowy te głupoty.

– Więc twierdzisz, że wysypałeś proch, zapaliłeś świecę i poszedłeś po Unę, zostawiając tam zupełnie samą Brice narażoną na niebezpieczeństwo? – zapytał, patrząc na niego z groźną miną. Chłopak pobladł. – Chciałeś ją zabić? – Celowo go prowokował.

– Nigdy! – wykrzyknął, kręcąc głową.

– Dlaczego zatem zostawiłeś ją tam bezbronną i nieświadomą zagrożenia? – mówił z powagą, a nawet groźną miną, choć w duchu śmiał się do rozpuku.

Bezbronna Brice? To stanowiłoby wspaniałe widok. Nawet przy ich pierwszym spotkaniu, kiedy faktycznie wypadało założyć, że dziewczyna jest bezsilna i bezradna, za nic w świecie nie można byłoby określić jej takim mianem. Teraz przyszło mu do głowy, że gdyby wpadł tam wtedy Tormod, to prawdopodobnie leżałby już teraz martwy, ponieważ z pewnością by się nie zawahał i skończyłby z mieczem tego idiota w piersi.

– O mój Boże! – Usłyszał przerażony głos Tormoda, na co westchnął ze złością.

Przecież ten gówniarz zaraz faktycznie uwierzy, że tam był i rozsypywał proch.

– Chodźmy pomóc w gaszeniu ognia – zarządził groźnie. Wskazał mu kierunek, ale widząc, że młodzieniec nadal stoi w tym samym miejscu, kontynuował: – Jeżeli zaraz się nie ruszysz, to uwierz mi, że pójdę na górę, wywlekę twoją przyjaciółkę za kudły i objęę dokładnie kijem. – Zanim skończył, chłopak już biegł w stronę spichlerza, jakby gonili go sam diabeł.

Pokiwał z irytacją głową i ruszył za Tormodem. Po kilku minutach szybkiego marszu dotarł na miejsce. Ogień już praktycznie ugaszono. Bliskość jeziora oraz kilka sprawnych rąk zdziałało cuda.

– Co z dziewczyną? – zapytała pospiesznie Una. Odwrócił się gwałtownie, chcąc coś jej odpowiedzieć, lecz ujrzał kilka par oczu wpatrzonych w niego z niepokojem. Co oni sobie wyobrażali?

– Martwa – stwierdził obojętnie, wywołując lament gdzieś z tyłu.

Obok rozległ się rumor, a gdy tam zerknął, ujrzał leżącego między wiadrami Tormoda, który zaraz poderwał się i jak szalony puścił pędem w stronę zamku.

– O mój Boże – wykrzyknęła Una.

– Tormod! – wrzasnął, lecz chłopak nawet nie zwolnił. – Złap tego idiotę! – zażądał, spoglądając na Bothana, który chwilę potem włókł za sobą stawiającego się Tormoda.

– Może jeszcze oddycha! – krzyczał chłopak.

– Żyje! – warknął Blane.

– Ale może jeszcze... Co? Żyje? Naprawdę? – Wszyscy coraz bardziej go drażnili.

– Tak – powiedział, siląc się na spokój.

– Ale może trzeba jej...

– Bierz wiadro i gaś ogień! – ryknął.

– Co tu się stało? – Usłyszał podchodzącego do nich Eiliga. Jeszcze tego brakowało.

– To ja! – wydarł się Tormod. Blane pomyślał, że zaraz skręci mu kark. Co się z nimi wszystkimi działo?

– Co ty? – zapytał zdezorientowany Eilig. Bothan zaczynał orientować się w sytuacji i starał się

ukryć uśmiech, wpatrując się w minę Blane'a, który wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć niczym spichlerz jeszcze przed momentem.

– Wysypałem proch i zapaliłem świecę – odrzekł pospiesznie. – Ale nie chciałem jej zabić, panie – zapewnił.

– Jest pijany? – zapytał Eilig Blane'a, widząc rozgorączkowanego chłopaka, który bredził głupoty.

– Nie. Podłożył ogień pod proch i był tuż obok – mruknął pod nosem Blane. Rozejrzał się po zebranych. – Wszyscy cali? Nikt nie ucierpiał?

– Więc kto to zrobił? – dotarł do niego głos Ossiana, który podchodził właśnie do nich z Morvenem. I co teraz miał zrobić? Powiedzieć im prawdę?

– On – stwierdził, wskazując na Tormoda, który jak idiota ucieszył się z takiego obrotu sprawy.

– Ja! – wrzasnął.

– Chcesz powiedzieć, że wysadziłeś w powietrze stary spichlerz? Ale dlaczego to zrobiłeś?

Tak, to było zasadniczo podchwytliwe pytanie, a mając w pamięci uprzedni bełkot chłopaka, Blane pomyślał, że tym razem może sobie nie poradzić.

– Nakazałem mu – oznajmił, a wszystkie głowy skierowały się na niego. Poczul złość na samego siebie. Loch dla tej dziewczyny to zdecydowanie za mało!

– Na cóż to potrzebne, Blane? Przecież budynek wyglądał jeszcze całkiem porządnie – stwierdził Eilig. Blane pomyślał, że chwila odebrania komuś życia zbliża się nieuchronnie.

– Doszliśmy do wniosku, że jest niepotrzebny – wtrącił Bothan, a Zwierz spojrział na przyjaciela zaskoczony. Widząc jego minę, zrozumiał, że mężczyzna wszystkiego się domyślił.

– Ale przecież...

– Bez gadania. Postanowiliśmy usunąć budynek i więcej was nie powinno interesować – warknął Blane.

– Ale w nocy i w ten sposób? Nie można było tego na spokojnie w dzień uczynić i po co ten wybuch?

Bothan spoglądał na Blane'a i widział, że brakowało dosłownie chwili, by połała się krew.

– Mielśmy ochotę z hukiem rozpocząć naszą wieczerzę – stwierdził, poklepując Eiliga po ramieniu.

– Więc może powinniśmy udać się do Calda House, aby pokrzepić się jakimś trunkiem.

– Ty niemądry chłopcze. – Blane spojrział na Unę i zastanawiał się, czy przypadkiem się nie przesłyszał. Nigdy nie podnosiła na niego głosu w obecności jego ludzi. – Zabiłbyś ją przez te twoje...

– Una, powinnaś już iść do domu i sprawdzić, co z dziewczyną – przerwał jej Bothan, obserwując pociemniałe oczy Blane'a.

– Jaką dziewczyną? – Tym razem sprawą zainteresował się Ossian.

– Brice – powiedziało kilka głosów naraz, a Blane zacisnął z gniewem szczękę.

– Co to za dziewczyna? – zapytał Eilig, coraz bardziej zbity z tropu wciąż napływającymi nowinami.

– To ta Francuzka. – Blane słysząc tę wymianę zdań, stwierdził, że zdecydowanie powinien się z nimi wszystkimi rozmówić.

– Ta, którą uwolnił Blane? – Słuchając tego, czuł się trochę bezradny.

Czy powinien na nich nawrzeszczyć? Był wszak naczelnikiem, a oni rozmawiali sobie tak po prostu o tej głupiej dziewczynie, zupełnie nie zwracając na niego uwagi. Chciał to jak najszybciej zakończyć, iść na wieczerzę, a później wrócić na zamek.

– Może znowu coś wysadzić w powietrze – mruknął pod nosem, sam do siebie. Bo jedynie o to chodziło, o nic więcej.

– Nie, panie, ona powiedziała, że zaszła pomyłka i nie trafiła do niewoli, tylko jakiś nawiedzony wariat o tym rozpowiada. – Do uszu Blane'a doszedł głos stojącej z tyłu dziewczyny, która tym jednym zdaniem sprawiła, że cała krew odpłynęła mu do głowy.

– Nawiedzony wariat?! – wrzasnął. Poczul na ramieniu silną dłoń Bothana, co sprawiło, że stał jeszcze w miejscu i nie pędził w stronę zamku do tej okropnej dziewczyny. – Uduszę ją własnymi rękoma – wyszeptał. Usłyszał ciche parsknięcie mężczyzny, który jako jedyny zarejestrował jego szept.

– To na pewno pomyłka – rozległ się głos przyjaciela. – Dziewczyna nazwała cię przy wszystkich skurwielem, a to znaczy, że jesteś sprawiedliwy i mądry. Nie mogła więc obwołać cię nawiedzonym wariatem – powiedział, po czym ujrzał ulgę na obliczu Blane'a.

– Pewnie mówiła o kimś innym – mruknął Blane.

– Na pewno – odetchnął Bothan.

– Myślę, że chodziło jej o Morvena. – Przyjaciel wyczuł w głosie Blane’a ulgę, a nawet lekką satysfakcję i o mało się nie roześmiał.

W istocie podejrzał, że ta całkiem gorąco krwista dziewczyna miała na myśli właśnie Zwierza. Lecz teraz nie był dobry czas, żeby się o tym dowiedział. Prawdopodobnie jeszcze nieraz usłyszy od niej coś podobnego, więc nie należało dokładać mu również nawiedzonego wariata.

– Taka była moja pierwsza myśl, przyjacielu – zapewnił z przekonaniem.

– Co się z nią stało? – nie ustępował Ossian.

– Zamknęli ją w spichlerzu – wyjaśnił ktoś z tyłu, a na twarzach zarówno Ossiana, jak i Eiliga odmalowało się zaskoczenie.

– Zabiliście ją? – wyszeptał któryś z niedowierzaniem.

– Jeszcze nie – mruknął Blane. – Ale już bliżej niż dalej.

– Wyszła na czas – poinformowała Bradana.

– Tormod! – zdenerwował się Eilig. – Zamknęłaś tę dziewczynę i wysadziłaś w powietrze budynek?! – huknął, a chłopak zrobił się cały czerwony na twarzy.

– Nie, panie! – zaprzeczył gwałtownie.

– Nigdy nie sądził, żeś taki nierozsądny, chłopcze – powiedział Ossian i popatrzył na niego z pretensją. – Dziewkę z niewoli wydobyć, aby teraz taką krzywdę jej uczynić? Wstydź się. Cała jest czy ranna?

– W tym momencie jeszcze w jednym kawałku – wyszeptał złowroźnie Blane.

– Bóg mi świadkiem, że jeszcze chwila, a uwierzy w to, że podłożył ten ogień w spichlerzu – powiedział cicho Bothan do Blane’a, wpatrując się w Tormoda, na którego twarzy dostrzegał udrękę.

Bothan przyglądał się temu zaskoczony. Najbardziej zadziwiło go postępowanie Blane’a. Od samego rana wydawał się nieswój. Dziewczyna, owszem, była piękna, błyskotliwa i bystra niczym żywe złoto. Bezczelna oraz odważna. Ale nie sądził, że aż tak namiesza mu w głowie. Przez chwilę rozmyślał nad tym. Czy to nie stanowiło zagrożenia? Wszak najważniejsze jest to, aby Blane pojął żonę. Kandydatka, którą wybrali, była ponoć szkaradna i odpychająca. Czy ponętna nieznajoma nie okaże się kłopotem? Z drugiej strony Blane powinien przed tym przykrym obowiązkiem zaznać jakiejś miłej odmiany, zanim zupełnie poświęci się dla sprawy. A Brice była zdecydowanie miłą odmianą.

– Głupi jest jak but. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Nie dręczcie chłopaka. Wyszło nieporozumienie – stwierdził. – Eiligu, znasz Tormoda od lat. Czy uważasz, że on bez przyczyny skrzywdziłby niewinną osobę? – zapytał, a na twarzy mężczyzny pojawiło się wahanie.

– Ale naraził na niebezpieczeństwo... – zaczął Ossian, chociaż nie było mu dane skończyć.

– Twój syn przygotowuje nam o wiele więcej problemów – uciął krótko Blane, zdecydowanym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Chodźmy się napić i pomówić – stwierdził, a Bothan zerknąwszy na minę Blane, ponownie się uśmiechnął, widząc tam tak wiele entuzjazmu na myśl o wieczery.

Chciał pomóc przyjacielowi, lecz obaj wiedzieli, że w tym wypadku wyglądałoby co najmniej dziwnie, gdyby teraz nie poszedł do Calda House, ale wrócił na zamek. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie powinien do tego dopuścić.

Gdy ruszyli, Blane kątem oka spostrzegł idącą w stronę zamku Unę i podszedł do niej pospiesznie. Widział, jak bardzo jest wzburzona. Popatrzyła na niego z pretensją.

– Ona sama to zrobiła – powiedział, zanim jeszcze zdążyła się odezwać. – Ta dziewczyna zapaliła świeczkę i postawiła na beczce z prochem. Gdybym nie przyszedł w ostatniej chwili, to byłaby tam w budynku. Zginęłaby ze swej winy.

– Co jej jest? Bardzo ranna? – zapytała po krótkiej chwili starszuszka zdławionym głosem, widząc jego minę i czując, że mówił prawdę.

– Jest cała i zdrowa – przyznał chłodnym tonem. – Nic się jej nie stało.

– A ty? – zapytała, przeczuwając, że być może on poniósł jakiś uszczerbek.

– Nie przejmuj się mną. Wracaj na zamek i połóż się spać. Nie chodź do niej. Nie skrzywdziłem jej – wyjaśnił spokojnie, ale stanowczo.

– Na pewno? – dociekała, a on poczuł złość.

Prawdę mówiąc, trafiła w sedno. Podczas wybuchu poczuł cios w plecy. Prawdopodobnie uderzyła go jakaś deska z budynku, która oderwała się podczas eksplozji. Nikomu o niczym nie powiedział i nie miał zamiaru. Narzucony kaftan ukrywał skutecznie ranę, która raczej nie była groźna. Odczuwał ból, ale potrzebował tego, gdyż odciągał jego myśli od Brice. Musiał jakoś zebrać się do kupy. Przy niej czuł się inaczej i nie wiedział, czy tego chce i czy może sobie na to pozwolić.

– Wracaj już – nakazał.

– Chodź ze mną, opatrzę cię – zaproponowała, widząc po jego reakcji, że się nie pomyliła.

– Nie mogę, muszę do nich iść. Nie mogą zadawać pytań, na które nie chcę udzielać odpowiedzi – oświadczył, a ona westchnęła.

Mimo wszystko dobrze go wychowała. Pomimo że czasem wyłaził z niego prawdziwy bydlak i drań, to gdzieś tam głęboko kryło się w jego sercu dobro.

– Nie siedź z nimi długo. Wróć i odpocznij. Zajmij się nią. Taki wybuch może mieć skutki po jakimś czasie. Nie możesz wiedzieć, czy tak naprawdę wszystko z nią w porządku – powiedziała. Spojrzał na nią uważnie.

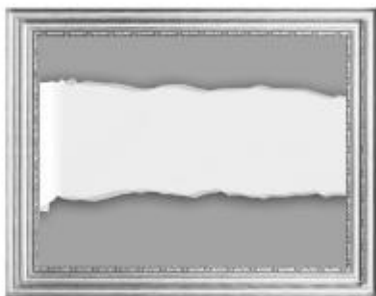
– Nie interesuje mnie ona. Może tam nawet chorować i nic mnie to nie obchodzi – odparł. – Gdy wrócę, to ukarzę ją za jej zachowanie. Wtrącę do lochu i...

– Będziesz torturował i dręczył – weszła mu w słowo. – To po coś w takim razie ratował jej życie? – zapytała, wzdychając. Poczuł złość, gdy przywołał to wspomnienie.

– Każę ją wychłostać z samego rana i...

– Nie pij więcej, bo już bredzisz jak pijany – skwitowała ze śmiechem i odeszła. Patrzył za nią, a w głowie aż mu huczało.

## Rozdział 17 Cisza przed burzą



Gdy wszedł do budynku, zasiadł za stołem, starając się nie dotykać plecami oparcia, ponieważ dopiero teraz ból stawał się coraz bardziej odczuwalny. Był rozkojarzony, ale nie chciał dać tego po sobie poznać. Całe szczęście, że alkohol dość szybko uderzył im do głowy, przez co nie zdołali dostrzec jego zagubienia. Dodatkowo Bothan pomagał mu i jak tylko ktokolwiek zwracał się do niego, udawał, że właśnie przed chwilą o czymś dyskutowali, dlatego Blane nie dosłyszał i nie wiedział, o co chodzi. Tak naprawdę zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co jest powodem niedyspozycji Blane'a. I wcale mu się nie dziwił. Gdyby na niego czekała w łóżku taka dziewczyna jak Brice, nie umiałby usiedzieć w miejscu ani minuty.

– Czy na pewno wszystko z nią w porządku? – zapytał, a ujrawszy wściekłą minę Blane'a, dodał: – Omińmy tę część i po prostu powiedz – stwierdził cicho. Zauważył, jak Blane zaciska mocno szczękę. Może jednak coś stało się tej dziewczynie.

– Gdy wychodziłem, była cała i zdrowa. Ale Una powiedziała...

– Co powiedziała Una?

– Że po takim wybuchu może coś jej być dopiero później – wyjął, patrząc na zebranych przy stole mężczyzn i mrużąc niecierpliwie oczy.

Ile to mogło trwać? Miał wrażenie, że siedział tu już co najmniej pięć godzin, jak nie więcej, lecz zdawał sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie jest to jedynie mylne wrażenie.

– Musisz do niej iść – wyszeptał Bothan, a Blane położył dłoń na jego ramieniu i przytrzymał.

– Powiedz mi coś, Bothan – odparł cicho, wpatrując się w niego przeszywającym spojrzeniem.

– Co takiego?

– Dlaczego ona wszystkich tak obchodzi? Dlaczego wszyscy się nią tak przejmują? To tylko głupia kobieta. W dodatku taka... taka...

– Jaka?

– Dlaczego ty się nią przejmujesz? Dlaczego się martwisz? – zadał kolejne pytania, nie chcąc udzielać odpowiedzi. – Dlaczego Tormod zachowuje się, jakby oszalał?

Bothan się zamyślił. Prawdę mówiąc, sam tego nie pojmował. Ujrzał ją zaledwie dwa razy.

Zamienił z nią jedynie kilka słów, a myślał o niej jak o kimś bliskim, kogo zna już jakiś czas. Może to przez jej nietypowe zachowanie. Niczego się nie lękała, wydawała się bezczelna i taka inteligentna. Po prostu inna. Ale faktycznie. Z drugiej strony była jedynie kobietą, którą Blane uwolnił z rąk ludzi z klanu MacAulayów. Ci ludzie słynęli z okrucieństwa. Bez wahania skrzywdziliby ją. Dlaczego to go w ogóle obchodziło? W bitwie zginęło tak wielu, a on myślał częściej o tej dziewczynie. Co zatem musiał czuć Blane, którego najwyraźniej zainteresowała również pod innym kątem?

– Jest inna, przyjacielu. Jest cudzoziemką, więc budzi ciekawość. Dodatkowo jest bardzo odważna i ma dość... – nie wiedział, jakiego słowa użyć – barwną osobowość. Chyba po prostu każdy chciałby ją poznać. Ci ludzie nigdy nie mieli do czynienia z cudzoziemkami, w dodatku takimi atrakcyjnymi – zakończył, uśmiechając się pod nosem.

– A ty? Ty też chcesz ją poznać? – zapytał, patrząc na niego chłodno.

– Owszem, lecz nie w taki sposób, jaki ty masz zamiar – powiedział. Dostrzegł na twarzy Blane'a złość, niemniej po chwili szeroko się uśmiechnął.

– Nie mam zamiaru wcale jej poznawać. Jutro wrzucę ją do lochu i będę trzymał o chlebie i wodzie. Z dala od ognia – mruknął. Bothan wybuchnął głośnym śmiechem, co oczywiście go poirytowało.

– Powiem ci jedno – wyszeptał przyjaciel. – Niedługo twoje życie się zmieni. Dziś do MacCalluma pojechał człowiek z odpowiedzią. Już wkrótce jedziemy do Eilean Donan. Wiesz, co cię tam czeka. Radzę ci jak przyjaciel, wykorzystaj ten czas z Brice. Ona jest inna. Głupio to pewnie zabrzmiało, ale... potrzebujesz jej.

– Tak. Brzmi to głupio, a ty bredzisz. Ja nikogo nie potrzebuję – mruknął.

– Jest teraz w twoim łóżku i czeka na ciebie. Czy nie chcesz do niej iść? – zapytał, uważnie go obserwując.

– Mogę wziąć sobie dziewczkę z tych tutaj i będę równie zaspokojony, co z tamtą wariatką.

– Właśnie. Tu znajdziesz jakąś dziewczkę, a u ciebie w komnacie czeka Brice. Nie masz wiele czasu, więc jeżeli chcesz znać me zdanie, wykorzystaj każdą minutę.

– Nie chcę znać twojego zdania – mruknął Blane. Bothan podniósł się z miejsca.

– Przyjaciele, czas się pożegnać, z samego rana wyruszam do Golspie. Blane obiecał mi towarzyszyć, dlatego niestety muszę go ze sobą zabrać, ale kiepski dziś z niego kompan, więc nawet nie zauważycie różnicy – oświadczył.

– Może w tym czasie ja zaopiek...

– Jedziesz z nami, Tormodzie – wszedł w zdanie chłopakowi, który upatrzawszy okazję, teraz westchnął zrezygnowany.

– Nie powinieneś tego robić – syknął Blane, ale Bothan zdawał sobie sprawę z tego, że jest mu to na rękę i że tak naprawdę jedynie marzył, aby stąd wyjść.

– Una może mieć rację, powinieneś wrócić do Brice – powiedział. Blane wychwycił w jego głosie nutę niepokoju.

Prawdę mówiąc, sam go czuł. Od rozmowy z Uną. Przecież ona знаła się na leczeniu jak nikt inny. Mogła mieć rację.

Pożegnawszy się, wyszedł. Szedł dość szybko, starając się o niczym nie myśleć.

Jednak droga dłużyła się, a on osamotniony, pozostawiony swoim myślom, ścigał do każdej z nich widok Brice. Na wspomnienie tego, co poczuł, ujrawszy ją siedzącą przy beczce z prochem i gapiącą się z radością w płomień świecy, ogarniała go złość. Ten niepokój oraz lęk, który go opanował na myśl, że może jej się coś stać, przynębiały go. Chciał po prostu mieć spokój. Od niej, od myśli o niej i tej przynębiającej świadomości, że faktycznie niedługo jego życie jeszcze bardziej się zmieni.

Tak bardzo się o nią dziś bał. Jakby nie przyszedł na czas, to nic by z niej nie zostało. Była taka nieroztropna, taka niemądra.

Ból w plecach coraz bardziej mu doskwierał. Zdjął kaftan, a później koszulę, na której ujrzał krwawe ślady. Zacisnął ze złością szczękę. Wszystko przez tę dziewczynę. Gdyby nie ona, teraz siedziałby w najlepsze ze swoimi ludźmi i ucztował, a później zabrałby jakąś dziewczkę i spędził miło czas. Zamiast tego wracał na zamek sam, a na plecach miał ranę, pozyskaną chwalebnie od deski, jaka zawędrowała w jego stronę przypadkowo podczas wybuchu spichlerza, który Brice wysadziła w powietrze niechcący. Teraz czekała na niego w jego sypialni i jakimś cudem sprawiała, że lękał się do niej iść, z drugiej strony coś popychało go tam nieuchronnie.

Przystanął na chwilę i zapatrzył się w wody jeziora tonące w ciemnościach. Rana piekła go dotkliwie, zadrażniona materiałem, który jedynie ją rozjątrzył. Przez moment się wahał, lecz już po chwili wchodził do chłodnej wody, co przyniosło mu natychmiastowe ukojenie. Tego potrzebował. Orzeźwienia.

Gdy po jakimś czasie dotarł na miejsce, wszedł po cichu tylnym wejściem przez kuchnię, nie chcąc pokazywać się komukolwiek. Przed otwarciem drzwi zawahał się chwilę. A jeżeli jej tam nie ma? Może uciekła albo śpi gdzieś ze służbą? Ogarniała go paranoja. Jeśli coś jej się stało?

Wszedł do komnaty i ujrawszy ją leżącą w ogromnym łóżku, odetchnął z ulgą. Stał przez chwilę, zanim zamknął za sobą drzwi. Co jej powiedział, zanim wyszedł? Czy przypadkiem nie obiecał jej, że będzie ją kochał w swym łożu, patrząc jej w oczy? I te wszystkie rzeczy, które mówił mu Bothan. Miał w głowie jeden wielki mętlik.

Zastanawiał się, kto był większym głupcem. On, czy reszta tych idiotów, którzy tak się nią przejmowali. Nikt prócz Uny nie zapytał o niego, wszystkich zajmowała jedynie Brice. Nie gniewało go to, raczej irytowało. Szczególnie niezdrowe zachowanie Tormoda. Przypominając sobie jego minę, gdy gnał w stronę zamku, jak tylko usłyszał, że Brice nie żyje, nie sposób było się nie uśmiechnąć.

Podszedł do łóżka od strony, gdzie spała, i przysiadł obok niej. Przyglądał się jej twarzy przy słabym

świetle świecy i mimowolnie uśmiechnął się kącikiem ust. Wyglądała na taką spokojną, niewinną, nieśmiałą.

Odkąd opuścił sypialnię, wciąż zadawał sobie to samo pytanie. Dlaczego tak jej powiedział? Dlaczego w ten sposób? Przecież nigdy nikomu tego nie mówił. Nie tymi słowami. W jego łóżku bywało wiele kobiet, ale nigdy żadnej tego nie obiecywał. Ona stanowiła wyjątek. Czasem drażniło go samo to, że nie wiedział, o czym tak naprawdę mówiła. Żałował, że nie jest Szkotką, wtedy mógłby wszystko zrozumieć. Te obce słowa. Rower, komórka, kurwa. I kim był dla niej Kolumb? Czy to jej mąż? Ale gdyby miała męża, to nie zachowywałaby się tak... Tylko jak?

– Powiedziała, że mnie pragnie – wyszeptał, sam dając sobie odpowiedź. Dziewczyna zamrugnęła. Po chwili otworzyła oczy. Ledwie go dostrzegła, poderwała się gwałtownie.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała. Przysunąwszy się do niego, ujęła jego twarz w dłonie, przyglądając mu się z uwagą i sprawiając, że zamarł, zaskoczony reakcją, jakiej się zupełnie nie spodziewał.

## Rozdział 18 Patrz mi w oczy



Gdy tylko wyszedł, pozostawiając ją samą, przez jakiś czas nie mogła dojść do siebie. Te kilka słów, zaledwie dwa zdania, sprawiły, że nie potrafiła się pozbierać. Gorączkowo myślała, co teraz powinna zrobić. Czy czekać? A może uciekać? Ale dlaczego? Przed czym? Pomyślała, że gdyby wiedział, że wyrzuci na niej takie wrażenie, byłby z siebie dumny. Ten głupiec.

Z upływem czasu zaczęła zastanawiać się, dlaczego Blane nie wraca, czy robił to umyślnie? Zostawiając ją w tej sytuacji, po tym, co powiedział. Złościł się na nią za to, że, jak to ujął, narobiła bałaganu. Jednak czy nie miał racji? Teraz zaczynało do niej docierać, co tak naprawdę się tam wydarzyło. To nie żarty. Cały budynek wyleciał w powietrze niczym domek z kart. A jeżeli tam ktoś był? Poczowała niepokój. Przecież Tormod poszedł po Unę, a jeśli właśnie wrócili i znajdowali się gdzieś obok? Nie. Przypomniała sobie, jak biegli w ich stronę zaniepokojeni i wystraszeni. Brice ponownie poczuła wyrzuty sumienia. Było jej teraz głupio. Postąpiła tak nieroztropnie. Gdyby nie Blane, to...

– Blane – wyszeptwała, wstając gwałtownie z łóżka i lekko się zachwiała. Zrobiło jej się słabo.

Gdy nastąpił wybuch, on odrzucił ją, nakrywając sobą, a jeżeli jemu coś się stało? Jeśli to właśnie dlatego nie wracał? Ogarnęło ją przerażenie. Przecież gdyby wszystko było w porządku, to już dawno by przyszedł. Chociażby dlatego, żeby na nią nawrzeszczyć, torturować, głodzić, wtrącić do lochu i...

– Kochać w swym łożu i patrzeć w oczy – wyszeptwała, po czym zrobiło jej się gorąco.

Co miała teraz zrobić? Wyjść i go szukać? Podeszła do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Dostrzegła kompletne ciemności. To chyba oczywiste, w tym miejscu nie mogło być żadnego oświetlenia. Czego się spodziewała? Latarni? Nie wiedziała nawet, w której części zamku przebywa. Nie dostrzegła z okna ognia, więc prawdopodobnie Calda House znajdował się po drugiej stronie. Ale jak tam dojść, skoro nawet nie wiedziała, którędy wyjść z tego cholernego budynku? Rano zbiegła jedynie ze schodów, a z powrotem on wniósł ją na górę, chyba nawet innym wejściem. Cholera, ile tu jest wejść?

Zdenerwowana podeszła do łóżka i usiadła. Co teraz miała robić? Jak się dowiedzieć, czy nic mu się nie stało? Wszędzie cisza i ciemność. I ta okropna wizja, że przebywa w cholernym średniowieczu, a jedyny człowiek, któremu tak naprawdę ufała, gdzieś tam poszedł i prawdopodobnie jest ranny. Przez nią. To wszystko jej wina.

Z bezradności rzuciła się na łóżko, a potem rozplakała. Czego teraz bardziej pragnęła? Wrócić do domu, czy dostać się do tego kretyna i upewnić, czy nic mu nie jest? Rozżalona zasnęła, a gdy się obudziła, ujrzała jego twarz. Jego spokojną, zamyśloną twarz.

Teraz patrzyła na niego z niepokojem. Czy wszystko było z nim w porządku? Dlaczego milczał i nic nie mówił?

Może to szok albo wstrząs mózgu, albo...

– Ty głupia, bezmyślna dziewczyno. Każę cię jutro...

– Dzięki Bogu – wyszeptwała, przerywając mu i wtuliła się w niego z całej siły. – Tak się bałam – wyznała cicho. Na moment zamarł, a później złapał ją za ramiona i gwałtownie odsunął od siebie, po czym uważnie na nią spojrział.

– Ktoś tu był? – prawie wykrzyknął.

Nagle poczuł niepokój. W Calda House wydawał się tak rozkojarzony, że nawet nie zwrócił uwagi na to, czy w pomieszczeniu tkwił Morven. Gdyby się do niej dostał, to mogłoby się dla niej źle skończyć. Nikt, absolutnie nikt nie mógł zrobić jej krzywdy. Oprócz niego oczywiście.



– Nie. Nie wiem. Myślę, że nie. Czekałam na ciebie i chciałam wyjść cię poszukać, ale nie wiedziałam, w którą stronę iść, bo jest ciemno i nie mam pojęcia... Nie znam tego zamku, a... a potem usnęłam – plątała się bezmyślnie. Uśmiechnął się, co sprawiło, że patrząc na niego, zamarła.

– Co się stało? – zapytał, zerkając na nią.

– Uśmiechasz się – szepnęła. Na jego twarzy pojawiła się irytacja.

– Głupia dziewczyna – mruknął. Nie spuszczał z niego wzroku, dotknęła jego włosów.

– Są mokre.

– Czy widzisz w tym jakiś kłopot? – warknął.

– Powiedz mi, czy wszystko w porządku? – ponowiła pytanie, a on popatrzył na nią zdekoncentrowany. O co jej chodziło? – Dobrze się czujesz? Czy... czy ty... czy wtedy...

– Jesteś zmęczona. Jutro poniesiesz konsekwencje, dziś nakazuję ci już spać. – O mało nie parsknęła śmiechem, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Mój panie i władco, oczywiście usłucham twojego rozkazu i spełnię wszystkie twoje nakazy oraz poniosę wszelakie konsekwencje, ale... ale teraz mów mi natychmiast, czy nie jesteś ranny, ty głupi ośle! – wrzasnęła, kończąc w ten sposób wzniosły wywód.

– Czy ty nazwałaś mnie dziś nawiedzonym wariatem? – zapytał po chwili.

– A kto tak powiedział? – dociekała, marszcząc zabawnie nos.

– Zadałem pytanie! Mów natychmiast! – krzyknął, przez co podskoczyła złęknona.

– Skurwiel – warknęła. Westchnął zrezygnowany.

Jakim cudem w jednej chwili ubliża mu, a już w drugiej prawi komplementy? Gdyby nie ten ogień w jej oczach, to już dawno...

– Mogłaś zginać – rzucił, nie potrafiąc zatrzymać słów, które niekoniecznie chciał wypowiedzieć.

– Przepraszam. – Nie tego się spodziewał. – Proszę, Blane. Błagam, powiedz mi, czy nic ci nie jest? – mówiła. Jej oczy się zaszklily i Zwierz poczuł się dziwnie słaby.

– Nic – powiedział zduszonym głosem.

– Blane. – Ujęła jego rękę w dłonie, wpatrując się przy tym w niego uporczywie.

Ujrzała w jego spojrzeniu ten sam mrok, który nieodmiennie przyprawiał ją o dreszcze. Wpatrywał się w nią niczym bestia w ofiarę, a ona przełknęła ślinę. Wiedziała, że jest ranny, początkowo było to jedynie przeczucie. Jednak gdy przytuliła go, niespodziewanie zorientowała się, że mokry materiał koszuli tuż przy ramieniu zabarwiony jest czerwienią. Widziała, że powoli zaczynał tracić cierpliwość. Zdawała sobie sprawę z tego, iż nie jest nawykły do takich sytuacji i że jego cholerna, samcza duma w jakiś sposób się buntuje. Miała blade pojęcie o średniowieczu oraz ówczesnej medycynie. Jeżeli wda się zakażenie, nie będzie możliwości udania się na pogotowie. Nawet nie wiedziała, czy mają tu jakiegokolwiek medyka.

– Kładź się spać tu albo zniosę cię na dół do izby dla służby – mruknął, a jego górna warga się uniosła. Brice nie mogła tak po prostu się poddać, musiała wygrać tę potyczkę.

– Zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz, jeżeli ty zrobisz to, o co cię poproszę – wyszeptała, a on zamarł. Jego wzrok zmętniał. – Skoczę z okna, sama pójdę do lochu, nawet sama się wychłosczę, tylko...

– Czego pragniesz?

Czego pragnęła? Tego nie mogła mu teraz powiedzieć. Na pewno nie w tym momencie.

– Zdejmij koszulę – wyszeptała stanowczo, a po jego twarzy przebiegł grymas.

Zmrużył oczy, jakby nad czymś uporczywie myślał. Po chwili jego brew się uniosła, jakby czegoś się domyślił. Patrząc na nią, zrobił krok w przód i cholernie powolnym, wręcz zmysłowym ruchem, odsunął biały materiał, który niespiesznie zdjął, sprawiając, że dosłownie zaschło jej w gardle. Czy ten kretyń robił to specjalnie? W głowie miała tysiące myśli, ale wiedziała jedno. Musiała się opanować.

Próbując udawać, że jej to wcale nie obeszło, wstała z łóżka, a później poszła w jego stronę i stanęła tuż za nim. Nie poruszył się. Pozwalał jej spoglądać na swoje nagie plecy, na których owszem, znajdowała się rana, nawet całkiem duża. Jednak teraz Brice dokładnie widziała, że była idealnie czysta. Mokre włosy, mokra koszula. Szybko połączyła fakty, przypominając sobie, że nie było tu prysznicza.

– Jezioro – wyszeptała, dotykając jego skóry. Mężczyzna gwałtownie się do niej odwrócił i złapał ją za rękę. Gdy próbowała ją wyrwać, przytrzymał stanowczym uściskiem, po czym przyciągnął do siebie.

Zadzierając głowę, wpatrując się w jego twarz, której w słabym oświetleniu nie widziała zbyt dobrze.

Opadające na nią długie, czarne włosy zasłaniały jej część, a ona nie potrafiła oderwać od niego wzroku.

Serce waliło jej jak młotem, kiedy wpatrywał się w nią tym mrocznym, pociemniałym z gniewu spojrzeniem, w którym widziała coś jeszcze. Hipnotyzował ją nim, sprawiając, że bezwolnie stała i nie potrafiła wykonać ani jednego ruchu. Nie chciała niczego robić.

Czym skończyło się wtedy? Rzucił się na nią gwałtownie i boleśnie ją poturbował, prawie zgwałcił. Co zamierzał teraz? Wiedziała, że to, jak się zachował na początku, nie jest wszystkim, co miał do zaoferowania. Zadrżała, a kiedy to dostrzegł, dotknął dłonią policzka dziewczyny, sprawiając, że jej oddech przyspieszył. Przymknęła oczy, poddając się zmysłom w kompletnej ciemności.

– Teraz twoja kolej – przez jego szept po jej karku przebiegły dreszcze.

– Co mam zrobić? – wymruczała drżącym głosem.

– Powiedz mi... – Wstrzymała oddech. – Powiedz, czego pragniesz, Brice?

Doprowadzała go do wrzenia. Wszystkim, co robiła, co mówiła. Tym, jak postępowała. Otworzyła oczy i ujrzał tam ogień.

– Powiedz – nalegał, a jej usta zadrżały, co wprawiło go w jeszcze większe podekscytowanie.

Była taka inna, jakby nie z tego świata.

– Pragnę... – Jednym słowem potrafiła doprowadzić go na skraj wytrzymałości.

– Mów – zażądał niecierpliwie. Czego zażąda? Czego zapragnie?

– Patrz mi w oczy...

## Rozdział 19 Jeszcze nie wiem



Widok dziewczyny kompletnie go zaskoczył i nie mowa tu o tym, że przez jakiś czas ich podsłuchiwała, a później pojawiła się dosłownie znikąd. Czego po niej oczekiwał? Niczego. Był po prostu jej ciekaw. Z opowieści rysował mu się widok nieszczęśliwej dziewczyny, która w nietypowy sposób przeżywała smutki, jakie ją spotkały. Nie miał pojęcia, że ma aż taki zadziorny charakter, ani że jest tak piękna.

Oczekiwał, że będzie co najwyżej przeciętna. Lecz gdy ją ujrzał, dosłownie zaniemówił. Widywał urodziwe niewiasty, ale ta wyglądała dosłownie zjawiskowo. Może po prostu to połączenie pięknej powierzchowności z ognistym charakterem wywarło na nim tak wielkie wrażenie. Robiło mu się gorąco, kiedy patrzył na tę szczupłą, młodą dziewczynę o idealnej sylwetce. Miała niesamowite, ogromne oczy, błyszczące i pełne życia. I to przeszywające, napastliwe spojrzenie, którym chciała go odstraszyć. Te złośliwe ogniki, jakie zniknęły, gdy tylko usłyszała, co miał jej do powiedzenia, sprawiły, że od razu poczuł do niej sympatię. Mała złośnica z niebywale pięknym licem. Długie za pas, kruczoczarne włosy zaplątała niedbale z tyłu rzemykami.

Czy to mogła być ta Vanora, o której tak wiele słyszał? Córka naczelnika klanu, jaką zamierzał poślubić Louis? Teraz zaczynał rozumieć rozbawienie mężczyzn, wywołane na samą wieść o tym. Był przekonany, że gdy tylko Louis ją zobaczy, zapała do niej uczuciem do chwili, aż ją usłyszy. Wiedział już, że gdy mówiono o niej, że przebywa z mężczyznami, nijak miało się to do jej aparycji. Wzmogła jego ciekawość. Nie tyle pięknym wyglądem, ile oszałamiającym charakterem. I o ile do tej pory wyjazd do Szkocji wydawał mu się interesujący, to w tym momencie był wręcz szczęśliwy, że z nudnego Wersalu trafił do tej dzikiej krainy.

– Ona ci tego nie daruje – rozbrzmiał wesoły głos Luthiasa, który szedł obok niego i głupio się uśmiechał.

– O czym mówisz? – zapytał rozkojarzony.

– Powiniennem cię wcześniej przed nią ostrzec.

– Przed kim? – Czyżby mówił o krewkiej Szkotce?

– Przed Vanorą – rozbawiony Luthias upewnił go w jego przypuszczeniach.

– Myślę, że jakoś sobie z nią poradzę – stwierdził krótko.

W zasadzie był tego pewien. Wyszedł jedynie dlatego, że zamierzał na spokojnie ogarnąć myśli, aby nie reagować zbyt pochopnie.

Nie chciał narażać się jej jeszcze bardziej, a z reguły konwersacje z nim wyprowadzały rozmówców z równowagi. Vanora również się tego nie spodziewała.

– Nie znasz jej – parsknął chłopak, a Gaston pomyślał, że działa to w obie strony.

Lubił dostosowywać się do otoczenia i obserwować. Poznawać rzeczy, z jakimi miał do czynienia oraz ludzi, wśród których się obracał. Dzięki temu zawsze wiedział, czego się spodziewać, a jednocześnie nie zdradzał się ze swoim usposobieniem.

Ludzie poznani w Eilean Donan wywarli na nim niezmiernie pozytywne wrażenie. Poczuł się wśród nich bardzo swojsko, a oni traktowali go jak przyjaciela. Zdawał sobie też sprawę z tego, że poniekąd sam się do tego przyczynił. Tytuł ambasadora był zaszczytny, ale przyjęli go do siebie jedynie dlatego, że zaakceptowali go jako człowieka, a to bardzo się dla niego liczyło. Początkowa rezerwa spowodowana była jedynie obawą z ich strony, że to on będzie patrzył na nich z góry.

Teraz została jeszcze dziewczyna. Nie wiedział dokładnie, jak ma się do niej ustosunkować. Nie będzie ciągle rozdrażniał jej w dyskusji, z drugiej strony robił to bezwiednie. Ludzi, którzy go atakowali, po prostu kosił.

Ona stanowiła wyjątek. Nie chciał jej za każdym razem gasić, a zdawał sobie sprawę z tego, że będzie jeszcze nieraz go prowokowała. Jej bezczelność i impertynencja mogły postawić go w niejednej kłopotliwej sytuacji.

Zastanawiał się, co mogło sprowokować jej zachowanie. Zaatakowała go, gdy tylko weszła do pomieszczenia. Zdawał sobie sprawę z tego, że wszystko, co robiła, łącznie z kopniakiem w wiadro, było jedynie demonstracją przewagi, skierowaną w jego stronę. Ale dlaczego? Co ją do tego skłoniło? Panna dopiero wróciła. Nie zdążyli się nawet poznać, więc skąd ta wrogość? Wiedział, że zanim dojdzie do ponownego ich spotkania, powinien się dowiedzieć, czym tak ją rozdrażnił. Ale jak to zrobić? Spojrzał na idącego obok Luthiasa i uśmiechnął się pod nosem.

– Teraz rozumiem twoją reakcję, gdy dowiedziałeś się, że Louis zamierza starać się o rękę Vanory – stwierdził niby obojętnie. – Po tym, co widziałem, sądzę, że nie będzie nalegał, kiedy ją pozna – dodał. Chłopak parsknął śmiechem.

– A wygląda na taką słodką dziewczynę, prawda? – powiedział po chwili. – Przyznaj się, zrobiła na tobie wrażenie.

– Jeśli powiem, że nie, to skłamię. Jednak mojego „tak” nie bierz zbyt dosłownie – rzucił, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć.

To oczywiście, że dziewczyna mu się spodobała. Był przekonany, że tak reaguje na nią każdy facet. Ale ujrzał w niej przede wszystkim nietypowy charakter. Miał przeczucie, że jest bardzo inteligentna, a to podobało mu się w niej najbardziej.

– Nie bierz tego do siebie. Normalnie nie zachowywałyby się aż tak bardzo... – zrobił krótką przerwę, szukając odpowiedniego słowa – charakterystycznie. *Ach, ta dyplomacja* – pomyślał z przekąsem Gaston.

– Normalnie? – zapytał, mimo wszystko zaintrygowany.

– Wiesz, jest rozdrażniona ślubem. W ogóle dla nas wszystkich jest to nietypowa sytuacja – wyjaśnił, sprawiając, że Francuz już wiedział, w który dzwon uderzać.

– Myślę, że rozumiem – odparł po chwili, nie chcąc informować, że istotnie doskonale ją rozumiał, ponieważ był poniekąd w takiej samej. – Chyba najgorzej jest wtedy, gdy nie mamy na coś wpływu i dzieje się to bez naszej woli. W imię obowiązku.

– Tak to właśnie wygląda – oznajmił chłopak. Spojrzał na niego uważniej, zorientowawszy się, iż Gaston zinterpretował go idealnie, choć początkowo sądził, że nie będzie tego pojmował.

– Wydaje mi się, że nie tylko ona przeżywa tę sytuację. Domyślam się, jakie musi to być trudne dla każdego z was – stwierdził Gaston, a Luthias ciężko westchnął. Teraz dopiero widział, że potrzebował szczerzej rozmowy, a na druhów nie mógł liczyć.

– Wszyscy ją kochamy – wyznał spontanicznie, po czym pospiesznie dodał: – Oczywiście jak siostrę albo przyjaciela.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć, zdaję sobie sprawę z tego, co masz na myśli – uspokoił go Francuz, nieco rozbawiony jego wyjaśnieniami.

– Angus mówi, że naczelnikiem naszego klanu powinien być MacCallum i ma rację. Ale ona jest dla nas przyjacielem, rodziną. Czułbym się, jakbym żenił się ze swoją siostrą, gdybym musiał to zrobić. Każdy z nas miałby podobnie. Oprócz Govana, ponieważ jedynie on jest w niej po uszy zakochany, z czego ona nie zdaje sobie nawet sprawy – stwierdził. Gaston pomyślał, że jeżeli patrzeć na to z tej strony, to faktycznie dziewczyna dosłownie się z nimi wychowała.

– Może gdyby wiedziała o jego uczuciu, coś by z tego wyszło – zasugerował bez przekonania. Luthias popatrzył na niego z politowaniem.

– Govan ma siedemnaście lat i jest typem błędnego rycerza, nie nadaje się na naczelnika. Z drugiej strony ona nie pojmie za męża nikogo z miłości, a ten, którego w końcu wybierze, nie będzie świadomy tego, że to Vanora jest prawdziwym naczelnikiem. Inaczej nie może być. To ona będzie dowodziła. Urodziła się do tego.

– Nie rozumiem – zaintrygowało go to, co usłyszał. Brzmiało dość dziwnie.

– Vanora pozostanie z nami, na swym miejscu. Wszystkie decyzje nadal będzie podejmować ona. Jest wspaniałą dziewczyną. Przy niej czujemy się jak jedna rodzina, wszyscy jesteśmy dowódcami. Tylko ona to potrafi. Myślę, że poradzi sobie z mężem. To bardzo mądra kobieta, choć jej dzisiejsze zachowanie może nieco mylić – wyznał, potwierdzając jego przypuszczenia. – Bywa irytująca i zuchwała, jednak jeśli wymaga tego sytuacja, staje się kimś zupełnie innym.

– Mając was przy boku, na pewno jej się uda okiełznać przyszłego małżonka – stwierdził Gaston. Luthias się uśmiechnął, niemniej już za moment radość znikła z jego twarzy. Gastona korciło, aby zapytać, co się dzieje, lecz postanowił poczekać, aż młodzieniec sam mu to powie. Nie czekał długo.

– Na pewno by się udało. Ale jeśli pojąć ją za żonę zdecyduje się Blane MacLeod, wtedy będzie nieciekawie.

– Nie rozumiem? – Już po raz kolejny słyszał dziś o tym człowieku.

– Widzisz, on jest trochę inny. Vanora nie będzie wtedy miała na nic wpływu. Z jednej strony jest dobrym naczelnikiem i mimo że trzyma wszystkich twardą ręką, to jego ludzie jedynie z pozoru się go boją, tak naprawdę jest inaczej. Jest im przyjacielem, choć w inny sposób niż nasza Vanora. Z drugiej strony jego władczość będzie powodowała wiele konfliktów między nim a nią. To jest w tym wszystkim najbardziej niepokojące.

– Przecież to ona powinna podjąć decyzję, którego z nich pojmie za męża. Tym bardziej mając w was takie wsparcie – zdziwił się Gaston.

– Klanowi MacLeod zawdzięczamy istnienie naszego. Gdyby nie ich pomoc, nie byłoby teraz klanu MacCallum. Dzięki nim żyjemy. Wspierając nas w walce, stracili wielu ludzi – wyjął Luthias, wzdychając.

– A co na to Vanora? – zapytał Gaston. Zrozumiał, co było powodem złości dziewczyny. Przynajmniej po części.

– Zrobi wszystko dla dobra klanu. A jej ojciec szanuje Blane’a. Zresztą nie ma u nas nikogo, kto uważałby inaczej.

– Czy istnieje sposób, aby jej pomóc?

– Gdybyś był naczelnikiem klanu, to pewnie stanowiłoby jakieś wyjście – stwierdził i głośno się roześmiał.

Doszli już do opustoszałego placu treningowego, ale w ich stronę zmierzało kilka osób. Niektórych z nich Gaston rozpoznał z poprzedniego dnia.

– Nie rozumiem. – Błądził myślami.

– Odnalazłeś się wśród nas. Vanora nie jest może najciekawszą osobą, ale pewnie z czasem byś się do niej przekonał, a i ona może nawet byłaby miła. Nie jest dla ciebie kimś takim jak dla nas, więc...

– Sugerujesz, że...

– Od razu „sugerujesz” – wszedł mu w słowo. – Ja po prostu głośno myślę.

– Zbyt głośno – stwierdził Gaston, wzdychając ciężko. Gdyby tylko wiedział, kim tak naprawdę jest, to nawet by nie rozmawiali ze sobą.

– Wiesz, ona była na ciebie taka zła, bo myśli, że będziesz starał się o jej rękę – mówił chłopak, potwierdzając przypuszczenia Gastona. – Zdziwiło mnie, kiedy na początku powiedziałeś, że to markiz będzie chciał ją poślubić. Myśleliśmy, że chodzi o ambasadora. O ciebie. Sam fakt wysokiego tytułu. Markiz mężem córki naczelnika szkockiego klanu? Trochę to nieprawdopodobne. Nie uważasz? Szczególnie biorąc pod uwagę polityczne zależności. Tytuł ambasadora również jest dość wysoki, jednak bardziej prawdopodobny. A ty pasowałbyś tu. Nawet z tytułem ambasadora – powiedział poważnie Luthias.

– Nigdy nie można być niczego tak do końca pewnym. Czasem sytuacja wygląda inaczej, niż się wydaje. – Słyszając Gastona, zmarszczył czoło.

Imponowała mu jego inteligencja i spokój, z jakim zawsze odpowiadał.

Przez tak krótki czas ten człowiek stał się niemal jednym z nich. Wiedział, że ewentualny ślub załatwiłby sprawę, bo Gaston już praktycznie był tam z nimi, a z tego, co dziś zaobserwował, nie pozwoliby, aby Vanora weszła mu na głowę. Zaimponował mu, potrafiąc odpowiedzieć w jej tonie. Prawdę mówiąc, każdy czekał na to, co ona zrobi i nikt nie sądził, że Gaston będzie umiał dać jej prztyczka w nos. A jednak poradził sobie nawet lepiej niż dobrze.

Widok oniemiałej Vanory siedzącej z rozdziawionymi ustami był doprawdy bezcenny.

– Teraz waży się wszystko – stwierdził.

– Życie to zweryfikuje, a ono lubi zaskakiwać. Może ten cały MacLeod nie będzie chciał pojąć jej za żonę – powiedział głosem pełnym wątpliwości. – Nie wiadomo, czy w ogóle przyjedzie – dodał po chwili.

– Potwierdził swój przyjazd. To człowiek bardzo słowny, przyjedzie na pewno.

– Przykro mi – dodał po chwili Gaston. – Chciałbym pomóc, jednak nie jestem w stanie. Wiążą mnie pewne zobowiązania. Nie mogę poślubić Vanory, choćbym nawet chciał – stwierdził smutnym tonem.

– Zawarłeś jakiś kontrakt? – zapytał, a Francuz zacisnął dłoń na klindze miecza, który od pewnego czasu trzymał. Jednak trening przestał być ważny. Kontrakt małżeński, sama ta nazwa brzmiała okrutnie.

– Nie – powiedział po chwili. – Ale jestem zobligowany, aby w swoim czasie to zrobić i obawiam się, że ktoś inny podejmie za mnie decyzję, a Vanora nie będzie tą, którą dla mnie wybiorą. – Patrząc na minę Luthiasa, zastanawiał się, czy nie powiedział zbyt wiele, ale jedyną reakcją chłopaka był uścisk, czego zupełnie się nie spodziewał.

– Teraz widzę, że aż nadto rozumiesz naszą niedolę. Przykro mi, że również ciebie to spotyka.

– Nie mówmy o tym. – Gaston nie chciał rozwijać tematu. Nie chciał, żeby zadawał więcej pytań, bo wiedział, że szczerze na nie odpowie, a to było zbędne.

– Rozumiem, ale po prostu... po prostu mam nadzieję, że jakoś się to ułoży i w twoim przypadku, że...

Gaston poczuł coś dziwnego, zupełnie dla niego niezrozumiałego.

– Wiesz, gdyby na mej drodze znalazła się dziewczyna, na której widok poczułbym coś, co nigdy mnie jeszcze nie dotknęło, zostawiłbym dla niej wszystko i uczyniłbym każdą rzecz, o jaką by tylko poprosiła. Oddałbym jej swe ciało i duszę, rzuciłbym pod nogi cały świat – wypowiedział jednym tchem, zupełnie się nie kontrolując, co było do niego niepodobne i spojrzał na niebo. Piękne, czyste, wyjątkowo błękitne... Ten widok zostawił pod powiekami, zamykając oczy.

– Tu jesteście! – głos Angusa przywołał go do porządku. Spojrzał na zaskoczonego Luthiasa.

– Ale powiedz mi, to tak od razu, czy za którymś razem też się będzie liczyło? – zapytał, sprawiając, że Gaston przyglądał mu się niepewnie, zdając sobie sprawę, że pod wpływem silnych emocji wywołanych tym obowiązkiem, zaczął mówić głupoty.

– Co masz na myśli? – zapytał ostrożnie.

– Wiesz, Vanora miała niezbyt dobre wejście, ale tak naprawdę przy bliższym poznaniu przekonałbyś się, że to dobra dziewczyna – powiedział, a Gaston o mało się nie roześmiał.

– Miała bardzo dobre wejście, przyjacielu – stwierdził z uśmiechem. – Jest mądrą, inteligentną i niewątpliwie interesującą dziewczyną, lecz obawiam się, że nie byłaby zachwycona tym, o czym teraz myślisz. Ponownie zbyt głośno.

Chciał ukrócić tę kwestię, podkreślając jej aż nadto widoczną dla wszystkich niechęć. Zdawał sobie sprawę z tego, że złość oraz demonstracyjne zachowanie Vanory były w pewnym sensie mechanizmem obronnym i czuł, że to się wyklaruje, a kontakt z dziewczyną nie będzie walką. Teraz, znając już powody jej zachowania, wiedział, że zrobi wszystko, aby jej pomóc, jeżeli mu tylko na to pozwoli. Widział w niej bratnią duszę i nic nie mógł na to poradzić, choć nie chodziło o wygląd. Była niezaprzeczalnie piękna, ale jemu zaimponowało jej obejście i ten ogień w oczach, gdy się złościła. Jej bezpośredniość oraz odwaga. Żywioł, pasja, temperament, zuchwałość, brawura, to go pociągało w kobietach i tego nigdy w żadnej nie odnalazł. W Vanorze dostrzegł te wszystkie elementy.

Po kilku godzinach z mieczem w dłoni i nielicznych przerwach na odpoczynek był już nieźle zmęczony. Teraz myślał jedynie o tym, by zejść z pola i odpocząć. Stawał się rozkojarzony, co wykorzystał zręczny Ivar z Carneyem, którego poznał dopiero niedawno. Wiedział, że ten właśnie chłopak wrócił wraz z Vanorą i miał ochotę zacząć z nim rozmowę, lecz postanowił na razie się wstrzymać. Od Luthiasa dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował.

Powrót Carneya został wesoło przyjęty. Okazało się, że chłopak gra na dudach i podczas wieczerzy zamierzał dać popis. Gaston westchnął zniechęcony. Nie podzielał entuzjazmu Szkotów do tego instrumentu. Przywiózł w prezencie dla Vanory instrument będący nowością na królewskich salonach. Na pomysł wpadł król, a Gaston uznał, że to całkiem dobra myśl. Jednak kiedy poznał dziewczynę bliżej, zdał sobie sprawę, że ucieszyłaby się ona bardziej z miecza albo jakiegokolwiek broni. Zresztą człowiek, który z nim przyjechał, dość nieumiejętnie grał na skrzypcach, gdyż był to nowy wynalazek i choć brzmiał o wiele lepiej niż dudy, to w rękę mało zdolnego muzyka, dałby taki sam efekt, jak te kaleczące jego uszy dźwięki. Zamierzał powoli

schodzić z placu, gdy ujrzał idącą w ich stronę Vanorę. Dziewczyna znów miała na sobie spodnie uszyte z jakichś skór. Obcisłe dokładnie uwidoczniły jej idealną sylwetkę. Szła, patrząc mu beczelnie w oczy, wręcz wyzywająco. *Co knujesz?* – pomyślał.

Podeszła do dość wysokiego kamiennego murku i zwinnie na niego wskoczyła. Nie spuszczać z niego wzroku, nadal spoglądała w jego stronę prowokująco, a on westchnął. Chciała go zdekoncentrować? Wszystko na to wskazywało. Uśmiechnęła się pod nosem. Jeżeli teraz zejdzie z pola, uzna, że go zawstydziła. Jeżeli zostanie, wyjdzie na idiotę, który chce jej zaimponować. Co powinien zrobić? Widział, że podeszło do niej kilku mężczyzn, w tym również Angus i Luthias. Coś do niej mówili, lecz ona nie była zainteresowana rozmową i bezwstydnie nie spuszczała z niego wzroku. Zdał sobie sprawę, że Luthias się nie mylił. Będzie chciała się odegrać.

– Cwana bestia – mruknął do siebie pod nosem.

Wolał wyjść na zawstydzonego idiotę niż gościa, który jak kretyn chce zaimponować pyskatej dziewczynie. Ruszył w ich stronę. Przecież nie będzie jej unikał, miał w stosunku do niej całkiem inne zamiary.

– Słyszałem, że doskonale strzelasz z łuku, Vanoro – powiedział, zbliżywszy się do niej. Siedziała nieporuszona w tym samym miejscu, nie odrywając od niego wyzywającego wzroku. – Miałem kiedyś kota – stwierdził. Zmrużyła oczy, zdezorientowana.

– Zdechł sam, czy mu pomogłeś? – Milczał, wiedząc, że mimo wszystko ją to zainteresowało.

– Nie, Vanoro – zaprzeczył, a ona zacisnęła ze złością szczękę. Widział, że ledwie powstrzymuje się, aby nie zapytać, o co mu chodzi. Nie chciał się dłużej nad nią pastwić, nie taki był jego cel. – Wiesz, że koty słyszą z tego, iż mogą się godzinami wpatrywać bez mrugnięcia okiem? – zawiesił pytająco głos. – Mój dawał za wygraną już po godzinie – zakończył, nie spuszczać z niej wzroku. – Ale jeżeli lubisz na mnie patrzeć, to w zasadzie nie mam nic przeciwko. Nie krępuj się – dodał, po czym dostrzegł na jej twarzy wściekłość.

Drażnił ją ten jego spokój, rezerwa i wyważone zdania oraz mądre, przemyślane wypowiedzi. Potrafił trzymać emocje na wodzy i ewidentnie nie robił nic bezmyślnie. W tej chwili ledwie powstrzymywała się, żeby czegoś mu nie powiedzieć, jednak nie chciała jeszcze go rozdrażniać. Najpierw musiała rozprawić się z nim po swojemu, w taki sposób, że będzie żałował tego, iż kiedykolwiek się do niej odezwał.

– Zawsze wolałem psy, ale chyba sprawię sobie kota – stwierdził nagle Carney, widząc, jak jego przyjaciółka reaguje na nowego gościa. Było to dziwne, bo chłopak wydawał się całkiem w porządku. Utaił jej nosa. Owszem. Ale Vanora wyglądała, jakby miała za chwilę eksplodować. Nigdy nie widział jej w takim stanie. W przeciwieństwie do niej Gaston przypominał w tej chwili oazę spokoju.

– Jeżeli masz zamiar tak trwać i nie spuszczać ze mnie wzroku, to na wszelki wypadek ostrzegam. Musisz wytrzymać co najmniej godzinę – powiedział Francuz, podchodząc bliżej dziewczyny.

Chciała wrzeszczeć.

Każdy inny na jego miejscu już dawno dałby za wygraną, a ten cholerny żabojad miał w sobie tak niesamowicie dużo spokoju, że już samo to doprowadzało ją do wściekłości. Był niebezpiecznym przeciwnikiem, ale ona się tak łatwo nie poddawała, a trzymała jeszcze asa w rękawie. Asa, którym niewątpliwie skopie mu tyłek i narobi niezłych kłopotów. Nie wiedziała tylko, czy na pewno chce to zrobić. I w jakim stopniu go skrzywdzić.

– Nie przedłużajmy tego, żebyś nie wpadł w samozachwyty, bo widzę, że jesteś teraz na dobrej drodze – stwierdziła, zeskakując z murka i podeszła do niego wolnym krokiem.

– Czego dokładnie mamy nie przedłużać? – zapytał z lekkim uśmiechem.

– Masz być za pięć minut w stajni – szepnęła mu do ucha, a on uśmiechnął się pod nosem. Jeżeli myślała, że tak po prostu za nią pójdzie, to się grubo myliła. Nie zamierzał demonstrować niczego przed tymi ludźmi.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł...

– Pięć minut... Markizie de Ponton-a-Mousson – zakończyła. Niezrażona odeszła, pozostawiając go totalnie ogłupiałego.

Cały czas wiedziała? Ale skąd?

Czyżby Louis się wygadał?

Spojrzał na stojących obok mężczyzn z uwagą.

Nie wydawało mu się, żeby którykolwiek coś usłyszał. Wszyscy zajęci byli rozmową, jedynie Luthias zerkał od czasu do czasu w jego stronę, ale Gaston zdawał sobie sprawę z tego, że chłopak ma ku temu zupełnie inne powody.

– Dopięła swego – mruknął pod nosem. Odrzucił lnianą ścierkę, którą przed chwilą ocierał twarz, a następnie odwrócił się i pospiesznie ruszył za dziewczyną.

Zgromadzeni mężczyźni spojrzeli za nimi trochę zdezorientowani dziwnym zachowaniem tej dwójki. Prawdę mówiąc, zupełnie nie takiej reakcji się spodziewali. Byli pewni, że Vanora będzie się chciała na Gastonie odegrać, lecz nie wiedzieli, w jaki sposób i nawet przez myśl im nie przeszło, że odbędzie się to właśnie tak. Młódka powie mu coś na ucho, a on pospiesznie za nią odejdzie. Co takiego mogła mu powiedzieć? Teraz zastanawiał się nad tym dosłownie każdy.

\*\*\*

Cały dzień była poddenerwowana. Nie mogła się na niczym skupić. Ten Francuz jakimś cudem potrafił doprowadzić ją na skraj wytrzymałości. Gdyby jej tak nie zaskoczył, to prawdopodobnie nie puściłaby mu tego płazem już od razu. Gdyby został choć odrobinę dłużej, a ona doszłaby do siebie wcześniej, to już leczyłby rany. Ale nic straconego.

Vanora oprócz tego, że była dobrym wojownikiem, była też inteligentnym i opanowanym strategiem. A w sprawach osobistych musiała mieć zawsze jasną, klarowną sytuację. Dlatego pojechała z Carneyem i gdzie tylko mogła, rozpytała o tych Francuzów. Musiała znać szczegóły. W imię powiedzenia: przyjaciela trzymaj blisko, wroga jeszcze bliżej. Chciała wiedzieć, z czym będzie miała do czynienia i dzięki temu dowiedziała się, że markiz de Ponton-a-Mousson ma dwadzieścia sześć lat i jest człowiekiem inteligentnym i uczciwym. Chociaż dość tajemniczym, ponieważ niczego konkretnego nie było o nim wiadomo. Natomiast rzekomy ambasador Louis de la Valette, który zamierzał starać się o jej względy, to trzydziestokilkuletni zarozumiały idiota.

Sytuacja stała się dla niej jasna. Obaj urządzili sobie przedstawienie. Ale dlaczego? Czy chcieli sobie zakpić z klanu MacCallum? Co nimi powodowało? Czy tak po prostu dla zabawy? A może ten idiota de la Valette chciał jako markiz zrobić lepsze wrażenie, myśląc, że tytuł będzie dla niej cokolwiek znaczył. Gdy poszli na plac treningowy, postanowiła się dowiedzieć czegoś więcej, by lepiej zrozumieć sytuację. Nie rozmawiała wprost z przyjaciółmi, żeby niczego nie podejrzewali. Raczej prowokowała ich odpowiedzi. I z tego, co się dowiedziała, to fałszywy ambasador okazał się facetem, którego bez oporów przyjęli między siebie niczym przyjaciela. Jakim cudem, do diabła? Coś z tym gościem musiało być nie tak. A może to jednak nie jest markiz, ale jeszcze ktoś inny? Wszystko się cholernie komplikowało.

Przecież dokładnie zapamiętała, że markizem miał być de Ponton-a-Mousson. Czyżby jednak coś pomyliła? Ale wiek się zgadzał. Nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia pięć lat i był wysokim, przystojnym mężczyzną, a obraz, jaki zarysowano jej względem tego drugiego człowieka, wyraźnie pokazywał jej niskiego, zniewieściałego i lekko łysiejącego idiotę. Podczas gdy Gaston wyróżniał się sylwetką i charakterystycznymi rysami twarzy, w których przebijała zarówno męskość, jak i subtelność. Z pewnością niejedna panna mdlała z wrażenia na jego widok. Samo zainteresowanie nim Rhony o czymś świadczyło. Był błyskotliwy oraz inteligentny. No i zdecydowanie nie łysiał. Nie miał też wymuskanej fryzury, lecz proste, długie włosy.

Jej ludzie byli ignorantami.

Wystarczyło im imię, nie mieli pojęcia, kto jest kim, a tytuły znaczyły dla nich mniej niż krowie łajno. Dlaczego zatem ten człowiek ich oszukiwał? Po kilku godzinach rozpytywania ukazał jej się obraz porządnego faceta, którego w innych okolicznościach uznałaby za swego i chętnie zasiadła z nim przy stole. Gdyby nie nazwał jej księżniczką, może dałaby mu nawet spokój, ale tej zniewagi nie mogła mu darować. Księżniczka? Za samo to miała ochotę skrócić mu kark.

Wspięła się na mur zamkowy i przyglądała z daleka, jak ćwiczył. Zaimponowały jej jego umiejętności. Wydawał się niepokonany, walczył niezmordowanie i podczas gdy inni mężczyźni jeden po drugim schodzili z placu, on nadal tam tkwił. Dostrzegła coś przedziwnego w sposobie jego walki, coś na kształt rutyny, jakby starał się coś ukryć. Była w tym pewna desperacja, coś trudnego do sprecyzowania. Zaintrygowało ją to.

– Vanoro – głos ojca wyrwał ją z zamyślenia. Bez zastanowienia przełożyła nogę przez mur i



zeskoczyła, lądując w fosie.

– Do czorta! – wrzasnęła. Nie pierwszy raz pomyliła strony. – Bez obawy. Wszystko mam pod kontrolą, ojciec – poinformowała, ubliżając sobie pod nosem. Powinna od razu przywitać się z ojcem, a zamiast tego laziła i cały czas poświęcała temu francuskiemu idiocie.

– Vanoro, wszystko w porządku? Niczego sobie nie zrobiłaś? – Doszedł do niej zatroskany głos ojca. Pomyślała, że dobrze, iż jest po drugiej stronie muru i nie widzi jej teraz, taplającej się w błocie, przez które musiała przejść.

– Jak najbardziej, tato! – wykrzyknęła entuzjastycznie. – Skoczyłam na siano. – Nic lepszego nie wpadło jej do głowy.

– Na pewno nie wpadłaś do wody?

Całe szczęście, że do bramy był dość długi dystans, a ojciec narzekał na bóle w nogach. Muru również nie zamierzał przeskakiwać.

– Czy stało się coś, ojciec? – zapytała, próbując zmienić temat.

– Musimy porozmawiać o markizie, Vanoro. – Zatrzymała się w pół kroku.

– No coś ty? – mruknęła pod nosem i z rozpędu chciała zapytać, o którego dokładnie markiza mu chodzi. Tego fałszywego czy może tego z placu treningowego. – Oczywiście, tato. Mam jeszcze sprawę do załatwienia, a później najspieszniej do ciebie pójde i porozmawiamy o naszych gościach, jeżeli tego sobie zyczysz – powiedziała, wychodząc na brzeg, po czym położyła się zdyszana na trawie.

– Nie ma pośpiechu, Vanoro. Po prostu chciałem z tobą porozmawiać o tym człowieku – oznajmił, a ona usiadła i spojrzała na swoje ubłocone ubranie. – Wydaje mi się, że coś jest z nim nie tak.

Czyżby ojciec się dowiedział? Ale skąd? Chciała go zapytać, ale nie będzie krzyczała do niego przez mur, a nie mogła pozwolić na to, aby zobaczył ją w tym stanie, więc nie miała też zamiaru do niego iść.

– Przyjde najspieszniej, jak tylko będę mogła, ojciec – zapewniła. Wstała, usłyszawszy milczenie.

Domyśliła się, że ojciec odszedł. Zanim wróciła, poszła do jeziora, aby się umyć, a na zamek udała się ukradkiem, sobie tylko znanymi drogami, tak aby jej nikt nie widział. Na swoje nieszczęście ujrzała Dorrella, zamyślonego i wpatzonego jak zawsze w horyzont. Gdy ją zobaczył, otworzył usta ze zdziwienia.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie widziałeś mnie – ostrzegła, robiąc przy tym groźną minę, a chłopak uśmiechnął się szeroko.

– Gdybyś gdzieś ujrzała Vanorę, to powiedz jej, że chętnie się z nią spotkam, ponieważ dawno się z nią nie widziałem – oświadczył wesoło, a ona parsknęła śmiechem i odeszła pośpiesznie.

W sypialni przebrała się w suche ubranie, po czym ruszyła w stronę komnat ojca, lecz stwierdziła, że zanim uda się na rozmowę z nim, powinna najpierw rozmówić się z Gastonem. Musiała wiedzieć, na czym stoi.

Idąc w stronę placu, czuła wściekłość oraz irytację. Była przekonana, że będzie chciał się przed nią popisać walką, lecz zaskoczył ją, schodząc z placu. Jego opanowana gadka też ją mierzyła, więc postanowiła załatwić to szybko. Gdy nazwała go markizem, wyraz jego twarzy sprawił, że poczuła dziką satysfakcję. A kiedy szła w stronę stodoły, nie musiała się nawet oglądać, aby wiedzieć, że za nią podążył.

– Jak się dowiedziałeś? – Zauważyła, że wchodzi do środka. Od razu przeszedł do sedna sprawy. To dobrze, załatwi to szybko. Zastanawiała się nad jego reakcją. Czy będzie się tłumaczył, wyjaśniał, czy może się zezłości albo zacznie szantażować? Jego spokojny, opanowany głos nieco ją zaskoczył.

– Krótka piłka, markizie – powiedziała bez ogródek. – Będziesz starał się o moją rękę czy nie? – zapytała. Przystanął i wpatrywał się w nią zafascynowany jej bezpośredniością i tą pasją na twarzy.

Nie wiedział, czego się ma po niej spodziewać. Znała jego sekret i miała powód, aby być na niego wściekła. Lecz nikomu niczego nie powiedziała, chciała załatwić to z nim sam na sam. To było godne podziwu i cholernie ekscytujące. Dziewczyna była bardzo inteligentna. Swoim zachowaniem zaskoczyła go. Patrzył teraz na nią w milczeniu i zastanawiał się, co ma jej odpowiedzieć. Stała oparta o belkę w stodole i nie spuszczała z niego wyzywającego wzroku.

– Jeszcze nie wiem – oznajmił.

– Kiedy będziesz wiedział? – zapytała jakimś dziwnie zdławionym głosem.

– Za moment.

Ujrzała, jak podchodzi do niej, a później bez słowa ujął jej twarz w dłonie i pocałował, popychając ją w stronę siana.

## Rozdział 20 Ona nic nie zrobiła



Obudziło ją miarowe stukanie. Delikatne, przypominające szum. Po jakimś czasie zorientowała się, że to deszcz. Lekki, prawie niedostrzegalny opad. Gdy tylko otworzyła oczy, ujrzała leżącego obok Blane'a i mimowolnie na jej ustach pojawił się uśmiech. Jego widok przywołał wspomnienia ostatniej nocy. Głęboko zaczerpnęła powietrza, przygryzając przy tym wargę. Ich pierwsze spotkanie było tak zupełnie różne od tego, co działo się jeszcze kilka godzin temu. Tamten prymitywny bydlak w zupełności nie przypominał czulego kochanka, w jakiego zmienił się Blane. Gdy go poznała, jego pocałunki bolały, dotyk ranił, a siła, z jaką próbował w nią wtargnąć, przerażała. Tej nocy pokazał jej się z zupełnie innej strony. Jakim cudem jedna osoba mogła mieć dwa tak drastycznie odmienne oblicza? Na dodatek w jakiś sposób oba ją fascynowały. Groźny, niepohamowany zwierzak dał się jej powstrzymać. I miała nieodparte wrażenie, że mimo wszystko nie doszłoby do najgorszego. Wrócił po nią, a to nie mógł być przypadek.

Seks... cóż, nie przeżyła nigdy wcześniej niczego bardziej intensywnego. Wszystkie związki były takie... typowe, banalne, niewstrząsające. Podczas gdy tu dostała coś niesamowicie i dogłębnie nasycającego i jeżeli wcześniejsze przeżycia mogła nazwać wstrząsami, to teraz doznała prawdziwej eksplozji.

Noc pełna uniesień, gorącego seksu i niejednego spełnienia. Do pełnej perfekcji brakowało tylko bardzo ważnego elementu. Być może to jego zachłanność, chęć dominacji nie pozwoliła jej na oddawanie mu czułości, co stało się wręcz uciążliwe w przypadku, kiedy dostawała ich całe mnóstwo. Czula tak wiele, a nie mogła się tym z nim podzielić. Krótkie chwile irytacji i zniecierpliwienia odganiał intensywnymi pieszczotami, jakich do tej pory nigdy wcześniej nie zaznała. *Ale to nie jest ostatnia noc* – pomyślała. Szybko otrząsnęła się z tej myśli. Musiała jednak wracać do domu, do pracy, do swojego życia. Nieistotnego... pustego. Westchnęła i zerknąwszy na Blane'a, ujrzała, jak się w nią wpatruje. Jak długo się na nią gapił? Od kiedy nie spał? Co teraz? Dlaczego nic nie mówił? W głowie miała same pytania, których obawiała się zadać.

\*\*\*

Leżała tuż obok niego i co chwila głośno wzdychała. Zastanawiał się, o czym myśli. Czy podobało jej się to, co się między nimi wydarzyło? Czy ją zaspokoił? Miał w głowie dużo pytań. Wszystko przybrało inny obrót, niż planował. Ale czy tak naprawdę cokolwiek planował? Była piękna, była kobietą, posiadał ją, to wszystko. To najprostsze i najbezpieczniejsze wytłumaczenie. Do tej pory sprawiała jedynie same problemy, a czy była tego warta? Jego uwagi i czasu, jaki na nią tracił.

Skierowała na niego wzrok tak nieoczekiwanie, że nie zdążył zamknąć oczu i teraz ich spojrzenia się skrzyżowały. Ponownie westchnęła przeciągle i wpatrywała się w niego niczym zadowolona kotka, co sprawiło, że ledwie powstrzymał uśmiech. To mogło oznaczać tylko jedno: była zadowolona. Sprawdził się jako mężczyzna, a to najważniejsze. Chociaż niezbyt rozumiał, dlaczego tak bardzo mu na tym zależało. Miał wiele kobiet, ale nigdy żadną się nie przejmował, odsyłał je, gdy tylko skończył.

Brice spoglądała na niego w milczeniu, za co był jej wdzięczny, nie chciał teraz rozmawiać, musiał się uspokoić, pomyśleć. Gdyby zachowywała się jak normalna kobieta, już dawno posłałby ją do powszednich obowiązków.

Wybuch, który wywołała, nie był tak niszczący, jak spowodowany w nim tej nocy jej zachowaniem, tym, jak go przyjmowała. Sposobem, w jaki wszystko przeżywała. To, jak reagowała na każdą jego pieszczotę, przyprawiało go o obłęd. Pełen zaskoczenia przetwarzał jeszcze poprzednią noc, powracając

myślami do każdej spędzonej z nią sekundy. Jakby w tej chwili nie istniało nic innego, jakby liczył się tylko on, dający jej rozkosz. Odgłosy, jakie z siebie wydawała, sprawiały, że nie mogąc się powstrzymać, sycił się wszystkim. Jej zapachem, smakiem, dotykiem, nawet najdrobniejszym westchnieniem. Była taka inna, taka niecodzienna. A on? On po raz pierwszy w życiu czuł coś, o czym nie chciał nawet myśleć. Tak było dobrze. Niczego więcej nie potrzebował.

Tylko co teraz miał z nią zrobić? A jeżeli będzie chciała wrócić do Francji? Albo odnaleźć człowieka, o którym mówiła, Kolumba? Czy powinien ją odesłać? Jeśli tak, to dokąd? Wysłać na dziedziniec do jakiejś pracy? A może gdzieś do obejścia? Ale co miałyby robić?

Nie wyglądała na taką, która pracuje w gospodarstwie. Do kuchni, aby pomagała Unie? A może po prostu do lochu? *Co teraz będzie?* – pomyślał z nutą bezradności.

Westchnął ciężko i odwrócił się na wznak, co sprawiło, że przysunęła się do niego i oparłszy na łokciu, pochyliła się nad nim.

Jeszcze tego mu brakowało.

– Nie mam czasu – mruknął, próbując ją odepchnąć, lecz położyła rękę na jego piersi, powstrzymując go.

– Zajmę tylko chwilę – wyszeptwała, a on wypuścił głośno powietrze. Szczerze mówiąc, chętnie zostałby z nią na dłużej niż tylko chwilę. – Muszę iść do Calma House – oświadczyła. Zaciśnięte zęby, a na jego obliczu pojawiła się złość.

– Calda House – poprawił. Później powolnym ruchem podniósł się do pozycji siedzącej, tak że w połowie drogi ich ciała zetknęły się z sobą. Usłyszał, jak przełyka głośno ślinę. – I nigdzie nie pójdziesz – oznajmił stanowczo.

– Pójdę. – Ogarnęła go wściekłość.

Co miał zrobić, żeby go usłuchała? Czy ona zawsze będzie taka uparta? *Może powinienem wsadzić jej knebel w usta i spętać, wtedy miałbym wreszcie spokój* – pomyślał z desperacją.

– Nie pójdziesz – warknął stłumionym głosem.

– Dlaczego? – zapytała, a on zamarł. Faktycznie. Dlaczego miała tam nie iść?

– Bo tak mówię! – zagrzmiął.

– Proszę? – Spojrzał na nią zaskoczony.

Co ona knuła? Ta słodka mina, uroczy uśmiech, to było podejrzane i zupełnie niecodzienne. Una ani żadna inna kobieta nigdy tak nie robiły. I dlaczego, do diabła, zakończyła to słowo pytaniem? *Czy tak robią we Francji?* – przeleciało mu przez myśli.

– Nie! – warknął. – Po co chciałaś tam iść? – zapytał mimo wszystko, musiał to wiedzieć.

– Chciałam wszystkich przeprosić – wyznała cicho, a on spojrzał na nią, kompletnie zbity z tropu. Przeprosić? Kogo ona chciała przeproszać? Za co?

– O czym ty mówisz, dziewczyno? – Gdy opuściła powoli głowę, ujął ją pod brodę i skierował na siebie jej spojrzenie. – Kogo chcesz przeprosić, Brice?

– Wszystkich – stwierdziła, na co zmarszczył czoło. – Za to, co zrobiłam. Za to, że wczoraj...

– Spichlerz? – zapytał, domyślając się, o co jej chodzi. Przytaknęła, a on uśmiechnął się półgębkiem. Przyznawała się do błędu. W jakiś nikły sposób zaimponowało mu to. – To był stary spichlerz – przyznał oschle, nie chcąc, aby pomyślała, że bagatelizuje sprawę.

Powinna ponieść konsekwencje swojego czynu, to nie ulegało wątpliwości. Ale jak? Chłosta? Przecież nie mógł zrobić jej krzywdy. Miała takie aksamitne, piękne ciało. Takie przyjemne w dotyku, w smaku. Otrząsnął się, odganiając niepotrzebne myśli.

– Ale to nie usprawiedliwia tego, co zrobiłam. Naraziłam życie innych, a to jest niedopuszczalne – wyznała. Patrzył na nią zaskoczony. Nie spodziewał się takiej reakcji.

– Nie musisz i nie będziesz nikogo przeproszać – powiedział chłodno. Jeszcze tego by brakowało, aby chodziła do Calda House i wdawała się w niepotrzebne znajomości.

– Muszę. – Coraz bardziej drażnił go jej upór.

– Jeżeli ja mówię, że nie musisz, to nie mu...

– Przepraszam – wyszeptwała, wpatrując się w niego błyszczącymi błękitem oczami, a on zamarł.

Nikt się nim nie przejął. Oprócz Uny nikt nawet nie zainteresował się, czy jemu coś się nie stało. Jedynie Una i Brice, która każdym sposobem dążyła do tego, aby sprawdzić, czy wszystko z nim w

porządku. Była taka bystra, domyśliła się, że jest ranny, widział, jak zerkała na jego ramię i już wtedy wiedział, że dostrzegła plamę krwi. Podejrzewał, że się tego wystraszy, a ona za wszelką cenę chciała mu pomóc.

Gdy poczuł dotyk jej dłoni na skórze, wiedział, że będzie to zgubne, nie było już odwrotu.

– Za co? – zapytał bezwiednie, chcąc odgonić napływające wspomnienia.

– Uratowałeś mnie. Gdyby nie ty, to... nie byłoby mnie tu – wyszeptwała.

– I byłby spokój – mruknął.

– Żałujesz? – zapytała. Nie czekając na odpowiedź, przytuliła go gwałtownie.

– Czego? – Usłyszała jego gardłowy głos i poczuła na plecach dłoń, która nieustępliwym ruchem przytrzymała ją w miejscu, nie pozwalając się oddalić.

– Tego, co stało się wczoraj – szepnęła.

– O czym dokładnie mówisz? – drążył, a ona pomyślała, że zmierza to do jednego.

– Ty wiesz – wymruczała. Poczuła, jak jego mięśnie się napinają.

– Nie jestem pewien. – Zmarszczyła brwi. Odsuwając się lekko w tył, zerknęła na jego twarz.

Zadrżała, widząc mroczne spojrzenie pociemniałych z emocji oczu. – Zadaj mi to pytanie później.

– Później? Kiedy później? – Jego odpowiedź zbiła ją nieco z tropu. O co mu chodziło?

– Milcz – zarządził nieznoszącym sprzeciwu tonem i widząc, jak pomimo to otwiera usta, przyciągnął ją do siebie, po czym pocałował.

Znał już sposób, żeby skutecznie ją uciszyć. No, może nie tak do końca uciszyć, bo teoretycznie zachowywała się dość głośno, lecz dźwięki, jakie z niej wydobywał, były tymi, które chciał od niej usłyszeć. Były jedynymi, jakich teraz pragnął.

\*\*\*

Kiedy pojawił się na placu treningowym, ujrzał kilka zaskoczonych twarzy i początkowo nie miał pojęcia, co było tego przyczyną. Po krótkiej chwili przypomniało mu się, że Bothan załatwił mu alibi, aby mógł uprzyjemnić sobie czas z Brice. Przez chwilę poczuł zawód, że o tym zapomniał. Gdyby został dłużej, to...

– Nie udałeś się z Bothanem? – Usłyszał Eiliga, który rozmawiał o czymś z jedną ze swoich córek.

Dziewczyna na widok Blane'a opuściła wstydliwie wzrok. Pomyślał, że sporo by dał, aby choć raz zareagowała w ten sposób Brice. Ale czy na pewno?

– Nie – odparł krótko chmurnym głosem, nie wdając się w zbędne dyskusje.

Eilig od razu zrozumiał. Blane w takim nastroju to Zwierz, któremu należy schodzić z drogi. Rozejrzał się wokoło i ujrawszy po przeciwnej stronie Ossiana, ruszył do niego.

– Myślę, że Morven powinien dostać na dzisiejszy dzień jakieś zajęcie daleko od placu – powiedział jednym tchem, a Ossian spojrzał na niego zniecierpliwionym wzrokiem. Gdy ujrzał, jak tamten skinął głową w stronę stojącego kilka metrów dalej Blane'a, z jego oblicza zniknęło poirytowanie.

– Wiesz, mam pewną sprawę w Golspie. Może powinien załatwić ją Morven – oznajmił, nie odrywając wzroku od mężczyzny dobywającego właśnie miecza.

– To dobry pomysł i myślę, że powinien to zrobić niezwłocznie – zaproponował Eilig. Usłyszał szcęk uderzanych o siebie mieczy, a później ryk Blane'a, który sprawił, że Ossian odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie w stronę stojącego kilkanaście metrów dalej syna.

Blane nie mógł skupić się na walce. Myśli o dziewczynie powracały notorycznie. Czuł ogromne zniecierpliwienie i irytację. Co robiła? Opuszczając komnatę, przykazał jej, aby nigdzie nie chodziła. Powiedział, że pośle do niej Unę, aby przyniosła jej strawę oraz ubiór. Ale czy go posłuchała? Może zeszła na dół? A jeżeli zabłądzi? Zamek był całkiem duży, a ona do tej pory nie poruszała się po nim samodzielnie. *Jeśli ktoś ją tam zaczepi?* – pomyślał i sapnął z irytacją.

– Gdzie Morven?! – wrzasnął na całe gardło do stojącego po drugiej stronie Ossiana, który wymienił znaczące spojrzenia z Eiligiem.

Blane właśnie zdał sobie sprawę z tego, że nie widział gnoja od samego rana, a byli tu już kilka godzin. Gdzie podziała się ta gnida? Poczuł gwałtowną złość i zacisnął mocniej dłoń na klindze miecza.

– Pojechał do Golspie – objaśnił Ossian, podchodząc do niego.

– Jesteś pewien? – Chciał mieć sto procent pewności. Tylko w ten sposób mógł zachować spokój.

– Sam go tam posłałem – zapewnił mężczyzna.  
– Niech nie pokazuje się na zamku! – zagrział Blane, a Ossian zmarszczył czoło. To brzmiało cokolwiek dziwnie. – Niech trzyma się z dala od mego miecza, a ty wiesz, co jest tego powodem. Jeżeli chcesz, aby twój syn czuł się bezpieczny, niech schodzi mi z drogi, a daję ci słowo, że nic mu się nie stanie.

– Ale...

– Ma się tylko trzymać z daleka od zamku – mruknął. – I od wszystkich jego mieszkańców – uściślił, nie wdając się w szczegóły.

Eilig podszedł do oszłupiałego Ossiana, który jeszcze przed momentem rozmawiał z Blane'em i teraz z niepokojem wpatrywał się w oszołomionego mężczyznę.

– Co mu się stało? – zapytał, zaniepokojony reakcją przyjaciela.

– Całkiem możliwe, że pomieszało mu się w głowie – stwierdził Ossian.

– Co mówił?

– Kazał trzymać się Morvenowi z dala od zamku – wyjaśnił, nie odrywając wzroku od Blane'a, walącego na oślep w miecz jednego z chłopaków, który wyglądał na dość przerażonego. – Myślisz, że mogło mu się stać coś podczas tego wybuchu?

– Całkiem możliwe – stwierdził, pocierając dłonią brodę. – Był dość cichy podczas wieczery i prawie cały czas rozmawiał z Bothanem.

– Wiesz, jak daleko przebywał od spichlerza, gdy nastąpił wybuch? – zapytał Ossian.

– Nie widziałem tego, ale Tormod mówił, że wyniósł dziewczkę na rękach i przykrył ją sobą. Ochronił ją, ale może w niego coś uderzyło. Nikt się nim nie zainteresował – powiedział z lekkim wyrzutem sumienia.

– Tak, każdy pytał o dziewczkę, a może...

– Poczekaj, co on mówił? Kazał się trzymać Morvenowi z dala od zamku? – przerwał mu Eilig, któremu coś przyszło do głowy. – Gdzie ona mieszka? – Drugim pytaniem zbił Ossiana z tropu.

– Kto?

– Ta Francuzka – ponaglił.

– Brice?

– Tak. Ta, co na niej leżał – stwierdził sugestywnie, a później obaj spojrzeli po sobie i wybuchli gromkim śmiechem, sprawiając, że Blane spojrział na nich groźnym wzrokiem. W tym samym momencie obaj odwrócili głowy.

– Myślisz, że może mu chodzić o tę dziewczynę? – powiedział cicho Ossian.

– Myślę, że powinieneś trzymać od niej z dala swego syna. Tak na wszelki wypadek – dodał i, po wymianie spojrzeń, obaj parsknęli.

– Nie uważasz, że może to stanowić problem? – zapytał Ossian, który od pewnego czasu nad czymś rozmyślał.

– Problem? Jaki problem?

– Chodzi o córkę MacCalluma – stwierdził, a widząc pytającą minę Eiliga, kontynuował: – Jeżeli Blane ma pojąć ją za żonę, a pojawiła się ta Francuzka i zawróci mu w głowie, to... – zaczął, lecz przerwał mu gromki śmiech Eiliga.

– Blane? Czy ty myślisz, że jakakolwiek dziewczka dałaby radę zawrócić mu w głowie? – zapytał. Ossian zmarszczył czoło.

– Masz rację, ale sam powiedz, Francuzka żoną naczelnika? To byłoby najgorsze, co mogłoby nas spotkać. Szczególnie że klan jest osłabiony. Konieczne jest połączenie z innym, a MacCallum jest najlepszą opcją. Sam dobrze to wiesz. Ta francuska młódka mogłaby stać się kłopotliwa – wymamrotał z niezadowolaniem.

– Nie masz się co martwić. Córkę MacCalluma jest ponoć szpetna jak noc, więc Brice pojawiła się w odpowiednim momencie. Niech chłopak jeszcze sobie poużywa. A że on szaleje... – Skinął głową w stronę walczącego z wyjątkowym zapałem Blane'a – Dziwisz mu się? Dziewka jest piękna i niegłupia.

– Słyszałem, że jest temperamentna. Morvenowi ponoć nosa przytarła – roześmiał się Eilig.

– Szaleje? Przecież on zaraz zabije tego chłopaka – powiedział Ossian, kręcąc z niesmakiem głową i wpatrując się w wyczerpanego przeciwnika Blane'a, który robił już jedynie uniki.

– Myślisz, że już ją miał? – zapytał Eilig, a Ossian popatrzył na niego zniesmaczony.

– Wścieka się jak wygłodniały buchaj. Jeżeli jeszcze jej nie miał, to dziś na pewno będzie – orzekł,

budząc śmiech przyjaciela.

Nie zorientowali się w porę i zanim przywołali się do porządku, stanął przed nimi Blane.

– O czym prawicie? – zapytał podniesionym głosem.

– O bitwie – rzucił bez zastanowienia Ossian.

– O koniach – w tym samym momencie wypowiedział się również Eilig i pożałował, że nie obrali wcześniej wspólnego frontu.

– O koniach na bitwie – sprostował Ossian.

– Co z nimi? – warknął Blane.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie o koniach ani bitwie rozprawiali, a tematu ich rozmowy chyba wolał nie znać. A przynajmniej o nim nie myśleć. A właściwie o niej. Bo tylko Brice mogła sprawić, że poważni zazwyczaj Ossian i Eilig chichotali jak dziewczki na jarmarku. *Czy mówili o spichlerzu?* – pomyślał z irytacją. Chciałby zapytać wprost, ale mogliby jeszcze pomyśleć, że go to interesuje, a jego wcale to nie obchodziło. Wysadziła w powietrze spichlerz? No i co z tego. Budynek był stary, a każdemu może się coś takiego zdarzyć. Otrząsnął się z rozważań. Każdemu może coś takiego się zdarzyć? Sam już zaczynał głupieć. Poczł złość. Zachowywał się przez nią jak idiota. Doprowadzała go do szaleństwa. Co teraz robiła? Usłuchała go?

– Dziewka czuje się dobrze? – zapytał Eilig i spojrzał na niego bystrym wzrokiem.

– Jaka dziewczka? – mruknął, marszcząc czoło.

– Ta Francuzka. Wczoraj ponoć...

– Nie interesuje mnie żadna dziewczka – uciął dalszą wypowiedź. – Powinna się cieszyć, że nie wtrąciłem jej do lochu po tym, co uczyniła.

– Daruj dziewczynie, pewnie niewinna. W końcu to Tormod zawinił – powiedział Ossian, ostatkiem sił powstrzymując się, aby nie parsknąć śmiechem.

– Jeżeli chcesz znać moje zdanie, również myślę, że powinieneś jej darować. W końcu w niewoli była, wycierpiała już co swoje. Wygląda na łagodną i spokojną pannę – kontynuował Eilig.

Cierpiąca Brice? Jakoś nie umiał sobie tego wyobrazić. A jeszcze bardziej łagodnej i spokojnej. Ale nie mógł z nimi o tym rozmawiać. Jeszcze zinterpretowałyby coś niewłaściwie.

– Nie myślałem o niej i na razie nie podjąłem żadnej decyzji – stwierdził chłodno. Nagle obaj odwrócili głowy. Jeden gapił się teraz w niebo, drugi natomiast w ziemię.

– Tak właśnie podejrzewaliśmy, że wcale o niej nie myślałeś. Widzieliśmy, iż walką bardzo byłeś zajęty – wydusił po chwili Eilig, starając się mówić w miarę spokojnie.

Blane patrzył na nich groźnie. Coś mu tu nie grało, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, ujrzał biegnącego w ich stronę Roslina, którego gonił Tormod. W jednej chwili zalała go fala złości.

– Blane! – zawołał Roslin, a on ruszył w jego kierunku. Zaraz za nim dobiegł Tormod.

– Panie, ona niewinna! – wrzeszczał jak opętany, a Blane zacisnął dłonie w pięści, wyobrażając sobie, że trzyma je na jej szyi. Teraz miał pewność, że głupia dziewczucha nie poczekała na niego w komnacie.

– Co się stało?! – zagrzmiał, mając tysiące myśli w głowie.

Tylko jednego był pewien. Jeśli chodziło o Tormoda, to „niewinna” mogła być tylko jedna osoba.

– Zaszło nieporozumienie! – darł się jak opętany i przyspieszając, wyminął Roslina, a właściwie odepchnął go, sprawiając, że tamten wylądował w błocie. Od razu poderwał się gwałtownie i spojrzał wściekle na oszalałego Tormoda, ostatkiem sił powstrzymując się, żeby nie złapać go za chabety.

– Co zrobiła tym razem?! – wysyczał Blane.

– To wina kowala! – oświadczył Tormod bez namysłu. – Ona nic nie zrobiła – zaręczył z przejęciem.

Blane nie miał już zamiaru słuchać rozgorączkowanego chłopaka. Zdawał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Niewinna dla Tormoda była na pewno Brice, a jeżeli wyszło nieporozumienie z kowalem, to któreś z nich na pewno zostało poszkodowane. I jakoś nie sądził, aby wina leżała po stronie kowala.

Odepchnął Tormoda, który próbował jeszcze zagrozić mu drogę, lecz był bezsilny. Podbiegł do stojącego obok konia i bez wahania wskoczył na niego, chcąc dostać się na miejsce jak najszybciej.

– Ale to mój koń – zaprotestował oniemiały Eilig.

– Jemu to powiedz – stwierdził Ossian, wpatrując się w galopującego Blane’a, który już po chwili zniknął im z oczu.

## Rozdział 21 Niewinna



Gdy dojechał, ujrzał kilkoro ludzi stojących na dziedzińcu. Intuicyjnie skierował się właśnie tam.

Zeskoczył z konia i puścił wodze, po czym szybkim krokiem podszedł do zgromadzonych i gwałtownymi ruchami utorował sobie drogę.

To, co zobaczył, wprawiło go w takie zdumienie, że przez moment zastanawiał się, czy przypadkiem nie ma halucynacji. Całkowicie umazana błotem Brice okładała kowala, który próbował ją od siebie odepchnąć. Oboje byli bardzo zaangażowani w tę przepychankę.

*Czy ona próbowała wsadzić mu wiadro w dupę, tak jak zapowiedziała?* – Ta myśl niespodziewanie przyszła mu do głowy. Spór musiał trwać już jakiś czas, gdyż oboje cali pokryci byli błotem, co świadczyło o tym, że prawdopodobnie tarzali się w nim jak dwa kundle.

Brice klęczała, a kowal, osłaniając się rękami, kucał.

Blane patrzył na szarpiącą się dwójkę zaskoczonym wzrokiem.

– Panie, ona niewinna! – Doszło do jego uszu, co nieodmiennie świadczyło o tym, że Tormod przybywał właśnie z odsieczą.

Okrzyki sprawiły, że zarówno kowal, jak i Brice spojrzeli w jego stronę i ujrawszy Blane'a, gwałtownie poderwali się z ziemi.

– Mogę to wszystko wytłumaczyć – rozległ się wzburzony głos Brice.

– Ona zaczęła – wypowiedział się Clach, na którego twarzy ujrzał lęk.

Brice, słysząc te słowa, spojrziała na kowala ze złością i ponownie zaczęła okładać go pięściami.

– Co tu się dzieje, do czorta!?! – wrzasnął i jednym spojrzeniem obrzucił zgromadzonych gapiów, co wystarczyło, żeby nagle gdzieś zniknęli, wiedząc, że Blane w gniewie stawał się Zwierzem. Z nim pod żadnym pozorem nie chcieli mieć do czynienia.

– Nic takiego – odpowiedzieli jednocześnie i wyjątkowo zgodnie, a to sprawiło, że zdenerwował się jeszcze bardziej. Co tu się wyprawiało?

– Zaszło nieporozumienie. – Usłyszał zdyszany głos Tormoda i już za moment chłopak stanął między nim a Brice. Czy cokolwiek mogło rozdrażnić go jeszcze bardziej?

– Co to za nieporozumienie? – Starał się mówić spokojnie, choć nie był w stanie powstrzymać emocji.

– Jakie nieporozumienie? – Ponownie Clach wraz z Brice byli jednomysłni w wypowiedzi, co zaczynało wyglądać coraz bardziej podejrzanie.

– Panie... – zaczął Tormod, który już wyjątkowo działał mu na nerwy.

– Tak, wiem! To twoja wina! Ale teraz zjeżdżaj stąd, pókim dobry! Chyba że chcesz, abym kazał cię wychłostać! – wrzasnął.

– To nie jego wina! – krzyknęła Brice, na którą momentalnie przeniósł wzrok.

– O! Więc jednak ktoś jest winny. Może powiesz mi zatem kto? – warknął. Odepchnawszy Tormoda niczym małego psiaka, przysunął się do niej.

Widział na jej twarzy wściekłość. Podparła się ramionami pod boki jak prawdziwa sekutnica i zadzierając wysoko głowę, wpatrywała się błyszczącymi od nadmiaru pasji oczami. Dziewczyna, którą miał jeszcze tej nocy, gdzieś zniknęła.

– Ja! – Tym razem zgodni byli zarówno Tormod, jak i Clach. I o ile wyznanie Tormoda wcale go nie zdziwiło, to słowa kowala, którego jeszcze przed momentem okładała Brice, nieco wytrąciły Blane'a z

równowagi.

– Jeżeli któryś z was nie powie mi zaraz, co tu się stało, to zawlokę ją za kudły i wrzucę do lochu. – Miał przeczucie, że to pomoże i się nie pomylił.

– Pani Brice upadła w błoto – zapewnił kowal.

– Tak! Sam to widziałem – zawtórował mu Tormod, a Blane zaczerpnął głęboko powietrza, chcąc kontynuować, ale Brice była szybsza.

– Nie twoja sprawa! – wrzasnęła. – Dyskutowaliśmy tu sobie kulturalnie jak normalni, cywilizowani ludzie! A ty przyłazisz i wtrącasz się nieproszony do rozmowy, ty...

– Ty bezczelna...

– Jest niewinna! – zawył Tormod.

Miał ochotę ją rozerwać na strzępy, jednak gdy usłyszał Tormoda, sam już nie wiedział, na kogo jest bardziej zły. Myślał o niej cały czas podczas treningu. Myślał, że go usłuchała, przynajmniej tak sobie to tłumaczył. Gdy ujrzał biegnącego z Roslinem Tormoda, wiedział już, że była nieposłuszna. Lecz tego, co tu zastał, nigdy w życiu by się nie spodziewał, a na domiar złego tych dwóch kretynów wtórowało sobie teraz w zapewnianiu o jej niewinności.

Najbardziej zadziwił go Clach. Kowal to rozsądny i poważny człowiek, a teraz zachowywał się prawie tak samo histerycznie jak Tormod, choć Brice jeszcze przed momentem okładała go pięściami.

Miał ochotę ukarać całą trójkę, ale nie mógł tego zrobić, bo nawet nie wiedział, co spowodowało tę burdę. Choć instynkt dosłownie wrzeszczał do niego, że powodem jest wpatrzona w niego wojowniczym wzrokiem, umazana po same uszy błotem, błękitnooka blondynka. Zdawał sobie sprawę z tego, że szantaż nie przyniesie skutku, bo tych dwóch idiotów byłoby gotowych przyjąć na siebie winę. Nagle usłyszał głośny śmiech i dostrzegł stojącego za nim Bothana.

– Nie patrz tak na mnie, ja niczego nie widziałem – powiedział ze śmiechem przyjaciel. – Jestem niewinny, panie – zakończył, przedrzeźniając Tormoda, a Blane miał ochotę wrzasnąć. Ujrzał idących w ich stronę pozostałych mężczyzn, a to trochę skomplikowało całą sprawę.

– Co tu się dzieje, Roslin? – zażądał wyjaśnień, gdy tylko chłopak podszedł do nich wystarczająco blisko.

– Ja...

– On niczego nie widział! – wrzasnęły trzy głosy naraz. Blane poczuł, że dosłownie za moment eksploduje.

– Tak jest – stwierdził Roslin, przyglądając się uważnie Brice, która nagle zaczęła robić do niego jakieś dziwne miny. – Dopiero przyszedłem i zdaje się, że oni... – zaczął, patrząc uważnie na dziewczynę i czekając na to, co powie.

– Upadłam w błoto. – Jej głos był bardzo stanowczy.

– Tak właśnie to wyglądało – przyznał chłopak, szeroko się uśmiechając. – A Clach...

– Pomagałem jej wstać – podpowiedział kowal.

– Dokładnie tak było – stwierdził Roslin, a Blane z desperacją pomyślał, że nie może ich wszystkich wtrącić do lochu. Z pomocą przyszedł mu jak zwykle niezawodny Bothan.

– Jak widzę, utrudziłeś się na placu, choć miałem początkowo nadzieję, że zrobisz to gdzie indziej, lecz widocznie tam czułeś się lepiej. Twoja rzecz – rzekł, podchodząc do niego i poklepał go po ramieniu.

– Bardzo się utrudził. – Usłyszeli Ossiana.

– Jeszcze moment i byłby zabił chłopaka, z którym trenował – parsknął Eilig, spoglądając znacząco na Bothana, co sprawiło, że ten zrozumiał, iż ci dwaj prawdopodobnie domyślili się, co sprawiło Blane'a w euforię.

– W takim razie może powinniśmy udać się na wieczerzę. Bradana kazała przybyć jak najspieszniej – ogłosił, chcąc jak najszybciej zabrać ze sobą Blane'a, którego dziki wzrok niezbyt dobrze wróżył. Tym bardziej że wymieniał spojrzenia z Brice, a ona w niczym mu nie ustępowała.

– Jak widać, nieporozumienie już się wyjaśniło. Clach pomógł podnieść dziewczynę, więc ze spokojną głową możemy zamoczyć gardło, Blane. Po takim długim treningu jesteś pewnie utrudzony – stwierdził Eilig, a Blane poczuł złość.

Wcale nie chciał iść do Calda House. Prawdę mówiąc, jedyne, o czym teraz marzył, to złapać tę złośnicę i zaciągnąć nad jezioro, a później wrzucić do wody. Właściwie nie miałby nawet nic przeciwko



temu, aby samemu orzeźwić się w chłodnych falach Loch Assynt. Niestety nie mógł dać po sobie tego poznać. Najważniejsze, żeby oni czegoś głupiego nie dopowiedzieli. Jeszcze mogli pomyśleć, że chciałby zostać z tą dziewczyną, a to nieprawda. Po prostu pragnął w jakikolwiek sposób ją ukarać, jeszcze nie wiedział jak, ale na pewno coś by wymyślił.

Przecież nadal jego zamiary były takie same. Obraziła go, podniosła na niego rękę, musiała ponieść konsekwencje. Jeszcze nie wiedział, na jakie tortury się zdecyduje, ale miał wszelaki wybór. Przy okazji zabawi się z dziewczyną, to normalne. Robił tak każdy. Musiał zebrać się jakoś w sobie i zostawić ją tu samą.

– Morven już powrócił? – zapytał nagle, zupełnie zbijając z tropu Bothana, który gapił się teraz na niego zaskoczony.

– Jest w Calda House – pospieszył z wyjaśnieniem Roslin. – Dopiero przybył. Czy mam po niego posłać?

– Nie! – krzyknął Blane, może zbyt gwałtownie.

– Po cóż ci potrzebny Morven? – dociekał Bothan.

– Blane nakazał, aby mój syn trzymał się z dala od zamku – wyjaśnił Ossian, uśmiechając się półgębkiem. – I od wszystkich jego mieszkańców – dodał znacząco, a Bothan ledwie powstrzymał się przed parsknięciem.

– To by sporo wyjaśniało – powiedział, starając się zachować poważny wyraz twarzy.

– Po tym, jak zachowuje się twój syn, chyba mu się nie dziwisz – stwierdził dyplomatycznie Eilig.

– Oczywiście. Sam miałem mu to powiedzieć. Musi wprawdzie zasłużyć na szacunek i odzyskać zaufanie – oznajmił Ossian.

– Ale w sensie, że co on zrobił? – zaciekawiła się Brice, sprawiając, że twarz Blane'a w jednej chwili nabrała purpurowego odcienia.

– Brice, poprosiłem Unę, aby nagrzała wody dla ciebie, zapewne będziesz potrzebowała się odświeżyć – powiedział Bothan, po czym spojrzał na nią znacząco. Wiedział, że jest bystra, od razu się domyśliła, że nie powinna drażnić tematu.

– Istotnie – stwierdziła. – Nieco się ubrudziłam.

– Nieco? – warknął Blane. – Wyglądasz jak prosię, które tarzało się w chlewie – zarzucił. Odwróciła się do niego gwałtownie i niespodziewanie przytuliła, na co zamarł, zupełnie tym zaskoczony. Zdziwili się również stojący obok mężczyźni.

– Jak widzisz, również i ty przypominasz teraz prosiaka – stwierdziła rezolutnie, odsuwając się od niego. – Jezioro masz blisko, zanim wrócisz, możesz nieco się ogarnąć. Woda jest co prawda zimna, ale taki waleczny partyzant jak ty powinien sobie z tym poradzić. Nie zapomnij tylko zostawić miecz na brzegu, bo w wodzie dużo nim nie zwojujesz.

– Partyzant? – zapytało kilka głosów naraz, a ona pomyślała, że to jeszcze nie te czasy, jednak nie miała już siły niczego im tłumaczyć. Musieli tym razem pogłórkować sami.

– Zwał, jak zwał. – Uśmiechnęła się. – Życzę miłej wieczery. Dobranoc panom – dodała. Odeszła, zostawiając całe męskie zgromadzenie z ogłupiałymi minami.

– Partyzant? – zapytał Eilig, patrząc na Blane'a, ponieważ to do niego tak się zwróciła. – Kto to jest partyzant?

– To ktoś mężny i waleczny – zaryzykował, odzyskując głos.

Prawdę mówiąc, nie miał zielonego pojęcia, o czym ona bredziła i nawet nie wiedział, jak się zachować. Ta idiotka przytuliła go przy jego ludziach.

Powinien ją za to przykładowo ukarać już w tym momencie. Nie mógł pozwolić sobie na podobne zachowania. To było niedopuszczalne.

*Głupia dziewczucha* – pomyślał ze złością.

– Chodźmy – nakazał chłodnym tonem i ruszył przed siebie.

– Może dziś powinieneś darować sobie wieczery – rzucił cicho Bothan, który przyspieszając, zrównał się z Blane'em, pozostawiając w tyle resztę mężczyzn.

– Każę zakuć ją w dyby – wymruczał z wściekłością Zwierz.

– Ale my nie mamy dyb – parsknął śmiechem Bothan, widząc zaciętą minę przyjaciela, który odwróciwszy się do tyłu, przystał i sapnął ze złością.

– Tormod! – wrzasnęła rozdzierająco na chłopaka nadal stojącego w tym samym miejscu i zerkającego

w stronę wejścia do zamku. – Chodź tu natychmiast!

– Może powinniśmy na niego wołać: „Panie, ona niewinna” – zaproponował Eilig, a zaraz później rozbrzmiał śmiech reszty idących mężczyzn. Ze złością zdjął koszulę i odrzucił ją na ścieżkę, pozostając jedynie w kilcie.

– Każę je zbudować – mruknął, a Bothan nie miał pojęcia, o czym mówi. Po chwili dotarło do niego, że Blane kontynuuje temat nieszczęsnych dyb.

– Jeżeli nakażesz Clachowi, to nie mów mu tylko, kogo chcesz w nie wsadzić – powiedział ze śmiechem.

– Jeżeli nie zamilknie, będziesz pierwszym, który je wypróbuje – odparł, głośno wzdychając.

Musiał koniecznie uspokoić nerwy. I tak wszystko wyglądało podejrzenie, chociaż w zasadzie nie powinno, ponieważ zachowywał się całkiem normalnie. Jednak dla pozorów powinien jeszcze bardziej się postarać. Z takim zamiarem zasiadał za stołem. Czynił wysiłki, by zachowywać się swobodnie, choć krzesło aż parzyło, próbując skłonić go, aby wstał i odszedł. Jednak był naczelnikiem klanu, miał obowiązki i nie mógł pokazać swoim ludziom żadnej, nawet najmniejszej słabości. Pił, jadł, rozmawiał, żartował, śmiał się. Sprawiało mu to co prawda sporą trudność, lecz tylko Bothan to widział, ponieważ jako jedyny trafnie odczytywał jego emocje. Po kilku godzinach mordegi wyszedł wreszcie, udając, że robi to niechętnie.

– Widzisz! – zwrócił się gromko Eilig do Ossiana. Obaj mieli już dobrze w czubie. – Zwierzowi żadna dziewczka nie zawróci w głowie! Nawet tak temperamentna jak ta francuska kocica!

\*\*\*

Gdy Blane wszedł do sypialni, ujrzał śpiącą dziewczynę i przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien przespać się gdzieś indziej. Był tak naładowany testosteronem, że wszystko się w nim gotowało na widok Brice. Podeszedł do łóżka, a potem przyglądał się jej przy słabym świetle świecy. Nie zamierzał jej budzić. Lecz zaraz zamrugła, a później gwałtownie się poderwała.

– Jesteś bardzo zły? – zapytała pospiesznie. Odstawił świecę i ująwszy ją za dłoń, pociągnął ku sobie. Zaskoczona jęknęła.

Gdy stopy dotknęły ziemi, zadrżała. Bez słowa złapał materiał płóciennej koszuli, po czym go rozdarł. Dostrzegł na jej twarzy zaskoczenie, a w oczach dziki blask, co jedynie podsycało w nim testosteron, którym napakowany był od chwili, kiedy widział ją ostatnio.

– Milcz – napomniął, zauważając, że otwiera usta. – Teraz będę cię kochał. Mówić będziesz później.

Co on takiego w sobie miał, że wystarczyło jedno jego spojrzenie, żeby jej krew szybciej krążyła? Była pewna, że gdyby obdarzył kogoś groźnym wzrokiem na ulicy Nowego Jorku, we współczesności, to wzbudziłby jedynie postrach. A ona, patrząc w te pociemniałe z gniewu oczy, czuła szaloną ekscytację. Czy to forma masochizmu?

Zachowywał się jak podczas ich pierwszego spotkania, które nie przebiegło w zbyt sympatycznej atmosferze. Teraz był równie gwałtowny i bezceremonialny. Pomyślała nawet, że zafunduje jej powtórkę, lecz ją zaskoczył. Pomimo całej tej natarczywości, był dla niej w przedziwny sposób delikatny. To zdecydowanie oraz stanowczość przyprawiły ją o obłęd, a jednoczesna czułość burzyła krew w żyłach. Ten facet to chodząca skrajność.

Ująwszy ją za pośladki, szybkim ruchem posadził na komodzie i gwałtownie rozsunął nogi, aby patrząc w jej przerażone oczy, uspokoić jej spojrzenie. To było trochę zaskakujące, ale jedyne, czego teraz pragnął, to sprawić, by poczuła się komfortowo. Przepęlny gwałtownymi uczuciami, pragnący ją pojąć, równocześnie chciał zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa.

Sunął delikatnie dłonią po wewnętrznej stronie jej ud. Skóra Brice była tak niesamowicie delikatna, że już sam kontakt z nią sprawiał, iż miał dreszcze.

Zaciskał szczękę, wpatrując się, jak odchyła głowę, robiąc mu miejsce na delektowanie się jej aromatem. Słyszał, jak jej oddech przyspiesza, gdy poczuła na sobie jego usta, aby już po chwili zrównywać się z ruchami jego dłoni, które dawały jej przyjemność.

W jednej chwili żywił wobec niej nieprawdopodobną czułość, by już za moment coś kazało mu ją gwałtownie szarpać, przyciągać, dotykać, odpychać, sprawiać, że huśtawką emocji doprowadzał ją do szaleństwa. Jednak wszystko to robił tak niesamowicie delikatnie, że sam nie potrafił uwierzyć w to, co się dzieje. Czasem miał wrażenie, jakby ktoś inny kochał ją za niego.

– Blane... – Usłyszał nasycony erotyzmem szept i poczuł jej dłonie na swoich ramionach. Wtedy jego mięśnie napięły się jeszcze bardziej, a to wydawało się niemożliwe.

Wbijiała niecierpliwie paznokcie, drapiąc jego skórę, przyciągając zachłannie do siebie. On czuł jedynie pożądanie, z każdą chwilą coraz większe, coraz bardziej niszczące. Zachowywała się jak w amoku, każdym ruchem pobudzając go coraz mocniej. Chyba nawet nie była świadoma tego, jaki wywiera na niego wpływ.

Kochać ją, pieścić, smakować, dotykać, wszystko to naraz, jeden ogromny gejzer emocji. Tego pragnął i była to granicząca z obłędem żądza. Jej dłonie zsunęły się powolnym ruchem po jego piersi, a on patrzył na nią nieustępliwym wzrokiem. Poczul, jak nieporadnymi ruchami odpina klamrę u jego pasa i miał ochotę wrzeszczeć, żeby robiła to szybciej. Po chwili stał przed nią nagi, sycąc się widokiem błysku w jej oczach. Nie potrafiła ukryć wrażenia, jakie na niej wywierał. Gotowy na nią, oczekujący na jej ruch niczym zawodnik na sygnał startu. Przyglądał się, jak na niego patrzy i samo to doprowadzało go do obłędu. Jak się zachowa? Nie potrafił dłużej wytrzymać jej zniewalającego wzroku, którym tak dotkliwie go zdobywała, smagając spojrzeniami jego nagie ciało. *Co ona ze mną robi, do diabła?* – pomyślał rozpalony do białej gorączki.

Odwrocił ją i przyciągnąwszy gwałtownie do siebie, naparł na nią, przygniatając ciałem do komody. Jego dłonie dotarły między jej uda zbyt szybko, zbyt natarczywie. Nie panował nad sobą i poczuł gwałtowne szarpnięcie. Przypomnił sobie noc ich pierwszego spotkania.

– Nie – szepnęła zdławionym, drżącym głosem, a on natychmiast wypuścił ją z uścisku.

Gdy tylko odwróciła się do niego, w jej błyszczących oczach ujrzał zaufanie, a to sprawiło, że coś w nim zadrżało. Poczul ulgę.

– Nie będziesz mi mówiła...

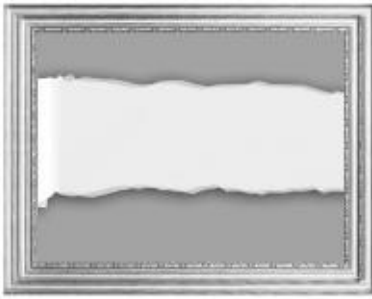
– Jeszcze nie teraz – dokończyła miękko głosem. Bez ceregieli uniósł ją w górę i opuścił delikatnym ruchem wzdłuż swojego ciała, dostając się w nią nieoczekiwanie.

Widział jej zamglone spojrzenie, gdy czuła, jak się w nią wsuwa. Jęknęła, po czym odrzuciła w tył głowę, jednocześnie wbijając dłonie w jego ramiona. Chłonał ją spojrzeniem i wtedy poczul... Poczul troskę... Ona była inna. Nie umiał tego wytłumaczyć, ale była w jakiś sposób wyjątkowa. Miał wręcz bolesną świadomość, że choćby przeszedł cały świat, nie znalazłby nawet namiastki Brice w jakiegokolwiek kobiecie.

Chciał nią oddychać, zatrzymać w sobie każdy dźwięk, jaki wydawała, zlizywać z niej ostatnią cząsteczkę jej spełnienia. Pragnął oglądać, do czego doprowadzały ją jego wymyślne pieszczoty. Był niczym demon, który chciał mieć nad nią władzę absolutną, być jedynym, który może wydobywać z niej ten ogień, jakim teraz spalała ich oboje.

– Niewinna... – wyszeptał, wsłuchując się w jej miarowy oddech, kiedy był już pewien, że zasnęła.

## Rozdział 22 Porozumienie



Leżeli na sianie bez słowa. Panowało niezręczne milczenie. Nie wiedział, co teraz zrobić i jak zareagować. Co miał powiedzieć, żeby jej nie urazić albo nie rozzłościć? Spojrzał na nią w sekundzie, gdy i ona na niego popatrzyła.

– Nie – stwierdzili jednocześnie, a po chwili roześmiali się głośno.

Odetchnęła z ulgą. Kiedy przyglądał się jej z taką fascynacją w oczach, zrobiło się jej gorąco. Przystojny, niegłupi oraz bystry. Walczył zręcznie i zaimponował jej opanowaniem oraz dystansem.

Kiedy zaczął ją całować, poczuła pragnienie, lecz już za moment ogarnęło ją dziwne uczucie. Nie był facetem, z którym chciała, aby coś ją połączyło. Pocałunek szybko przerodził się w zwykłą czułość bez żadnych emocji. Coś bardzo machinalnego. Po wszystkim leżeli na sianie i w milczeniu gapili się w strop stodoły. Nie chciała sprawić mu przykrości. Odetchnęła, gdy rozpoznała w nim taką samą rozterkę.

– Jak się dowiedziałas?

No tak, mogła się tego spodziewać, sama na jego miejscu chciałaby to wiedzieć jako pierwsze.

– Najpierw interesy – odparła rezolutnie. Oparłszy się na łokciu, zerknęła na niego byстрым wzrokiem.

– Brzmi interesująco. Kontynuuj zatem, ja chętnie posłucham. W zasadzie nie pozostaje mi nic innego – stwierdził z przekąsem. Był już teraz bardziej zaintrygowany całą tą sprawą niż zaniepokojony.

– Nie masz zamiaru starać się o moją rękę? – zapytała, a on westchnął zniecierpliwiony. – Muszę mieć pewność – dodała po chwili nieustępliwym głosem.

– Nie, Vanoro MacCallum, nie mam zamiaru starać się o twoją rękę. Jesteś brzydka, głupia i nie umiesz się całować, ale jeżeli ci to odpowiada, to szukam parobka, więc ewentualnie mógłbym przemyśleć twoją kandydaturę... – Nie dała mu dokończyć i z całej siły uderzyła go pięścią w ramię.

– Ja natomiast mam wolny etat przyjaciela, gdyby cię to interesowało – oznajmiła ze śmiechem. – Jeżeli oczywiście obiecasz mi, że nie będziesz chciał zostać moim mężem i pomożesz mi pozbyć się tego całego Louisa. Nie mam zamiaru wychodzić za Francuza. – Zerknęła na niego pospiesznie, wzruszając ramionami. – Bez urazy oczywiście.

– Oczywiście. – Okazało się, że Vanora była dla niego zupełnym zaskoczeniem.

– Nie napawa mnie szczęściem cały ten mariaż, ale zbyt wiele do gadania nie mam – wyznała chłodno.

Czuł to samo.

Pomimo że ona o tym nie wiedziała, tkwił w identycznej sytuacji. Czy powinien jej to wyznać? Odkryła już, kim jest, ale nie znała szczegółów. Czy powinien zawracać jej głowę swoimi problemami, gdy ona zmaga się z poważniejszymi? Młoda dziewczyna, którą w życiu spotykały jedynie nieszczęścia, a i teraz nie było tam wizji na radosny związek. Czy w ogóle mógł jej jakoś pomóc?

– Doskonale cię rozumiem. – Słyszając to, spojrzała na niego uważniej.

Patrzył na nią spokojnym, opanowanym i ciepłym wzrokiem, w którym odnajdywała tak wiele inteligencji oraz przenikliwości.

Dostrzegła tam coś, czego nie potrafiła rozpoznać wśród przyjaciół z klanu. Nie umiała tego wytłumaczyć, po prostu czuła, że faktycznie ten mężczyzna ją rozumie. Skąd się to wzięło? Musiała jeszcze wiele spraw sobie z nim wyjaśnić, a to przedziwne wrażenie pojawiało się znikąd.

– Powiedz mi, skąd ta maskarada? – zapytała. Nie zorientował się, o co jej chodzi. – Dlaczego

udajesz ambasadora? Tak po prostu dla żartów? – uściśliła.

Widział na jej twarzy wzburzenie. Czy faktycznie tak to odbierała? W zasadzie mogła w ten sposób to widzieć.

– Nigdy nie śmiałybym żartować ani z ciebie, ani z twych bliskich, Vanoro – oświadczył spokojnym głosem.

– Więc dlaczego? – nalegała.

– Chciałem, aby widziano we mnie człowieka. Nie markiza, lecz po prostu Gastona. Jako ambasador miałem na to większe szanse. Im wyższy tytuł, tym większy dystans – przyznał rozbrajająco, a ona po chwili się roześmiała. – Niezmiernie cieszę się twoją radością, Vanoro – stwierdził z przekąsem, zastanawiając się, czy postąpił dobrze, mówiąc jej o tym.

– Myślę, że w tej sytuacji parobek byłby jednak najlepszą opcją – odparła, uśmiechając się szeroko, a on westchnął.

– Vanoro MacCallum, obiecuję ci, że jeżeli natychmiast nie przestaniesz stroić sobie ze mnie żartów, udam się do twojego ojca i złożę mu ofertę matrymonialną – ostrzegł, puszczając do niej oko, a ona roześmiała się głośno.

– W takim razie, drogi ambasadorze de Ponton-a-Mousson, oferuję ci miejsce między śmierdzącymi opojami i moją przyjaźń. Ale w zamian chcę od ciebie, abyś...

– Bez obawy, nie musisz się lękać Louisa. Gdy pozna cię lepiej, zaniecha swych starań. Tego jestem pewien, Vanoro – zapewnił, uśmiechając się przekornie.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że rzadko któremu mężczyźnie udałoby się nadażyć za tą żywiołową, pełną werwy brunetką.

Nawet i on sam miałby trudny orzech do zgryzienia. Wyszczekana, piękna, inteligentna oraz wojownicza. Będzie stanowiła z pewnością ogromne wyzwanie dla każdego naczelnika klanu, który pojmie ją za żonę.

– W zamian chcę, abyś pomógł mi zdobyć męża. Zamierzam wybrać go sobie sama – oświadczyła stanowczo, a on zerknął na nią zaintrygowany. Tego się nie spodziewał.

– Co takiego dokładnie masz na myśli? – zapytał, przyglądając się jej z uwagą.

– Ojciec będzie nalegał na naczelnika klanu MacLeod, a z pewnych powodów nie będę mogła temu człowiekowi odmówić – wyjaśniła ponurym głosem.

– Tak, wiem, Vanoro. Jego ojciec pomógł wam, kiedy zaatakował was inny klan – oświadczył łagodnym tonem, przyglądając się, jak na jej twarzy pojawia się smutek, który po chwili zastąpiła irytacja.

– Powinam poucinać im wszystkim języki – mruknęła, uświadamiając sobie, że prawdopodobnie jej przyjaciele doskonale poinformowali go już w każdym temacie.

Choć w tym przypadku to chyba nawet lepiej. Teoretycznie wyręczyli ją z opowiadania o sprawie, którą chciała już na zawsze wymazać z pamięci.

– Mam z nim walczyć? – zapytał zaskoczony.

Prawdę mówiąc, brzmiało to cokolwiek dziwnie, a on nie rwał się do walki z kimkolwiek. Dziewczyna też nie wyglądała na kogoś, kto prowokuje tego typu sytuacje. Jednak to, co powiedziała, brzmiało jednoznacznie. Ale o co tak naprawdę mogło jej chodzić? Wiedział, że mogła liczyć na jego pomoc w każdej sytuacji, lecz nie chciał wdawać się w żadne konflikty. Nie należał do ludzi gwałtownych. Pomimo iż większość życia spędził na polu bitewnym, w nieskończonych bataliach, był kimś, kto wolał inteligentne potyczki, niekoniecznie oparte na walce wręcz.

A Blane MacLeod jawił mu się raczej jako nieogarnięty Szkot, który urodził się i umrze z mieczem w dłoni.

Człowiek nazywany Zwierzem nie mógł być taktycznym wojownikiem. Gastona poniekąd ciekawiło spotkanie z tym mężczyzną, choć nie pałał do niego zbyt wielką sympatią. Głównie za sprawą Vanory.

– Odbija ci? – Odetchnął. Jeszcze nie wiedział, o co dokładnie jej chodziło, więc teoretycznie wszystko było możliwe. – Nie mam pojęcia jak, ale chciałabym, aby Blane MacLeod zaniechał starań o mą rękę.

– Może kiedy lepiej pozna ciebie i twoje urocze usposobienie, to...

– Nie w tym przypadku – przerwała mu, domyślając się, co chciał powiedzieć. – On nie jest kimś pokroju Louisa. On zjada takich na śniadanie i nawet moja czarująca osobowość nie zraziłaby go, gdyby

uparł się połączyć nasze klany, a jest taka potrzeba z obu stron, więc w tym przypadku wszystko jest możliwe.

– W takim razie...

– Czy spróbujesz mi pomóc? – zapytała, ponownie wchodząc mu w słowo. Uśmiechnęła się na widok jej przejętej miny.

Naprawdę nie chciała wychodzić za tego człowieka. Wyglądała przy tym na dość zdesperowaną, co w jej przypadku było raczej niespotykane. Zawsze zawadiacka i łobuzerska, teraz przypominała zapędzoną w kozi róg. Gdzieś między poczuciem obowiązku a pragnieniem, by nie dostać się pod kopyta galopującego konia. Czy Zwierz mógł ją ujarzmić? Czy był w stanie zniszczyć jej niesamowitą osobowość? Gaston nie miał innego wyjścia – musiał jej pomóc.

– Vanoro MacCallum, zrobię wszystko, aby twym mężem nie został Blane MacLeod, sam również nim nie zostanę – oświadczył uroczyście. – Czy mogę w takim razie liczyć na przyjaźń oraz miejsce między śmierdzącymi opojami?

– Tak, ale teraz mamy inny kłopot – dodała pospiesznie, zupełnie zbijając go z tropu.

– Kłopot? Jaki kłopot? – Dziewczyna sama w sobie wydawała się jednym wielkim kłopotem.

– Mojego ojca – przyznała, ciężko wzdychając. Zmarszczył czoło, wpatrując się w jej niepewną minę.

– Mogłabyś powiedzieć cokolwiek więcej? – zapytał, przeczuwając, że coś nie jest w porządku.

– Chciał ze mną rozmawiać o markizie, twierdząc, że coś jest z nim nie tak – wymruczała pośępnie. – W każdym razie nie mam pojęcia, o kogo mu chodziło. Czy o Louisa, czy o ciebie. Ode mnie niczego się nie dowiedział, więc albo twój francuski znajomy z czymś się wygadał, albo chodzi o coś jeszcze innego i, szczerze mówiąc, nie wiem o co, ponieważ wpierw wolałam załatwić sprawę z tobą.

– Przyznaj się, że po prostu nie miałaś pewności, czy zdradzić moją tożsamość, zanim nie sprawdzisz, czy będzie ze mnie jakiś pożytek – powiedział ze śmiechem, a ona zmarszczyła czoło.

Zmartwiło go to, co od niej usłyszał, lecz nie widział już innego wyjścia. Musiał stawić temu czoła. Liczyło się dla niego przede wszystkim to, że Vanora wie o wszystkim, a mimo to traktuje go po przyjacielsku. Miał również nadzieję, że jeżeli prawda wyszłaby na jaw, to Luthias i reszta jego nowych znajomych obije mu mordę, zamiast potraktowania go jak utytułowanego szlachcica, którym się nie czuł.

– Po prostu chciałam sobie załatwić odpowiedniego męża – wyjaśniła dziewczyna, głupio się przy tym uśmiechając.

– Wracając do tematu: czy wybrałaś już kogoś konkretnego? – zapytał.

– MacMillan byłby idealny. Jest tępy jak but. Głupi i zupełnie nieświadomy, co się wokół niego dzieje. Ale ojciec wyraża sprzeciw właśnie z tego powodu – stwierdziła, wzdychając ciężko.

– W zasadzie wcale mu się nie dziwię – przyznał, wyjmując z jej włosów słomę, na którą oboje znacząco popatrzyli, a później parsknęli głośnym śmiechem.

Cieszyło go to, że do niczego między nimi nie doszło, ponieważ gdyby posunęli się o krok dalej, ich przyjaźń nie byłaby możliwa.

Ani on, ani tym bardziej Vanora, nie byli ludźmi, którzy dobrze czuliby się w takiej niezręcznej sytuacji. Mieli zbyt jasne umysły, zbyt szerokie horyzonty, waleczne, gorące serca, którymi mogli ogrzać kogoś innego lub spalić się nawzajem.

– Potrzebuję męża, któremu będzie się wydawało, że ma na cokolwiek wpływ. Będę nawet dla niego miła – oświadczyła rozbrajająco, a on parsknął śmiechem. – Przynajmniej się postaram – dodała zadziornie. Tak, to było jej typowe podejście.

– Czuję, że będziesz musiała bardzo się przy tym starać. Mam na myśli bycie miłą – stwierdził, a ona obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

– MacFarlane. Chcę jego – zdecydowała po chwili, pewnym siebie głosem.

– Czy on też jest głupi? – zapytał Gaston, starając się zachować powagę.

– Jest inteligentnym i spokojnym człowiekiem. Jestem przekonana, że dojdziemy do porozumienia. Jednak jeżeli MacLeod okaże jakiegokolwiek zainteresowanie, ojciec wyda mnie za niego i nie będę wyrażać ku temu sprzeciwu. Gdyby jednak już na wstępie zraził się do mnie, byłoby po sprawie. I ty mi w tym pomożesz. Jeszcze nie wiem jak, ale obiecałeś – powiedziała, mrużąc zabawnie oczy, a Gaston się roześmiał. Tak, mogła być tego pewna: nie istniała siła mogąca go przed tym powstrzymać.

– Nie będzie więcej konkretów? Tylko trzy klany? Myślałem, że będzie ich więcej.

– Będzie, ale pojawią się dopiero na święcie. A Lammas odbędzie się za dwa tygodnie. Dziś dowiedziałam się, że ojciec zaprosił MacLeoda wcześniej i całkiem możliwe, że pojawi się na dniach – rzuciła z przekąsem, a Gaston westchnął.

Sprawa nie wydawała się prosta, głównie ze względu na to, że nie wiedzieli zbyt wiele. Kiedy przyjedzie? Jak się zachowa? Sama Vanora nie miała wielu informacji.

– Bez obawy, zrobię wszystko, aby ten człowiek nie został twym mężem. Prawie wszystko – dodał po chwili.

– Prawie?

– Nie ożenię się z tobą i wolałbym nie stawać z nim w szranki, ponieważ najprawdopodobniej doprowadziłoby to do konfliktu, a to mogłoby stać się jeszcze większym problemem. Poza tym możesz na mnie liczyć w każdej twojej mającej na celu zrażenie go do ciebie zagrywce. Chociaż może byłoby lepiej, gdybyś była po prostu sobą – stwierdził, parszcząc śmiechem, a ona uderzyła go ze złością w ramię.

– Podobno jest głupi i dziki – wymamrotała z niezadowolaniem.

– Przecież chciałaś głupiego męża – oświadczył.

– Są mężczyźni głupi i są mężczyźni głupi – stwierdziła błyskotliwie.

– To wszystko załatwia. – Zrobiła wściekłą minę.

– Patrick MacMillan jest głupi, uwierzy nawet w to, że czarne jest białe, jeżeli przeprowadzi się z nim odpowiednią dyskusję, a to potrafię. Natomiast Blane MacLeod jest uparty i jego nie udałoby mi się kontrolować – wyjaśniła rezolutnie. – Trudno ujarzmić Zwierza – mruknęła pod nosem.

– I chyba właśnie nazwałaś rzecz po imieniu, Vanoro – stwierdził, zamyślając się nad czymś.

– Jednak najważniejsze jest dobro klanu, a on jest dobrym naczelnikiem. Choć wolałabym prowadzić nadal takie życie, które teraz wiodę, a człowiek tego pokroju, co Zwierz, najchętniej widziałby kobietę w miejscach, gdzie ja raczej nie przebywam – wyszemrała pod nosem ze smutną, zrezygnowaną miną.

Wpatrując się w nią, dostrzegł na jej twarzy przygnębienie. Nie mógł jej zostawić z tym samej. Musiał udzielić jej pomocy.

– Nie wiem jeszcze jak, ale poradzimy sobie z tym, Vanoro. Obiecuję ci. Ale teraz byłoby dobrze, gdybyś poszła do swego ojca i dowiedziała się, jaki mamy problem – oświadczył rzeczowo.

– Czy ty w ogóle z nim rozmawiałaś od czasu przyjazdu? – zapytała.

– Jeszcze nie. Wiecznę przełożono, ponieważ źle się poczuł, a dnię spędziłem w inny sposób – wytłumaczył.

– W takim razie idziesz ze mną. Jeżeli jest konkretny problem, to lepiej od razu się z nim zmierzyć. – Zeskoczyła ze słomy, na której leżeli. Gaston bez sprzeciwu poszedł za nią, ponieważ miał dokładnie takie samo zdanie.

## Rozdział 23 Francuski szyk



Gdy wchodzili do komnaty, w której siedział na jednym z foteli jej ojciec, Gaston rozejrzał się wokół w poszukiwaniu Louisa, lecz nie ujrzał nikogo. Jeszcze nie wiedział, czy jest to dobry znak. Jednak teraz ważniejsze było to, co miał do powiedzenia stary MacCallum, a mimo wszystko trochę się tego obawiał.

– Vanoro! – rozbrzmiał głos Ronana. – Przysięgam, że jeszcze jeden dzień z tym francuskim szczurem, a oszaleję.

Gaston i Vanora wymienili zdziwione spojrzenia, po czym podeszli do mężczyzny, spoglądającego teraz na córkę z desperacją. Co tu się mogło wydarzyć? Gaston był coraz bardziej zaintrygowany.

– Co się stało, ojcze? – zaniepokoiła się Vanora.

– Mam dość tego francuskiego gaworzenia. Ten człowiek doprowadzi mnie do zguby, córko. Mówi do mnie i chyba myśli, że go rozumiem, a ja nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Vanoro, zrób coś z nim – błagał zdesperowanym głosem.

– Czy jedynie język jest tu problemem, ojcze? – zapytała, przyklękając przy jego kolanach, a on położył dłoń na jej głowie i czule pogłaskał po włosach.

Gaston dostrzegł, jak niesamowita zmiana zaszła w Vanorze.

Mówiła do starca łagodnym głosem, który zawierał w sobie wiele troski oraz niepokoju. Jakby stała się inną osobą. Nie było już Vanory wojowniczką, teraz miał przed sobą Vanorę: wrażliwą, wręcz subtelną dziewczynę. Zawadiacka łobuziara ustąpiła miejsca jej delikatnej odstonie. Czy to w ogóle możliwe?

– Przyłazi tu z tym martwym zwierzakiem na głowie i gada jakieś farmazony. Nie wiem, czego on ode mnie chce – wypowiedział jednym tchem, a później spojrział na Vanorę błagalnym wzrokiem. – Zrób coś z nim, moja droga córko, zanim sam osobiście nie każę mu...

– Martwym zwierzakiem?! – wykrzyknęli oboje. Gaston pomyślał, że może Louis zwariował.

Był przyzwyczajony do luksusów. Mury zamku Eilean Donan nie mogły się równać z eleganckimi komnatami Wersalu.

– Nosi coś na tej pustej łepetynie – objaśnił utrapionym głosem, a Gaston zmarszczył czoło.

– Czy mógłbyś, panie, powiedzieć coś dokładniejszego? – poprosił. – Czy to zwierzę się ruszało?

– No przecież mówię, że zdechłe jest. Nie śmierdzi jeszcze, ale obawiam się, że jeżeli ten idiota nadal będzie takie rzeczy praktykował, to szybko fetor się tu zrobi – uskarżał się.

Gaston pożałował teraz, że unikał Louisa. Wyglądało na to, że zwariował. Ale dlaczego? Czyżby przez tę zmianę ról? Westchnął, przeczesując nerwowo dłońmi długie włosy. Musiał coś zrobić. Co on mógł nosić na głowie? Może to po prostu futro?

– Ojcze, może to czapka z lisa albo jakiegoś zwierzaka? Trudno uwierzyć, żeby nosił na głowie padlinę – stwierdziła Vanora, patrząc na Gastona z niepokojem. – Czy on wykazywał wcześniej objawy szaleństwa?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł. Teraz sam czuł do siebie pretensje, że wciąż go ignorował.

– Ojcze, jak wygląda to zwierzę?

– Takie białe i z zakreconym futrem. Jeszcze takiego nie widziałem. Może jakiegoś psa ubił. Jeśli to wariat, może będzie chciał go nawet zjeść, ale czemu do czorta na łbie nosi? Nikt mu tu niczego nie ukradnie.

– Panie, czy on przytrzymuje to zwierzę albo coś do niego mówi? – Gaston szukał na oślep. Był już lekko zdesperowany i sam nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Kontynuować rozmowę, czy po prostu



znaleźć Louisa i osobiście sprawdzić, co mu dolega?

– Nie, raczej nic do niego nie mówi, przynajmniej nie przy mnie, ale często je głaszcze. Wygląda na to, że jest z nim bardzo zżyty, nawet z takim martwym – oświadczył, a Vanora gwałtownie podniosła się z klęczek. Wyglądało na to, że ten cały Louis to jednak wariat.

– Gdzie on jest? – zapytała zdenerwowanym głosem.

– Wiecie, ja nawet trochę rozumiem tego człowieka. Miałem kiedyś psa i gdy zdechł, to było mi go naprawdę żal, ale nie nosiłem go na głowie. Jeśli ten Francuz jest szalony i umyślił sobie, żeby go zjeść, to mógł powiedzieć o tym kucharce, ugotowałyby mu to ścierwo. Słyszałem, że tam u siebie żaby jedzą, ale żeby psy zjadać, to już przesada. Może mu trzeba nałapać?

– Psów? – zapytali jednocześnie Gaston i Vanora.

– Jakich psów? – powtórzył, patrząc na nich zdeorientowany.

– Mówiłeś, panie, że trzeba mu czegoś nałapać. Czy chodziło ci o psy? – zapytał Gaston, który stwierdził, że nastał już czas na konkrety, ponieważ będą mieli spory problem z dogadaniem się ze starcem, a sytuacja wyglądała przedziwnie i prawdopodobnie konieczna była szybka interwencja.

– Przecież cały czas wam mówię, że żab. Może wtedy tego zwierzątko zdejmie z głowy – oznajmił. Wówczas skierował spojrzenie na córkę. – Vanoro, czy u nas są żaby? – Dziewczyna popatrzyła na niego poirytowana.

– Tak, ojczu, hodujemy je w ogródku – mruknęła pod nosem i ponownie przyklękła przy mężczyźnie. – Nie martw się, my zaraz wszystkim się zajmujemy.

Gaston kalkulował szybko. Martwe zwierzę na głowie Louisa mogło świadczyć o tym, że albo oszalał, albo nosił czapkę. Jednak staruszek zapał się, a Gaston nie sądził, że człowiek ten nie odróżniłby futrzanej czapki. Jednak martwe zwierzę? Istniało tylko jedno rozwiązanie. Musiał odnaleźć jak najszybciej Louisa i wyjaśnić tę sprawę, zanim stary MacCallum dostanie zawału.

– Może trzeba zakopać mu to zwierzę, gdy śpi? Żeby tylko bardziej nie oszalał? Nie wiem, co z nim robi, ale sypie się z tego mąka – oświadczył. Gaston przez chwilę nad czymś myślał, a następnie parsknął śmiechem. Po wymianie spojrzeń z Vanorą ujrzał, że również domyśliła się, o co chodzi.

– Ojczu, to jest peruka – powiedziała łagodnym głosem, starając się powstrzymać śmiech.

– Peru co? – Stary MacCallum był zupełnie nie w temacie.

– To takie sztuczne włosy, panie – pospieszył z wyjaśnieniem Gaston, gdy już się opanował.

– Łysy jest? Ale dlaczego się tego wstydzi? – staruszek nadal dociekał. – Przecież to nie choroba, trzeba może mu o tym powiedzieć. Jakiś nierozgarnięty się wydaje – stwierdził zaskoczony. – Ale tu tolerancyjni ludzie są. Wyjaśnić mu to trzeba.

– Nie, to taka moda, panie – odparł Gaston, a Ronan spojrział na niego uważniej.

– A kim pan jest, jeżeli mogę wiedzieć? – zapytał opanowanym głosem, w którym nagle pojawiła się lekka rezerwa. Gaston wymienił wraz z Vanorą zaniepokojone spojrzenie.

– Gaston de Ponton-a-Mousson, panie. Przykro mi, że widzimy się dopiero teraz, ale...

– Ach, to ty, chłopcze – przerwał mu, wchodząc w słowo, a później podniósł się i wyciągnął do niego dłoń. – Angus mówił mi, żeś spędzał dużo czasu wraz z nimi na placu.

– Tak, panie. – Gaston wymienił z nim uścisk.

– Mów mi Ronan, chłopcze, chyba że wolisz, aby zwracać się do siebie tytułami, ambasadorze – powiedział przekornie.

Ludzie opowiadali mu o tym człowieku i zadziwiło go, że nawet niechętny i trudno dostępny mężczyzna, taki jak Angus, dopuścił do siebie kogoś obcego w tak krótkim czasie, obdarzając sympatią oraz zaufaniem. Miał intuicję co do ludzi i już pierwszy kontakt z Gastonem podpowiedział mu, że to człowiek godzien szacunku. Sam fakt, że niepokorna Vanora zachowywała się przy nim w cywilizowany sposób, świadczył o tym, że jest dobrym mężczyzną. Jego córka zazwyczaj nie zawierała znajomości z ludźmi spoza klanu. Może tkwiło w tym coś jeszcze?

– Cieszę się, że cię poznałem, Ronanie – odparł Gaston, budząc szeroki uśmiech starca, który coś ujrzał i wyjął z jego włosów słomę.

– Mówiłaś, córko, że na co skakałaś? – zapytał z głupim uśmiechem. Gaston spojrział na Vanorę zdeorientowany.

– To nie tak, ojczu – wtrąciła pospiesznie, zastanawiając się gorączkowo, jak wybrnąć z tej

kłopotliwej sytuacji.

– Jeżeli dalej tak będziesz robiła, będę zmuszony zasypać fosę – powiedział ze śmiechem, a dziewczyna zrobiła się cała czerwona. Mogła się domyślić, że ojciec się zorientował.

– To niekoniecznie miało taki przebieg, ojcze – stwierdziła mało dyplomatycznie.

– Ważne, że nie zrobiłaś sobie krzywdy, dziecko. – Spojrzał na zdziwionego Gastona. – Wyjaśni ci to później. Teraz powiedz mi, chłopcze, czy zamierzasz starać się o jej rękę? Jeżeli ten francuski markiz będzie tego próbował, każę go powiesić za nogi na belce w stodole, aby sobie to przemyślał, lecz nad tobą moglibyśmy pomyśleć, bom ujrzał, że dobry z ciebie człowiek. A i moje dziecko cię jeszcze nie skrzywdziło.

– Nie! – odpowiedzieli równocześnie Gaston i Vanora, a starzec zmarszczył czoło.

– Nie podoba ci się moja córka? – skierował pytanie do Gastona.

– Nie. To znaczy, podoba mi się, jest piękna, ale nie...

– Jesteśmy przyjaciółmi, tato – oświadczyła z szerokim uśmiechem. Starzec wyciągnął do niej rękę i uściskał ją.

– Martwiłem się o ciebie, dziecko.

– Złego licha nie tknie, ojcze. – Wtuliła się w mężczyznę.

Gaston przyglądał się temu z uśmiechem. W Szkocji odnalazł coś, czego nie sposób było nigdy zaznać. Dzikie tereny zachwyciły go, nie ograniczając mu przestrzeni, której zawsze pragnął. Wyrazistość tego miejsca aż krzyczała imponującym krajobrazem. Poznani tu ludzie sprawili, że poczuł się jak w domu, przyjęli go między siebie i traktowali jak swego.

Dla nich był zwykłym Gastonem, którego nie naznaczały żadne tytuły. Był po prostu człowiekiem, nie marionetką. A poznana dziewczyna sprawiła, że poczuł coś dziwnego. Nie pokochał jej, nie pożałował, jednak na jej widok ogarniała go troska. Chciał się nią opiekować, sprawić, aby nie stała jej się krzywda. Zostali przyjaciółmi, lecz on czuł coś więcej, była dla niego niczym siostra, jakiej nigdy nie miał. I wiedział jedno: musiał zrobić wszystko, by nie została żoną człowieka, o którym słyszał wątpliwe rzeczy. Musiał jej pomóc za wszelką cenę. Podejmując to postanowienie, nie wiedział jeszcze, że bardzo skomplikuje mu życie. Że postawi na szali jego być albo nie być.

Bo jednego dnia ceną wszystkiego jest coś oczywistego, a drugiego okazuje się, że cały świat przewraca się do góry nogami i już nic nie jest klarowne. Jeden moment, jedna chwila, jedno spojrzenie w oczy...

## Rozdział 24 Mów do mnie



Gdy otworzyła oczy, ujrzała go już ubranego, sięgającego po miecz leżący jak zawsze na drewnianej komodzie. Ile czasu już się tu znajdowała? Przestała liczyć po tygodniu. Nieraz wydawało się jej, jakby czas stanął w miejscu. Nie czuła się już taka zagubiona. Przez te dni poznała mieszkających tu ludzi, można nawet powiedzieć, że z niektórymi się zżyła. Una była dla niej niczym najlepsza przyjaciółka. Prawie jak matka. Zaprzyjaźniła się z Bothanem, a Tormod towarzyszył jej jak cień. Śmiali się z niego, że jest jej błędnym rycerzem. Bardzo polubiła tego chłopaka.

Również pozostali mieszkańcy *Calda House* w pewien sposób stali się jej przyjaciółmi. O dziwo, zaprzyjaźniła się również z Clachem, z którym od początku miała zatarg. Jednak po ich niewielkim, błotnym wyczynie dość często spędzali ze sobą czas. Lubiła z nim rozmawiać. Facet z pozoru wyglądający na prymitywnego i mrukliwego okazał się niezwykle inteligentnym rozmówcą, posiadającym całkiem spory zasób wiedzy. Ich nieporozumienie wywołało określenie użyte przez kowala w stosunku do jakiejś dziewczki. W gorącej wodzie kąpana Brice swoim zwyczajem kazała mu przeprosić zbitą z tropu kobietę. Niewinna z pozoru wymiana zdań zakończyła się tym, że Brice zaplątała się w sukienkę, a gdy wylądowała w błocie, postarała się, aby i Clach się tam z nią znalazł. Oczywiście Tormod wpadł w panikę, ledwie to ujrzał, przez co już wkrótce pojawił się tam również Blane. Do tej pory wspominała z uśmiechem jego wyraz twarzy. Takie zaskoczenie zaobserwowała u niego po raz pierwszy.

Spędzone tu dni były spokojne, leniwe, wypełnione ciepłymi emocjami. Poznała wielu nowych ludzi. Bothan przypominał jej Lancelota. Samotny, wyalienowany rycerz, odważny, mądry i niezwykle inteligentny. A przy tym niesamowicie rozsądny, mający do każdej sprawy rozważne podejście.

Ossian czasem bywał nadęty i wyniosły. Traktował ją z góry. Była dla niego jedynie kobietą. Kochanką naczelnika klanu, bo oczywiście każdy doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co działo się między nią a Blane'em, lecz ten osioł niczym kretyn wmawiał sobie, że nikt niczego nie wie.

Eilig okazał się bardzo ciepłym człowiekiem. Początkowo nieufny, zachowywał się trochę jak Ossian, jednak gdy uznał, że jest wystarczająco błyskotliwa i mądra, dość często z nią rozmawiał. Byli jej ciekawi, rozmowy z nią wyglądały inaczej niż z dotychczas znanymi im kobietami. Jej sposób mówienia oraz bezpośredniość sprawiały, że intrygowała nawet mężczyzn, a co za tym szło, dopuszczali ją do siebie z samej tylko ciekawości.

Zaprzyjaźniła się z Bradaną, niesamowicie żywiołową niewiastą. Wprost tryskała energią i zarażała tym każdego wokół. Roslin natomiast to typ cwaniaczka, na którego zawsze brała poprawkę. O dziwo, Morven, gdy tylko ją widział, nagle przypominał sobie, że ma do załatwienia coś pilnego i zniknął niczym kamfora. To akurat ją cieszyło, gdyż ten typyk wyjątkowo działał jej na nerwy.

Brakowało jej wielu rzeczy: współczesnej muzyki, książek, filmów, a nawet jazdy taksówką po zakorkowanych ulicach Nowego Jorku. Tęskniła za swoją pracą, ponieważ ją uwielbiała. A w tej chwili nie miałyby nawet czego restaurować. Przecież wszystkie te dzieła nie zostały jeszcze stworzone.

Dałaby wszystko za skrzypce, niestety słyszała jedynie kobzy i dudy, które doprowadzały ją do szewskiej pasji. Zabiłaby za parę dzinsów, bawełniany T-shirt i trampki. Niestety musiała się męczyć w lnianych, workowatych sukienkach, długich do samej ziemi. Za normalnie wyposażoną łazienkę mogłaby nawet zorać pole. Niestety, pomimo że znajdowała się tu toaleta, nie była szczytem marzeń.

Żywiła jednak wdzięczność wobec Uny, gdyż była ona typem pedantki dbającej o higienę. Gdy okazało się, że Brice również ma na tym punkcie bzika, Una ucieszyła się, jakby spotkało ją coś

niedziennego. Skarżyła się, że dopóki mogła, zmuszała Blane'a do kąpieli i bywało tak drastycznie, że sprawdzała mu nawet uszy. Jednak z racji wieku oraz stanowiska zbuntował się. Tylko przyzwyczajenie sprawiło, że zażywał kąpieli. Co prawda w jeziorze, ale zawsze było to coś.

Dnie Brice obfitowały w nowości, nigdy nie zostawała sama. Jednak nie miała przy sobie Blane'a. Zawsze znikał rano i widziała go dopiero późną nocą. Kiedy przychodził zmrok, mężczyźni szli na wieczerzę, on również. Nie zabrał jej nigdy ze sobą, a ona nie wpraszała się niechciana. Wieczory spędzała samotnie w sypialni, czekając na niego. Zawsze zasypiała, a on wracał późną nocą. Czowała od niego alkohol, ale to oczywiste. Nigdy nie wracał pijany, jednak przestawało jej się to podobać. Co on sobie myślał? Że będzie zawsze na niego czekała? Do czego to prowadziło?

Czasem chciała z nim o tym porozmawiać, lecz kończyło się to tym, że kochał ją w swym łożu, a był w tym taki dobry, że istotnie, nie miała na co narzekać. Jednak i tu czegoś jej brakowało. Blane to stuprocentowy samiec i wbił sobie do głowy, że tylko on może ją zaspokajać. Jakiegokolwiek próby odwzajemnienia się choćby najmniejszą czułością spełzały na tym, że przekonująco ją zniewalał. Czy powinna narzekać? Nie. Jednak czegoś jej brakowało. Potrzebowała wzajemności, jedności. Pragnęła tego, lecz on nie chciał nawet o tym słyszeć. Mrukliwy, wściki, złośliwy, nieprzyjemny, zmieniał się nocą w czulego kochanka. Tak delikatnego, że czasem patrząc na niego w dzień, nie mogła uwierzyć, że jest to ten sam człowiek, którego znała nocą. Najbardziej bolało ją to, że zaczynała coś do niego czuć. I nie chciała nazywać tego po imieniu.

Zamierzał wyjść, zanim się obudzi, ale nim opuścił komnatę, zerknął w stronę łóżka i ujrzał, jak Brice przeciąga się niczym dobrze najedzona kotka. Gdy spojrzała na niego, w jej oczach ujrzał głód i już wiedział, że na dół zejdzie trochę później, co wcale go nie zmartwiło. Być może nawet podświadomie odwlekał wyjście. Przecież kiedy jej nie było, zawsze opuszczał komnatę wczesnym rankiem.

*Gdy jej nie było* – pomyślał i westchnął.

Tak wiele się od tego czasu zmieniło. Wszystko się zmieniło. Zarówno jego życie, jak i życie ludzi, z jakimi codziennie obcował.

Do tej pory wszystko płynęło utartym trybem. Codzienne treningi, wieczorami wieczerze, a w tym czasie różne konflikty. Jednak niczego innego nie znał. Tkwił wciąż w jednym miejscu i pasowało mu to. Nie szukał innych wrażeń. Lubił codzienne ćwiczenia. Trenowali, aby podtrzymać kondycję, przy okazji młodzi chłopcy uczyli się walczyć. Każdy dzień był taki sam, aż pojawiła się Brice, francuska kocica, która zrobiła w życiu każdego z nich prawdziwą rewolucję. A największą w jego własnym. Przyzwyczajał się do niej coraz bardziej. Wdarła się w jego codzienność niczym burza, a pozostała tam teraz ciepłym, letnim deszczem.

Dni mijały jeden za drugim, a wyjazd do Eilean Donan zbliżał się nieuchronnie i choćby chciał go odwlec, nie mógł tego zrobić. Święta Lammas nie można przełożyć, a to właśnie wtedy pojawią się tam pretendenci do ręki tej szkarady, Vanora MacCallum. Blane wiedział, że jeżeli się tam nie wybierze, to ktoś inny na tym skorzysta, a nie mógł sobie na to pozwolić. Na domiar złego stary MacCallum się uparł, aby przyjechali tam o wiele wcześniej.

Dotarło do niego, że wybierają się tam również ludzie z klanu MacPherson. Nie podobało mu się to, ponieważ przeczuwał, że mogą zawrzeć sojusz z klanem MacAulayów, a do tego za nic nie mógł dopuścić. Vanora MacCallum wisiała nad nim niczym chmura gradowa. Zdawał sobie sprawę z tego, że będzie musiał dołożyć starań, aby ją zdobyć. Ale gdzie w tym wszystkim Brice, która bez reszty pochłaniała jego codzienność?

Układ. W tym wypadku to będzie najlepsze wyjście. Zapowie córce MacCalluma, że zawrą małżeństwo, a on będzie miał w swoim życiu drugą kobietę. I tu nasuwał się pewien niewielki problem. Owa druga kobieta. Zdawał sobie sprawę z tego, że ta diaboliczna nie będzie z tego zadowolona, a ognisty temperament zademonstrowała już niejednokrotnie. Ale co mógł zrobić? Zatrzymać ją na siłę? Wtrącić do lochu? Unikał konfrontacji z nią. Nie chciał, a może po prostu obawiał się jej o tym powiedzieć.

Dlaczego to musiało być takie trudne? Nie chodziło tylko o spędzane z nią noce. Potrafiłyby się bez nich obejść. Jednak ta żywiołowa dziewczyna zaczepiła się w jego podświadomości. Ona również przywykła do takiego życia. Początkowo widział, że była zagubiona. Często sprawdzał, co robiła. Z ciekawości. Zawsze jednak pilnował, żeby ona tego nie ujrzała, mogłaby sobie niepotrzebnie coś pomyśleć.

Początkowo drażniło go to, że wszędzie łąziła, że wszystkimi gadała i w niesamowity sposób

zjednywała sobie prawie każdego. Bothan nie mógł wyjść z podziwu dla jej żywiołowej natury. Często z nią rozmawiał i Blane wkrótce stwierdził, że traktuje ją niczym przyjaciela. Zazwyczaj powściągliwy, trzymający się nieco na uboczu Bothan stał się bardziej towarzyski. Mieli swoje żarty, powiedzenia i w pewien głupi, chory sposób cieszyło to Blane'a, chociaż na każdym kroku demonstrował to inaczej. Nie mógł pokazać po sobie, że ta dziewczyna w jakimkolwiek stopniu stała mu się bliska.

W kwestii Tormoda wołał się nawet nie wypowiadać, ponieważ chłopak zachowywał się w obecności dziewczyny, jakby zgłupiał. Był wrażliwy, miał dobry charakter i wyczuwał troskę, z jaką traktowała go Brice i którą absolutnie odwzajemniał. Blane odnosił czasem wrażenie, że są niczym rodzeństwo, choć początkowo podejrzewał, że chłopak zakochał się w Brice. Jednak po czasie wszystko stało się bardziej oczywiste.

Zadziwił go Eilig, gdyż mężczyzna prócz żony, Bradany, nie zwracał nigdy uwagi na kobiety.

Teraz Blane, wracając z pola treningowego, często zastawał ich oboje rozmawiających swobodnie niczym dobrzy znajomi. Euforii nie podzielał jedynie Ossian, chociaż jego oschłość była bardziej spowodowana niezadowolaniem w sprawie Morvena. Jednak i on, niby tkwiąc z boku, często przysłuchiwał się ich rozmowom.

Dziewczyna każdego od siebie uzależniała. Czasem wydawało się mu, że gdyby faktycznie chciał wyrządzić jej krzywdę, naraziłby się na gniew wielu osób. Ale on już nie zamierzał jej zranić. Problem tkwił w tym, że sam gubił się w tym, czego pragnął.

Do wyjazdu pozostał niecały tydzień. Każdej nocy, gdy do niej powracał, podejmował solenne postanowienie, że tym razem jej powie. Przecież to normalna sprawa. Mężczyźni się żenią i mają kochanki. Powinna o tym wiedzieć. We Francji musiało być podobnie.

Coraz trudniej było mu ukrywać przed wszystkimi to, że coś go z nią łączy. Ale nie mógł nikomu powiedzieć. Wystarczyło, że wiedzieli o tym Bothan i Una.

– Jakie jest twoje życie? – wyszeptwała, wrywając go z zamyślenia.

Leżała obok niego i przyglądała mu się z miną, która nie wróżyła niczego dobrego. Poczul, że powinien szybko wyjść. Podniósł się z łóżka, po czym zaczął się ubierać.

– Odpowiedz mi. – Westchnął. Była uparta niczym osioł.

– O co ci chodzi? – zapytał rozdrażnionym głosem. Spojrzał na nią ze złością.

Siedziała na łóżku, otulona jedynie prześcieradłem. Długie, jasne włosy miała rozpuszczone. Opadały niesfornymi falami na jej plecy i ramiona. Zaróżowione policzki i usta nabrzmiące od jego pocałunków sprawiły, że poczul, iż znowu jest na nią gotowy.

– Jakie jest twoje życie? Jak wygląda twój dzień, twój tydzień, rok, lata?! – wrzasnęła, a on zmierzył ją uważnym wzrokiem.

Zdziwiła go tymi pytaniami. O co mogło jej chodzić? Czyżby ktoś o czymś jej powiedział? Czy pytając go o jego życie, miała na myśli Vanorę? Ale to niemożliwe, nikt nie ośmieliłby mu się sprzeciwić i wyjawić jej prawdy, zanim on to zrobi. Był wytracony z równowagi jej pytaniami i wzburzony tonem. Pozwalała sobie na zbyt wiele. Nie mógł do tego dopuścić.

– Postradałaś zmysły, dziewczyno? – rzucił, starając się powstrzymać krzyk.

– Powiedz mi, jak spędzasz dzień. – Upierała się, a on nie mógł zrozumieć, do czego dążyła i o co jej chodziło. Nie otrzymując odpowiedzi, ciągnęła dalej: – Więc ja ci powiem.

– Mów zatem – odparł, starając się uspokoić.

Podszedł bliżej łóżka, złapał ją za rękę i pociągnął do siebie w taki sposób, że jasny materiał opadł, ukazując jej nagie ciało. Dostrzegł, że zadrżała i uśmiechnął się niedostrzegalnie. Chciał jej dotknąć. Pogładzić po policzku, odgarnąć włosy z szyi i całować w każde z możliwych miejsc, wywołując jej westchnienia, jakimi zawsze go raczyła, gdy to robił. Uwielbiał ją słyszeć, czuć, sycić się jej przyspieszonym oddechem, każdym krzykiem rozkoszy.

– Wstajesz. Ubierasz się i wychodzisz na dół do izby, żeby zjeść... – Irytowała go coraz bardziej.

Co ją dziś ugryzło? Czy nie zaspokoił jej wystarczająco dobrze? Może zachciało jej się czegoś więcej, a może nawet kogoś.

– Wpierw kocham cię w moim łóżku, dziewczyno. Nie pomijaj tej kwestii, gdyż jest ona kluczowa – zaznaczył.

Nie chciał z nią dyskutować. Nie chciał krzyczeć. Dzisiejszy dzień wołał spędzić spokojnie.

Ale czy spokój w zestawieniu z Brice Pinard był właściwym słowem?

– Kochasz się ze mną, schodzisz na dół, idziesz na plac treningowy, przychodzisz po kilku godzinach, zjadasz posiłek, wracasz na plac, a później idziesz do Calda House na wieczerzę, wracasz pijany i idziesz spać. A rano...

– Wracam trzeźwy i zawsze później Kocham cię w moim łóżku, dając ci dużo rozkoszy – wymruczał. Pomyślała, że rozkoszy jest dużo, nawet bardzo, jest również przyjemność i zawsze spełnienie, mimo to czegoś jej wciąż brakowało.

– Kolejny dzień jest taki sam, następny, jeszcze następny, tydzień, miesiąc... – wymieniała, a on czuł coraz większą irytację.

– Co w tym złego? – zdziwił się. Miała wrażenie, że zaraz się przez niego rozplacze.

– Nie chcesz czasem czegoś zrobić? – zapytała z nadzieją.

– A ty chcesz?

– Tak, Blane – wyszeptała. Zauważyła ten grymas zaciskanej szczęki, gdy słyszał, jak wypowiada jego imię.

– Mogę zabrać cię na jarmark – powiedział ni z tego, ni z owego, a ona miała ochotę zawyć.

Nie chciała pieprzonego jarmarku, ale czasem ogarniała ją rezygnacja i myślała, że zwariuje. Jej życie nigdy nie było pasywne, a tutaj czuła się czasami niczym ptak zamknięty w klatce, pomimo że uwielbiała tych wszystkich ludzi. Gdyby tylko on był choć trochę inny, gdyby pozwolił jej się odrobinę do siebie zbliżyć.

– Nie chcę żadnego jarmarku – oświadczyła kategorycznie.

– Jak chcesz, to będę częściej dawał ci...

– Przestań, proszę – szepnęła. Nie zamierzała słuchać o rozkoszy, Kochaniu w łóżku i reszcie tych wyświechtanych bzdur.

– Czego ty chcesz, Brice? – zapytał. Jego oczy pociemniały.

Jeszcze tego brakowało. Jego wybuchy złości sprawiały, że chciała go drapać i wrzeszczeć, a później... bezwstydnie się z nim Kochać. Ale nie teraz. Tym razem próbowała coś dla siebie ugrać.

– Chcę z tobą rozmawiać, chcę cię słuchać. Chcę, żebyś mi mówił...

– O czym chcesz rozmawiać? Co mam ci mówić? – dociekał rozgniewany. Przyciągnęła do siebie jego twarz, robiąc to, czego nie lubił.

Każda czułość budziła jego złość, ale ona tego potrzebowała. Czuł się wtedy zbyt słaby, nie mógł jej na to pozwolić.

– Chcę, żebyś mi mówił o swych pragnieniach, o tym, co robiłeś w dzień, o tym, co stało się pięć lat temu, o tym, czego pragnąłbyś za dziesięć lat – wypowiedziała jednym tchem. Odsunął się od niej i z nieufnością wpatrywał się w jej twarz.

– Mam mówić ci o tym, czego pragnę? – zapytał tonem, w którym wyczuła wrogość.

– To nie ma sensu – szepnęła sama do siebie i ukryła twarz w dłoniach, po czym rozplakała się niczym dziecko. Po chwili usłyszała jego kroki i trzaśnięcie drzwiami.

\*\*\*

Gdy wyszedł z zamku, był tak zdenerwowany, że stwierdził, iż pokazanie się ludziom w takim stanie nie będzie najlepszym wyjściem.

Wrócił pospiesznie, a potem poszedł do stajni, aby już po chwili wyjeżdżać na rumaku z dziedzińca wprost na ubity trakt. Nie wiedział, gdzie jechać i co robić. Miał pewność co do jednego: chciał być sam, jak najdalej od niej. Jakby odległość mogła pozwolić mu zapomnieć o Brice.

Wszystko stawało się przez nią coraz bardziej skomplikowane. Dlaczego nie była jak każda inna? Próbowała rozmawiać, ale po co rozmawiać, jeżeli można spędzać przyjemniej czas. Nie mógł zaprzeczyć, że nieraz chciał ją o coś zapytać albo czegoś się dowiedzieć. Nigdy tego jednak nie robił, żeby niepotrzebnie sobie niczego nie pomyślała. Czy mógł jej opowiadać o sobie? Nie widział takiej potrzeby. Bo niczego nie było do opowiadania. Nazywał się Blane MacLeod i był naczelnikiem klanu MacLeod, to wszystko. Nic więcej nie miało znaczenia. Jak spędził dzień? Czy ona postradała zmysły? Co chciała wiedzieć? Jego pragnienia? Pragnął jej każdej nocy i ona o tym wiedziała. Czego chciał za dziesięć lat? Przecież to strasznie dużo czasu. Ściągnął lejce i zwolnił konia.

– Za dziesięć lat – szepnął.

Faktycznie. Czego chciał za dziesięć lat? Czy to się liczyło? Przecież liczyło się tylko dobro klanu. To, czego chciał i co mógł osiągnąć za dziesięć lat, nie miało znaczenia. Kochał swych ludzi i wiedział, że zrobi dla nich wszystko, nawet poślubi szpetną Vanorę MacCallum. Nawet... straci Brice. Przecież tak właśnie będzie.

Zawrócił konia, po czym wolno ruszył do zamku. Droga powrotna zajęła mu krócej, niżby chciał. Jednak gdy dojechał na miejsce, ogarnęły go spokój i opanowanie.

Kiedy pojawił się na placu treningowym, wszystkich zaskoczyła jego postawa. Nie był Blane'em kompanem ani Zwierzem, któremu najlepiej zejść z oczu, żeby nie narazić się na jego gniew. Nie kipiał furją, nie zaśmiewał się z przyjaciółmi, nie prawił o walce.

Po prostu się zamyślił, oddalił, oderwał od rzeczywistości, jakby przebywał w innym miejscu.

Początkowo wprawiło ich to w zdziwienie, lecz dość szybko przeszli nad tym do porządku dziennego, tym bardziej że już po pewnym czasie znowu zaczął się wyzywać, na kim popadnie i wszystko wróciło do normy. Jedynie Bothan przyglądał się mu z uwagą. Po skończonym treningu ruszyli w kierunku Calda House, a Blane ani razu nawet nie rzucił okiem w stronę zamku. Tak jakby umyślnie unikał tego widoku.

– Wyjechałeś konno rankiem – zauważył Bothan, który pojawił się obok. Blane spojrzał na niego ze złością.

– Niczego nie powiem, więc nawet nie pytaj – warknął wrogo.

– O nic nie pytam, Blane, ale gdybyś chciał powiedzieć, to wysłucham – oznajmił, zrównując z nim krok.

– Myślisz, że ci nowi ze wsi nadają się do walki? – zapytał. Bothan z westchnieniem pokręcił głową, widząc, że Blane za wszelką cenę próbuje skierować rozmowę na inne tory.

– Tak. Dobrze doją krowy – stwierdził, na co Zwierz przytaknął.

– Więc powinniśmy przyjąć ich na służbę? – kontynuował, zupełnie nieświadomy tego, co mówi.

– Jestem pewien, że po dobrym treningu z tobą wydoją nawet byka – ciągnął niezrażony.

– To dobrze, bo miałem wątpliwości, szczególnie do tego rudego gnojka – mruknął zagubiony w myślach.

– Nie martw się, wsadzimy go w dyby, na pewno mu to pomoże. – Bothan zastanawiał się, ile jeszcze powinien pastwić się nad nieświadomym przyjacielem.

– Masz rację. To dobry pomysł. – Patrząc na Blane'a, sam już nie wiedział, co robić, chciał mu pomóc. Ale jak pomóc temu upartemu osłowi, gdy on nawet nie jest świadomy, że tej pomocy potrzebuje?

– Porozmawiamy jeszcze o pogodzie? – zaproponował, a Blane spojrzał na niego rozkojarzony.

– Pogodzie?

– Powiedziałaś jej już? – zapytał bez ogródek. Na twarzy Blane'a nagle pojawiła się chmura gradowa, co dało mu jasną odpowiedź, iż przyjaciel doskonale wie, o co mu chodziło.

– Nie twoja rzecz – mruknął, przyspieszając.

– Nie zależy ci? – dociekał Bothan. Blane gwałtownie odwrócił się w jego stronę.

– Nie – powiedział stanowczo, na co tym razem to Bothan odwrócił się w tył i ruszył w stronę zamku. Blane przyspieszył, by za moment znaleźć się tuż przy nim, zagrządzając mu drogę. – Co robisz? – zagrzmiał.

– Nie zależy ci. – Usłyszał chłodną odpowiedź i zmrużył groźnie oczy.

– Po co tam idziesz?

– Bo ci na niej nie zależy, a nie zdążyłeś jej powiedzieć, że już niedługo żenisz się z inną dziewczyną, więc zamierzam tam iść i powiedzieć jej o tym za ciebie – oświadczył. Poczul na swym ramieniu zaciskającą się dłoń Blane'a.

– Nie pozwalam.

– Czy to rozkaz? – Na chłodne pytanie Bothana, westchnął ze złością. Sam już nie wiedział, co to jest.

– To tylko kobieta – mruknął pod nosem.

– To Brice. Lubię ją i szanuję. Chciałbym, aby nie cierpiała, a będzie, więc albo coś z tym zrobisz, albo...

– Albo co? – wszedł mu w słowo.

- Albo spełnię twój rozkaz i stracisz wszystko w mych oczach.
- To nie rozkaz, to prośba, Bothanie.
- Co zatem zrobisz? – padło nieoczekiwane pytanie. Blane zastanawiał się przez chwilę.
- Co będę robił za dziesięć lat?

Bothan popatrzył na niego zaskoczony. Pił coś na placu? Może dlatego zachowywał się tak dziwnie.

– Co dokładnie masz na myśli, Blane? – zapytał ostrożnie.

– Nie wiem. Ale chyba powinienem to wiedzieć – stwierdził z głupią miną. – Jestem naczelnikiem, więc muszę wiedzieć wszystko.

Bothan patrzył na niego z irytacją. Sam już teraz nie wiedział, co powinien zrobić. Widział, że Blane się z czymś gryzie. Niewątpliwie dziewczyna zachwiała ich światem i zmieniła ich życie.

Byłoby lepiej i spokojniej, gdyby nigdy się nie pojawiła, ale już do tego doszło i prawdę mówiąc, czuł zadowolenie z tego powodu. Polubił ją, była mądra i bardzo chętnie z nią rozmawiał, przebywał w jej towarzystwie. Czasem widział, że postępowanie Blane'a sprawia jej przykrość.

Tak jej pokazywał, tak chciał, aby myślała, lecz wielokrotnie łapał przyjaciela na tym, że kręcił się gdzieś obok, żeby Brice go nie ujrzała. Czasem przypatrywał jej się z ukrycia. Początkowo myślał, że może naczelnik poczuł do niej coś więcej, niemniej po jakimś czasie zorientował się, że to zwykłe pożądanie. Być może pojawiła się też czułość, troska o dziewczynę, którą próbował maskować wrogością i złością.

Jednak Bothan znał go doskonale, więc dobrze się orientował, co tak naprawdę trapi Blane'a. Pragnął zatrzymać dziewczynę, z drugiej strony był obowiązek i wielka niewiadoma w postaci Vanory MacCallum. Czy ona zgodzi się na układ? To bardzo prawdopodobne. Istniał jeszcze jeden mały drobiazg. Brice Pinard, mająca ognisty temperament, francuska kocica. I tu już zaczynały się schody. Choć z drugiej strony Bothan zaobserwował, że z dziewczyną zaczyna się coś dziać. Stała się łagodniejsza, a gdy pojawiał się obok Zwierz, jej oczy ożywały.

Bothan czuł, że cudzoziemka zakochuje się w Blanie. Czy to dobrze?

Z jednej strony tak, lecz z drugiej oznaczało to, że będzie cierpiała. Tu chyba nie istniało dobre rozwiązanie. Mogła być albo jego nałożnicą, albo zniknąć z jego życia. Blane'a pociągało w niej głównie jej ciało i nuta egzotyki, nowość. To rodziło chęć władzy oraz troskę. Jednak z jej strony było to coś więcej. Z każdym dniem będzie tego przybywać.

Co powinien zrobić Blane? Wyznać jej prawdę? Może tak byłoby najlepiej. Ale ten osioł najpierw przytakuje na każdą głupotę, którą mu się mówi, a później wyskakuje z odkrywczym pytaniem, co będzie robił za dziesięć lat. Skąd mu się to w ogóle wzięło? Czy mógł jakoś mu pomóc?

– Też tak uważam, Blane. Każdy naczelnik powinien wiedzieć takie rzeczy. Myślę, że jest już późno i może powinienś iść do zamku, aby przemyśleć sobie pewne sprawy – zasugerował.

– Istotnie robi się już ciemno – mruknął, spoglądając niepewnie w stronę Calda House.

– Jeżeli pozwolisz, mam sprawę do Eiliga i Ossiana, więc chciałbym z nimi porozmawiać, zanim zaczniemy wieczerzę.

Prawdę mówiąc, robiło się dopiero szaro, a Blane nigdy tak wcześnie nie wracał na zamek. Teraz jednak tego potrzebował.

– Myślisz, że...

– Do czorta, Blane, chociaż spędź z nią trochę czasu, zanim poślubisz inną. – Zdenerwował się tymi gierkami i głupimi sugestiami, gdzie każdy wiedział, o co chodzi i obaj bawili się jak dzieci w półsłówka.

– Powinienem cię ukarać za...

– Najlepsze będą dyby, a teraz idź, ja zajmę się resztą. Po prostu tam idź – nakazał, a widząc wahanie, dodał mimochodem: – I powiedz Morvenowi, żeby się pospieszył.

– Morvenowi? – Nagle twarz Blane'a ożywiła się jeszcze bardziej.

– Poszedł zanieść coś do jednej z dziewczek kuchennych i powinien już przybyć, ale pewnie mu na czymś zeszło, więc gdybyś go przypadkiem...

Dalsza rozmowa byłaby już tylko monologiem, gdyż Blane znajdował się w połowie drogi do zamku. Bothan patrzył za oddalającym się przyjacielem i westchnął smutno. Z całego serca chciał coś poradzić, jakoś pomóc. Ale na tę chorobę nie istniało żadne lekarstwo.



## Rozdział 25 Naucz mnie



Cały dzień nie potrafiła się odnaleźć. Chodziła bezmyślnie po zamku. Przez pewien czas pomagała w kuchni Unie, później poszła się przejść. Chciała pobyć sama, a te krajobrazy sprzyjały spacerom. Rozległe wrzosowiska, strome klify i poszarpane skały na brzegu jeziora. Czy płakała? Była Brice Pinard, a Brice Pinard nie płacze. Ale co powinna teraz zrobić? Przecież nie mogła utkwąć w średniowieczu z tym bydlakiem. Musiała jakoś wrócić.

Czasami pragnęła porozmawiać z kimś o tym, skąd tak naprawdę pochodzi. Ale komu mogła o tym powiedzieć? Unie? Kilka razy wahała się i prawie wygadała się Clachowi. Czowała, że w jakimś stopniu mógłby ją zrozumieć. Był nieprzeciętnie inteligentnym człowiekiem, który na swoje nieszczęście urodził się w 1597 roku w niezamożnej rodzinie.

Nieraz zamierzała wyznać wszystko Bothanowi. Intuicyjnie czowała, że nie zrobiłby niczego złego, chociaż z drugiej strony obawiała się, że wzięłby ją za wariatkę. Może gdyby nie spędzała większości czasu z Blane'em, powiedziała mu o wszystkim, lecz tak naprawdę nie spotykali się wystarczająco często, by okoliczności temu sprzyjały. Czy tak miało być już zawsze? Nie mogła tu utkwąć. Życie w taki sposób przypominało jej powolną śmierć. Musiała się stąd wydostać. Ale co powinna zrobić? Nie wierzyła w czary, a już dawno przekonała się, że to nie sen ani szalony eksperyment. Więc czym to było? Filmy. Jak to się odbywało w filmach? *Powrót do przyszłości*? Tam chyba mieli maszynę czasu. A co miała ona? Obraz, którego jeszcze nie namalowano? I co potem? Powinna usiąść na płótnie i zamknąć oczy? Wtedy wróci do Nowego Jorku?

– Obraz – wyszeptwała. Może faktycznie chodziło o malowidło. Może, gdy powstanie, ona będzie mogła wrócić do przyszłości, do domu?

Ale kto go namalował? Nie zdążyła nawet przyjrzeć się dokładnie. To mógł być jakiś mało znany malarz. Zresztą płótno wydawało się dość dziwne i teraz nawet nie potrafiła dokładnie tego sprecyzować. Malarz. Musi znaleźć malarza, a później co? Kazać temu osłowi stanąć przy filarze bez ruchu, żeby można było go tak po prostu namalować? Przecież to niemożliwe, wręcz śmieszne. Blane stojący w miejscu na czyjeś polecenie. To wydawało się niewykonalne.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, że kluczem do powrotu jest zupełnie coś innego, a otwarcie drzwi nie będzie wcale takie przyjemne.

Jednak nie chciała się tak po prostu z tym pogodzić. Najbardziej bolało ją to, że zaczynała go kochać, chociaż nie chciała tego nazywać po imieniu. Niemniej to właśnie się działo.

Położyła się wcześniej. Była rozżalona. Wszystko miało być tak jak zawsze? Miał wrócić i kochać ją w swym łóżku? Pragnęła czegoś więcej. Ale najstraszniejsze, że na jego widok cały jej bunt gdzieś się ulatniał i pozwalała mu robić z sobą, co tylko zechciał. Przypominała zabawkę: brał ją, kiedy chciała, i nie pozwalał, żeby ona dała mu cokolwiek od siebie. Czasem tak bardzo chciała odwdziżyć się mu pieczyotami, te pragnienia aż bolały. Dotykać jego ciało, całować je, przemierzać. Lecz on nigdy jej na to nie zezwolił. Nawet w tym wypadku był zwykłym egoistą. Jak długo to potrwa?

Czowała się bezsilna w ramionach tego człowieka, ponieważ zniewalał ją każdym ruchem. Leżąc w ogromnym łóżku, zacisnęła ze złością dłoń na jasnym materiale. Chciała wrzeszczeć, lecz usłyszała jakiś dźwięk, a gdy się odwróciła w tamtą stronę, ujrzała Blane'a, stojącego w drzwiach komnaty. Płomień świecy trzymanej w jego dłoni nagle zgasł. Patrzyła w jego kierunku zaskoczona. Czy coś się stało? Dlaczego przyszedł tak wcześniej?

– Co się dzieje? – zapytała, podnosząc się gwałtownie z łóżka. Usłyszała gniewne sapnięcie.

Dlaczego zawsze tak na nią reagował? Aż tak jej nienawidził? Czasem czuła potrzebę ucieczki. Ale był niczym magnes.

– Co ma się dziać? – Postawił kilka kroków w jej stronę.

– Dlaczego przyszedłeś tak wcześniej? Czy coś się stało? – Coraz bardziej się niepokoiła. To nie zdarzyło się nigdy wcześniej.

– Jeżeli zadasz mi jeszcze jedno takie pytanie, to wyjdę, wrócę za kilka godzin, będę cię kochał w mym łożu, a później pójdę spać, rankiem ponownie...

– Będiesz mnie kochał w swoim łożu, a później...

– Zamilcz – uciszył ją. Obszedł łóżko i usiadł obok niej na jego skraju.

– Zrozumiałam aluzję – mruknęła, a w nim zapłonęła złość.

Co to do diabła była aluzja? Znowu gadała po francusku? Czasem miał wrażenie, że jeszcze trochę i sam zacznie się uczyć tego języka. Ale po co? Dla niej?

Przez chwilę panowało milczenie. Nie rozumiała go, nie wiedziała, co się dzieje, ale czuła, że z czymś się zмага. Nie chciał powiedzieć, co się stało i choć z całego serca pragnęła się tego dowiedzieć, milczała, czekając na jakikolwiek znak od niego. Intuicja podpowiadała jej, że tak właśnie będzie najlepiej.

– Nie umiem z tobą rozmawiać, Brice – przyznał po chwili cicho. – Nie umiem rozmawiać z żadną kobietą.

– Umiesz – oznajmiła zdecydowanym głosem.

– Nie umiem – powtórzył, a ona ciężko westchnęła.

Co powinna zrobić, żeby do niego trafić? Czasem zastanawiała się, dlaczego tego pragnie. Wciąż odrzucana, traktowana jak dodatek, jak rzecz, której się używa. Znała realia średniowiecza, wiedziała, co tu się wtedy działo, ale Bothan traktował ją inaczej. Dlaczego nawet Eilig zachowywał się w stosunku do niej zupełnie odmiennie? Liczyli się z nią, może nie było to takie jak w świecie, z którego przybyła, lecz wystarczyłoby jej, gdyby Blane tak ją traktował. A on potrzebował jej jedynie nocami. Seks? Tylko tego chciał? Choć jedna krótka rozmowa byłaby satysfakcjonująca.

– Umiesz, ale nie chcesz – wyszeptała smutnym głosem i poczuła jego dłoń na plecach. Przyciągnął ją do siebie delikatnie, z jakąś obawą, nieporadnością, a nawet nieśmiałością.

– Naucz mnie, Brice. – Zamarła. Nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć. Czy to ten sam człowiek, który każdej nocy kochał ją aż do utraty tchu, aby już z samego ranka odejść? Co się z nim teraz działo? A może to tylko sen?

– Przy tobie czuję się słaby niczym dziecko. Ale chcę z tobą rozmawiać, Brice – wyznał zdławionym głosem. Pomyślała, że dobrze, iż w pokoju panują ciemności, w innym przypadku tej rozmowy by nie było. Czy on właśnie powiedział, że czuje się przy niej słaby? To na pewno on? Zrodziła się w niej dziwna niepewność.

– Blane, boję się – wyszeptała drżącym głosem.

– Mnie? – zapytał po chwili, a ona wyczuła jego powracającą irytację. Nie mogła do tego dopuścić, taka sposobność może się już nigdy nie przydarzyć.

– Boję się, że zrobię teraz coś głupiego i wszystko zniszczę – oznajmiła łamiącym się głosem. – Boję się, że coś teraz powiem albo coś zrobię nie tak i znikniesz taki, jaki teraz jesteś. W ciemnościach, gdzie mogę sobie wyobrazić jedynie twoją twarz. Ten grymas złości, gdy coś idzie nie po twojej myśli. Zaciskającą się szczękę, kiedy się wściekasz.

– Jesteś na dobrej drodze, żeby tak się stało – mruknął, na co parsknęła śmiechem.

Teraz było inaczej, on wydawał się zupełnie inny i nie potrafiła tego zrozumieć ani sprecyzować, po prostu to czuła. Pragnęła go takiego, ale co powinna mówić? Przecież w każdej chwili mógł zmienić się ponownie w prymitywnego gnojka. Co zrobić? Zapytać jak minął mu dzień? Każde słowo to teraz pułapka, w którą ona sama ich wpakowała. Jednak potrzebowała tego. On również. Gdyby tak nie było, nie przyszedłby do niej i nie siedziałby z nią teraz, tylko ucztowałby z resztą klanu na wieczerzy. Ale wybrał ją. Naprawdę wybrał ją.

– Jesteś trzeźwy – stwierdziła, a on roześmiał się głośno.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała ze złością, odpychając jego dłonie, lecz wzmocnił tylko uścisk. Później opuścił ją stanowczym ruchem na poduszki, następnie sam położył się obok niej.

– Lubię, kiedy się złościś – powiedział. Po chwili poczuł, że nie chciał tego mówić, lecz ona nie pozwoliła mu zbyt długo nad tym myśleć.

– To się nie dzieje naprawdę – wyszeptała. – Jest ciemno i to wszystko jest tylko snem. Teraz śnimy. Możemy mówić wszystko to, co nie będzie ważne rankiem, gdy za oknem robi się jasno, a Słońce przyniesie nam rzeczywistość. Teraz śnimy, Blane.

– Głupia dziewczyna – mruknął, ale ona czuła, że jest inaczej.

Nad czymś myślał, wahał się. To, że z nią tu przebywał, sprawiało mu trudność. Nie był typem człowieka, któremu przytrafiało się to często. Prawdę mówiąc, stało się to po raz pierwszy.

– Co jeszcze we mnie lubisz? – zapytała z obawą. – Zanim wymienisz którąkolwiek część mego ciała, chcę ci powiedzieć, że nie o to mi chodziło. – Rozległo się jego głośne westchnienie.

– Lubię... nie wiem, co lubię – przyznał. – Muszę wracać do Calda House.

– Niczego nie musisz – odparła, a gdy chciał coś powiedzieć, położyła mu dłoń na ustach. – Jesteś Blane MacLeod. Ty niczego nie musisz – oświadczyła z mocą. Przez chwilę milczał, później złapał ją w tali i przyciągnął do siebie. Gwałtowny ruch sprawił jej ból.

– Lubię, kiedy cię nie ma. – Zamarła. O co mu chodziło?

– Nie ma? Gdzie mnie nie ma? – zapytała zupełnie zdezorientowana.

– Obok mnie – padła krótka odpowiedź, a ona poczuła przykrość. Odpowiadał półsłówkami i bywało tak, że sprawiał jej ból, nawet przyciągając ją do siebie. Zapominał się.

– Więc wstań i wyjdź. Idź do Calda House, urznij się jak świnia, wróć, Kochaj mnie w swoim łóżku – mówiła wkurzona. Zamierzał ją uciszyć, ale odtrąciła ze złością jego dłoń i niezrażona kontynuowała: – Później idź spać, Kochaj mnie, idź zjeść i wyjdź walczyć i rób tak codziennie, dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, a gdy któregoś dnia wrócisz, to mnie już tu nie będzie. Może jutro, może za tydzień, może za miesiąc, ale przysięgam, że któregoś razu mnie nie zastaniesz i...

– Lubię, jak cię nie ma obok mnie, bo wtedy mogę myśleć, że na mnie czekasz i że mogę do ciebie wrócić – wyznał jednym tchem, sprawiając, że zamarła. – Lubię myśleć o tobie i wiedzieć, że gdzieś tam jesteś i mogę do ciebie iść. Lubię za tobą... lubię... – Ten potok słów sprawił mu trudność i widziała, że poniekąd robi to wbrew sobie. Dla niej.

– Blane – wyszeptała ledwie dosłyszalnie.

Czuł się nieswojo, mówiąc jej to wszystko, bo niedługo ożeni się z inną i nie będzie już mógł myśleć, że do niej wróci, ponieważ czuł, że to tak nie zadziała. Ale teraz jeszcze działało, teraz jeszcze...

– Lubię za tobą tęsknić – te ostatnie słowa ledwie wyszły z jego ust.

Bał się tego, co ona teraz powie i jak zareaguje. Cały dzień myślał tylko o tym i wracał do niej z obawą. Gdyby nie Bothan, to być może nawet by tu nie dotarł.

Nie chciał jej mówić niczego, jednak widział, że czegoś jej brakuje i jest zgaszona. Nie miał pojęcia, co ma zrobić, żeby jej pomóc. Oczywiście nic aż tak bardzo nie uległo odmianie. Nadal czuł na nią złość za to, co zrobiła, i nie wykluczał, że może nawet w przyszłości będzie ją torturować i bić, ale teraz chciał poprawić jej samopoczucie, żeby była w dobrym stanie, gdy już zacznie się nad nią pastwić, torturować i... Czemu ona milczała, czy się z niego śmiała?

Usłyszał jej płacz i usiadł gwałtownie.

– Co tym razem?! – wrzasnął wściekle. Tego się zupełnie nie spodziewał.

Ona naprawdę była szalona. Złościła się, gdy na nią wrzeszczał, i płakała, kiedy był miły. Chciał odejść i wrócić do Calda House, ale poczuł jej drobne dłonie na ramionach, a po chwili jej ciało na plecach, w które się wtuliła. Przysunęła głowę do jego szyi i otarła się o niego niczym żrebak.

– Dlaczego płaczesz? – zapytał chłodnym głosem.

Chciał ją odepchnąć, pragnął ją odrzucić i odejść, ale nie mógł tego uczynić. Coś go tu trzymało. Ciekawość? A może coś innego, do czego nie chciał się przyznać nawet sam przed sobą.

– Ponieważ to najpiękniejsze wyznanie, jakie kiedykolwiek usłyszałam – wyszeptała zdławionym głosem, a on zamarł.

Co ona z nim robiła? Jaką miała moc, że budziła w nim takie reakcje? Poczuł, że uczyniłby dla niej bardzo wiele. Głupia iluzja. Nie chciał nawet o tym zbyt długo myśleć. Wolałby uciec, ale jej delikatny uścisk zniewolił go bardziej niż najcięższe okowy.

– Nie umiem z tobą rozmawiać – burknął cicho. Odsunęła się od niego i usiadła mu na kolanach, a

następnie wtuliła się w niego niczym małe dziecko.

Nie chciał jej obejmować, a jednak zrobił to. O dziwo pragnął jej teraz jakoś inaczej. Jej ciało nie znajdowało się w tej chwili na pierwszym miejscu. I sam nie wiedział, co na nim było. Czuł się zagubiony jak nigdy dotąd.

– Czy mogę ci o czymś opowiedzieć? – zapytała. Ujął jej głowę i oparł na swoim ramieniu.

– Mów – odrzekł cicho. Czuł, że z czymś się waha. Ciekawiło go to i w jakimś stopniu niepokoiło.

– Chciałabym ci opowiedzieć... Chodzi o to, że czasem sobie myślę... Właściwie to...

– Powiedz – zażądał, a ona westchnęła. Jego delikatność i wycucie zawsze były ujmujące, lecz zdążyła już do tego przywyknąć.

– Czasem sobie rozmyślam o tym, jak będzie kiedyś wyglądał nasz świat za sto lat, później za dwieście, za trzysta, na przykład w 2000 roku. Gdy minie już bardzo dużo lat. No wiesz, tak po prostu, bo kiedyś minie tyle lat. My tego oczywiście nie doczekamy, ale...

– Po co myślisz o takich głupotach? – zapytał chłodno, a ona w tym samym momencie zamarła.

Niepotrzebnie zaczęła ten temat. To nie mogło doprowadzić do niczego dobrego. Westchnęła zrezygnowana.

– Masz rację. To tylko zwykłe głupoty – potwierdziła przygnębionym głosem.

– Jak? – Usłyszała niespodziewane pytanie.

– Co „jak”?

– Nie pytaj mnie, tylko mów – zażądał.

– Chcesz wiedzieć, jak według mnie to wszystko będzie wyglądało w roku 2000? – zapytała z niedowierzaniem.

– Ja nie myślę o takich głupotach, więc jeżeli chcesz o nich mówić, to mów, dopóki nie wyczerpała się jeszcze moja cierpliwość – wyjaśnił spokojnym tonem, a ona poczuła radość. Właśnie otworzył jej furtkę, czego tak bardzo pragnęła.

Uwielbiała, gdy mówił do niej właśnie w taki sposób: dużo, opanowanym tonem. Nie te krótkie nic niewnoszące rzeczy jak zazwyczaj.

– Wiesz, tak sobie myślę, że kiedyś będzie dużo więcej domów – odparła, nie wiedząc, od czego zacząć, bo przecież od czegoś musiała. A było tak wiele spraw, o których chciała mu opowiedzieć. Prawie pięćset lat, podczas których wydarzyło się wiele niesamowitych rzeczy.

– To akurat prawda, nie mylisz się. Bothan ma zamiar przypilnować budowę kilku zagród we wsi, ale wynikło małe opóźnienie spowodowane brakiem prochu. Chciał wyburzyć stare fundamenty – mruknął posepnie, lecz w jego głosie nie słyszała żadnych pretensji ani gniewu.

– Dużo domów, nie jeden ani nie dwa, ale setki, całe mnóstwo domów. Tysiące domów. Będą nawet budynki tak wielkie i tak wysokie, że trzeba będzie wybudować windy.

Bała się, że się zezłości, jego milczenie miewało różne oblicza.

A teraz od dłuższego czasu niczego nie mówił, tak jakby przyswajał jej słowa.

– Jak wysokie? – zapytał, a ona się uśmiechnęła. Zaintrygowała go, to był dobry początek.

– Będą miały sto metrów i niektóre będą całe ze szkła – wyliczyła jednym tchem. Poczuła, że nakrywa jej dłoń swoją i zaczyna bawić się delikatnie palcami. Co się z nim dziś działo? Czy to na pewno Blane?

– A windy? Co to jest winda? – zapytał po chwili głosem, w którym starał się ukryć zainteresowanie.

– To takie małe pokoiki, które będą wciągały ludzi na samą górę, bo wiesz, schodami to byłoby naprawdę wysoko.

– Gadasz głupoty. Pokój wciągający ludzi sto metrów w górę? – W jego głosie pojawiła się irytacja.

– Jak wiadro, którym czerpiesz wodę ze studni. Tylko to będzie większe wiadro i o wiele mocniejsze liny – wyjaśniła pospiesznie, a on przez chwilę milczał.

– Brice – powiedział niepewnie. – Co to jest rower? Czy to coś, co sobie wymyśliłaś? – zapytał. Zaraz się poderwała i usiadła na nim okrakiem, a następnie ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała, śmiejąc się radośnie. Wreszcie zaczynał wykazywać zainteresowanie.

– Jeszcze nie. – Zmarszczyła ze zdziwieniem czoło. O co mu chodziło?

– Co „jeszcze nie”? – zapytała ostrożnie.

– Będę cię kochał później. Teraz mów... – Czuła, że trudno mu jest skończyć. Chciał z nią

rozmawiać. To działo się naprawdę. Nie mogła teraz tego stracić.

– Tak sobie myślę, że rower to będzie pojazd. Będzie miał takie same koła jak wóz, ale tylko dwa – wytłumaczyła.

– Dwa? Przecież na dwóch kołach nie da rady pojechać żaden pojazd – powątpiewał.

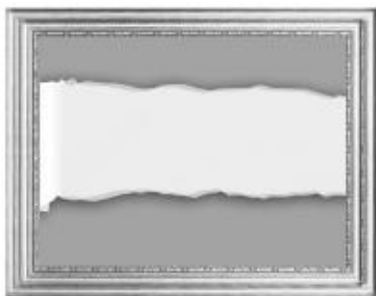
– Ten będzie inny. Koła będą połączone dyszem, który będzie się nazywał ramą. Z przodu będzie kierownica. Będzie dużo różnych pojazdów: samochody, motory, autobusy, tramwaje, tiry, dźwigi i... i będą też pociągi i...

– Opowiedz mi o nich. – Przytuliła go radośnie.

Czy potrafiła kochać bardziej? Czy mogła marzyć o czymś więcej niż o nim, takim ciekawym, zadającym pytania, chcącym jej słuchać?

Ta noc była inna, nieoczekiwana i wyjątkowa. Rozmawiali do samego rana. Opowiadała mu dosłownie o wszystkim, a on, choć starał się to ukryć, był chłonny i niesamowicie ciekawy każdej rzeczy, o której mu mówiła.

## Rozdział 26 Zatańcz ze mną



Stąpił ostrożnie po kamiennej posadzce, starając się robić przy tym jak najmniej hałasu, jednak panująca wokół cisza nie była dobrym sprzymierzeńcem. Wszystko wydawało się takie dziwne.

Obudził się w środku nocy i poczuł, że musi wyjść, nie wiedział gdzie, nie wiedział dlaczego. Po prostu musiał iść. Wychodząc, nie zabrał ze sobą nawet miecza, o którym pomyślał, dopiero gdy doszedł już do schodów, lecz nie wrócił po niego. Nie czuł lęku ani niepokoju, jedynie szaloną ekscytację, jakby za chwilę miało stać się coś bardzo ważnego.

Krok za krokiem, coraz dalej, idąc w niewiadomym kierunku, w stronę niewiadomej. Po pewnym czasie przestał zastanawiać się już nad czymkolwiek. Zszedł ze schodów i wszedł w jeden z korytarzy prowadzący do ogromnej sali, gdzie zazwyczaj ucztowano. Teraz nikogo już tu nie było. Wszędzie panowały ciemności. Nawet pochodnie zostały zgaszone i nie dawały żadnego światła. Szedł na oślep z coraz większym uniesieniem, którego nie rozumiał. Dotarł do jednego z łuków, który minął, wchodząc na salę. Nagle coś usłyszał. Jakieś przedziwne dźwięki, delikatne i melodyjne. Czy to mogła być muzyka? Była dziwna, zupełnie mu nieznana. Budziła w nim niecodzienne doznania. Tkwiło w tych dźwiękach coś zmysłowego.

Przystanął, nasłuchując uważnie. Czy mógł to być podstęp albo zasadzka?

– Gaston... – Usłyszał cichy, delikatny kobiecy głos tuż obok i zrobił krok w tył, natrafiając na chłodną ścianę. – Jestem gotowa...

Co tu się działo? Kim była ta kobieta i czego od niego chciała? Serce waliło mu jak młotem. W ciemności nie widział niczego, mógł jedynie wyczuwać jej obecność. Znajdowała się tuż obok. Dosłownie centymetry dzieliły go od nieznamyj dziewczyny. A on czuł się dziwnie zniewolony i nie potrafił nawet skupić myśli na jednej konkretnej rzeczy. Po prostu czekał, zupełnie bezwolnie.

– Chcesz... – Jej szept sprawiał, że po jego karku przebiegły dreszcze.

– Czego? Czego chcesz? – zapytał, choć coś w nim krzyczało, że tak, że chce.

Zamiast odpowiedzi poczuł jej dłoń na swej piersi i wstrzymał oddech. To ostatnie, czego się spodziewał. Przysunęła się jeszcze bliżej.

– Kim jesteś? – dociekał. Nie uzyskawszy odpowiedzi, położył dłoń na jej ramieniu i zrobił coś, czym zaskoczył samego siebie. Przyciągnął ją i objął drugim ramieniem. – Powiedz mi, kim jesteś.

– Shhh.

Jej szept doprowadzał go do wrzenia. Dałby wszystko, aby ją ujrzeć. Choćby jedna zapalona pochodnia pokazałaby mu teraz twarz dziewczyny, lecz jak na złość nie było ani jednej. Na nagiej piersi czuł cienką tkaninę sukni, którą miała na sobie. Prawdopodobnie to jedynie koszula nocna, gdyż materiał był prawie niewyczuwalny, przez co doskonale czuł jej ciało, a to doprowadzało go do wrzenia.

– Powiesz mi, kim jesteś? – zapytał, po czym usłyszał jej westchnienie.

– Zatańcz ze mną – poprosiła, a on zamarł.

Wszystko wydawało się dziwne. Przyszedł tu niczym lunatyk. Ciemności, dziewczyna i te zmysłowe dźwięki gdzieś w tle. Zamierzała tańczyć? Teraz? A może to tylko piękny sen. Jeżeli tak, to nie chciał się z niego budzić. Pragnął nadal dotykać jej ciała, które oplatało go w takt tej niesamowicie pobudzającej muzyki. Trzymał ją blisko siebie, wiedząc, że tak nie przystoi, że to, co czyni, jest haniebne. Nie rozumiał, co się z nim dzieje, zachowywał się, jakby nie był sobą. To, co teraz robili, przypominało bardziej grę toczącą się między kochankami niż taniec.

– Ja masz na imię? – zapytał, ujmując jej twarz w dłonie.

Jaka była? Jakiego koloru miała oczy? Jakiego włosy? Wiedział jedynie tyle, że była drobniutka i niska. Niższa od Vanory. Zanurzył twarz w długie, gęste pukle, sycąc się ich zapachem.

– Shhh... – Poderwał się z pościeli.

Sen. To jednak tylko sen. Zerwał się i wypadł z komnaty. Schodami zbiegł na dół i w mgnieniu oka był już w prowadzącym do sali korytarzu, doskonale oświetlonym licznymi pochodniami.

– Ty też nie możesz spać? – Usłyszał damski głos i odwrócił się gwałtownie, natrafiając na uważne spojrzenie Vanory.

– Umiesz tańczyć? – zapytał bezmyślnie, aby już po chwili ubliżyć sobie w myślach.

– Czy ja umiem tańczyć? – powtórzyła jego pytanie, cedząc z wolna każde słowo.

– Wybacz, coś mi się śniło – mruknął i ponownie miał ochotę walić głową w mur. Dlaczego jej to powiedział? Przeszedł dłońmi włosy i przechylił w tył głowę. – Vanoro, proszę, daruj mi, ale nie jestem teraz sobą – wyznał, spoglądając na nią.

– Umiem tańczyć – palnęła po chwili, zupełnie nie rozumiejąc jego zachowania.

– To cudownie. – Spojrzał na nią zdziwiony. – Mówisz poważnie? Umiesz tańczyć?

– Wyobraź sobie, że mój ojciec dopilnował tego, abym się nauczyła, i ponoć całkiem niezłe mi to nawet wychodzi, chociaż nie jest to moje ulubione zajęcie – odparła z przekąsem, a on się roześmiał.

Ulubione zajęcie Vanory? Cóż, prędejm spodziewałby się zastać ją przy kuchni niż pływającą w tańcu.

– Wyobrażam sobie – szepnął. Spojrzał zamyślony w kierunku łuku, przy którym w jego śnie trzymał w ramionach tajemniczą dziewczynę.

– Zatańcz ze mną. – Obejrzał się w stronę uśmiechającej się do niego łobuzersko Vanory. – Chyba potrafisz tańczyć. Jakoś nie wyobrażam sobie markiza, który nie umiałby tańczyć.

– Ambasadora – powiedział ze śmiechem.

– Więc jestem gotowa. Chcesz...

– Shhh – uciszył ją.

Nie chciał słuchać jej słów, ponieważ w przedziwny sposób powielaty jego sen. Jednak wszystko się różniło, a on pragnął mieć w pamięci jedynie tamto zdarzenie.

Ujął jej dłoń i położył rękę na ramieniu Vanory, utrzymując stosowny dystans. Tańczyli.

Owszem, to, co działo się teraz, można nazwać tańcem, ponieważ to, co czuł, trzymając w objęciach tajemniczą dziewczynę, było zupełnie odmiennym doznaniem. I te zmysłowe dźwięki. Takie...

– Erotyczne – szepnął bezwolnie. Napotkawszy zdziwione spojrzenie Vanory, miał ochotę po raz kolejny walnąć głową w mur. Był niesamowicie rozkojarzony i zupełnie nie kontrolował tego, co robił i mówił.

– Słucham? Nie dosłyszałam – zapytała, a on odetchnął z ulgą.

– Vanoro, przepraszam cię, ale mam do zrobienia coś pilnego – wyszeptał, po czym położył dłonie na jej ramionach. – Czy możemy odłożyć to na inną okazję? – Ujrzał, jak marszczy czoło.

– Dobrze, ambasadorze – powiedziała, uśmiechając się półgębkiem. – Odłóżmy nasze pływania na inną okazję, a teraz oddał się, aby zająć się czymś pilnym – wyszeptała teatralnie i puściła mu oczko.

Nic nie odpowiadając, odwrócił się gwałtownie i pobiegł korytarzem w stronę schodów, którymi zbiegł na dół. Gdy był już na dworze, przystanął zdekoncentrowany. Co teraz powinien zrobić? Chciał wsiąść na konia i pogalopować przed siebie. Lecz musiałyby wtedy budzić strażnika i w nieskończoność czekać, aż ten otworzyłby bramę i opuścił most zwodzony.

Bez namysłu wspiął się po murze i po przebyciu krótkiego dystansu stał już na brzegu jeziora, by za moment zanurzyć się w jego chłodnych falach.

## Rozdział 27 Nic prostego



W zamyśleniu przyglądał się jej, kiedy spała. Było dość późno, ale nie chciał jej zostawiać, zanim się nie obudzi, nie zamierzał jej też budzić. Wolał patrzeć, jak śpi i oddycha miarowo, od czasu do czasu wzdychając przez sen. Zastanawiał się, o czym może śnić.

Po pełnej emocji nocy czuł się dziwnie. Przepełniony nowymi, dziwnymi informacjami umysł wydawał się wręcz pulsować od przesylenia. Jej wyobraźnia nie miała granic, ale to, co mówiła, zainteresowało go, pomimo że to jedynie bajania. Początkowo pomyślał, że stroi sobie z niego żarty. Czy była szalona ze swymi ideami? Jeżeli nawet, to stanowiło to dla niego interesującą odmianę.

*Pudełko, skąd dobiegałaby muzyka* – pomyślał i uśmiechnął się pod nosem. Mała, szalona czarownica. Kazał jej sobie obiecać, że nie będzie nikomu o tym mówiła. Nie chciał, żeby usmażyli ją na stosie. Przynajmniej na razie chciał jeszcze mieć ją dla siebie, cieszyć się nią i słuchać tych wszystkich głupot, jakie wymyślała. Wizja niechcianego małżeństwa stawała się mniej uciążliwa, gdy Brice jeszcze przy nim była. Swoim szaleństwem sprawiała, że potrafił myśleć jedynie o niej. Ujrzał, że przeciąga się i otwiera oczy. Tym razem nie uciekał wzrokiem, lecz w zamyśleniu odwzajemnił jej uśmiech, którym go przywitała.

– Już nie śpisz? – zapytała zasnym głosem, a on powstrzymał uczucie irytacji.

– Ty mi powiedz. – Poczula dreszcze. Nieodmiennie pojawiały się u niej za każdym razem, gdy tylko słyszała ten tembr w jego głosie.

– Blane? Czy to, co stało się w nocy, czy ty... Czy jesteś na mnie zły? – zapytała z obawą.

– Wyglądam, jakbym był zły? – W ostatniej chwili się powstrzymała, aby nie odpowiedzieć mu, że ciągle tak wygląda.

– Bardziej interesuje mnie to, co czujesz, a nie to, jak wyglądasz – stwierdziła z uśmiechem. Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu.

– Nie jestem zły – przyznał dziwnie miękkim głosem.

– I wierzysz mi? – zapytała z niedowierzaniem, na co parsknęła śmiechem.

– Oczywiście, że nie, Brice – stwierdził, sprowadzając ją do rzeczywistości. – Ale lubię, gdy opowiadasz mi te... – Przez chwilę szukał odpowiedniego słowa. – Bajki.

– To wcale nie są bajki – mruknęła pod nosem, lecz zaraz uśmiechnęła się szeroko i spojrzała na niego.

– Co znowu?

– Powiedziałeś, że to lubisz – oświadczyła zadowolona z siebie.

– Lubię wiele rzeczy – wyszeptał, spoglądając na nią znacząco.

– A czy dziś możesz jeszcze trochę polubić tylko moje opowieści? – dodała pośpiesznie, a on głośno się roześmiał.

– Powinienem już iść – oznajmił. Przyglądała się mu w milczeniu i nie mogła się nadziwić, jak wielkie zmiany zaszły w nim w tak krótkim czasie.

Do tej pory nie mówił, że musi iść, tylko po prostu sobie szedł. Nakazując, grożąc, szantażując i obiecując tortury albo jeszcze inne wymyślne dziwactwa, które jedynie ją śmieszyły. Leżał obok, wpatrując się w nią ze spokojem na twarzy i mówił, że powinien iść. Czy to był sen?

– Myślisz, że może moglibyśmy od czasu do czasu sobie tak porozmawiać? – zapytała niepewnie. Nie wiedziała, czy nie wzbudzi w nim ponownego wybuchu złości, a nie chciała teraz wszystkiego popsuć.



– Może jeszcze kiedyś będzie taka okoliczność – mruknął, a ona uśmiechnęła się chytrze.  
– Dziś w nocy? – Sapnął gniewnie.  
– Dziś w nocy będzie czas na...  
– Opowiem ci o filmach – weszła mu w słowo. Spojrzał na nią z zainteresowaniem.  
– Co to są filmy? – rzucił, a następnie zganił się w myślach i zanim zdążyła odpowiedzieć na jego pytanie, zamknął jej usta pocałunkiem. – W nocy – wyszeptał. Później podniósł się i zaczął ubierać.

Poczuła się naprawdę szczęśliwa. Pomyślała, że wcale nie jest tak źle i że ta cała przedziwna sytuacja nie jest już teraz tak uciążliwa. Przeniosła się w czasie, weszła w skomplikowaną relację z człowiekiem zachowującym się niczym niszczycielskie tornado. Potrafił być bolesny, jednak mimo wszystko budził w niej emocje, których nigdy wcześniej nie zaznała. Czuła do niego coraz więcej i w tej chwili, gdyby miała do wyboru wrócić do współczesności, czy pozostać tu wraz z nim, to wybrałaby jego. Przecież mogła mu to wszystko opowiadać, mogła wiele go nauczyć. Może nawet coś ulepszyć w jego życiu. Mogła być po prostu przydatna. Bo wśród tych ludzi poczuła się jak w domu. Pomimo że od domu dzieliła ją nie tylko przestrzeń czasowa.

– Opowiem ci o teatrze i o koncertach muzycznych. Musisz jeszcze tak wiele wysłuchać. – Wyskoczyła z łóżka, a później podeszła do niego i mocno go przytuliła. – Może nauczę cię nawet kilku słów w innym języku albo nawet pisać i czytać – mówiła przepełniona entuzjazmem.

– Słucham? – Usłyszała jego chłodny głos i wspięła się na palce, a później pocałowała.

– Zaraz wracam – wyszeptwała, po czym wybiegła pospiesznie z pokoju, cała rozentuzjasmowana.

Może gdyby nie ta szalona radość, zauważyłaby zmianę, jaka w nim zaszła po jej ostatniej wypowiedzi. Kiedy po kilkunastu minutach wróciła, zastała pusty pokój, a na komodzie leżał pergamin, na którym skreślił kilka zdań.

*„Naucz mnie pisać, bo nie umiem pisać, naucz mnie też czytać i jeść sztuczkami, wtedy nie będę się pożywiał dłońmi. Jak możesz, to naucz mnie też ubierać się, bo również i tego nie potrafię, Brice”.*

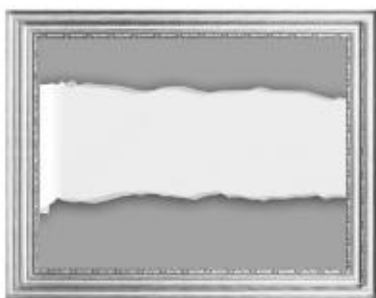
– Cholera jasna – zaklęła pod nosem, spoglądając na wielką plamę po atramencie na ścianie i rozbity kałamarz.

W jednym momencie oblało ją gorąco. Chyba gorzej być nie mogło. Poczuł się dotknięty i poniekąd miał do tego prawo. Prawdopodobnie ona sama również zareagowałaby w ten sam sposób. Ale co mogła teraz zrobić? Spróbować mu wytłumaczyć? Co wytłumaczyć? To, że zrobiła z niego kogoś, kto nie potrafi nawet pisać? Usłyszała wrzaski na dole i podbiegła do okna. Ujrzała podnoszącego się z ziemi stajennego, który z lękiem spoglądał w stronę galopującego w kierunku placu treningowego Blane’a.

Wyglądało na to, że było o wiele gorzej, niż przypuszczała. W pierwszej chwili pomyślała, że powinna udać się za nim i porozmawiać. Jednak próba wyjaśniania czegokolwiek z Blane’em przy kimkolwiek byłaby dolaniem oliwy do ognia. Mogła zrobić tylko jedno. Poczekać do nocy i poprosić go, żeby jej wybaczył. Czuła się z każdą chwilą coraz podłej i wcale nie dziwiło ją to, że tak bardzo się zdenerwował. Rozumiała to. Aż nadto.

Dałaby wszystko, aby móc cofnąć czas, ale zdawała sobie sprawę z tego, że kwestia cofania czasu to bardzo niepewna sprawa, a ona sama była tego najlepszym przykładem. Teraz mogła jedynie czekać na to, co przyniesie ze sobą noc. Czuła jednak, że nie będzie to nic prostego.

## Rozdział 28 Wszyscy wiedzą



Bothan wpatrywał się w siedzącego obok niego Blane'a z niepokojem.

Gdy tylko pojawił się rankiem na placu treningowym, swoim zachowaniem przypominał rozjuszonego byka, który tratował wszystko, co tylko napotkał na drodze. Nie miał pojęcia, co tak bardzo rozeźliło przyjaciela. Przez cały dzień każdy schodził mu przezornie z drogi. Również podczas wieczerzy w *Calda House* panowała niepewna atmosfera. Blane nawet nie starał się zachować pozorów i przy każdej nadarzającej się okazji reagował gniewem. Bothana zastanawiało to, czy Blane jest tego świadomy, ponieważ zdawał się błądzić myślami zupełnie gdzie indziej. Czyżby chodziło o Brice? Ale skąd aż tak wielki gniew?

– Jak się miewa Brice? – Bothan podjął ryzyko.

– Zabiję ją przy pierwszej lepszej okazji! – wrzasnął wściekle Blane. Bothan zorientował się szybko, że sytuacja nie wygląda zbyt dobrze.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytał, zdając sobie sprawę z tego, że taka rozmowa była mu potrzebna i tym razem mogło wydarzyć się coś poważniejszego.

Cały dzień nie widział Brice i dopiero teraz dotarło do niego, że mogło coś się stać. Szczęście w nieszczęściu, Blane obiecywał, że ją zabije, więc pewnie jeszcze nie zabił. W jakim jednak stanie znajdowała się dziewczyna, tego nie wiedział.

– O czym?

– O dziewczynie. O...

– Od razu powinienem wtrącić ją do lochu.

– Od razu? To znaczy, że teraz ją wtrąciłeś? Co takiego zrobiła? – zaniepokoił się.

– Mogłem pozwolić jej się usmażyć w tej chacie.

– Usmażyć? Brice?

– A i owszem. Jak nic trafiłaby na stos.

– Na stos? Lecz za cóż?

– Na przykład za windę albo za rower – oświadczył wściekle, opróżniając kolejny puchar z winem.

Bothan pomyślał, że albo zgłupiał, albo zbyt wiele wypił.

– Jaką windę? – zapytał, nic nie rozumiejąc.

– Taką normalną, która wciąga ludzi na wysokości – mruknął Blane, zaciskając ze złością szczękę. –

Ubiję ją jak kundla, gdy tylko dostanę w swe ręce.

– Windę?

– Brice! – wrzasnął wściekle i spojrzał na Bothana zagniewany.

Chciał, bardzo chciał, starał się ze wszystkich sił jakoś wyciszyć. Uspokoić gniew i opanować złość, której pojawiało się w nim coraz więcej. Zdawał sobie sprawę z tego, że wszyscy bacznie go obserwują, choć każdy odwracał głowę w drugą stronę, kiedy tylko zerknął w ich kierunku. Nie potrafił wysiedzieć w spokoju, mając w pamięci to, co powiedziała mu ta kretynka. Uznała, że jest na tyle głupi, iż nie potrafi nawet pisać. Nie miał pojęcia, czy bardziej go to rozeźliło, czy może rozczarowało i czy był zły na nią, czy może na siebie.

Okazał słabość i w chwili, gdy się do niej otworzył, ona tak po prostu zrobiła z niego niepiśmiennego idiotę. Jak mogła tak powiedzieć? Jak mogła nawet tak pomyśleć? Musiał ją ukarać, nie mógł jej tego tak po prostu wybaczyć. Zbyt wiele rzeczy jej przebaczył, jednak tym razem zrobiła większy bałagan, niż

wysadzając w powietrze spichlerz. Tym razem powiedziała coś, co dotkliwie go zraniło. Ponieważ nie chciał tak wyglądać w jej oczach.

– Może powinieneś już wrócić na zamek i odpocząć? – zaproponował Bothan.

Czuł, że rozterka przyjaciela ma jakieś głębsze podłoże i przezornie nawet nie próbował wnikać w sedno sprawy. Gniew Blane'a przepłoszył prawie wszystkich zebranych i przy stole siedziało już zaledwie kilku mężczyzn, niecierpliwie zerkających w stronę wyjścia.

– Nie wracam dziś na zamek! – wydarł się Blane, a Bothan pomyślał, że to bardzo mądra decyzja. Dla Brice prawdopodobnie byłoby lepiej nie spotkać się ze Zwierzem, przynajmniej dopóki się nie uspokoi. Cóż takiego mogło się wydarzyć, tego mógł się jedynie domyślać, jednak zdawał sobie sprawę, że nie był to błahy powód.

– Chcesz spać w...

– Nie twoja rzecz, czego chcę i gdzie zamierzam spać! – wrzasnął. Poderwał się z krzesła, wyracając je, czym narobił potwornego hałasu. Zapanowało milczenie, a Blane, nie zwracając na nic uwagi, skierował się w stronę wyjścia, po drodze złapał za łokieć jedną z dziewczek kuchennych zbierających ze stołu naczynia. – Ty! Idziesz ze mną! – warknął.

Dziewczyna wcale nie protestowała, wręcz przeciwnie. Doskonale rozumiała, w jakim celu zabiera ją ze sobą Blane i była temu rada. Dotarła ją do stajni i kiedy tylko wszedł do środka, pchnął na siano. Odpiął pas z mieczem i odrzucił na klepisko. Gdy jednak spojrzął na dziewczynę, zamarł. Widząc, jak kładzie się na wznak, podwija materiał sukienki i rozkłada nogi, po prostu nie mógł się poruszyć.

Jego myśli ponownie wróciły do Brice. Do jej nagiej, gładkiej skóry, westchnień, subtelnych ruchów, wdzięcznych pów i tej nutki tajemniczości.

Brice była niesamowicie zmysłowa, piękna, powabna. Między tymi dwiema dziewczynami istniała tak ogromna różnica, że nie umiałby nawet z zamkniętymi oczami zaspokoić się z tą kobietą.

To tak jakby apetyczne jabłko zamienił na zwykłego ziemniaka.

Brice jednym szeptem sprawiała, że gotów był na nią w każdej sekundzie. Z tą dziewczką miałby duży problem.

– Wynoś się – mruknął, a widząc, że patrzy na niego zaskoczona, wrzasnął: – Precz!

Dziewczyna na te słowa poderwała się i odbiegła. Z myślami o śpiącej w zamku Brice, która zraniła go bardziej, niż mogła przypuszczać, nie chciał wracać, ponieważ tak naprawdę bał się, że zrobi jej krzywdę. Lecz nie potrafił przestać o niej myśleć. To cena, jaką płacił za okazaną jej słabość. Usnął nad ranem, będąc myślami w łożu, w którym ona teraz spała. Przespał może ze dwie godziny.

Na placu treningowym pojawił się jako pierwszy. Schodzący się mężczyźni ponownie mieli przed sobą wściekłą bestię walczącą z wiatrakami i z samą sobą. Ile jeszcze miało to trwać? Całkiem możliwe, że jeszcze dość długo, może gdyby nie to, iż na placu pojawiła się wściekła niczym osa Brice.

– Powinniśmy porozmawiać – zaczęła niezbyt pewnym głosem, strzepując z sukienki mąkę.

– Wynoś się stąd – warknął Blane, próbując pohamować złość, jednak nie potrafił przestać na nią zerkać.

Nagle wszystko w nim pękło. Co działo się w nocy, gdy została sama? Czy na pewno spała w jego łożu? Czy nikt z nią nie był? Zaczął gorączkowo przypominać sobie, czy widział wczorajszej nocy Morvena i ze złością stwierdził, że nie zauważył go przy stole. Nie miał pojęcia o tym, że Ossian odprawił syna przez jego złość. W umyśle Zwierza ułożył się scenariusz i ujrzał tę dwójkę barszkującą w jego łożu.

– Nigdzie nie pójde, dopóki ze mną nie porozmawiasz – oświadczyła stanowczym głosem, a on spojrzął na nią ze złością.

– Coś zrobiła? – warknął, wpatrując się w jej zabrudzone ubranie.

– Kilka rzeczy spadło z półek, ale wszystko jest już pod kontrolą, sprzątają kuchnię – wyjaśniła, a widząc jego irytację, dodała: – Śpieszyłam się. Krzywda nikomu się nie stała.

– Więc wracaj tam, skąd przyszedłaś, i nie pokazuj mi się na oczy, dopóki cię nie wezwę do siebie. – Westchnęła zrezygnowana.

Było źle. Bardzo źle, a nawet jeszcze gorzej. Nie wrzeszczał, że ją zabije, że będzie torturował i wtrąci do lochu. Cały dzień nie wiedziała, co z sobą zrobić. Bała się i czuła się winna, czekała na noc z obawą, ale i z nadzieją, że wszystko mu wyjaśni. Że wytłumaczy się i że... A on tak po prostu nie przyszedł.

– Blane, ja...

– Precz – powtórzył chłodno, kątem oka obserwując zainteresowanie, jakie wzbudziło pojawienie się Brice.

– Nigdzie nie pójde! Muszę ci... Chcę... Gdzie byłeś w nocy? – wydusiła w końcu pytanie, które tak bardzo ją dręczyło.

– Inna uczyła mnie czegoś, co spodobało mi się o wiele bardziej od twoich nauk – odparł obojętnym głosem, wpatrując się z gniewem w jej błyszczące oczy, w których zaszklily się łzy i to sprawiło, że ponownie poczuł słabość.

Zrozumiał, że bardzo ją zranił, i wcale nie poczuł satysfakcji. To nie była taka prosta sprawa, tu nic nie było proste. Wpatrywał się w nią, nie odrywając od niej wzroku. Widział smutek i nie miał pojęcia, co teraz powinien robić. Może powinien złoć jej skórę?

– Witaj, Brice. – Usłyszał gdzieś obok głos idącego w ich stronę Tormoda, który nieświadom sytuacji podążał w paszczę lwa.

Słowa chłopaka przywróciły Brice do rzeczywistości. Blane ujrzał, jak dziewczyna odwraca się na pięcie i odchodzi szybkim, stanowczym krokiem. Bezwiednie ruszył za nią, a złapawszy ją za łokieć, szarpnął w tył tak mocno, że prawie się wywróciła.

– Odejdiesz, gdy ci pozwolę! – wrzasnął ze złością, a widząc gniew na jej twarzy, pomyślał, że jednak byłoby lepiej zabrać ją gdzieś, gdzie nie miałby tylu świadków i zrobić z nią raz na zawsze porządek.

– Przecież właśnie przed chwilą mnie wyganiałeś! – krzyknęła. Dostrzegł jej oczy pałające gniewem i zacisnął z wściekłością szczękę. Jak śmiała okazywać złość? Powinna przeproszać, błagać o wybaczenie. Żebrać o to, aby zachował ją przy życiu, ona natomiast wrzeszczy na niego, jakby była jemu równa. Nie mógł tego tolerować.

– Ona nic nie zrobiła – zapewnił Tormod. Zwierz pomyślał, że może powinien go wykończyć na którymś z treningów, wtedy byłby spokój i mógłby bez przeszkód się na niej wyżywać.

– Wracaj do ćwiczeń! – wydarł się na chłopaka.

– Jak śmiesz? – Usłyszał krzyk Brice i spojrzał na nią zaskoczony. O co tym razem chodziło tej pomyłonej dziewczynie?

– Dobrze ci radzę...

– Wsadź sobie w dupę swoje dobre rady, Blane! – Teraz już wiedział, że zaczynanie z nią jakiegokolwiek dialogu przy ludziach stanowiło kolosalny błąd. – Dajesz dziecku szablę i nazywasz to ćwiczeniami?!

– Szablę? Jakiemu dziecku?

– Miecz – uściśliła. – Przecież on jest jeszcze dzieckiem, ty idioto! Może sobie zrobić krzywdę!

– Tormod? – Spróbowała się uspokoić, lecz nie było to takie łatwe.

– Tormod razem z resztą tych dzieciaków. I tylko mi nie mów, że są dojrzały, bo gdybyś faktycznie pozwolił im dorosnąć, a nie wysyłał na te swoje wojny, to pewnie miałbyś w swych szeregach mężczyzn, a nie chłopców! – Zdawała sobie sprawę z tego, że sama już nie wie, co mówi, i tłumaczenie tego temu średniowiecznemu burakowi nie przyniosłoby żadnego skutku.

Jednak była załamana. Pojawiła się myśl, że być może poszedł do innej kobiety. Ci faceci nie wiedzieli, co to jest związek, wierność, miłość. A oni nawet nie byli parą. Teraz czuła się po prostu żałosna. Co takiego jej się wydawało? Że zostanie tu i będzie sobie żyła w błogiej sielance z Blane'em? Przecież z nim nie można nawet normalnie porozmawiać, a przy byle zgrzycie znika i dobiera się do innej kobiety. Teraz uświadomiła sobie, że być może działo się to codziennie. Przecież nie rozliczała go z czasu, a on nie mówił jej, jak spędza dzień. Poczwała, że jest jej wszystko jedno.

– Nie podnoś na mnie głosu – wypowiedział ostrzegawczym tonem. Wyrwała się i chciała odejść, lecz i tym razem jej na to nie pozwolił.

– Po prostu mnie puść. Poniżyłeś mnie już wystarczająco – wyszeptwała, odwracając twarz w drugą stronę. Nie chciała na niego patrzeć, nie chciała, aby on na nią patrzył. Za bardzo obawiała się tego, że za chwilę się rozplacze. A do tego nie mogła dopuścić.

– Czym cię poniżyłem? – Spojrzała na niego zdezorientowana.

– Czekałam na ciebie całą noc. Pragnęłam cię przeprosić za coś, czego nigdy nie powinnam powiedzieć. Chciałam pokazać ci, że bardzo tego żałuję i jak bardzo jest mi wstyd przez to, co zrobiłam, co powiedziałam bez przemyślenia. Cały dzień dusiłam to w sobie. Z całej duszy pragnęłam jedynie nocy i

możliwości, by ukorzyć się przed tobą. Aby powiedzieć ci, że bardzo się pomyliłam. Wyłumaczyć i po prostu... – mówiła, a jej głos co chwila się załamywał. – A ty po prostu nie wróciłeś. Poszedłeś do innej kobiety. Równie dobrze mogłeś wrócić z nią na zamek, wtrącić mnie do lochu i kochać ją w swym łożu – zakończyła z goryczą.

Nie wiedział, co powiedzieć. Tyle słów, tyle informacji i to uczucie, gdy nagle okazuje się, że wystarczył jeden ruch, żeby zapobiec wielu przykrościom. Jedno błędne założenie, które wprawia w udrękę wiele osób.

– Czekaaś na mnie tylko po to? – zapytał, wpatrując się w jej smutne oczy.

– Nie tylko po to, Blane. Jak idiotka czekałam również na to, że będę opowiadała ci moje głupie historie, a później będziesz kochał mnie w swym łożu – powiedziała obojętnym tonem. – A teraz przestań już się nade mną pastwić i pozwól mi odejść. Gdy wrócisz, zrobisz ze mną, co tylko będziesz chciał. Możesz mnie torturować, bić, gwałcić, a nawet wtrącić do lochu. Jest mi to już zupełnie obojętne, ale teraz chcę odejść.

– Nie stało się tak. – Spojrzała na niego zrezygowana.

– O czym mówisz?

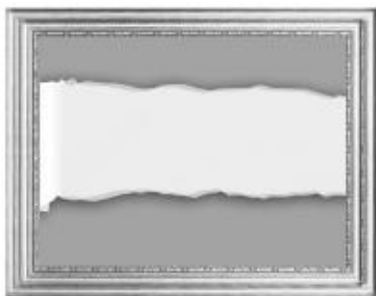
– Nie wróciłem do łoża z inną dziewczką, bo nie było innej. Nie chciałem wrócić do ciebie, ale byłem sam – mówił, a ona wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. – Jednak nie będziemy tu o tym rozmawiać. Nikt nie wie, że my... że ja z tobą... – Słyszała, jak płacze się w słowach, i nagle poczuła ogromną radość i nie zastanawiając się nad niczym, zarzuciła mu ręce na szyję, po czym pocałowała. Przez moment miała wrażenie, że ją odtrąci, niemniej nie zrobił tego i równie zachłannie oddał jej pocałunek.

– Ty głupi ośle – powiedziała z czułością. – Wszyscy wiedzą już od dawna.

– Nie powinnaś...

– Po prostu wróć do mnie tej nocy – wyszeptwała, po czym odeszła. Przez chwilę wpatrywał się w jej oddalającą się sylwetkę i starał się nie myśleć o tym, co się stało. Żałowała. Chciała go przeprosić i zrobiłaby to, gdyby wrócił do niej na noc.

## Rozdział 29 To nie ona



Czuł spojrzenia swoich ludzi na plecach i zdawał sobie sprawę z tego, że gdy tylko się obejrzy, to każdy będzie patrzył we wszystkie strony tylko nie na niego. Złościło go to i napawało obawą. Co o nim pomyśla? Może zwalić ten pocałunek na karb szaleństwa dziewczyny? Ale nie pozostawał bierny i oddawał jej pieszczoty z równym zaangażowaniem. To wszystko przez nią; noc bez niej ze świadomością, że dziewczyna jest pod ręką, była niczym niepotrzebny odwyk. Odwyk, który niósł za sobą konsekwencje. Nie mógł nadal stać tak i gapić się w miejsce, gdzie zniknęła. To kolejna rzecz, robiąca z niego niepczytalnego kretyna. Musiał stawić temu czoła. Odwrócił się gwałtownie, wstrzymując oddech. Pomylił się. Nikt nie uciekł spojrzeniem, wręcz przeciwnie, gapił się na niego każdy.

– Jak widzisz, dziewczyna miała rację – rozległy się słowa Bothana, który podszedł do niego i poklepał go po ramieniu.

– Jaka dziewczyna? – zapytał, zastanawiając się, co teraz ma zrobić. Nawrzeszczyć na nich? A może skazać jednego na baty? Tak dla przykładu.

– Dalsze udawanie głupca byłoby w tej sytuacji robieniem z siebie idioty – rozbrzmiało, a on zrobił się purpurowy na twarzy. Tak, teraz już wiedział, kogo ukarze dla przykładu. Lecz zanim zdążył otworzyć usta, Bothan dokończył swą wypowiedź: – Każdy wiedział od dawna, Blane. I uwierz mi, nietrudno się domyślić.

Na te słowa Blane spojrział na Bothana z wściekłością, a następnie złapał go za ramię i szarpnięciem odciągnął na bok. Dostrzegł na twarzy przyjaciela zaskoczenie i nawet lekką obawę. Mimo wszystko nie bez powodu zwano go Zwierzem.

– Kto powiedział i co? – Usłyszał chłodny głos Blane'a. Zauważył na twarzy naczelnika rozterkę, którą przyjął z ogromną ulgą.

– Twoje zachowanie wskazywało na to już od pewnego czasu. Oczywiście nikogo nie dziwi to, że wzięłeś sobie Brice do łóża, jako iż jest szlachcianką.

– I w dodatku Francuzką – dodał po chwili namysłu Blane, upatrując w tym wytłumaczenia.

Wziąć kobietę do łóża i uprzyjemnić sobie czas to jedno, lecz pozostawić ją w łóżu na więcej niż jedną noc, to już inna sprawa. Naczelnikowi się nie godzi. Chyba że to szlachcianka i w dodatku Francuzka. Blane przekonywał sam siebie w myślach.

– Dziewczyna nadobna. – Zarejestrował tuż za sobą głos Eiliga. – Każdy by ją chciał, ale jeno naczelnikowi przystoi, wszak panna dobrze urodzona.

– Sypia w mym łóżu tylko dlatego, że łóżka służby zajęte, a loch...

– Przepełniony. – Bothan wszedł mu w słowo. – Wczoraj wtrąciłeś dwóch chłopów, którzy okradali okoliczne wsie.

Każdy doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że loch pomieściłby o wiele więcej ludzi. Czuł się zagubiony. Z jednej strony był Blane'em, z drugiej nadszarpnięcie opinii Zwierza wprawiało go w kłopot. Każdy bardzo lubił Brice i mieli lekkie obawy, że jednak będzie chciał udowodnić im, że nie zależy mu na dziewczynie. A jakie to niosłoby za sobą skutki, tego nikt nie mógł przewidzieć.

– Panie, nie ukarzesz jej, prawda? – Tormod nigdy nie wybierał odpowiedniej pory, teraz jednak jego pytanie rozładowało dość napiętą sytuację.

– Wypruję z niej flaki, gdy tylko wrócę na zamek – mruknął, uśmiechając się pod nosem.

– Ale panie, toć ona niewinna. – Chłopak nie rozumiał, iż jego obawy są bezpodstawne.

– Wracaj do ćwiczeń! – wrzasnął. – Jeno się przyłóż, to może oszczędzę jej życie – dokończył, wpatrując się, jak chłopak migiem znalazł się na placu i dobywał miecza.

– Myślę, że dziś da z siebie wszystko – rzucił z głupim uśmiechem Bothan. Widział, że Blane przygląda się z uwagą chłopakowi.

– Ile Tormod ma lat? – zapytał.

– Szesnaście wiosen mu zeszło niedawno. Dlaczego cię to interesuje, przyjacielu? – Bothan spoglądał na Blane'a zaintrygowany nieoczekiwanym pytaniem. Czyżby widział konkurenta w osobie chłopaka?

– W takim razie jest wystarczająco dorosły, ale musi dużo ćwiczyć – mruknął sam do siebie, zupełnie ignorując pytania kompana.

– Do czego wystarczająco dorosły?

– Ci nowi wyglądają mizernie – powiedział, wskazując na stojących pod ogrodzeniem chłopców. – Odeślij ich do wsi, niech wrócą za rok – zarządził. Skierował się wprost na plac, stając w szranki z Tormodem i zostawiając oniemiałego Bothana za sobą.

Ze wszystkich sił starał się ukryć myśli, którymi wciąż wracał do Brice.

Próbował się zachowywać jak każdego dnia. Nie przychodziło mu to łatwo, mimo to nie istniały dla niego rzeczy niemożliwe. Pomimo sugestii Bothana, aby udał się wprost na zamek, nie zrobił tego, choć niezaprzeczalnie miał na to ochotę. Jednak nie mógł pokazać, że aż tak wielką chęć ma na głupią dziewczkę. Mimo iż szlachcianka, jednak nadal kobieta. W dodatku tak impulsywna i niemądra. Gdyby tylko wiedzieli, jakie brednie opowiada nocami. Pomyślał, że musi jeszcze raz z nią o tym porozmawiać. Nie powinna nikomu innemu o niczym mówić, ponieważ mogła stać się jej krzywda. A nie mógł do tego dopuścić. Była jego nałożnicą, tak widzieli to inni, więc musiał zapewnić jej bezpieczeństwo, aby nie stracić w oczach swych ludzi.

Jego rozmyślenia przerwał nieoczekiwany hałas. Spojrzawszy w stronę drzwi, ujrzał wtaczającego się do środka unurzanego we krwi Roslina. Ciężko oddychając, odszukał wzrokiem naczelnika.

– Co tym razem zrobiła?! – wrzasnął Blane.

– Tym razem to nie ona, panie! – Dziwnym zbiegiem okoliczności chłopak doskonale wiedział, kogo miał na myśli, wysuwając oskarżenie. To jednak nie rozeźliło Blane'a. – Brice niczego nie uczyniła – dodał pospiesznie Roslin, a Blane zamarł. Jeżeli nie ona była powodem zamieszania, to do kogo należała krew? Poczul niepokój. I nie był on bezpodstawny.

– Co się stało? Mów natychmiast! – zażądał.

– Mamy problem, naczelniku.

W tym momencie Blane zrozumiał już, że za moment dowie się czegoś, co mu się nie spodoba.

Nie pomylił się.

## *Podziękowania*

Ponieważ ostatnie podziękowania były bardzo długie, te będą krótkie. Chciałam podziękować Agnieszce Przyłuckiej i wydawnictwu WasPos. Wszystkim moim czytelnikom, rodzinie i przyjaciołom.

